

Przekrocz próg
Kamiennego Domu –
miejsca, w którym mruczący kot na kolanach
i kubek gorącej czekolady
przepędzą każdą troskę.

Maeve Binchy

**Dom
nad klifem**

Meave Binchy
Dom nad klifem

Przełożyła Jolanta Kielbas



*Kochanemu, wspaniałomyślnemu Gordonowi, dzięki któremu każdy dzień jest
wyjątkowy*

Chicky

Na farmie Ryanów w Stoneybridge każdy miał jakieś obowiązki. Chłopcy pomagali ojcu w polu – przy naprawie płotów, spędzaniu krów na dojenie czy kopaniu ziemniaków. Mary karmiła cielaki, Kathleen piekła chleb, a Geraldine zajmowała się kurami.

Jednak nikt nigdy nie zwracał się do niej Geraldine. Zawsze nazywano ją Chicky. Poważna dziewczynka, która każdego dnia wysypywała kurczętom ziarno lub zbierała jaja, wołając kojącym głosem: „ko, ko, ko”. Wszystkim kurom nadawała imiona, więc kiedy któraś trafiała na niedzielny stół, udawano przed Chicky, że to kura ze sklepu. Ona jednak знаła prawdę.

Stoneybridge, wioska w zachodniej Irlandii, latem stawała się rajem dla dzieci. Lato niestety było krótkie, a wybrzeże atlantyckie przez większość czasu mokre, dzikie i odludne. Znajdowały się tu jednak jaskinie, które można było odkrywać i badać, klify, na które można było się wspinać, ptasie gniazda, które można było znajdować, i dzikie owce z wielkimi, krętymi rogami, które można było obserwować. No i był Kamienny Dom. Chicky uwielbiała bawić się w otaczającym go wielkim, zarośniętym ogrodzie. Czasami panny Sheedy – trzy leciwe siostry, właścicielki domu – pozwalały jej nawet przebierać się w swoje stare stroje.

Widząc, jak Kathleen opuszcza dom i udaje się do Walii na naukę, żeby zostać pielęgniarką w tamtejszym szpitalu, a potem jak Mary dostaje pracę w firmie ubezpieczeniowej, Chicky też zapragnęła mieć jakieś zajęcie, chociaż te akurat nie przypadły jej do gustu.

Ziemia Ryanów nie mogła wyżywić całej rodziny. Dwaj bracia wyjechali do większych miast na Zachodzie i zajęli się biznesem. Tylko Brian został przy ojcu.

Matka była ciągle zmęczona, a ojciec zmartwiony, więc oboje poczuli ulgę, gdy Chicky dostała pracę w zakładzie włókienniczym. I to nie przy obsłudze maszyn ani na stanowisku dziewiarki, ale w biurze. Odpowiadała za wysyłkę odzieży do klientów i za księgowość. Nie była to wymarzona praca, ale dzięki niej mogła zostać w domu, a to jej odpowiadało. Miała mnóstwo znajomych w okolicy, każdego lata podkochiwała się w którymś z braci O’Harów. Jednak nic z tego nie wynikało.

Pewnego dnia zjawił się w zakładzie Walter Starr, młody Amerykanin. Chciał kupić sweter z owczej wełny. To Chicky miała go poinformować, że zakład nie prowadzi handlu detalicznego, a swetry trafiają tylko do domów towarowych i sprzedaży wysyłkowej.

– Przecież to nie ma sensu – powiedział Walter Starr. – Jeśli komuś, kto

przyjechał na to pustkowie, potrzebny jest sweter, to potrzebuje go już, a nie za kilka tygodni.

Był bardzo przystojny. Przypominał jej młodych Jacka i Bobby'ego Kennedych. Ten sam perlisty uśmiech i mocne zęby. Był opalony i zupełnie inny niż chłopcy z okolic Stoneybridge. Nie chciała, żeby poszedł; on chyba też tego nie chciał.

Przypomniało się jej, że mają w magazynie sweter używany jako model do zdjęć. Może Walter Starr chciałby go kupić? Jest prawie nowy.

Powiedział, że to świetny pomysł. Zaprosił ją na spacer po plaży, gdzie oświadczył, że to jedno z najpiękniejszych miejsc na Ziemi.

Wyobraźcie sobie! Był w Kalifornii i we Włoszech, a mimo to sądził, że Stoneybridge jest piękne.

Piękna, według niego, była również Chicky. Uważał, że ma prześliczne kręcone, czarne włosy i duże, błękitne oczy. Każdą wolną chwilę spędzali razem. Początkowo zamierzał zostać w Stoneybridge tylko dzień lub dwa, ale teraz trudno mu było ruszyć dalej. No, chyba że pojechałaby razem z nim.

Wybuchnęła głośnym śmiechem na myśl o porzuceniu pracy oraz obwieszczeniu matce i ojcu, że wybiera się z nowo poznanym Amerykaninem w podróż stopem po Irlandii. Łatwiej by przyjęli wiadomość, że zamierza polecieć na Księżyc.

Przerażenie, które wzbudził w niej ten pomysł, wydało się Walterowi wzruszające, a nawet ujmujące.

– Chicky, mamy tylko jedno życie. Nikt nie może przeżyć go za nas. Sami musimy to zrobić. Myślisz, że moi rodzice są zadowoleni, że przebywam na jakimś dzikim pustkowie i na dodatek dobrze się bawię? Nie, woleliby, żebym grał w tenisa w country clubie z dziewczętami z dobrych domów. Ale ja chcę być właśnie tu. To proste.

Walter Starr żył w świecie, w którym wszystko było proste. Skoro darzyli się miłością, to cóż bardziej naturalnego niż miłość fizyczna? Skoro czuli, że to jest to, po co komplikować sytuację zastanawianiem się, co inni powiedzą, pomyślą czy zrobią? Dobrotliwy Bóg rozumie miłość. Ojciec Johnson, który ślubował, że nigdy się nie zakocha, nie zrozumie. Oni jednak przecież nie potrzebowali głupich kontraktów ani certyfikatów.

Kiedy po sześciu wspaniałych tygodniach Walter zaczął myśleć o powrocie do Stanów, Chicky była gotowa wyjechać razem z nim. Decyzja ta nadzwyczajnie zbulwersowała całą rodzinę, wywołując niezliczone awantury i sceny. Jednak Walter nie był tego świadomy.

Ojciec Chicky martwił się teraz bardziej niż kiedykolwiek. Ludzie powiedzą, że wychował ladacnicę. I nie będzie to dalekie od prawdy. Matka zaś wyglądała na bardziej niż kiedykolwiek zmęczoną i rozczarowaną. Powtarzała, że tylko jeden Bóg i jego Święta Matka wiedzą, jakie błędy wychowawcze popełniła, skoro córka tak

traktuje całą rodzinę.

Kathleen uznała, że nawet gdyby miała już na palcu pierścionek zaręczynowy, to i tak żaden mężczyzna jej nie zechce, jeśli się dowie, z jakiej rodziny pochodzi.

Mary, która pracowała w firmie ubezpieczeniowej, a ostatnio spotykała się z jednym z O'Harów, stwierdziła, że przez Chicky dni jej związku są policzone. To była bardzo porządna rodzina, więc takie zachowanie nie mogło się spotkać z aprobatą.

Brian patrzył w podłogę i nic nie mówił. Gdy Chicky spytała go, co o tym myśli, odpowiedział, że nic. Nie ma na to czasu.

Przyjaciółki Chicky – Peggy, pracownica tego samego zakładu, i Nuala, służąca sióstr Sheedy – uważały, że jest to najbardziej ekscytująca i lekkomyślna rzecz, o jakiej słyszały, i że dobrze się składa, bo Chicky ma już nawet paszport, który wyrobiła, wybierając się na wycieczkę szkolną do Lourdes.

Walter powiedział, że zatrzymają się w Nowym Jorku u jego przyjaciół. Zamierzał rzucić studia prawnicze, bo mu nie odpowiadały. Gdybyśmy żyli kilka razy, wtedy może tak, ale skoro mamy jedno życie, to nie warto marnować go na studiowanie prawa.

W ostatni wieczór przed wyjazdem Chicky starała się wytłumaczyć rodzicom swoją decyzję. Ma dopiero dwadzieścia lat, a przed sobą całe życie. Nie chce ich rozczarować, powinni kochać się i wspierać.

Ojciec był niewzruszony. Oznajmił, że przyniosła rodzinie wstyd, a w domu już nie ma dla niej miejsca. Matkę przepełniała gorycz. Uważała, że Chicky zachowuje się bardzo, ale to bardzo głupio. Z tego związku nic nie będzie. Nie może być. To nie jest miłość, tylko zauroczenie. Gdyby ten cały Walter naprawdę ją kochał, toby poczekał. Zamiast karmić bzdurami, dałby jej swoje nazwisko i zapewnił dach nad głową.

Atmosfera była tak ciężka, że można ją było kroić nożem.

Siostry również jej nie wsparły, jednak Chicky była nieugięta. One nie wiedzą, co to prawdziwa miłość. Nie zamierza zmieniać planów. Ma paszport i wyjeżdża do Ameryki.

– Życie mi szczęścia – poprosiła, ale wszyscy spuścili wzrok. – Mam zapamiętać wasz chłód?

Po policzkach Chicky spływały łzy.

Matka westchnęła głęboko.

– Chłód? Przecież nie powiedzieliśmy: „Jedź, baw się dobrze”. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żebyś nie zmarnowała sobie życia. To nie miłość, tylko zaślepienie. Nie licz na nasze błogosławieństwo. Nie dostaniesz go. Nie ma sensu udawać.

Więc Chicky odeszła bez błogosławieństwa.

Na lotnisku w Shannon tłumy machały na pożegnanie swoim dzieciom

wyruszającym do Ameryki, żeby zacząć nowe życie. Chicky nikt nie żegnał, lecz ani dla niej, ani dla Waltera nie miało to znaczenia. Przecież mieli przed sobą całe życie. Nie będą przestrzegać zasad, żeby zadowolić sąsiadów i krewnych. Są wolni. Mogą robić, co zechcą. Nie muszą się starać spełnić pokładanych w nich nadziei: poślubić bogatego farmera w przypadku Chicky lub zostać pierwszorzędnym adwokatem, na co liczyła rodzina Waltera.

Przyjaciele Waltera powitali ich serdecznie w swoim dużym mieszkaniu na Brooklynie. Była tam para z wybrzeża i poetka z Chicago. Był też Meksykanin, który grał na gitarze w latynoskich barach. Towarzyscy i beztroscy. Jedni pracowali w księgarniach, inni w knajpach. Jeszcze inni poświęcali się muzyce. Pojawiali się i znikali. Nikt nie robił niepotrzebnego zamieszania. Zupełnie inaczej niż w domu.

Żyli na luzie. To było niesamowite. Nikt niczego nie wymagał. Wspólnie przygotowywali wielką porcję chilli na kolację. Bez nerwów.

Co prawda trochę narzekali na swoje rodziny, które niczego nie rozumieją, ale nikt się tym zbyt nie przejmował. Wspomnienie Stoneybridge stawało się coraz bardziej odległe. Jednak Chicky pisała do domu co tydzień. Już na samym początku zdecydowała, że nie będzie pielęgnować urazy.

Jeśli jedna strona będzie zachowywać się normalnie, wcześniej czy później druga też zacznie to robić.

Dostawała listy od Peggy i Nuali, z których dowiadywała się, co słychać w domu. Wyglądało na to, że niewiele się zmieniło. Mogła więc napisać rodzinie, że jest zachwycona matrymonialnymi planami Kathleen i Mikeya, nie wspominając nic o związku Mary i Sonny'ego O'Hary.

W odpowiedzi matka wysłała jej lakoniczną kartkę z pytaniem, czy ustaliła już datę własnego ślubu i czy w parafii jest irlandzki ksiądz.

Chicky nie wspominała nic o życiu w nowojorskiej komunie. O dużym, zatłoczonym mieszkaniu, przez które, przy dźwiękach gitary, nieprzerwanie przewijały się tłumy. Nigdy by tego nie zrozumieli. Zamiast tego pisała o wystawach i premierach teatralnych. Czytała o nich w gazetach, a czasami rzeczywiście chodzili na popołudniówki albo po znajomości zdobywali tanie bilety na przedstawienia przedpremierowe przez znajomych znajomych, którzy chcieli mieć komplet na widowni.

Walter dostał pracę. Pomagał starym znajomym rodziców katalogować zasoby biblioteki. Jego zdaniem rodzice mieli nadzieję, że dzięki temu zatęskni za uniwersyteckim życiem. Praca nie była zła, a rodzice zostawili go w spokoju i nie przysparzali kłopotów. Czego więcej można chcieć od życia?

Chicky szybko rozumiała, że Walter nie oczekuje niczego więcej. Dlatego nie zadreślała go pytaniami o to, kiedy pozna jego rodziców lub kiedy w końcu znajdą jakieś własne mieszkanie, albo jak będzie wyglądała ich przyszłość. Byli razem

w Nowym Jorku. To wystarczy, prawda? A powinno. I zwykle wystarczało.

Chicky zatrudniła się w restauracji na porannej zmianie. Wstawała bardzo wcześnie i wychodziła z mieszkania, gdy reszta jeszcze spała. Pomagała w otwarciu, wydawała śniadania i wracała, zanim inni zdążyli zacząć zmagania z codziennością. Odpowiadało jej to. Z pracy przynosiła zimne mleko i bajgle, które zostały ze śniadania. Współlokatorzy szybko się do tego przyzwyczaili.

Wciąż dostawała wieści z domu, jednak były dla niej coraz bardziej odległe.

Kathleen i Mikey pobrali się i oczekiwali dziecka; Mary była w poważnym związku z JP, farmerem, z którego jeszcze niedawno obie się śmiały, uważając go za starego, smutnego człowieka. Brian zaczął spotykać się z jedną z sióstr O'Hara. Rodzina Chicky była bardzo podekscytowana, O'Harowie trochę mniej. Ojciec Johnson wygłosił kazanie na temat tego, jak to Nasza Paniienka płacze na każde wspomnienie o referendum w sprawie rozwodów. Niektórzy parafianie uznali, że posunął się za daleko.

Po kilku miesiącach Stoneybridge stało się dla Chicky całkowicie nierzeczywiste, w odróżnieniu od życia w nowojorskim mieszkaniu, przez które przewijały się coraz większe tłumy przyjaciół pomieszkujących w Grecji czy we Włoszech albo tych, którzy całe noce grywali w piwnicach w Chicago. Dla Chicky to właśnie była rzeczywistość, ten cały fantastyczny świat, który odkryła na ruchliwym i gwarnym Manhattanie.

Nikt ze Stoneybridge nigdy nie przyjechał do Nowego Jorku – nie było zagrożenia, że ktoś będzie jej szukał lub odkryje żałosne kłamstwa. Po prostu nie mogła powiedzieć im prawdy: że Walter rzucił pracę w bibliotece. Para staruszków ciągle powtarzała, że powinien odwiedzić rodziców. Miał tego dość.

Chicky nie widziała w odwiedzinach nic złego, ale wyglądało na to, że dla Waltera był to duży problem, więc kiedy rzucił pracę, pokiwała tylko ze współczuciem głową, a po to, żeby opłacić rachunki, wzięła dodatkowe godziny w restauracji.

W tamtym czasie stał się bardzo drażliwy; denerwowały go drobiazgi. Chciał, żeby zawsze była wesoła i kochająca. Więc taka właśnie była. Bywała też zmęczona i zaniepokojona, ale nie dawała tego po sobie poznać.

Pisała do domu co tydzień i coraz bardziej wierzyła w swoje bajki. Zaczęła nawet prowadzić notatnik, w którym zapisywała szczegóły swojego wymyślonego życia, żeby w tym się nie pogubić.

Aby poczuć się lepiej, napisała im, że wyszła za mąż. Wzięli cichy cywilny ślub. Dostali nawet błogosławieństwo od franciszkanina. Wiedzieli, że rodzice bardzo się z tego ucieszą. Co prawda rodzice Waltera byli w tym czasie za granicą i nie mogli uczestniczyć w ceremonii, ale i tak bardzo się z niej ucieszyli.

Właściwie sama była gotowa w to uwierzyć. Lepsze to niż dopuszczenie do

świadomości, że Walter jest coraz bardziej niespokojny i pragnie zmian.

Gdy nadszedł koniec, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Najwyraźniej spodziewali się tego wszyscy oprócz niej. Walter delikatnie wyjaśnił, że było świetnie, ale czas się pożegnać. Pojawiła się nowa okazja, kolejny kumpel z knajpą, w której mógłby pracować. Nowe otoczenie, nowy początek, nowe miasto. Do końca tygodnia się wyniesie.

Długo to do niej nie docierało. Najpierw pomyślała, że to żart lub jakiś test. Serce stopniowo wypełniała coraz większa pustka.

To nie mogło się tak skończyć. Przecież tyle ich łączyło. Prosiła i obiecywała, że się zmieni.

Cierpliwie tłumaczył, że nikt tu nie zawinił. Takie jest życie – miłość przychodzi i odchodzi. Oczywiście to smutne, ale przecież zostaną przyjaciółmi, a kiedyś będą to mile wspominać. Powinna wrócić do domu, do Stoneybridge. Przechadzać się samotnie po dzikich plażach, po których spacerowali razem i gdzie zakochali się w sobie.

Chicky jednak wiedziała, że jej powrót jest niemożliwy. Tego jednego była pewna. To jedyna stała rzecz w zmieniającym się niczym ruchome piaski świecie. Nie mogła też zostać w dotychczasowym mieszkaniu, mimo że współlokatorzy na to liczyli. Nie miała innego życia, innych przyjaciół. Była zbyt zamknięta w sobie, nie знаła żadnych anegdot i nie miała poglądów, które mogłaby wnieść w przyjaźń. Potrzebowała towarzystwa ludzi, którzy nie zadają pytań i nie snują przypuszczeń.

Potrzebowała też pracy. Nie mogła zostać w restauracji, choć pracodawcy mieli nadzieję, że to zrobi. Nie chciała dłużej przebywać w miejscach, które kojarzyły się jej z Walterem. Było jej obojętne, co będzie robić. Chciała po prostu się utrzymać, zając się czymś, zanim postanowi, co robić dalej.

Po odejściu Waltera nie mogła spać. Siedziała więc wyprostowana na krześle, w pokoju, który dzieliła z Walterem przez te pięć wspañałych miesięcy. I te trzy niespokojne.

Mówił, że jeszcze nigdy tak długo nie przebywał w jednym miejscu. Zapewniał, że nie chce jej ranić. Błagał, żeby wróciła do Irlandii. A ona tylko uśmiechała się przez łzy.

Wystarczyły cztery dni, żeby znalazła mieszkanie i pracę. Jeden z budowlańców pracujących przy restauracji spadł z wysokości. Wniesiono go do środka, żeby doszedł do siebie.

– To nic poważnego. Nie muszę jechać do szpitala, nie jest ze mną tak źle – przekonywał. – Proszę zadzwonić do pani Cassidy. Ona będzie wiedziała, co robić.

– Do kogo? – zapytała Chicky.

Mężczyzna mówił z irlandzkim akcentem i najwyraźniej nie chciał tracić dniówki.

– Prowadzi Ekskluzywny Kwaternik. To dobra kobieta. I dyskretna. Z nią proszę

się skontaktować.

Miał rację. Pani Cassidy zajęła się sprawą.

Była niska i ruchliwa, miała przeszywające spojrzenie i włosy spięte w kok. Wyglądała na osobę, która nie lubi tracić czasu.

Chicky patrzyła na nią z podziwem.

Pani Cassidy załatwiła rannemu transport. Powiedziała, że w sąsiedztwie mieszka pielęgniarka, a jeśli stan chorego się pogorszy, zawiezie go do szpitala.

Nazajutrz Chicky wybrała się do Ekskluzywnego Kwaterunku. Najpierw zapytała o rannego robotnika, a potem o pracę.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – zapytała pani Cassidy.

– Ludzie mówią, że jest pani dyskretna. Że pani nie plotkuje.

– Nie mam na to czasu – przyznała.

– Mogłabym sprzątać. Jestem silna. Nie męczę się łatwo.

– Ile masz lat?

– Jutro skończę dwadzieścia jeden.

Pani Cassidy знаła się na ludziach i szybko podejmowała decyzje.

– Doskonale. Idź po swoje rzeczy. Możesz wprowadzić się jeszcze dziś.

Nie było tego dużo, jedna mała torba; zabrała ją z ogromnego mieszkania, w którym z Walterem i grupą lekkoduchów spędziła wiele szczęśliwych miesięcy, zanim bal się skończył.

Tak oto Chicky zaczęła nowe życie w przypominającej klasztorną celę sypialence na poddaszu pensjonatu. Wstawała wcześniej rano, żeby czyścić mosiądze, szorować schody i przygotowywać śniadanie.

Pani Cassidy miała ośmiu lokatorów. Samych Irlandczyków. Byli to ludzie, którzy nie zaczynają dnia od płatków i owoców. Pracują na rusztowaniach lub w podziemiach, a na śniadanie jedzą jajka na bekonie. Tylko tak mogą przetrwać do obiadu: zawiniętych w woskowany papier kanapek z szynką, które przygotowywała im Chicky i wręczała przed wyjściem.

A potem trzeba było posłać łóżka, wypolerować szyby, posprzątać salon i pójść z panią Cassidy na zakupy. Nauczyła się, jak dzięki marynacie przyrządzić tanią, ale smaczną porcję mięsa. Dowiedziała się, jak sprawić, żeby najprostsze z dań wyglądało okazale. Na stole codziennie stały kwiaty.

Pani Cassidy zawsze podawała kolację elegancko ubrana. Dziwnym trafem robotnicy się do tego dostosowywali. Zanim usiedli przy jej stole, wszyscy się myli i zmieniali koszule. Oczekiwania kształtują rzeczywistość.

Chicky zawsze mówiła do niej „pani Cassidy”. Nie znała jej imienia, kolei losu, nie wiedziała, co się stało z panem Cassidy ani czy w ogóle istniał ktoś taki. Jej też nie zadawano żadnych pytań. Łączyła je specyficzna przyjaźń dająca ukojenie.

Pani Cassidy namawiała Chicky, żeby postarała się o zieloną kartę

i zarejestrowała w radzie miasta. Wtedy mogłaby głosować. Trzeba dopilnować, żeby stosowna liczba irlandzkich urzędników doszła do władzy. Wy tłumaczyła również, jak załatwić numer skrzynki pocztowej, tak aby móc dostawać listy, chroniąc swoją prywatność. Żeby nikt nie wtrącał się do twoich spraw.

Przekonywała Chicky, żeby zaczęła prowadzić jakieś życie towarzyskie. W końcu jest młodą kobietą w najbardziej ekscytującym mieście świata. Możliwości są ogromne. Chicky postawiła sprawę jasno: żadnych pubów, irlandzkich klubów, swatania z jednym czy drugim lokatorem. Pani Cassidy zrozumiała i dała sobie z tym spokój, jednak zachęcała ją do zajęć dla dorosłych i kursów zawodowych. Chicky została świetnym cukiernikiem, ale nawet gdy lokalna cukiernia zaproponowała jej pracę na pełny etat, nie wykazywała chęci opuszczenia swojej pracodawczyni.

Chicky niewiele wydawała, dlatego jej oszczędności rosły. Gdy nie pracowała z panią Cassidy, przyjmowała wiele różnych zleceń: szykowała posiłki na chrzciny, komunie, bar micwy i imprezy dla emerytów. I każdego wieczoru wraz z panią Cassidy przygotowywały kolację dla gości.

Nadal nie rozmawiały o życiu prywatnym, więc Chicky była bardzo zaskoczona, gdy pracodawczyni wspomniała, że powinna odwiedzić Stoneybridge.

– Jedź teraz, zanim będzie za późno. Potem zrobi się z tego wielka sprawa. Będzie znacznie prościej, jeśli polecisz w tym roku, choćby z krótką wizytą.

I rzeczywiście, było to znacznie prostsze, niż się spodziewała.

Napisała do Stoneybridge, że Walter musi udać się służbowo na tydzień do Los Angeles. Zaproponował, żeby w tym czasie odwiedziła Irlandię. Z wielką radością przyleciałaby z krótką wizytą. Ma nadzieję, że nie sprawi kłopotu.

Minęło pięć lat od dnia, gdy ojciec powiedział, żeby nigdy nie wracała do domu, ale od tej pory wszystko się zmieniło.

Tata był już innym człowiekiem. Kilka stanów przedzawałowych uświadomiło mu, że nie jest ani panem świata, ani nawet samego siebie.

Mama przywiązywała znacznie mniejszą wagę do tego, co powiedzą ludzie.

Siostra Kathleen, teraz żona Mikeya i matka Orli i Rory, zapomniała o swoich ostrych słowach na temat zhańbienia rodziny.

Mary, teraz żona JP, szalonego starego farmera, złagodniała.

Brian, zraniony odrzuceniem ze strony rodziny O'Hara, rzucił się w wir pracy i ledwie zauważył, że siostra wróciła.

Wizyta okazała się zaskakująco bezbolesna i od tej pory Chicky każdego lata wracała w ciepłe objęcia rodziny.

W Stoneybridge godzinami przechadzała się po okolicy. Rozmawiała z sąsiadami, wtajemniczając ich w swoje bajkowe życie po drugiej stronie Atlantyku. Niewiele osób z tych stron zawędrowało aż do Stanów, więc była pewna, że nie będzie żadnych niezapowiedzianych odwiedzin i jej misterna konstrukcja nie runie z powodu

niespodziewanej wizyty w nieistniejącym mieszkaniu.

Znów stała się częścią miasteczka. Spotykała się z Peggy, która opowiadała jej o wszystkim, co działo się w fabryce włókienniczej. Nuala dawno temu wyjechała do Dublina i słuch po niej zaginął.

– Gdy Chicky przemierza plażę, wiemy, że jest lipiec – mówiły siostry Sheedy.

Twarz Chicky rozpromieniał szeroki uśmiech, obejmując siostry swoim blaskiem. Wszystkim powtarzała, że nie ma na świecie drugiego tak wyjątkowego miejsca jak Stoneybridge, bez względu na to, jak wiele pięknych rzeczy widziała za granicą. To cieszyło ludzi. Dobrze jest słyszeć, że zostając w Stoneybridge, dokonano się właściwego wyboru.

Bliscy pytali o Waltera i wydawali się zadowoleni z jego sukcesów zawodowych. Nawet jeśli było im wstyd, że źle go ocenili, to nigdy tego nie przyznali.

A potem wszystko się zmieniło.

Orla, starsza siostrzenica, była teraz nastolatką. Miała nadzieję, że za rok razem z Brigid, dziewczyną z plemienia rudowłosych O’Harów, pojedzie do Ameryki. Zastanawiała się, czy na jakiś czas mogłaby się zatrzymać u cioteczki Chicky i wuja Waltera. Nie będzie sprawiać żadnych kłopotów.

Chicky odpowiedziała bez wahania. Oczywiście, że Orla i Brigid mogą się u nich zatrzymać. Wprost nie może się doczekać. Nie ma najmniejszego problemu. Nikt by się nie domyślił, że w środku aż kipiała. Musi się uspokoić. Będzie się martwić później. Teraz należy grać swoją rolę. Zapraszać, cieszyć się i ekscytować.

Orla zastanawiała się, co będą robić w Nowym Jorku.

– Twój wuj Walter przyjedzie po was na lotnisko Kennedy’ego – odparła Chicky.
– Przyjedziecie do domu, odświeżycie się i od razu zabiorę was na wycieczkę łodzią wokół Manhattanu, żebyście się zapoznali z okolicą. Następnego dnia pojedziemy na Ellis Island i do Chinatown. Będzie cudownie.

Gdy Chicky klaskała w dłonie i zachwycała się wizytą, naprawdę w nią wierzyła. Widziała łagodną, dobroduszną postać wuja Waltera uśmiechającego się smutno. Żałującego, że sami nie mają dzieci, które mogliby rozpieszczać. Tego samego Waltera, który opuścił ją po zaledwie kilku miesiącach znajomości i wyjechał na zachód.

Szok dawno minął, a obraz ich wspólnego życia całkiem się zatarł. Rzadko wspominała tamte czasy. Za to jej wymyślona egzystencja była jasna i ostra jak brzytwa.

Dzięki temu przetrwała. Świadomość, że wszyscy w Stoneybridge musieli przyznać, że się mylili, a ona, i to w wieku dwudziestu lat, była mądrzejsza od nich, dodawała jej sił. Walter okazał się cudownym mężem, a jej życie jednym pasmem sukcesów. Wszystko by runęło, gdyby wiedzieli, że ją zostawił, i że teraz szorowała podłogi, myła łazienki i podawała posiłki u pani Cassidy. Ciułała, oszczędzała, a jej

jedynym urlopem w roku był tygodniowy pobyt w Irlandii. Zmyślane życie było jej nagrodą. Tylko co zrobić, gdy przylecą Orla i jej przyjaciółka? Czy misterna konstrukcja złożona z samych kłamstw, którą budowała przez lata, runie jak domek z kart? To nie czas, żeby się tym przejmować. Nic nie zepsuje jej wakacji. Pomyśli o tym później.

Jednak po powrocie do Nowego Jorku również nie udało jej się znaleźć żadnego satysfakcjonującego rozwiązania. Jak ma udawać, że wie życie, o którym marzy każdy w Stoneybridge? To takie irytujące. Dlaczego dziewczynki nie mogły wybrać Australii jak tylu innych młodych Irlandczyków? Dlaczego chcą przyjechać akurat do Nowego Jorku?

Złamała obowiązujące od lat zasady i zwróciła się po pomoc do pani Cassidy.

– Mam problem – wypaliła.

– Problemy omawiamy po kolacji – odparła pani Cassidy.

Gdy potem naląła do szklanek czegoś, co zwykła nazywać porto, Chicky opowiedziała historię swojego życia. Zaczęła od samiutkiego początku. Kiedy wszystkie karty zostały odkryte, dodała, że gra jest skończona: jej rodzina, która wierzy w wuja Waltera, chce przyjechać, żeby go poznać.

– Wydaje mi się, że Walter nie żyje – wycedziła pani Cassidy.

– Słucham?

– Chyba zginął na autostradzie Long Island w jakiejś poważnej kraksie. Ciało z trudem zidentyfikowano.

– To się nie uda.

– Chicky, takie rzeczy ciągle się zdarzają.

Pani Cassidy jak zwykle miała rację.

Udało się.

Straszna tragedia, szaleństwo na drodze, życie zgasło. W Stoneybridge bardzo jej współczuli. Chcieli przyjechać do Nowego Jorku na pogrzeb, ale powiedziała, że ceremonia będzie bardzo kameralna. Walter na pewno tego by chciał.

Mama płakała do słuchawki.

– Byliśmy dla niego tacy niesprawiedliwi. Niech Bóg nam wybaczy.

– Na pewno wybaczył dawno temu – odparła spokojnie Chicky.

– Chcieliśmy jak najlepiej – dodał ojciec. – Myśleliśmy, że znamy się na ludziach.

A teraz jest za późno, żeby mu powiedzieć, jak bardzo się myliliśmy.

– Rozumiał to, wierzcie mi.

– Możemy chociaż napisać do jego rodziny?

– Tato, już wysłałam kondolencje w waszym imieniu.

– Biedni ludzie. Muszą być załamani.

– Pogodzili się z losem. Mówią, że dobrze przeżył życie.

Chcieli wiedzieć, czy powinni umieścić w gazecie informację. Nie. Musi zamknąć

ten rozdział swojego życia. Tylko w taki sposób będzie w stanie poradzić sobie z tą sytuacją. Najmilszą rzeczą, którą mogą dla niej zrobić, to wspominać Waltera z miłością, a ją zostawić w spokoju. Latem, jak zwykle, przyjedzie do domu. Życie toczy się dalej.

Dla tych, którzy czytali jej listy, to było bardzo tajemnicze. Może żal odebrał jej rozum? Ostatecznie tak niesprawiedliwie ocenili Waltera, kiedy jeszcze żył. Może powinni uszanować jego wolę po śmierci? Przyjaciele rozumieją, że ona potrzebuje samotności. Miała nadzieję, że rodzina również.

Orla i Brigid, które planowały odwiedzić ciotkę przy Seventh Avenue, były zrozpaczone. Nie tylko kochany wuj Walter nie przywita ich na lotnisku, ale w ogóle nie będzie wakacji. Teraz nie było możliwości, żeby cioteczka zabrała je na wycieczkę łodzią wokół Manhattanu. Najpierw musi się uporać z tragedią.

Zresztą nie było szans, żeby po czymś takim puścili je do Nowego Jorku. To nie mogło się zdarzyć w bardziej niefortunnym momencie.

Jednak wciąż były w kontakcie, a ona wiedziała o wszystkim, co działo się w okolicy. O'Harowie oszaleli i wykupywali wszystkie nieruchomości w Stoneybridge. Chcieli rozwinąć sieć domków letniskowych. Dwie leciwe siostry Sheedy zmarły w zimie na zapalenie płuc, chorobę, którą często nazywano przyjaciółką starych ludzi, bo pozwalała im spokojnie odejść.

Została tylko panna Queenie Sheedy, jak zawsze dziwaczna, oderwana od otaczającego świata. Kamienny Dom popadał w ruinę razem z nią. Chodziły słuchy, że ledwo jej starcza na opłacenie rachunków. Wyglądało na to, że będzie musiała sprzedać wielki dom nad urwiskiem.

Chicky czytała to wszystko jak wieści z innej planety. Mimo to następnego lata zarezerwowała bilet. Tym razem zabrała ze sobą ciemniejsze ubrania. Nie żałobne, które pewnie spodobałyby się rodzinie, ale mniej spódnic i topów w wesołych żółciach i czerwieniach, a więcej szarości i granatów. I te same wygodne buty.

Przemierzała jakieś dwadzieścia kilometrów dziennie. Spacerowała wzdłuż plaż i klifów, przez las i obok placu budowy, gdzie O'Harowie wznosili domki w stylu hiszpańskim. Wykończone czarnym, kutym żelazem i z otwartymi tarasami bardziej nadawały się do łagodniejszego klimatu niż dzikie, smagane wiatrem wybrzeże Atlantyku.

Podczas jednego spaceru spotkała pannę Queenie Sheedy, słabą i opuszczoną. Obie współczuły sobie straty.

– Wracasz do domu? Teraz, gdy twoje życie tam się skończyło, a twój biedny, ukochany mąż odszedł do Ojca Niebieskiego? – zapytała panna Queenie.

– Nie sądzę, panno Queenie. Już tu nie pasuję. Jestem za stara, żeby mieszkać z rodzicami.

– Rozumiem, moja droga. Wszystko się zmienia, prawda? Zawsze miałam

nadzieję, że kiedyś wrócisz i zamieszkasz ze mną. Marzyłam o tym.

I wtedy się zaczęło.

Szalony pomysł, żeby kupić dom nad urwiskiem. Kamienny Dom – to w otaczających go dzikich ogrodach bawiła się jako mała dziewczynka. Na niego spoglądała, pływając w morzu. To tu pracowała jej przyjaciółka Nuala.

Dlaczego nie? Walter zawsze powtarzał, że wszystko zależy od nas.

„Dlaczego nie my, tylko inni”, pytała czasem retorycznie pani Cassidy.

Panna Queenie powiedziała, że to najlepszy pomysł od czasów smażonego chleba.

– Nie byłabym w stanie zapłacić tyle, ile jest wart – zaczęła Chicky.

– A na co mi pieniądze w moim wieku?

– Zbyt długo mnie nie było.

– Ale przecież wrócisz. Kochasz spacerować po okolicy, to daję ci siłę, tu jest tyle światła, a niebo zmienia się z godziny na godzinę. A bez mężczyzny, który był dla ciebie tak dobry przez te wszystkie lata, będziesz bardzo samotna w Nowym Jorku. Chyba nie chcesz zostać tam, gdzie wszystko będzie ci o nim przypominać? Jeśli chcesz, możesz wprowadzić się od razu, a ja przeniosę się na dół, do jadalni. I tak nie radzę sobie ze starymi schodami.

– Proszę nawet nie żartować. To pani dom. Nie mogę się na to zgodzić. Poza tym co miałabym z nim zrobić? Sama w tak wielkim domu...

– Hotel, prawda? – Dla panny Queenie było to oczywiste. – O’Harowie od lat chcą go ode mnie kupić. Ale oni by go zburzyli. Nie mogę się na to zgodzić. Pomogę ci otworzyć hotel.

– Hotel? Naprawdę? Miałabym prowadzić hotel?

– Zrobisz z tego wyjątkowe miejsce. Miejsce dla ludzi takich jak ty.

– Nie ma ludzi takich jak ja, tak dziwnych i pogmatwanych.

– Zdziwiłabyś się, Chicky, jak wielu ich jest. W każdym razie ja długo tu nie zabawię. Wkrótce dołączę do moich sióstr. Więc powinnaś się szybko zdecydować, a potem możemy zacząć planować, co zrobić, żeby Kamienny Dom znów wyglądał tak jak kiedyś.

Chicky odebrało mowę.

– Byłoby bardzo miło, gdybyś wróciła, zanim odejdę. Chciałabym wziąć udział w planowaniu – przyznała Queenie.

A potem usiadły przy kuchennym stole i zaczęły to omawiać na serio.

Gdy Chicky wróciła do Nowego Jorku, pani Cassidy wysłuchiwała planów, z aprobatą kiwając głową.

– Naprawdę pani myśli, że mi się uda?

– Będę za tobą tęsknić, ale wiesz przecież, że to dla ciebie szansa.

– Odwiedzi mnie pani?

– Tak, przyjadę na tydzień którejs zimy, gdy jest mniej hałasu i turystów. – Pani

Cassidy nigdy wcześniej nie brała urlopu.

– Chyba powinnam pojechać teraz, gdy Queenie jeszcze żyje.

– Powinnaś zająć się tym jak najszybciej – powiedziała pani Cassidy.

Nie lubiła marnować czasu.

– Jak im wytłumaczę to... wszystko?

– Wydaje ci się, że zawsze trzeba się tłumaczyć, a to nieprawda. Po prostu powiedz, że kupiłaś go za pieniądze, które zostawił ci Walter. Ostatecznie to prawda.

– Jak to?

– To dla niego pojechałaś do Nowego Jorku. Kiedy cię opuścił, zarobiłaś i zaoszczędziłaś pieniądze. Nie widzę w tym żadnego kłamstwa.

Pani Cassidy zrobiła minę, która znaczyła, że temat został zamknięty.

W kolejnych tygodniach Chicky przelała oszczędności na irlandzkie konto. Negocjacje z bankami i prawnikami ciągnęły się w nieskończoność. Jakby tego było mało, trzeba było przygotować projekt przebudowy, zapoznać się z przepisami, wynająć firmę budowlaną, zdobyć pozwolenia. Chicky nie zdawała sobie sprawy, że to będzie wymagało aż tyle zachodu. Ani ona, ani pani Queenie nie wspomniały nikomu z mieszkańców o swoich planach.

W końcu wszystko wydawało się zapięte na ostatni guzik.

– Nie mogę dłużej tego odkładać – powiedziała Chicky do pani Cassidy, gdy sprzątały ze stołu po kolacji.

– Złamię mi to serce, ale powinnaś wyjechać już jutro.

– Jutro?

– Panna Queenie nie może czekać zbyt długo, a ty musisz w końcu powiedzieć wszystko rodzinie. Zrób to, zanim zrobi to ktoś inny. Tak będzie lepiej.

– Mam się przygotować do wyjazdu w jeden dzień? To znaczy, że muszę się spakować i pożegnać...

– Spakujesz się w dwadzieścia minut. Niewiele tego masz. A nasi lokatorzy nie są zbyt wylewni, tak samo jak ja.

– Robię to z rozdartym sercem.

– Nie, Chicky, będziesz miała rozdarte serce, jeśli tego nie zrobisz. Zawsze potrafiłaś wykorzystać nadarzącą się okazję.

– Może wiodłoby mi się lepiej, gdybym nie skorzystała z okazji, która pojawiła się wraz z Walterem Starrem. – Chicky posmutniała.

– Naprawdę? Dostałabyś awans w fabryce włókienniczej. Wyszłabyś za farmera, miała szóstkę dzieci, dla których starałabyś się znaleźć pracę. Nie, myślę, że dokonałaś właściwego wyboru. Podjęłaś decyzję, skontaktowałaś się ze mną w sprawie pracy. Chyba przez te dwadzieścia lat nie było nam źle, prawda? Postąpiłaś słusznie, przyjeżdżając do Nowego Jorku. A teraz wracasz jako właścicielka największego domu w okolicy. Nie widzę nic złego w takiej ścieżce kariery.

– Kocham panią – powiedziała Chicky.

– Dobrze, że wracasz do swoich celtyckich mgieł i zmierzchów, skoro zaczynasz wygadywać takie brednie – odparła pani Cassidy, ale jej twarz miała znacznie łagodniejszy wyraz niż zwykle.

Ryanowie byli bardzo zaskoczeni. Siedzieli z otwartymi ustami, gdy opowiadała im o swoich planach. Chicky wraca do domu na dobre? Kupuje dom sióstr Sheedy? Otwiera hotel, który będzie działał latem i zimą? Zupełnie nie mogli w to uwierzyć.

Tylko Brian był szczerze zachwycony tym pomysłem.

– Utrzesz nosa O’Harom – powiedział i uśmiechnął się szeroko. – Od lat mieli oko na Kamienny Dom. Chcieli go zburzyć, a na jego miejscu postawić sześć komfortowych domków.

– Właśnie tego obawiała się panna Queenie – przyznała Chicky.

– Chciałbym widzieć ich miny, gdy się dowiedzą – powiedział Brian.

Nigdy nie pogodził się z faktem, że O’Harowie uznali, iż nie jest wart ich córki. Wydali ją za mężczyznę, który sporą część ich majątku przegrał na wyścigach konnych, do czego Brian często nawiązywał.

Matka nie mogła uwierzyć, że Chicky wprowadza się do panny Queenie już nazajutrz.

– No cóż, muszę być na miejscu. Zresztą nie zaszkodzi, jak ktoś od czasu do czasu poda staruszce filiżankę herbaty.

– A nawet miskę owsianki lub paczkę biszkoptów – dodała Kathleen. – Jakiś czas temu Mikey widział, jak zbierała jeżyny. Powiedziała, że są za darmo.

– Chicky, na pewno jesteś właścicielką tego domu? – Ojciec jak zawsze się martwił. – Nie będziesz zwykłą pokojówką jak Nuala, z tą różnicą, że po śmierci Queenie dostaniesz dom w spadku?

Chicky poklepała go po ramieniu, zapewniając, że posiadłość należy do niej.

Stopniowo zaczęli oswajać się z tą myślą. Miała gotowe rozwiązanie każdego problemu, który przyszedł im do głowy. Lata spędzone w Nowym Jorku zrobiły z niej kobietę biznesu. W przeszłości pomylili się, nie doceniając jej. Po raz drugi nie popełnią tego samego błędu.

Rodzina zamówiła kolejną mszę za Waltera, ponieważ Chicky nie była w domu na pierwszej. Chicky siedziała w małym kościółku w Stoneybridge i zastanawiała się, czy Bóg naprawdę istnieje i z góry patrzy i słucha. Wydawało się to mało prawdopodobne.

Jednocześnie każdy tu wydawał się w to wierzyć. Cała wspólnota złączyła się w modlitwie za spokój duszy Waltera Starra. Czy rozbawiłaby go ta cała sytuacja? A może byłby wstrząśnięty zabobonami, w które wierzą ci ludzie – mieszkańcy irlandzkiego, nadmorskiego miasteczka, w którym kiedyś przeżył wakacyjny romans?

Zdawała sobie sprawę, że znów będzie musiała stać się częścią kościelnej

wspólnoty. Tak będzie prościej. Pani Cassidy chodziła na mszę każdego niedzielnego ranka. O tym też nigdy nie rozmawiały.

Rozejrzała się po kościele, w którym została ochrzczona, przyjęła pierwszą komunię, gdzie ją wybierzmowano, kościele, w którym jej siostry wyszły za mąż i w którym ludzie modlili się za spokój duszy człowieka, który nadal żył. To wszystko było bardzo dziwne.

Mimo to miała nadzieję, że modły komuś się przydadzą.

Chicky musiała być bardzo ostrożna. Stąpała po cienkim lodzie. Powinna dołożyć wszelkich starań, żeby nie zdenerwować właścicieli okolicznych domków letniskowych i noclegów ze śniadaniem. Zaczęła nieprzerwaną dyplomatyczną ofensywę, tłumacząc, że wychodzi z zupełnie nową ofertą, która dla nikogo nie będzie konkurencją.

Odwiedziła wiele lokali rozsianych po okolicy, informując właścicieli o swoich planach. Goście będą chcieli zwiedzać klify i wzgórza. Będzie ich namawiać, żeby poznawali prawdziwą Irlandię, stołowali się w tradycyjnych barach, pubach i zajazdach. Więc jeśli serwują zupy i proste posiłki, chciałyby o tym wiedzieć, żeby wysłać do nich klientów.

Wynajęła firmę budowlaną z innej części kraju. Chciała uniknąć faworyzowania O'Harów lub ich głównych rywali. Mogłoby to zostać źle odebrane. Z tego samego powodu materiałów budowlanych nie kupiła w okolicy.

Starła się, żeby każdy skorzystał na jej planach. Była świetna w zjednywaniu sobie ludzi.

Teraz najważniejsi byli architekci. Należy szybko załatwić sprawę z projektami, żeby robotnicy mogli rozpocząć pracę. Potrzebny będzie też menedżer, ale jeszcze nie teraz. Chciałyby również, żeby ktoś się wprowadził i pomógł jej gotować, ale i to może poczekać.

Chicky myślała o swojej siostrzenicy Orli. To bystra dziewczyna. Kochała Stoneybridge i życie, które oferowało. Była energiczna i wysportowana, uprawiała windsurfing i wspinaczkę. W Dublinie zrobiła kurs komputerowy i miała dyplom z marketingu. Chicky mogłaby nauczyć ją gotować. Była pełna życia i dobrze radziła sobie z ludźmi. Pasowałaby do Kamiennego Domu. Jak na złość chciała zostać w Londynie. Po prostu wyjechała, bez wyjaśnień. Chicky pomyślała, że życie młodych stało się znacznie prostsze. Orla nie potrzebowała pozwolenia ani aprobaty rodziny. Była dorosła, więc rodzinie nic do tego.

Planowała osiem pokoi gościnnych, dużą kuchnię i jadalnię, gdzie wszyscy goście będą wspólnie jadać kolację. Znalazła wielki, staroświecki stół. Stół, który trzeba będzie pucować każdego dnia, ale to się opłaci. To nie miejsce dla ozdobnego mahoni, podkładek na stół albo grubych, lnianych irlandzkich obrusów. To muszą być oryginalne przedmioty z charakterem.

Zatrudniła jednego miejscowego rzemieślnika, żeby wykonał czternaście krzeseł, a drugiego – do renowacji starej komody, na której będzie stać porcelana. Razem z panną Queenie jeździły na aukcje i wyprzedaże po okolicy w poszukiwaniu odpowiedniej zastawy.

Dotarły do ludzi, którzy zgodzili się odnowić stare dywany sióstr Sheedy oraz wymienić postrzępioną skórę na małych zabytkowych stolikach.

Panna Queenie była wniebowzięta. Wciąż powtarzała, jaki to cud, że te skarby dostaną drugie życie. Jej siostry będą zachwycone. Była przekonana, że wiedzą o wszystkim, co dzieje się w Kamiennym Domu, i że wszystkiemu przyklaskują. Jej przeświadczenie, że przebywają w jakimś szczęśliwym miejscu, stoją na straży Stoneybridge i czekają, aż hotel zostanie otwarty, było doprawdy wzruszające.

Niepokój wzbudzało tylko to, że według panny Queenie w niebie razem z jej siostrami przebywa również Walter i na każdym kroku dopinguje swoją dzielną żonę.

Chicky na bieżąco dzieliła się swoimi planami z rodziną. Dzięki temu byli dobrze zorientowani w postępach prac. Czuli się wyjątkowi, gdy wiedzieli wcześniej niż inni, że projekty zostały zatwierdzone, otoczony murem ogród przy kuchni, w którym będą uprawiać własne warzywa, obsadzony, a centralne ogrzewanie zainstalowane.

Pewnie Chicky będzie też potrzebować zawodowego dekoratora wnętrz. Mimo że ona i panna Queenie wiedziały, jak dom powinien wyglądać, to jednak kierowały swoją ofertę do osób wymagających. Pobyt nie będzie tani. Wszystko musi być idealne. To, co Chicky wydaje się eleganckie, w rzeczywistości może przecież być tandetne.

Co prawda przejrzała wszystkie dostępne magazyny ze zdjęciami hoteli i domków letniskowych, jednak nie miała doświadczenia w urządzaniu wnętrz. A pensjonat pani Cassidy nie był najlepszym przykładem do naśladowania stylu.

Czekało ją jeszcze wiele pracy: musi mieć stronę internetową i przyjmować rezerwacje online, a to wciąż był dla niej zupełnie obcy świat. Tym zajmie się Orla, jeśli wróci z Londynu. Dzwoniła do niej dwa razy, ale dziewczyna była roztrzępiona i niezdecydowana. Kathleen, siostra Chicky, powiedziała, że Orla ma trudny charakter. Nie można się z nią dogadać w żadnej sprawie.

– Jest bardziej uparta niż ty – stwierdziła ze smutkiem. – A to o czymś świadczy.

– Spójrz, na jaką solidną i rozsądną osobę wyrosłam. – Roześmiała się Chicky.

– Jesteśmy przed otwarciem – odparła Kathleen złowrogo. – Zobaczmy, jaka jesteś solidna i rozsądna, kiedy to nastąpi.

Tylko pani Cassidy i panna Queenie wierzyły, że plan dojdzie do skutku i okaże się wielkim sukcesem. Cała reszta wspierała ją i życzyła szczęścia, tak jak ma się nadzieję, że lato będzie długie i gorące, a irlandzka drużyna futbolowa odniesie sukces w Pucharze Świata.

Czasami nocą spacerowała po urwisku, spoglądając na ocean. To dodawało jej sił.

Myślała o tym, że ludzie mają wystarczająco dużo odwagi, żeby wsiąść do małej, chwiejnej łodzi i płynąć na wzburzone wody, choć nie wiedzą, co ich czeka. Prowadzenie pensjonatu nie może być aż tak trudne. Potem wracała do domu, gdzie panna Queenie przygotowywała dla nich obu gorącą czekoladę, mówiąc, że nie była tak szczęśliwa, odkąd była panienką, kiedy to razem z siostrami chodziły na bale z nadzieją, że spotkają przystojnych kandydatów na mężów. Z tamtych planów nic nie wyszło, ale tym razem będzie inaczej. Z Kamiennym Domem się uda.

Chicky gładziła ją po ręce, mówiąc, że będą o nich mówić w całym kraju. Wtedy rzeczywiście w to wierzyła. Wszystkie zmartwienia zniknęły. Czy to za sprawą spaceru, pocieszającej gorącej czekolady, czy pełnej nadziei twarzy panny Queenie, a może wszystkiego naraz, każdej nocy spała długim, spokojnym snem.

Budziła się gotowa na wszystko. Szczęśliwie dla niej, bo w kolejnych miesiącach musiała stawić czoło wielu wyzwaniom.

Rigger

Rigger nie znał swojego ojca nawet ze słyszenia. O matce, Nuali, też trudno było się czegoś dowiedzieć. Przede wszystkim pracowała bardzo ciężko, niewiele też mówiła o życiu w Stoneybridge, małym miasteczku w zachodniej Irlandii. Wiedział, że była pokojówką w dużym domu należącym do trzech staruszek, panien Sheedy, ale nie lubiła rozmawiać ani o tym, ani o swojej rodzinie.

Wzruszył ramionami. Kto zrozumie dorosłych?

Nuala nigdy niczego nie miała. Jako najmłodsze dziecko wszystkie ubrania dostawała po starszym rodzeństwie. Nie było pieniędzy na luksus, nawet na sukienkę do pierwszej komunii, a gdy skończyła piętnaście lat, rodzice znaleźli jej pracę w Kamiennym Domu. Właścicielkami były bardzo miłe kobiety, prawdziwe damy, wszystkie trzy.

Praca była ciężka: szorowanie kamiennych podłóg i drewnianych stołów, polerowanie starych mebli. W malutkim pokoiku, który zajmowała, stało metalowe łóżko. To i tak więcej, niż dostała w domu. Panny Sheedy tak naprawdę nie miały grosza przy duszy, więc ciągle trzeba było walczyć z wilgocią, przeciekającym dachem. Nigdy nie było pieniędzy, żeby odpowiednio ogrzać dom albo położyć porządną warstwę farby, a budynek bardzo tego potrzebował. Jadały niewiele, jak wróbelki.

Ale za to z klasą. Każda miała serwetkę z pierścieniem, a kolację ogłaszano gongiem. Nuala czuła się tak, jakby brała udział w jakiejś sztuce. Patrzyła na nie z niedowierzaniem.

Czasami panna Queenie pytała o chłopaka Nuali, czym irytowała siostry. Najwyraźniej nie był to odpowiedni temat do rozmów z pokojówką.

Zresztą nie było o czym mówić. W okolicach Stoneybridge zostało niewielu chłopaków. Wszyscy koledzy jej braci wyjechali za pracę do Anglii lub Ameryki. A dla O'Harów i innych bogaczy Nuala nie była dobrą partią. Miała nadzieję, że tak jak Chicky pozna jakiegoś turystę, który się w niej zakocha i któremu nie będzie przeszkadzać, że sprząta w cudzym domu.

I rzeczywiście poznała. Miał na imię Andrew, a wszyscy mówili do niego Drew. Był przyjacielem O'Harów, razem kopali piłkę na plaży. Nuala siedziała, obserwując dziewczyny w eleganckich strojach kąpielowych. Jakie to musi być cudowne pojechać do miasta i móc sobie pozwolić na kupno czegoś takiego. I uroczych, kolorowych koszów i ręczników.

Drew podszedł i zaprosił ją do gry. Już po tygodniu była zakochana. Po dwóch

tygodniach zostali kochankami. To było tak naturalne, że nie mogła zrozumieć, dlaczego ona i inne dziewczęta w szkole tak chichotały na samą myśl o tym. Drew mówił, że ją uwielbia i że po powrocie do Dublina będzie pisał codziennie.

Wysłał tylko jeden list. To było magiczne lato, a on nigdy jej nie zapomni. Nie podał adresu. Nuala nie spytała O’Harów, gdzie można go znaleźć, nawet wtedy, gdy zorientowała się, że spóźnia się jej okres i najprawdopodobniej jest w ciąży.

Gdy podejrzenia się potwierdziły, nie wiedziała, co robić. Matka się załamała. Nuala nigdy w życiu nie czuła się taka samotna. Zdecydowała się powiedzieć o wszystkim siostrze Sheedy.

Najpierw posprzątała i pozmywała po skromnej kolacji, a potem opowiedziała im, co się stało, i wbiła oczy w kamienną podłogę.

Siostry były zszokowane. Zabrakło im słów. Były przerażone, że do czegoś takiego doszło, gdy Nuala przebywała pod ich dachem.

– Na litość boską, co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała ze łzami w oczach panna Queenie.

Panny Jessica i Beatrice były mniej współczujące, ale równie bezradne.

Na co liczyła Nuala? Że pozwolą jej wychować dziecko w swoim domu? Że z radością przyjmą maleństwo, bo dzięki niemu wszystkie poczują się znów młode?

Nie, nie oczekiwała tak wiele, ale spodziewała się, że ją pocieszą, dodadzą otuchy, mówiąc, że to przecież nie koniec świata.

Powiedziały, że popytają. Słyszały o pewnym miejscu, gdzie mogłaby zostać do porodu, a potem oddać dziecko do adopcji.

– Nie mam zamiaru pozbywać się dziecka – odparła Nuala.

– Ależ, Nualo, nie możesz go zatrzymać – wyjaśniła panna Queenie.

– Oprócz pokoju i łóżka u was nigdy nie miałam nic własnego.

Siostry wydawały się skonfundowane. Dziewczyna najwyraźniej nie rozumie, co chce na siebie wziąć. Odpowiedzialność, problemy, hańbę.

– Mamy lata dziewięćdziesiąte – powiedziała Nuala – a nie średniowiecze.

– Tak, ale mamy też ojca Johnsona – odparła panna Queenie.

– Czy młodzieniec, o którym mowa, może...? – zaczęła niepewnie panna Jessica.

– Jeśli jest przyjacielem O’Harów, z całą pewnością jest honorowy i spełni swój obowiązek – zgodziła się panna Beatrice.

– Nie, nie spełni. Napisał list pożegnalny: To było magiczne lato.

– Jestem tego pewna, moja droga. – Panna Queenie cmoknęła uprzejmie, nie dostrzegając dezaprobaty sióstr.

– Nie mogę powiedzieć rodzicom.

– Więc musimy cię natychmiast wysłać do Dublina. Tam będą wiedzieli, co robić.

– Panna Jessica chciała jak najszybciej pozbyć się problemu.

– Zorientuję się. – Panna Beatrice miała pewne kontakty.

Nasey, najstarszy brat Nuali, mieszkał w Dublinie. To jemu w rodzinie przypadła rola dziwaka. Zawsze mówili o nim szeptem i głośno wzdychali. Był spokojny i małomówny. Pracował w sklepie rzeźnickim i całkiem dobrze mu się wiodło.

Chociaż miał dom i był kawalerem, nie mogła na niego liczyć. Opuścił rodzinę zbyt wcześnie, nie zdążył poznać siostry. Oczywiście miała jego adres, tak na wszelki wypadek, ale nie zamierzała się z nim kontaktować.

Siostry Sheedy znalazły hostel, w którym przebywało kilka innych ciężarnych dziewcząt. Wiele z nich pracowało w supermarkecie lub sprzątało domy. Nuala dostawała różne zlecenia. Była przyzwyczajona do ciężkiej pracy, zresztą, w porównaniu z harówką w Kamiennym Domu, ta okazała się dosyć łatwa. Ludzie mówili, że jest bardzo miła i wyjątkowo uczynna. Zaoszczędziła wystarczająco dużo, żeby wynająć pokój dla siebie i dziecka, gdy w końcu się urodziło.

W listach do domu pisała o Dublinie i pracodawcach, jednak nic o wizycie w szpitalu położniczym. Z pannami Sheedy była zupełnie szczerą. Powiadomiła je, że Richard Anthony po porodzie ważył sześć i pół funta i jest doskonały w każdym calu. Wysłały jej banknot pięciofuntowy, a panna Queenie dodatkowo ubranka do chrztu.

Richard Anthony miał je na sobie podczas uroczystości, która odbyła się w kościele przy rzece Liffey. Ochrzczono wtedy szesnaścioro niemowląt.

– Jaka szkoda, że w takim momencie nie ma przy tobie rodziny – pisała panna Queenie. – Może twój brat chciałby cię odwiedzić i poznać swojego siostrzeńca?

Nuala w to wątpiła. Z tego, co pamiętała, Nasey zawsze był wycofany i zachowywał dystans.

– Poczekam, aż dorośnie, zanim go przedstawię.

Teraz musiała znaleźć pracę, do której mogłaby zabierać dziecko. Na początku nie było to łatwe, ale gdy ludzie zobaczyli, że jest chętna do pracy, a maluch nie sprawia kłopotów, propozycje się posypały.

Obserwując swoich pracodawców, wiele się nauczyła. Widziała kobiety, które robiły dużo zamieszania wokół domu, jakby sądziły, że życie to niekończący się egzamin. Mężów i żony, którzy z trudem się tolerowali. Rozpieszczone dzieci, które miały wszystko, lecz wciąż były niezadowolone.

Ale poznała też dobrych ludzi, którzy ciepło przyjęli ją i jej małego synka, a poza tym potrafili okazać wdzięczność, gdy zrobiła coś ekstra, na przykład placki ziemniaczane, lub wypolerowała stare matowe mosiądze, które lśniły jak nowe.

Gdy Richard skończył trzy lata, zabieranie go ze sobą stało się trudniejsze. Wszędzie biegał i wszystkiego chciał dotknąć. Nuala szczególnie lubiła pewną nauczycielkę włoskiego nazywaną Signorą. Była zupełnie niezmierną istotą w niezwykle zwiewnych szatach. Miała długie pasma siwych, rudych i ciemnobrązowych włosów, które wiązała wstążką.

Sama nie potrzebowała sprzątaczkę. Zatrudniła Nualę do sprzątnięcia w domu

swojej matki dwa razy w tygodniu. Matka miała trudny charakter i była wiecznie niezadowolona. O córce nie umiała powiedzieć jednego dobrego słowa. Uważała, że zawsze była głupia i uparta i że to wszystko źle się skończy.

Nawet jeśli Signora zdawała sobie z tego sprawę, nie brała tego do siebie. Powiedziała Nuali o cudownym, małym przedszkolu, które prowadziła jej przyjaciółka.

– Nie stać mnie na to – powiedziała smutno.

– Chętnie go przyjmą, jeśli w zamian za to zajmiesz się sprzątniem.

– Ale innym rodzicom może się to nie spodobać. Dziecko sprzątaczkę razem z ich dziećmi?

– Oni nie myślą w ten sposób. Zresztą nie będą o tym wiedzieli – powiedziała stanowczo Signora. – Chciałbyś chodzić do przedszkola, prawda, Richard?

Rozmawiała z dziećmi jak z dorosłymi. Nigdy nie gaworzyła.

– Mam na imię Rigger – odparł.

Od tego czasu tak się do niego zwracano.

Rigger pokochał przedszkole. Nikt nigdy nie dowiedział się, że przyjeżdża dwie godziny wcześniej, żeby mama mogła posprzątać.

Dzięki Signorze Nuala dostała kilka innych zleceń w okolicy. Sprzątała w salonie fryzjerskim, gdzie traktowano ją jak członka zespołu, i nawet dostawała za darmo bardzo drogie srebrne nitki do wplatania we włosy. Kilka godzin w tygodniu pracowała na nabrzeżu w restauracji U Ennia, gdzie przyjęto ją równie serdecznie i zawsze częstowano miską makaronu. Potem odbierała Riggera z przedszkola i razem z nim szła do kolejnej pracy. Pilnowała dzieci, które często zabierała na spacer do parku St Stephen's Green, gdzie karmiły kaczki.

Rodzina Nuali była nieświadoma istnienia Riggera. Tak było prościej.

Tak to już bywa w wielodzietnych rodzinach, że dzieci, opuszczając dom, często zrywają z nim kontakt. Czasami w Boże Narodzenie tęskniła za Stoneybridge i ubieraniem choinki u panien Sheedy, które opowiadały jej historię każdej ozdoby. Rozmyślała o matce i ojcu, i o gęsi na wigilijnym stole, i o modlitwie, którą odmówią za wszystkich emigrantów – szczególnie w intencji jej dwóch sióstr w Ameryce, brata w Birmingham, a także Naseya i Nuali w Dublinie. Ale nie czuła się samotna. Kto byłby samotny z Riggerem?

Sama nie wiedziała, co ją skłoniło do nawiązania kontaktu z bratem. Może kolejny list od panny Queenie, która zawsze patrzyła na wszystko z optymizmem? Napisała, że Nasey z pewnością czuje się samotny i bardzo ucieszyłby się z towarzystwa. Nuala ledwo go pamiętała. On był najstarszy, ona najmłodsza z rodzeństwa. Chyba nie powinien być zszokowany, że ona ma syna, który niedługo zacznie chodzić do szkoły? Warto spróbować.

Trzymając Riggera za rękę, poszła do sklepu, w którym pracował brat. Od razu go

rozpoznała. Miał na sobie biały fartuch i z wprawą porcjował kotlety z jagnięciny.

– To ja, Nuala, twoja siostra, a to jest Rigger.

Chłopiec spojrział w górę ze strachem, a Nuala patrzyła w twarz brata długo i twardo. Po chwili ujrzała szeroki uśmiech. Naprawdę się cieszył z wizyty. Szkoda, że straciła tyle czasu!

– Za dziesięć minut mam przerwę. Spotkajmy się w kafejce po drugiej stronie ulicy. Panie Malone, to moja siostra, a to Rigger, jej synek.

– Nasey, nie wygłupiaj się. Macie dużo do obgadania – powiedział wielkodusznie pan Malone.

Okazało się, że rzeczywiście mają o czym rozmawiać. Nasey był wyrozumiały. Nie pytał o ojca Riggera ani o to, dlaczego siostra kontaktuje się z nim dopiero po pięciu latach. Interesowało go, gdzie ona pracuje. Mówił też, że państwo Malone'owie szukają kogoś do pomocy w domu i są naprawdę porządną rodziną.

To była dobra decyzja. Okazało się, że Nasey przyjaźni się ze swoim siostrzeńcem Dingiem, dobrym chłopakiem z głową pełną marzeń i głupot, który jest kurierem i ma własnego vana. Mieszka sam i zawsze powtarza, że wystarczają mu kontakty z ludźmi, dla których pracuje. Uwielbia słuchać historii z ich życia. Byłby zadowolony, wiedząc, że ma w Dublinie kuzyna.

Gdy Nasey zapytał o dom, odpowiedziała ogólnikowo.

– Tak naprawdę nie wiedzą o Riggerze – zakończyła.

Nie musiała nic tłumaczyć. Rozumiał.

– Nie ma sensu obciążać ludzi nadmiarem informacji – odparł, kiwając spokojnie głową.

Nasey był sam. Do tej pory nie znalazł nikogo odpowiedniego, ale wciąż miał nadzieję, że to się zmieni. Nie lubi podrywać dziewczyn w pubach, a szczerze mówiąc, gdzie można, jeśli nie tam? Jest za stary na kluby i potańcówki. To dobre dla dzieciaków.

Stał się częścią ich życia.

Był wymarzoną wujkiem. Znał dozorcę w zoo, nauczył małego jeździć na rowerze, zabrał go na pierwszy mecz. A gdy Rigger miał jedenaście lat, to Nasey powiedział Nuali, że chłopak wpadł w złe towarzystwo. Z kilku sklepów został przegoniony za kradzież.

Była przerażona, ale Rigger tylko wzruszył ramionami. Wszyscy to robią; w sklepach o tym wiedzą. Taki jest system.

Potem zaczął zastraszać starszych ludzi, zmuszając ich do oddawania swoich emerytur. Skończyło się to sądem dla nieletnich i wyrokiem w zawieszeniu. A gdy złapano go w magazynie na kradzieży telewizorów, trafił do poprawczaka.

Nuala nie wiedziała, że można tyle płakać. Była całkowicie zdruzgotana. Co się stało z jej małym synkiem? I kiedy? Wszystko straciło sens. Nawet praca.

Prawie nie słuchała pogaduszek w zakładzie fryzjerskim U Katie, w restauracji U Ennia albo przy St Jarlath's Crescent. A kiedyś była taka szczęśliwa w tych miejscach, taka zaangażowana.

Postanowiła, że będzie do niego pisać raz w tygodniu. Tylko co mogłoby go zainteresować? Pewnie piłka nożna. Przeglądała wieczorne gazety, żeby sprawdzić, gdzie drużyna gra kolejny mecz, a także, czy jest jakiś film, który mógłby mu się spodobać. Pisała co tydzień. Czasami odpisywał, czasami nie.

Napisała mu, że jej ojciec zachorował i zmarł i że musiała pojechać do Stoneybridge na pogrzeb. Dziwne, jak małe wydało się jej po tylu latach. Nie знаła prawie nikogo, a siostry i bracia byli jacyś obcy. Matka skurczyła się i postarzała. Tyle się zmieniło. Zupełnie jakby przyjechała do innego miasta.

Na ten list Rigger odpisał.

Przykro mi, że twój tata zmarł. Dlaczego nigdy go nie odwiedziliśmy albo tam nie wróciliśmy? Ziomki tutaj ciągle mówią o dziadkach i babciach.

Nuala odpisała.

Kiedy wrócisz, pojedziemy do Stoneybridge. Sam zobaczysz. To długa historia. Łatwiej będzie ją opowiedzieć, niż opisać.

Kiedy Rigger wrócił z poprawczaka, miał szesnaście lat. Matka Nuali już nie żyła.

Nasey sam pojechał na pogrzeb. Ona nie chciała. Pogrzeb ojca był wystarczająco trudny. Miała wrażenie, że niektórzy sąsiedzi dziwnie na nią patrzą i że jej siostry z Ameryki mają jej za złe, że nie przyjeżdża do domu częściej. Brat z Birmingham zrobił jej irytujący wykład na temat tego, że najwyższy czas się ustatkować i założyć rodzinę, a nie zabawiać się w Dublinie.

Nasey powiedział tylko, że widuje ją od czasu do czasu. Nic więcej. Był wierny teorii, że ludzi nie powinno się obarczać zbyt dużą ilością informacji. Przywiózł wieści z domu. Dwie panny Sheedy zmarły, została tylko Queenie.

Potem nadeszła wiadomość, że Chicky Starr wróciła z Ameryki i zamierza kupić Kamienny Dom. Razem z panną Queenie przekształcą go w hotel.

Nuala dobrze pamiętała Chicky. Chodziły razem do szkoły. Poślubiła Amerykanina, Waltera Starra, i przeniosła się do Nowego Jorku. Nuala nawet do niej pisała. Jej nieszczęsny mąż zginął w okropnym wypadku samochodowym.

Z chęcią rzuciłaby dla niej pracę i przyjechała pomóc. Wszystko, żeby tylko ten popadający w ruinę dom przekształcić w hotel przynoszący dochody.

Po powrocie do domu Rigger niewiele mówił o pobycie w poprawczaku. Powiedział, że nauczył się trochę tego i owego, ale nie zdobył żadnych konkretnych kwalifikacji. Były jakieś zajęcia z budowlanki: tydzień tynkowania, tydzień kopania. Nasey zaproponował, że spróbuje załatwić mu pracę u siebie, ale czasy są ciężkie. Ludzie kupują coraz więcej mięsa w supermarketach.

Signora zapytała Nualę, czy Rigger zamierza wrócić do szkoły. Chciała mu dać

kilka lekcji, żeby nadgonił materiał, ale odmówił. Powiedział, że ma dosyć szkoły.

Nuala miała wielką nadzieję, że się zmieni, że znajdzie nowych znajomych i inny sposób na życie, lecz zaledwie po kilku tygodniach zdała sobie sprawę, że syn odnowił kontakty ze swoją starą paczką, przynajmniej z tymi, których odnalazł. Kilku wyjechało, dwóch było w więzieniu, jeden się ukrywał, prawdopodobnie w Anglii, reszta była pod czujnym okiem policji.

Wszyscy ostrzegali Riggera, że jeśli jeszcze raz popełni wykroczenie, może się to skończyć kartoteką policyjną. Wychodził z domu wcześniej, wracał późno. Bez wyjaśnień. Pewnej nocy usłyszała krzyki i walenie w drzwi. Wystraszona leżała w łóżku w ciemności, czekając na przybycie policji. Ale nikt nie przyjechał.

Nazajutrz była wyczerpana i przestraszona, za to Rigger spał dobrze i nie wydawał się zmartwiony. Ulżyło jej, gdy powiedział, że zamierza się rozejrzeć za jakąś pracą.

Nasey zdziwił się, widząc go w sklepie z dwoma kolegami. Był zaskoczony i niezbyt zadowolony, ale okazało się, że Rigger przyszedł zapytać o jakąś fuchę, na przykład sprzątanie podwórza.

Nasey ucieszył się i pobiegł popytać pana Malone'a. Dostali robotę. I trzeba przyznać, że wykonali ją porządnie. Zarobili kilka euro i odeszli usatysfakcjonowani.

Nasey z przyjemnością poinformował o tym Nualę. Trochę się uspokoiła. Może martwiła się na zapas?

Dwa dni później Nasey jak zwykle poszedł wieczorem na spacer. Gdy przechodził obok sklepu, spojrzął odruchowo na alarm i ku swojemu zdziwieniu zauważył, że jest wyłączony. Nigdy nie wychodził bez przełączenia na „aktywny”. Zaniepokojony wszedł do środka i usłyszał hałas w chłodni.

Na tyłach sklepu zobaczył trzech mężczyzn przenoszących tuszę wołową do vana zaparkowanego na podwórzu. Gdy podbiegł bliżej, jeden z nich upuścił wielki kawał mięsa i ruszył na niego z łomem.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął Nasey.

Mężczyzna już miał go uderzyć, gdy w ciemności rozległ się głos:

– Zostaw go, zostaw go, na litość boską!

Napastnik znieruchomiał. Nasey od razu rozpoznał swojego obrońcę.

– Nie wierzę, Rigger. – Nasey miał niemal łzy w oczach. – Dostałeś pieniądze za pracę i wróciłeś, żeby ukraść mięso?

– Zamknij się, Nasey, ty skończony idioto! Spadaj stąd! Nie było cię tu. Słyszysz? Idź do domu i gęba na kłódkę! Nic się nie stało.

– Nie mogę. Nie pozwolę wam okraść pana Malone'a.

– Jest ubezpieczony, Nasey. Myśl trochę, człowieku.

– Nie możesz tego zrobić. Zresztą po co ci tusza?

– Pokroimy ją i sprzedamy na Mountainview Estates. Wszyscy tam szukają

taniego mięsa. Wynoś się stąd, dobrze?

– Nic z tego. Nie zamierzam przymknąć na to oka.

– Rigger, ucisz go albo ja to zrobię – wtrącił się jeden z pozostałych.

Ktoś popchnął Naseya w stronę drzwi, a po chwili poczuł na twarzy gorący oddech Riggera.

– Jezu, Nasey, czy ty nie masz za grosz rozumu? Rozwalą ci łeb! Wynocha! Uciekaj! W nogi!!!

Nasey biegł całą drogę do domu Nuali. Opowiedział jej, co się stało. Bładzi siedzieli przy herbacie.

– Nawet jeśli nic nie powiem, pan Malone i tak się domyśli. Nie jest głupi. Kto inny, jak nie ci trzej, byłby w stanie przyjść, zbadać teren i rozpracować miejsce? I wie, że Rigger jest moim siostrzeńcem.

– Tak mi przykro, Nasey. – Nuala płakała.

– Musimy się zastanowić, co z nim zrobić. Za to pójdzie siedzieć.

– To wszystko moja wina. Powinnam lepiej go pilnować. Byłam zbyt zajęta zarabianiem na niego. Oszczędzałam na jego wykształcenie, ale on i tak go nie dostanie.

– Przestań. To nie twoja wina.

– Tak, a czyja?

– To nie czas, żeby o tym myśleć. Musimy go ukryć. Policja będzie go szukać.

– Może wyślemy go do Stoneybridge? – rzuciła w desperacji.

– Do kogo? Poza tym myślałem, że nie chcesz, żeby ktokolwiek o nim wiedział.

– Nie chcę też, żeby trafił do więzienia. Nieważne, kto się o nim dowie.

– Tam nikt sobie z nim nie poradzi. Przydałoby się miejsce, w którym mógłby żyć i pracować.

Nuala brała pod uwagę każdą możliwość.

– Może mógłby pracować u Chicky w Kamiennym Domu? Niedawno panna Queenie pisała, że szukają kogoś do pomocy.

– On nigdy na to nie pójdzie. – Nasey pokręcił głową.

– Pójdzie, jeśli zrozumie, że ma do wyboru albo to, albo więzienie.

– Dzwon do niej.

Nasey nie słyszał rozmowy. Czekał na Riggera na zewnątrz. Zobaczył, jak biegnie ulicą. Dotarł do domu blady, drżały mu ręce. Był gotów obwiniać każdego, tylko nie siebie.

– Nasey, jeśli pójde na dno, to przez ciebie. Wyrzucili mnie. Nie dostanę żadnego udziału w zyskach. To takie niesprawiedliwe. To ja nagrałem robotę. Ja ich wprowadziłem.

– To prawda – odparł ponuro Nasey.

– Zapewniłem ich, że będziesz siedział cicho, ale mi nie uwierzyli. Ich zdaniem

już wyśpiewałeś wszystko glinom. To prawda?

– Nie.

– Cóż, dzięki Bogu przynajmniej za to. Dlaczego po prostu nie wyszedłeś?

– Wyszedłem. Zwiąłem, jak sugerowałeś.

– I nic nie powiesz? – Rigger wyglądał jak dziecko.

– Nie muszę. Pan Malone sam się domyśli.

– O mój Boże, ciągle: pan Malone to, pan Malone tamto. Słyszysz siebie? – rzucił Rigger z pogardą. – Nie jesteś aby wystarczająco duży, żeby samemu podejmować decyzje?

– Znajdą cię, nawet gdybym oniemiał.

– Rigger, zamknij się i słuchaj uważnie – wtrąciła się Nuala.

Spojrzał na nią zszokowany. Miała twardy i bezlitosny wyraz twarzy. Nigdy w życiu nie zwracała się do niego w ten sposób.

– Jeszcze dziś w nocy wyjedziesz z Dublina.

– Co?

– Zabierzesz się z kierowcą ciężarówki, który nocą wraca do Stoneybridge. Zawiezie cię do Kamiennego Domu.

– Dokąd? Czy to jakaś szkoła? – Rigger był przerażony.

– To tam w młodości pracowała twoja matka. Stamtąd odeszła wiele lat temu, żeby urodzić cię: swoją dumę i radość – odparł Nasey z goryczą.

Rigger chciał coś powiedzieć, ale wuj nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Spakuj rzeczy, oddaj mi swój telefon i nie mów nikomu, gdzie jedziesz. Zanim rano otworzą sklep, będziesz już w Stoneybridge.

– Ale mówiłeś, że gliny i tak mnie znajdą.

– Nie znajdą, jeśli zapadniesz się pod ziemię.

– Mamo, to prawda?

– Chicky wyświadczy mi przysługę ten jeden raz. Załatwiła kierowcę. Zgodziła się przyjąć cię na tydzień, na próbę. Jeśli zaczniesz z nią pogrywać, zadzwoni po policję, a oni wsadzą cię za kratki, zanim zdążysz się zorientować.

– Mamo!

– Nie nazywaj mnie tak. Nie byłam dobrą matką. To były tylko pozory. To wszystko. Ale to już koniec.

– Nasey?

– Co?

– Będziesz miał przez to kłopoty? – zapytał Rigger.

Po raz pierwszy pokazał, że potrafi myśleć nie tylko o sobie.

– Nie wiem. To się jeszcze okaże. Powiem panu Malone'owi, że bardzo mi przykro z tego powodu. To prawda, jest mi bardzo, bardzo przykro.

– Chyba cię nie wyrzuci?

– Kto wie? Mam nadzieję, że nie. Lata pracy, jeden błąd.

– A chłopaki...

– Sam mówiłeś, że cię olali. Nie myśleli o tobie, więc i ty nie musisz myśleć o nich.

– A jeśli ich złapią?

– Złapią, ale ty będziesz daleko stąd. W nowej pracy. – Nasey był opanowany i chłodny.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Torbę spakowano w milczeniu. Podjechała ciężarówka. Kierowca bez słowa wskazał przednie siedzenie. Zapowiadała się długa podróż.

Matka odwróciła głowę, gdy próbował się pożegnać. Oczy zaszyły mu łzami.

– Przepraszam, mamó.

– Tak – odparła.

I odjechał. Nie miał pojęcia, że podróż może tyle trwać ani co go czeka na miejscu. Dostał dokładne instrukcje, żeby nie rozmawiać z kierowcą. Wyjrzał przez okno, gdy mijali małe, ciemne poletka po obu stronach drogi. Jak tu można żyć? Na drodze czasami leżały martwe króliki i lisy. Chciał zapytać, dlaczego zwierzęta wyszły na jezdnię, ale konwersacja była zabroniona, więc zamiast tego słuchał niekończących się piosenek country, wszystkich o pijakach, o ludziach przegranych i zdradzonych.

Jeszcze nie dotarli do Stoneybridge, a Rigger już czuł się fatalnie jak nigdy.

Kierowca wysadził go przy bramie do Kamiennego Domu. A więc to tu pracowała jego matka. Tu żyła. Nic dziwnego, że nie wróciła. Ciekawe, czy miała tu jakichś znajomych? Czy mieszkał tu jego ojciec? Może ożenił się z kimś innym?

Rigger zastanawiał się, dlaczego nigdy o to nie zapytał, dlaczego nie chciał wiedzieć. I co, do diabła, ma tu robić, dopóki sprawy w Dublinie nie ucichną?

Podszedł do drzwi i zapukał. Kobieta o krótkich, kręconych włosach otworzyła natychmiast i położyła palec na ustach.

– Wejdz, ale po cichu. Nie budźmy panny Queenie – szepnęła z lekkim amerykańskim akcentem.

Kim, u licha, jest Chicky i Queenie? I co on robi w tej zimnej stodole?

Wszedł do nędznej kuchni. Przed zniszczonym piecykiem grzał się mały bielutki kociak. Jedynie ogonek i uszy miał czarne. Miauknął żałośnie na widok gościa.

Rigger podniósł go i pogłaskał po łebku.

– Jak się wabi?

– Dopiero dziś się pojawił. Jak ty.

– Zostanie?

– To zależy. – Chicky Starr nie powiedziała nic więcej.

Rigger spojrzał jej w oczy po raz pierwszy.

– Od czego? – zapytał.

– Od tego, czy jest gotów ciężko pracować, łapać myszy i czy będzie miły dla panny Queenie. Tego typu rzeczy.

– Rozumiem – powiedział. I naprawdę rozumiał. – Od czego mam zacząć?

– Myślę, że powinienes zjeść śniadanie.

Tak zaczęło się jego nowe życie.

Przerabianie tego domu na hotel to szaleństwo. Kto niby ma tu przyjeżdżać? Na co one liczą? Ale w tej miejscinie nie ma zbyt wielu możliwości.

To panna Queenie przyniosła do domu kociaka. Znalazła go w jakimś gospodarstwie u podnóża wzgórza. Ostatni z miotu. Jego los był niepewny, dopóki nie włożyła go do kieszeni, przesądzając tym sprawę. Właśnie trzymała go na ręce i łagodnie do niego zagadywała. Kicia patrzyła na nią z powagą wielkimi szarzielonymi oczami. Panna Queenie zwróciła się do Riggera, oznajmiając, że nazwie ją Gloria. Szybko się zorientował, że Queenie jest postacią ze starych, czarno-białych filmów – niczym strażniczka minionych czasów, z dzwonkiem wzywającym na kolację i odpowiednim nakryciem stołu. Nigdy nie wychodziła z domu bez kapelusza i rękawiczek.

Traktowała go jak przyjaciela i pomocnika, który zjawił się w ich życiu w odpowiednim czasie.

Opowiadała mu długie i zawiłe historie o Beatrice i Jessice, a także o innych ludziach dawno zmarłych. Była zupełnie nieszkodliwa, choć odrobinę szalona.

Pamiętając słowa Chicky, starał się być dla niej miły. Każdego ranka robił jej filiżankę herbaty, którą podawał w pokoju zwanym porannym. Wtedy karmił też Glorię.

Panna Queenie wiedziała, że nie daje się kociakowi mleka na spodeczku, tylko dużo wody i trochę karmy. W każdym razie Gloria świetnie na tym rosła. Całymi dniami spała. Nie była najbystrzejsza: nieustannie myliła swój ogonek z jakimś nachalnym zwierzakiem, co wywoływało u niej silne napady lęku. Panna Queenie mówiła, że to nie do końca jej wina. Ostatecznie ogon był w innym kolorze. W rogu kuchni, obok pieca, zrobiła dla niej legowisko. Gdy mała spała, panna Queenie mogła godzinami ją obserwować. Chicky była mniej otwarta. Pracowała bardzo ciężko i tego samego oczekiwała od niego. Nie miała czasu na pogaduchy. Było tyle do zrobienia.

Zajął się ogrodem. Zaczął przekopywać dzikie, zaniedbane ogrody Kamiennego Domu. Nabawił się bólu pleców, a jego twarz stała się szorstka od morskiej bryzy. Ziemia była twarda i kamienista, rosły na niej ogromne jeżyny i dzikie róże. Całą skórę miał pokrytą ranami. Najbardziej lubił, gdy Gloria dotrzymywała mu towarzystwa. Obwąchiwała rozkopaną ziemię, unosząc wysoko trójkątny czarny ogonek. Rzucała się na liście, żuła gałązki, kilka razy o włos uniknęła ścięcia, gdy Rigger przekopywał się przez jeżyny. Była nieskończenie ciekawska i nienasycona.

Niestrudzenie badała wszystko, podczas gdy on pracował. A gdy robił przerwę, opierając się na łopacie, ona uroczyście przewracała się na plecy i patrzyła na niego do góry nogami.

W dniach, gdy atlantyckie sztormy atakowały dom, a deszcz padał w poziomie, trzeba było opróżnić pomieszczenia na strychu, zrobić przemeblowanie, pomalować drewno. Rigger pomagał też dwóm robotnikom, którzy zajmowali się starą szopą. Było mnóstwo roboty, więc nosił cegły, kamienie i drewniane deski. Oprócz tego codziennie rano rąbał drewno na opał i czyścił palenisko, a potem przynosił Glorii świeżą wodę i śniadanie, a pannie Queenie podawał herbatę.

Była miłą starszą panią, oczywiście oderwaną od rzeczywistości, ale nieszkodliwą. Interesowała się wszystkim. Opowiadała mu długie historie z przeszłości, gdy żyły jeszcze jej siostry. Bardzo chciały mieć kort tenisowy, ale nigdy nie było na to pieniędzy.

– Twoja matka była cudowna. Naprawdę brakowało nam jej, gdy odeszła – powiedziała pewnego razu. – Nikt nie robił takich placków ziemniaczanych jak ona.

A to nowość. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek robiła je w domu.

Jego sypialnia, w której wyczerpany przesypiał siedem godzin, znajdowała się na tyłach kuchni. W sobotę Chicky dała mu pieniądze na autobus, do kina i na hamburgera w niedalekim miasteczku.

Rigger cieszył się, że nikt nie pyta go o powód przyjazdu do Kamiennego Domu. Nie miał czasu na zawieranie nowych znajomości. Z tego też był zadowolony. Im mniej ludzi o nim wiedziało, tym lepiej.

A potem nadeszły oczekiwane wiadomości.

Nasey zadzwonił do niego i opowiedział wszystko ze szczegółami. Dwaj niepełnoletni koledzy zostali złapani i postawieni przed sądem, który skazał ich na sześć miesięcy więzienia.

Policja obserwowała dom Naseya przez kilka tygodni, ale ponieważ po Riggerze nie było śladu, sprawę zamknięto.

– Jak wpadli? – zapytał szeptem.

– Ktoś dał cynk strażnikom, że można ich spotkać w okolicach osiedla Mountainview Estates. I rzeczywiście tam byli. Bezcelnie chodzili od drzwi do drzwi i sprzedawali mięso.

Rigger wiedział, że tym kimś musiał być Nasey, ale nic nie powiedział.

– A co z twoją pracą, Nasey?

– Wciąż ją mam. Pan Malone współczuje mi z powodu twojej ucieczki. Nawet mnie pociesza, że będzie ci lepiej poza Dublinem.

– Rozumiem.

– Może mieć rację.

– Nasey, jeszcze raz dziękuję. A mama?

– Jest jeszcze w lekkim szoku. Sam rozumiesz. Tak bardzo czekała, aż wrócisz z poprawczaka. Odliczała dni. Miała wobec ciebie wielkie plany, a teraz wszystko przepadło.

– Nie, nic nie przepadło. W każdym razie nie na dobre. Teraz, gdy tamci zniknęli z ulicy, mogę wrócić, prawda?

– Nie, Rigger, oni mają kumpli. Należą do gangu. Nie radzę ci wracać przez dłuższy czas.

– Przecież nie mogę tu zostać na zawsze – jęknął.

– Jednak musisz zostać jeszcze trochę.

– Brakuje mi listów od mamy. Dlaczego do mnie nie pisze?

– Chyba nie jest na to gotowa. Jeszcze nie. Oczywiście, ty możesz do niej napisać w każdej chwili – odparł Nasey.

– Właściwie...

– Dobrze, dobrze. – I Nasey odłożył słuchawkę.

Może panna Queenie pomoże mu napisać do mamy.

Rzeczywiście okazała się bardzo pomocna. Opowiadała o rzeczach, które mogły ją zainteresować: jak to garaż został sprzedany, a nowe mieszkania O’Harów, które miały uczynić z nich milionerów, straciły na wartości i nie było na nie kupców. Nowy wikary ojca Johnsona wykonywał większość prac w parafii.

Rigger nie wiedział, czy mamę to interesuje. Nie odpisywała.

– Dlaczego nic nie pisze? – zapytał pannę Queenie.

Staruszka nie miała pojęcia. Głaskała leżącą na jej kolanach Glorię, a w wyblakłych, błękitnych oczach widać było zakłopotanie i smutek. Jej zdaniem to dziwne. Nuala była taka dumna, gdy się urodził. Nawet przysłała zdjęcia z chrzcina i pierwszej komunii. Może Chicky będzie wiedzieć?

Denerwował się, ale zapytał. Chicky lakonicznie odparła, że musi być wielkim optymistą, jeśli myśli, że jego matka tak łatwo o wszystkim zapomni.

– Ten telefon wiele ją kosztował. Nie widziałyśmy się od dwudziestu lat, a ona musiała mi powiedzieć, że jestem jedyną osobą na świecie, która może jej pomóc. To musiało być straszne. Ja czułabym się z tym bardzo źle.

– Tak, wiem. Czy mogłabyś jej powiedzieć, że się zmieniłem? – błagał.

– Powiedziałam.

– To dlaczego nie odpisuje?

– Bo uważa, że to wszystko jej wina. Nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

Przykro mi, że mówię bez ogródek, ale sam zapytałeś.

– Tak, zapytałem. – Był bardzo wstrząśnięty.

Ostatecznie Riggera naprawdę pochłonął szalony plan przekształcenia starego domu w pensjonat. Gdy skończył przekopywać ziemię, nadszedł czas na odbudowę. Zjawia się prawdziwi profesjonaliści. Chłopak podziwiał leżące na kuchennym stole

plany łazienek i centralnego ogrzewania, które Gloria trącała łapką. Wiedział o spotkaniach z bankierami i agentami ubezpieczeniowymi, a także o planowanych na przyszłość spotkaniach z dekoratorami.

Nie wiedział, że Chicky zmieni mu warunki pracy.

– Rigger, jesteś tu od sześciu miesięcy i przez ten czas bardzo nam pomogłeś – powiedziała pewnego wieczoru, gdy panna Queenie poszła już spać.

Ucieszył się z pochwały. Niewiele osób go chwaliło. Czekał, co będzie dalej.

– Gdy za kilka tygodni robotnicy zaczną pracę, będę potrzebowała kogoś, kto zawiezie i przywiezie pannę Queenie do przychodni. Potrafisz prowadzić samochód?

– Potrafię – odparł.

– Masz prawo jazdy? Zdawałeś egzamin lub coś w tym stylu?

– Niestety nie – przyznał.

– Więc po pierwsze, musisz wziąć kilka lekcji z Dinnym, a po drugie, zdać egzamin. Mógłbyś się zająć uprawą?

– Czego na przykład?

– Powinniśmy mieć własne ziemniaki, warzywa, owoce. I hodować kury.

– Poważnie?

Czasem Riggerowi wydawało się, że Chicky jest obłąkana.

– Jak najbardziej. Musimy zaoferować turystom coś wyjątkowego. Będzie im miło, gdy zobaczą, że wszystko robimy sami, zamiast kupować w supermarkecie.

– Rozumiem – odparł, choć absolutnie nie rozumiał.

– Więc pomyślałam, że gdybym zrobiła z ciebie menedżera i dała odpowiednie wynagrodzenie, poczułbyś się związany z tym miejscem. Przestałoby być tylko azylem. Miałbyś prawdziwą pracę i prawdziwą przyszłość.

– Tu? W Stoneybridge?

Rigger był zdziwiony, że ktoś wiązał jego przyszłość z tą okolicą.

– Tak, właśnie tu. W najbliższej przyszłości nie możesz wrócić do Dublina. Miałam nadzieję, że może zechcesz zapuścić tu korzenie, dać coś z siebie.

– Jestem wdzięczny i w ogóle, ale...

– Ale co, Rigger? Ale widzisz swoją błyskotliwą przyszłość w Dublinie, gdzie mógłbyś kraść tusze wołowe i bić przyzwoitych rzeźników, którzy dbają o swoje interesy?

– Nikogo nie pobiłem – odparł oburzony.

– Wiem. Myślisz, że dlaczego cię przyjełam? Nasey mówi, że ocaliłeś mu życie. Bardzo mu zależało, żebyś mógł zacząć wszystko od nowa. Próbuję ci to zaoferować, ale nie ułatwiasz mi sprawy.

– Lubisz mnie, Chicky?

– Tak, naprawdę cię lubię, choć nie spodziewałam się tego. Jesteś dobry dla Queenie, miły dla kociaka, masz dużo zalet. Jesteś bardzo młody. Chciałam ci pomóc

zdobyć jakieś umiejętności, dać ci namiastkę prawdziwego życia, a ty to odrzucasz. Uważasz, że życie tu jest bezwartościowe. Nie wiem, co robić. Naprawdę.

– Po prostu myślałem, że moje życie będzie wyglądać inaczej.

– Ja też, ale czasami trzeba brać to, co jest pod ręką.

– Przynajmniej to nie twoja wina, że miałaś pecha.

– Chyba jednak trochę moja. – Zapatrzyła się w dal.

– Przecież twój mąż zginął i w ogóle. Nie możesz się za to winić.

– Masz rację.

– Z przyjemnością zostanę menedżerem, jeśli jeszcze mnie chcesz – powiedział po dłuższej chwili.

– Jutro z samego rana zajmiemy się ogrodem warzywnym, a pierwsza lekcja z Dinny będzie po południu. Zasad ruchu drogowego zaczniesz się uczyć wieczorem. Pomoże ci panna Queenie.

– Nie mogę się doczekać.

– Otworzę ci konto pocztowe, na które będę przelewać połowę twoich zarobków, drugą połowę dostaniesz w gotówce. Będziesz mógł sobie kupić jakieś ładne ubrania lub zabrać dziewczynę na tańce.

– Mogę powiedzieć mamie i Naseyowi?

– Tak, oczywiście. Ale nie licz na to, że to coś zmieni.

– To będzie pierwsza dobra wiadomość ode mnie.

– Nie, była tobą zachwycona, gdy się urodziłeś. Pisała o tym panie Queenie. Ważyłeś sześć i pół funta. Teraz wszystko się zmieniło. Nasey mówi, że mama powinna iść do lekarza. To chyba depresja. Ona nie chce o tym słyszeć.

Chicky wydawało się, że Rigger ma w oczach łzy, lecz nie była pewna.

Lekcje jazdy poszły dobrze. Dinny powiedział, że Rigger jest nieustraszony, choć zarazem lekkomyślny. Potrafi szybko reagować, ale jest niecierpliwy. Za to teoria okazała się ciężką próbą, mimo że panie Queenie tyle radości sprawiało przepytywanie go wieczorami.

– Co oznacza przekreślony znak w kształcie koła na obrzeżach miasta? – spytała.

– Że możesz jechać tak szybko, jak chcesz?

– Nie, to znaczy, że możesz jechać ze zwykłą dozwoloną prędkością! – krzyknęła triumfalnie panna Queenie.

– To właśnie miałem na myśli.

– Powiedziałaś, że możesz jechać tak szybko, jak chcesz. Oblałyś.

Zdał bez problemu.

Od tej pory woził pannę Queenie wszędzie: na wizyty do lekarza, na badania kontrolne do szpitala, do weterynarza, żeby wysterylizować Glorię.

– Szkoda, że nie będzie mogła mieć kociaków – powiedziała starsza pani, głaszcząc Glorię leżącą na jej kolanach.

– Musielibyśmy im znaleźć dom, panno Queenie. W hotelu nie może roić się od kotów, gdy goście zaczynają się zjeżdżać.

Zdał sobie sprawę, że zaczyna czuć się jego częścią.

– Rigger, chciałbyś mieć kiedyś dzieci? – Zawsze zadawała dziwne, bezpośrednie pytania.

– Nie bardzo. Sprawiają więcej kłopotów, niż są warte. Same rozczarowania.

Roześmiał się, żeby złagodzić gorzki wydmiewek.

Panna Queenie nawet tego nie zauważyła.

– My bardzo chcieliśmy mieć dzieci, to znaczy Jessica, Beatrice i ja. Mogłybyśmy obserwować, jak bawią się wokół domu. Straszne z nas głupty. Przecież gdybyśmy wyszły za mąż, nie mieszkałybyśmy razem. Zresztą to były tylko marzenia.

– Był ktoś szczególny, kogo pani chciała poślubić? – Zdziwił się, że zapytał o coś takiego.

– Był jeden młodzieniec... Och, z wielką chęcią bym za niego wyszła, ale niestety w jego rodzinie chorowano na gruźlicę. W ogóle nie mógł się ożenić.

– Dlaczego?

– To zakaźna choroba płuc. Zmarł w sanatorium. Biedny, biedny chłopiec. Wciąż mam listy, które do mnie pisał.

Rigger pogłaskał jej dłoń, a potem, jakby zakłopotany, również łebek Glorii. Do weterynarza dojechali w milczeniu.

– Nie martw się, nic nie poczujesz. Poza tym życie to coś więcej niż seks i kocięta – powiedziała uspokajająco panna Queenie, oddając mruczącego kota.

Weterynarz i Rigger spojrzeli na siebie. W gabinecie lekarskim nieczęsto słyszy się takie rzeczy.

Kiedy zajmowano się Glorią, Rigger i panna Queenie pojechali załatwić sprawy z listy, którą dała im Chicky. Rigger był zaskoczony, widząc, jak wiele osób w Stoneybridge i okolicy zna go z imienia. Matka z pewnością by się ucieszyła, gdyby wiedziała, że został zaakceptowany w jej rodzinnym miasteczku. Jednak do tej pory nie dostał od niej jeszcze żadnych wieści. Napisał jej, że kupili jednodniowe pisklęta i musieli chronić je przed Glorią, która chętnie by któregoś upolowała, i jak trudne okazało się sadzenie ziemniaków. Napisał, że budowlańcy zażądali fortuny za otoczenie murem ogrodu, więc ostatecznie zrobił to sam, a potem zabrał się do zakładania rabat. I o tym, jak za każdym razem, gdy przygotowuje miejsce pod sadzonkę, w dołku siada Gloria i patrzy z powagą. Na razie przy murze rosną już krzewy i inne rośliny. Mieli fasolkę i cukinie, mnóstwo sałat i ziół.

Nie pisał o ślicznej dziewczynie, Carmel Hickey, która ciężko pracowała, przygotowując się do matury, a mimo to Rigger potrafił ją namówić na kino lub przejażdżkę wzdłuż wybrzeża.

Niektórzy sąsiedzi, w tym jej własna rodzina, martwili się, że Rigger mieszka w Kamiennym Domu z dwiema kobietami. Chicky śmiała się z tego. Ludziom po prostu wydaje się to dziwne. Nie traktowała tego poważnie. Dobrze im się żyło. Pracowali ciężko, radząc sobie z ludźmi, którzy nie zjawiali się na czas albo nie przychodzili w ogóle. Nauczyła Riggera robić ulubione smakołyki panny Queenie: małe bułeczki i omlety. Szybko opanował tę sztukę. Po prostu kolejna rzecz do nauczenia.

Czasami pytał Chicky o radę, o to, co lubią dziewczyny. Chciał zrobić Carmel przyjemność. Czy Chicky ma jakieś sugestie?

Pomyślała, że Carmel chętnie by poszła do wesołego miasteczka, które co roku zatrzymywało się w okolicy. Będą fajerwerki i samochodziki, wielkie koło i dużo zabawy.

Carmel była zachwycona.

Rigger był wzruszający, gdy przygotowywał się na spotkanie. Chicky westchnęła, patrząc, jak zjeżdżają z urwiska. Chłopak nie pił, więc o nic się nie martwiła. Nie mogła przewidzieć, co się wydarzy kilka miesięcy później.

Carmel była w ciąży.

Carmel Hickey, siedemnastolatka, która właśnie miała zdawać maturę, spodziewała się dziecka osiemnastoletniego Riggera. Kochają się, zamierzają uciec do Anglii i wziąć ślub. Riggerowi było bardzo przykro, że zawiódł Chicky i że musi ją tak zostawić, ale to jedyne, co mogą zrobić. Nie ma mowy o aborcji, a rodzice Carmel zabiją ich oboje, gdy o wszystkim się dowiedzą. Nie wybaczą im tego.

Chicky była nienaturalnie spokojna.

Powiedziała, że nie mogą nikomu o tym powiedzieć. Absolutnie nikomu.

Carmel przystąpi do egzaminu, jakby nigdy nic. Za trzy tygodnie, gdy będzie po egzaminach, wezmą ślub tutaj, w Stoneybridge. A potem się zobaczy.

Rigger spojrzał na nią jak na szaloną.

– Chicky, nie masz pojęcia, jak oni zareagują. Obedrą mnie ze skóry. Mają co do niej wielkie plany: kariera, całe życie, a nawet małżeństwo z jakimś ważniakiem. Nie chcą, żeby wyszła za takiego nieudacznika jak ja. Nawet za milion lat na to się nie zgodzą. Musimy uciekać.

– Zbyt wiele było już tych ucieczek – powiedziała Chicky. – Twoja matka uciekła. Ja uciekałam. Ty uciekłeś. To się musi skończyć.

– Ale co ja mogę jej zaoferować?

– Masz dobrą pracę i oszczędności. Oddam wam chatę obok ogrodowego muru. Będziesz dostarczał jedzenie do Kamiennego Domu, a resztę sprzedawał. Na Boga, jesteś prawdziwym biznesmenem. Trudno znaleźć kogoś, kto mógłby stworzyć ich córce lepszy dom.

– Nie, Chicky, nie wiesz, jacy oni są.

– Wiem doskonale, jacy są. Znam ich całe życie. Nie mówię, że będzie łatwo, ale lepsze to niż ucieczka do Anglii, gdzie byłbyś poszukiwany przez policję lub, co gorsza, przez Armię Zbawienia.

– Ślub? Tutaj, w Stoneybridge?

– Tak, jeśli właśnie tego chcesz. Moim zdaniem oboje jesteście na to za młodzi. Moglibyście wziąć ślub dużo później, ale jeśli chcecie teraz, to zostawcie ojca Johnsona mnie.

– To się nie uda.

– Uda się, jeśli nie piśniece ani słowa i przygotujesz dom. Musisz go pokazać Hickeyom w dzień, w którym im powiecie, że Carmel jest w ciąży.

– Chicky, bądź rozsądna. Jeśli ma się nadawać do użytku, nie da się zrobić wszystkiego w trzy tygodnie lub miesiąc.

– Jeżeli powiem robotnikom, że chata jest priorytetem, to się uda. Możesz wziąć trochę mebli, które mamy w zapasie.

Popatrzył na nią z błyskiem nadziei w oczach.

– Naprawdę myślisz...?

– Nie ma chwili do stracenia. Mamie też nic nie mów. Jeszcze nie.

– O Boże! Ona też się wścieknie. Kolejne złe wieści.

– Jakie złe wieści? Powiesz jej, że masz dom, porządną pracę i narzeczoną. Czy nie tego zawsze dla ciebie chciała?

Carmel Hickey udowodniła, że jest niesamowicie praktyczna. W przyszłości chciała się zająć księgowością i handlem, dlatego nie trzeba jej było namawiać, żeby skupiła się tylko na egzaminach. Nalegała, żeby Rigger każdą wolną chwilę poświęcał pracy nad chatą. Bardzo jej ulżyło, że nie będą łapać statku dla emigrantów, żeby klepać biedę w Anglii. Miała pełne zaufanie do Chicky. Do tego stopnia, że zupełnie nie przejmowała się ojcem Johnsonem.

I słusznie. Do zakończenia egzaminów ojciec Johnson został przekonany, że chrześcijańskie małżeństwo, wprawdzie zawarte między dwojgiem ludzi bardzo młodych i w pierwszych tygodniach ciąży, jest raczej dobrą rzeczą niż złą. A kiedy Hickeyowie zaczęli lamentować i protestować, ojciec Johnson napominał ich i przypominał, że nie wolno stawać na drodze bożym planom.

Rodzina nieco się uspokoiła po pierwszej wizycie w chacie. Musieli przyznać, że miejsce jest bardzo komfortowe i „dobrze wyposażone”. Przekonali się też, że Rigger jest raczej własnym szefem niż pomagierem Chicky.

Gloria również postanowiła się zjawić. Usiadła przy niewielkim piecu i zaczęła się myć, stwarzając przy tym ciepłą rodzinną atmosferę. Stare lampy, które panny Sheedy swego czasu kochały, zostały wypolerowane, dywany wycięto z lepszych fragmentów starych, ściany pomalowano na jasne kolory.

Ślub będzie skromny i cichy. Nie chcą żadnej fety.

Nuala napisała jeden krótki list i raz zadzwoniła, żeby życzyć im szczęścia. Niestety nie będzie mogła przyjechać na ślub.

– Mamo, naprawdę mi na tym zależy. Chciałbym, żebyś tu była, poznała Carmel i zobaczyła nasz dom.

Rigger nie mógł uwierzyć, że matka nie przyjedzie.

– Nie dam rady, Rigger. Nie mogę. Ale życzę wam wszystkiego najlepszego. Na pewno przyjadę kiedyś w odwiedziny.

– Ale, mamo, przecież ja będę miał tylko jeden ślub.

– To o jeden więcej niż ja.

– Dlaczego wciąż jesteś przeciwko mnie? Zrobiłem wszystko, co kazałaś. Urządziłem się tutaj. Ciężko pracuję. Zmieniłem swoje życie. Dlaczego nie możesz przyjechać i być na naszym ślubie?

– Zawiodłam cię, Rigger. Nie potrafiłam cię wychować. Nie byłam w stanie ani o ciebie dbać, ani tobą pokierować. Nabałaganieś, a ja ci na to pozwoliłam. Nie dzięki mnie stałeś się tym, kim jesteś, tylko pomimo to.

– Nie mów tak. Gdyby nie ty, byłbym nikim. Byłem idiotą, który nie potrafi słuchać. Proszę cię, przyjeźdź.

– Nie tym razem, Rigger. Może kiedyś.

– A co do dziecka... Jeśli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Nuala.

– Nie! Proszę. Wiem, że myślisz, iż to mnie uszczęśliwi, ale ja naprawdę tego nie chcę.

– Dlaczego, mamo? Dlaczego tak mówisz?

– Bo na to nie zasłużyłam. Czy kiedykolwiek zrobiłam coś, co wyszło ci na dobre? Wciąż zadaję sobie to pytanie i nie mogę znaleźć odpowiedzi.

Wysłała im drogi wazon i kartkę z przeprosinami, że nie może pojawić się osobiście.

Carmel ją rozumiała.

– Poczekajmy, aż będzie gotowa. Gdy dziecko się urodzi, zjawi się jak błyskawica. Wtedy pokażemy, jak wiele jej zawdzięczamy.

Wesele udało się lepiej, niż się spodziewali. Nasey przyjechał z Dublina z kuzynem Dingiem. Załagodził sprawę z rodziną panny młodej, zapewniając, że gdyby tylko Nuala mogła, to na pewno by tu była. Niestety jest za słaba, żeby podróżować. Przesyła wszystkim pozdrowienia.

Później, na stronie, powiedział Chicky, że jego siostra jest coraz bardziej nieobecna. Nie ma sensu denerwować chłopaka, ale wygląda na to, że przestał dla niej istnieć.

Panna Queenie jaśniała w ciemnoróżowej brokatowej sukni, którą ostatni raz włożyła trzydzieści pięć lat temu, i w kapeluszu z szerokim rondem przybranym kwiatami. Chicky kupiła sobie elegancką jedwabną granatową sukienkę i żakiet.

Miała prosty, słomkowy kapelusz z granatowo-białymi, jedwabnymi kwiatami.

Hickeyowie postanowili popisać się na weselu. Chicky podała na obiad pyszne pieczone jagnię. Oni zamówili tort weselny, jaki mogliby zobaczyć w pięciogwiazdkowym hotelu, gdyby kiedyś w takim byli. Młodzi nie wybierali się w podróż poślubną. Od razu wzięli się ostro do pracy, budując wybieg dla kur i zagrodę dla krów. Na polu pasły się już trzy sztuki bydła kupione ostatnio na targu. Młodzi będą dostarczać gościom nie tylko własne mleko, ale i jogurt, a nawet masło organiczne. Było wiele do zrobienia.

Carmel pomogła Chicky wybrać kolory do pokoi gościnnych. Miała dobre oko, znalazła nawet miejsce, gdzie można kupić materiały. Z rezerwą podchodziła do ekskluzywnego gustu i porad projektantów, których spotkały po drodze.

– Naprawdę, Chicky, oni wiedzą tyle samo co my. W zasadzie nawet mniej, bo ty pamiętasz, jak ten dom kiedyś wyglądał. Oni po prostu chcą odcisnąć na nim swoje piętno.

Chicky jednak uważała, że wydali już tak dużo, iż dodatkowe koszty niewiele zmienią, a przynajmniej się dowiedzą, czy podążają w dobrym kierunku.

Orla, siostrzenica Chicky, nie była taka pewna, ale przytaknęła. A co tam, dajmy im szansę. Po kolejnej rozmowie z Chicky zdecydowała się wrócić do Stoneybridge i dołączyć do drużyny.

– Nie mogłabym teraz wrócić do Stoneybridge – mówiła zaledwie kilka tygodni wcześniej. – Nie po Londynie. A matka doprowadza mnie do wściekłości. Chyba że mogłabym zamieszkać u ciebie w Kamiennym Domu. Tu jest tyle miejsca.

– Nie, dość napsułam im krwi. Nie chcę, żeby mnie oskarżyli o porwanie. Po prostu wróć do mamy.

– Nie mogę. Ona nie daje mi spokoju. Wciąż pyta, dlaczego nie zaręczyłam się z jakimś bankierem jak Brigide O'Hara. I co robiłam w Londynie, że nie poznałam jakiegoś głupiego jak but, bogatego chłopca.

– Ja też nie chcę, żeby Kathleen się mnie czepiała. Pozałatwiasz sprawy w Londynie. Jeśli zdecydujesz się dla mnie pracować, znajdziemy ci twoje miejsce. W okolicy jest wiele niszczyjących domków. Zajmiemy się jednym z nich.

– To by oznaczało, że zostanę w Stoneybridge na zawsze.

– Niekoniecznie. Zawsze możemy go potem wynająć albo sprzedać. Dam ci niezłą szkołę. Gdy z tobą skończę, będziesz gotować jak marzenie. Ale nie zatrzymuj się u nas. Dobrze jest móc po ciężkim dniu pracy wyjść i zostawić wszystko za sobą.

– Jesteś cudowna.

– Raczej doświadczona.

Decyzja została podjęta.

Rigger i Carmel chcieli wszystkim udowodnić, ile są warci, więc każdą wolną chwilę poświęcali na realizację planów. Rigger chciał dowozić produkty do odległych

farm w pobliżu Rocky Ridge, ale Carmel stwierdziła, że jej kuzyni, którzy prowadzą miejscowe sklepy spożywcze, będą mieć o to pretensje. Dlatego zaczęli robić marmoladę i dżemy. W piwnicy znaleźli ładne, ręcznie malowane słoiczki.

Trzeba znaleźć jakąś niszę, żeby nie wchodzić na wojenną ścieżkę z właścicielami okolicznych sklepów. Muszą zaproponować coś zupełnie nowego. Tak jak Chicky.

Wkrótce hotele i sklepy turystyczne zabiegały o ich przetwory.

Carmel znalazła stare książki kucharskie, z których nauczyła się przyrządzać musy owocowe, pikle i szczególnie dobry mech irlandzki robiony z miejscowej odmiany czerwono-brązowych wodorostów, które ocean wyrzucał na brzeg. Chicky pamiętała z młodości, że przyrządzało się z tego mdły mleczny pudding, ale danie Carmel było zupełnie inne. Dodawała jaja, cytrynę i cukier, było lekkie jak piórko, podawała je z bitą śmietaną i irlandzką whisky.

Panna Queenie z niecierpliwością oczekiwała pojawienia się dziecka. Gdy oszołomieni młodzi rodzice wrócili ze szpitala, jako pierwsza usłyszała wielką nowinę. To będą bliźniaki!

Doktor Dai Morgan, Walińczyk, który blisko trzydzieści lat temu przyjechał do Stoneybridge na zastępstwo, był zachwycony.

– Podwójna przyjemność, połowa wysiłku – powiedział młodym, którzy wciąż nie mogli się z tym pogodzić.

– Cudownie! Kompletna rodzina za jednym zamachem. Będą dla siebie wspaniałym towarzystwem. – Panna Queenie klasnęła w dłonie.

Dokładnie tego potrzebowali. Ich własna reakcja nie była tak pozytywna – z jednym dzieckiem nie będzie im łatwo, a z dwójką na pewno sobie nie poradzą.

Trudno było przekonać Carmel, żeby trochę zwolniła. W końcu jednak zrozumiała, co jest najważniejsze.

Powoli mijały tygodnie. Carmel była spakowana i gotowa. Gdy tylko brała głęboki oddech, Rigger stawał na baczność.

Zaczął się w środku nocy. Rigger zdołał zachować spokój. Zadzwoił do doktora Morgana, który powiedział, żeby natychmiast obudzić Chicky. Trzeba wszystko przygotować. Na szpital jest już za późno. Obiecał, że będzie na miejscu za dziesięć minut. Przyjechał, zanim się spostrzegli.

Chicky również była na miejscu. Przyniosła ręczniki i próbowała ich uspokoić. Dziewczynka i chłopiec trafili w ramiona matki przed świtem.

Gdy panna Queenie zeszła na śniadanie, zastała Chicky i doktora Morgana nad kawą z brandy.

– Wszystko przegapiłam – powiedziała rozczarowana.

– Możesz do nich pójść za pół godziny. Teraz jest tam pielęgniarka. Wszyscy czują się dobrze – oznajmił lekarz.

– Chwała Panu! Chyba też powinnam się napić odrobinę.

Cały dzień przyjmowali odwiedzających, którzy chcieli zobaczyć maleństwa.

Panna Queenie już widziała podobieństwa, mimo że noworodki przysły na świat dopiero kilka godzin temu. Chłopczyk to cały Rigger, a dziewczynka miała oczy Carmel. Starsza pani była bardzo ciekawa, jak dadzą im na imię.

Chicky właśnie miała powiedzieć, że pewnie potrzebują czasu do namysłu, ale oni już wybrali imiona. Chłopiec będzie miał na imię Macken, jak ojciec Carmel, a dziewczynka Rosemary. Albo Rosie.

– Skąd wzięliście to imię? – zapytała Chicky.

– To prawdziwe imię panny Queenie – odparł Rigger.

Chicky uśmiechnęła się do niego przez łzy. Niesamowite! Rigger, ten niegdyś nadąsany, zbuntowany chłopak, wiedział o tym i zrobił starszej pani taką przyjemność! Poczwała nagły przypływ smutku, że nie ma z nimi Nuali. Razem z babcią Hickey powinny wyrywać sobie dzieci z rąk. Zamiast tego Nuala żyje w Dublinie w jakimś szalonym poczuciu winy, zaharowując się na śmierć, gdy tymczasem Chicky została zastępczą babcią.

Obserwowanie panny Queenie było wielką przyjemnością. Nikt nie miał takiej ręki do dzieci jak ona.

– Cóż, nigdy nie myślałam, że tego dożyję! – powiedziała w zamyśleniu. – Nie miałam dzieci ani siostrzeńców, nikogo, kogo można by po mnie nazwać. Do teraz.

Potem nastąpiło wydmuchiwanie nosa i odchrząkiwania, aż nagle panna Queenie zapytała, czy Nuala jest równie zachwycona.

Nuala!

Trzeba zadzwonić do Nuali!

– Chcesz, żebym... – zaczęła Chicky.

– Nie, sam to zrobię – odparł Rigger.

Odszedł na bok i wybrał numer.

– Och, Rigger? – powiedziała Nuala zmęczonym głosem.

Kto wie, w ilu miejscach obecnie pracowała.

– Dzieci właśnie się urodziły. Chłopiec i dziewczynka. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

– Dobra wiadomość. Z Carmel wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze. Poród był krótki, a dzieci są po prostu wspaniałe. Wążą po cztery i pół funta. Są piękne, mamó.

– Na pewno – zgodziła się bez entuzjazmu.

– Mamó, a mój poród był długi?

– Tak.

– A w szpitalu byłaś całkiem sama?

– No cóż, były pielęgniarki i inne rodzące.

– Ale nie było nikogo z tobą?

– Nie. Jakie to ma teraz znaczenie? To stare dzieje.

– To musiało być straszne.

Zapadła cisza.

– Nazwiemy je Rosie i Macken.

– Ładnie.

– Mówiłaś, że nie chcesz, żebyśmy nazwali córeczkę Nuala.

– Tak, Rigger. Mówiłam poważnie. Przestań przeproszać. Może być Rosie.

– Podbiję świat, mamó, zobaczysz. Ona i jej brat.

– Tak, oczywiście. – I odłożyła słuchawkę.

Jakiej kobiecie nie zależy na narodzinach wnuków? To nienormalne. Choć od pamiętnej nocy w sklepie mama rzeczywiście nie zachowywała się normalnie. Naprawdę doprowadził ją do szaleństwa?

Nie pozwoli, żeby to popsuło mu humor. To najlepszy dzień w jego życiu. Nic go nie zrujnuje.

Nie brakowało ludzi do pomocy przy bliźniakach, a maleństwa czuły się równie dobrze u siebie co w Kamiennym Domu.

Gdy Chicky i Carmel przeglądały katalogi i próbki materiałów przy kuchennym stole, dzieci spały obok w wózku. A jeśli wszyscy byli poza domem, panna Queenie siedziała, wpatrując się w dwie małe twarzyczki. Od czasu do czasu brała Głorię na kolana, żeby nie była zazdrosna.

Nasey ogłosił, że żeni się w Dublinie z Irene, naprawdę cudowną kobietą. Miał nadzieję, że Rigger i Carmel przyjadą na ślub.

Musieli się nad tym zastanowić. Nie chcieli opuszczać domu, ale jednocześnie Nasey na nich liczył. Bardzo chcieli też poznać Irene. Kto by pomyślał, że Nasey jednak się ożeni? Byłaby to też idealna okazja, żeby spotkać się z Nualą na neutralnym gruncie.

– Będzie oczarowana, gdy zobaczy dzieci – stwierdził Rigger.

– Nie możemy ich zabrać.

– Nie możemy ich zostawić.

– Owszem, możemy. Na jedną noc. Zajmą się nimi Chicky i panna Queenie. Moja mama także. Jest mnóstwo chętnych.

– Ale ja chcę, żeby je poznała – upierał się Rigger jak sześciolatek.

– Pozna je, gdy będzie gotowa. Jeszcze nie teraz. Zresztą z dziećmiakami bylibyśmy w centrum uwagi, a to jest dzień Naseya i Irene.

Wiedział, że Carmel ma rację. Nie tym razem. Wystarczy, że znów zobaczy się z matką. Wszystko po kolei.

Rigger z trudem ją rozpoznał. Wydawała się znacznie starsza, była przygarbiona i miała dużo zmarszczek. Jak to możliwe w tak krótkim czasie? Nuala była nienagannie uprzejma i przerażająco oschła.

Podczas przyjęcia w pubie Rigger wziął Dinga na bok.

– Powiedz mi, co się stało mojej mamie. Nie jest sobą.

– Jest taka od dłuższego czasu – odparł Dingo.

– Jaka? Nieobecna?

– Coś takiego. Nasey mówi, że to szok spowodowany... tym, co się wtedy wydarzyło. – Dingo nie chciał przywoływać przykrych wspomnień.

– Ale musiała przecież już z niego wyjść. – Rigger miał w oczach łzy. – Wszystko się zmieniło.

– Uważa, że poniosła porażkę wychowawczą na całej linii. Tak mówi Nasey. Nie udaje mu się wbić jej do głowy, że to bzdura.

– Co mogę zrobić, żeby ją przekonać?

– Chodzi o to, jak ona to odbiera. Wiesz, to jak z osobą, która uważa, że jest gruba, i głodzi się na śmierć. Nie ma prawdziwego obrazu siebie. Chyba potrzebny jest psychiatra.

– Boże Wszechmogący, chyba nie jest aż tak źle? – Rigger był przerażony.

– Słuchaj, nie chcę, żebyś dziś się tym dołował. To dzień Naseya i Irene. Więc uśmiechnij się, dobrze?

Tak zrobił. Nawet zaśpiewał *The Ballad of Joe Hill*.

Nasey wygłosił przemówienie. Objął Riggera i Dinga i oznajmił, że ma najlepszych siostrzeńców na świecie. Rigger spojrział na matkę. Miała nieobecny wzrok.

Carmel wszystko widziała; większość rozumiała bez zbędnych wyjaśnień. Nie rozmawiała z teściową o Riggerze i rodzinie. Mimo to poruszane przez nią tematy jeden po drugim rozbijały się o ziemię. Nie było sensu pytać o programy telewizyjne, bo okazało się, że Nuala nie ma telewizora. Rzadko chodzi do kina. Nie ma czasu na czytanie. Przyznała jedynie, że z powodu recesji coraz trudniej o przyzwoitą pracę. Nikt nie daje nic ponad płacę minimalną. Kobiety nie oddają już starych ubrań, teraz sprzedają je przez Internet. Odpowiadała na pytania, jakby była przesłuchiwana na posterunku.

Nie było mowy o wymianie myśli. Co prawda wyraziła nadzieję, że w Stoneybridge wszystko jest w porządku, ale ani razu nie zapytała o wnuki.

– Pijesz czasem alkohol? – zapytała Carmel w desperacji.

– Nie, jakoś nigdy się nie nauczyłam.

– Rigger też nie pije. To dość nietypowe w tej części świata. Ja za to lubię od czasu do czasu napić się wina. Co ty na to?

– Jeśli chcesz.

Carmel przyniosła do stolika dwie lampki białego wina.

– Za młodą parę – powiedziała.

– Na zdrowie. – Nuala odruchowo uniosła kieliszek.

– Wiele ryzykuję, ale muszę ci coś powiedzieć. Kocham Riggera z całego serca. Jest doskonałym mężem i ojcem. Nie możesz tego wiedzieć, ale tak jest. Jest świetnym pracownikiem, który nie boi się ciężkiej pracy. Nie może się sprawdzić tylko w jednej roli – syna. Sam jest teraz ojcem, więc chciałby się czegoś dowiedzieć o swoim, ale nie zapyta cię o to nawet za milion lat. Jednak najbardziej chciałby odzyskać mamę. Marzy, żebyś znów była częścią jego życia. Dobrego życia.

Nuala spojrzała na nią zaskoczona.

– Nigdzie nie wyjechałam.

– Proszę, pozwól mi skończyć. Obiecuję, że już nigdy nie będę do tego wracać. Jego szczęście jest niepełne. Ty jesteś brakującą częścią układanki. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że jesteś złą matką. Zawsze cię chwali. Umarłabym szczęśliwa, gdybym wiedziała, że mój syn mówi o mnie tak dobrze. Niczego od ciebie nie oczekuję. Możesz zapomnieć o tej rozmowie. Ja mu w każdym razie o niej nie powiem. Chciał przywieźć dzieci, żebyś mogła je zobaczyć, ale poprosiłam go, żeby tego nie robił. Powiedziałam, że pewnego dnia poznają swoją babcię, ale dopiero wtedy, gdy ona będzie na to gotowa. Mówisz, że czujesz się winna, że go źle wychowałam. Teraz on czuje się winny, że przez niego jesteś niezrównowazona, że zrujnował ci życie.

– Niezrównowazona?

– No cóż, nazwijmy rzeczy po imieniu. Brakuje ci równowagi. Potrzebujesz kogoś, kto ci ją przywróci. Gdybyś na przykład złamała nogę, ktoś musiałby ją nastawić. To taka sama sytuacja.

– Nie potrzebuję lekarza.

– Na pewnym etapie życia każdy potrzebuje. Dlaczego nie spróbujesz? Jeśli się nie uda, to trudno.

Nuala milczała.

– Zawsze będziemy na ciebie czekać. On musi odzyskać mamę. Tylko to chciałam powiedzieć, naprawdę – zakończyła.

Nie odważyła się spojrzeć jej w oczy. Posunęła się za daleko.

Niepotrzebnie ją denerwowała. Nuala i bez tego nie czuje się zbyt dobrze. Jednak zauważyła, że pokryta zmarszczkami, napięta twarz nieznacznie złagodniała. Nuala wciąż milczała, ale była jakby mniej spięta i nie wbijała już tak mocno rąk w krawędź stołu. Uroiła to sobie?

Siedziała w milczeniu. Wokół nich weselnicy śpiewali *Stand By Your Man*.

Podszedł do nich Rigger.

– Za kilka minut będą się zbierać. Chcecie rzucić konfetti?

Carmel zauważyła, że wyraz twarzy Nuali się zmienił. Patrzyła na syna innymi oczami. Jakby zauważyła, że nie jest kimś, kogo zniszczyła, ale dumnym, szczęśliwym człowiekiem, solidnym i pewnym siebie.

– Usiądź na chwilę, Rigger. Znajac Naseya, to potrwa jeszcze kilka godzin.

– Jasne – odparł zaskoczony, ale zadowolony.

– Z kim zostawiliście dzieci?

– Z Chicky i panną Queenie. Mają do nas numer. Chicky dzwoniła godzinę temu.

Mówiła, że wszyscy już śpią: panna Queenie, bliźniaki, Gloria...

– Gloria?

– Kot. Straszny śpioch.

– Chyba nie śpi w łóżeczku? – spytała Nuala z niepokojem w głosie.

– Nie, Gloria jest zbyt leniwa, żeby wspiąć się na taką wysokość. Zresztą ktoś zawsze ma oko na dzieci.

– To dobrze, dobrze.

– Chicky chciała wiedzieć, jak wesele.

– I co jej powiedziałaś? – Matka naprawdę zadała pytanie i czekała na odpowiedź.

– Powiedziałem, że to piękne wesele.

– Będiesz z nią jeszcze dziś rozmawiał?

– Na pewno. Pierwszy raz je zostawiliśmy – wtrąciła się Carmel.

– Powiedz jej, żeby nie spuszczała z nich oka, a maństwu, że już niedługo je odwiedzę. Muszę tylko załatwić sprawy ze zdrowiem.

Rigger walczył ze sobą. Za wszelką cenę nie chciał psuć nastroju. To nie był czas na uściski i łzy.

– Będą bardzo szczęśliwe, słysząc to, mamó. Bardzo.

Nagle przy drzwiach zrobił się ruch. Para młoda wychodziła.

Carmel spojrzała na Nualę. Chciała jej powiedzieć, że właśnie ofiarowała synowi szczęście.

Ale nie było takiej potrzeby. Nuala wiedziała.

Orla

Orla miała dziesięć lat, gdy w szkole przyklasztornej Świętego Antoniego pojawiła się nowa nauczycielka. Pani Daly miała długie, rude włosy. Niestraszne jej były ani zakonnice, ani ojciec Johnson, ani rodzice, którzy oczekiwali, że szkoła zagwarantuje dziewczętom najlepsze oceny i stypendia uniwersyteckie. Uczyła języka angielskiego i historii. Jej lekcje były tak interesujące, że wszystkie uczennice za nią szalały i chciały być kiedyś takie jak ona.

Panią Daly widywano szaleńczo pedałąjącą przez urwiska na swojej wyścigówce. Powtarzała podopiecznym, że muszą uprawiać sport, w przeciwnym razie skończą jako małe, pomarszczone staruszki, które ledwo chodzą. Dobra forma to więcej frajdy w życiu. Po tych słowach dziewczęta ze Świętego Antoniego oszalały na punkcie sportu. Wczesnym rankiem pani Daly prowadziła zajęcia taneczne, w których wszystkie chętnie brały udział.

Powiedziała też, że bardzo głupio postępują, bojkotując zajęcia z obsługi komputera. To jest przyszłość, przepustka do ciekawego życia. Nawet rozwrzeszczane, niepokorne uczennice, jak Orla czy Brigid O'Hara, słuchały z uwagą. Wzięły też udział w zbiórce pieniędzy na zakup komputerów dla szkoły.

Rodzice dziewcząt mieli mieszane uczucia. Byli naprawdę zadowoleni, że nauczycielka miała tak duży wpływ na ich dzieci. I zaskoczeni. Ponieważ jeździła na rowerze w bardzo krótkich szortach, wyglądała nienaturalnie zdrowo i zawsze miała mokre włosy, jakby właśnie wyszła z morza. Do tego piła piwo w miejscowych pubach, czego kobiety zwykle nie robiły.

Krażyła plotka, jakoby pewien starszy właściciel baru zawahał się, zanim nalał jej kufel piwa, tłumacząc, że paniom zwykle nie podaje się go w ten sposób. Pani Daly podobno odpowiedziała uprzejmie, że albo jej naleje, albo naśle na niego Komisję do spraw Równego Traktowania. Nalał.

W kościele widywano ją nieregularnie, ale w szkole spędzała więcej godzin niż jakikolwiek nauczyciel. Pół godziny przed lekcjami prowadziła zajęcia z tańca, a dzwonek wybijający czwartą zastawał ją w sali informatycznej, gdzie pomagała i dodawała otuchy swoim podopiecznym. Dla całego pokolenia dziewcząt ze szkoły Świętego Antoniego stała się wzorem do naśladowania. Mówiła im, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wierzyły jej.

Orla była w ostatniej klasie, gdy pani Daly ogłosiła, że wyjeżdża ze Stoneybridge. Powiedziała wszystkim, nawet zakonnicom, że poznała Shane'a, wspaniałego młodego mężczyznę z Kerry. Ma dwadzieścia jeden lat i chce założyć centrum

ogrodnicze. Jest wspaniały, dwanaście lat młodszy i zadurzony w niej po uszy. Miała zamiar pomóc mu w realizacji planów.

Zakonnice były zaskoczone i zasmuczone tą wiadomością. Matka przełożona nierozważnie napomknęła, że małżeństwo z o dwanaście lat młodszym mężczyzną może być ryzykowne. Pani Daly zapewniła ją, że to ostatnia rzecz, o której myśli. Zresztą uważa je za przeżytek.

Przeorysza była zszokowana, ale pani Daly nie zamierzała przeproszać.

– Musi sobie matka z tego zdawać sprawę. To znaczy, przecież wyprzedziła matka epokę, decydując się nie brać udziału w tej maskaradzie.

Dziewczyny zorganizowały na plaży pożegnalne ognisko. Pani Daly pokazała im zdjęcia Shane'a. Namawiała, żeby zwiedzały świat, codziennie czytały jeden wiersz i zastanawiały się nad jego sensem, a gdy znajdą się w nowym miejscu, starały się poznać jego historię i dzięki temu zgłębiły istotę.

Powiedziała, że dopóki są młode, powinny uczyć się wszystkiego: zasad gry w brydża, jak zmienić koło w samochodzie, jak prawidłowo wysuszyć włosy. Może nie jest to samo w sobie bardzo istotne, ale dzięki temu w przyszłości nie będą tracić czasu i pieniędzy.

Podawała im swój adres mejlowy. Oczekuje od każdej trzech, czterech listów rocznie. Chce wiedzieć, jak im się wiedzie. Wierzyła, że dokonają wielkich rzeczy. Płakały i błagały, żeby została. Niech jeszcze raz rzucą okiem na zdjęcie Shane'a, zaproponowała, i zadadzą sobie pytanie, czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach pozwoliłby, żeby wymknął się z jego rąk?

Orla rzeczywiście pisała do pani Daly. O kursie, który zrobiła w Dublinie, i o medalu zdobytym na zakończenie roku. Skarżyła się na przesiąkniętą małomiasteczkowymi przesądami matkę, która stała się nie do zniesienia. Gdy Orla przyjeżdża z Dublina, zwykle już po trzech dniach dochodzi między nimi do ostrych spieć. O zupełnie nieistotne rzeczy, na przykład sposób ubierania lub późne powroty do domu. Ojciec wręcz błaga, żeby nie robiła problemów, byle tylko ułatwić sobie życie. Jej ciotka Chicky, która mieszka w Ameryce, jest zupełnie inna. To prawdziwy wolny duch. Razem z Brigid chciałyby odwiedzić ją w Nowym Jorku. Pytania o Shane'a i centrum ogrodnicze pozostawały bez odpowiedzi. Panna Daly interesowała się życiem swoich uczennic, jednak nie miała ochoty wtajemniczać je w swoje.

Potem Orla napisała, że wyjazd do Nowego Jorku został odwołany, bo wuj Walter zginął w strasznym wypadku na autostradzie. Pani Daly zwróciła uwagę, że wszystko jest w rękach Orli. Musi sama podejmować decyzje. Dlaczego nie znajdzie pracy gdzieś daleko od domu? Świat jest duży; można pojechać dalej niż tylko do Dublina.

Orla odpisała, że razem z Brigid wyjeżdżają do Londynu.

Brigid zatrudniła się w agencji PR-owej. Jednym z klientów był klub rugby, dzięki

czemu poznały mnóstwo chłopaków. Orla dostała pracę w firmie zajmującej się organizacją wystaw i targów. Zapowiadało się ciekawie, mogła zajmować się zarówno zdrową żywnością, jak i zabytkowymi samochodami. Właścicielami byli James i Simon, pracoholicy, którzy uczyli Orłę, jak być twardą i pracować pod presją. Po miesiącu potrafiła rozmawiać stanowczo i z wielką pewnością siebie z ludźmi, którzy wcześniej ją przerażali.

Ku jej zdziwieniu zarówno James, jak i Simon uznali ją za bardzo atrakcyjną i próbowali poderwać. Omal nie wybuchnęła śmiechem. Trudno było wyobrazić sobie dwóch mniej odpowiednich zalotników. Obaj żonaci, jednak znacznie mniej zainteresowani życiem rodzinnym niż walką z konkurencją. Chcieli jedynie trochę się rozerwać.

Przyjęli kosza na wesoło. Orla potraktowała to jako dziecinne wygłupy. Cały wolny czas poświęcała nauce.

Napisała, że nauczycielka może być z niej dumna. Szybko staje się ekspertem nie tylko od organizacji wystaw, ale też podatków, stron internetowych i kontaktów biznesowych. I ciągle się uczy.

Orla i Brigid dzieliły mieszkanie w Hammersmith. Były wolne. Miały tyle możliwości. W sobotnie wieczory chodziły na lekcje stepowania w Covent Garden. Orla dodatkowo zapisała się na kurs kaligrafii. Zajęcia odbywały się w poniedziałki w porze lunchu.

James i Simon początkowo protestowali. Nauka fantazyjnego pisma w godzinach pracy nie świadczy dobrze o jej oddaniu firmie. Jednak Orla zupełnie nie zwracała na nich uwagi. Jeśli musi zarabiać na życie w tym ponurym świecie, ogarniętym żądzą sukcesu, koniecznie potrzebuje jakiejś odskoczni. Odrobina sztuki pozwoli jej gładko wskoczyć w kolejny tydzień ciężkiej pracy. Więcej nie odważyli się odezwać na ten temat.

Wieczorami chodziły do teatru, na przyjęcia organizowane przez Orłę lub na przeróżne wydarzenia w galeriach sztuki. Były młode, pełne życia, niewzruszone, wszyscy je uwielbiali. Jak dotąd nikogo wyjątkowego nie poznały, lecz ani Brigid, ani Orli nie śpieszyło się do ołtarza.

Dopóki nie pojawił się Foxy Farrell.

Foxy był typem faceta, którego obie nienawidziły. Był bardzo głośny, pewny siebie, nosił stylowy kozuch z owczej wełny, pracował w banku na wysokim stanowisku, miał wielki samochód i jeszcze większe mniemanie o sobie. I oszalał na punkcie Brigid. Co ciekawe, z biegiem czasu cała sytuacja zaczęła się jej wydawać mniej komiczna i krępująca niż na początku.

– To w gruncie rzeczy przyzwoity facet – broniła go.

– Oczywiście – odpowiedziała Orla automatycznie. – Ale jesteś w stanie to znieść? To znaczy, wyobraź sobie, że budzisz się obok niego rano.

– Nie muszę.

– Niemożliwe! Kiedy?

– W zeszły weekend, gdy byłam w Harrogate. Przyjechał taki kawał, żeby się ze mną zobaczyć.

– Więc chciałaś mu to jakoś wynagrodzić? – Orla wciąż nie mogła się otrząsnąć.

– On naprawdę jest bardzo miły. To tylko taki sposób bycia.

– Z pewnością taki się okaże, jeśli tylko odpowiednio go poznasz.

Orla zaczęła się wycofywać. Miała nadzieję, że nie za późno.

– Tak, no cóż, w następnym weekend mam zamiar poznać go w bardzo nieodpowiedni sposób. Jedziemy do Paryża – powiedziała, chichocząc.

– Przecież na długi weekend jedziemy do domu – zaprotestowała Orla.

– Zmiana planów. Musisz mnie kryć.

– Nie możesz jechać do Paryża w przyszły weekend?

– Nie, ten jest wyjątkowy.

– Więc mam cię nie tylko kryć, ale także tłumaczyć? Co dokładnie mam powiedzieć? – Orla była zirytowana.

Jeździły do domu posłusznie trzy, cztery razy w roku. To była cena, którą płaciły za swoją wolność.

– Och, najlepiej nic – odparła beztrąsco. – Nie chcę im robić nadziei.

– Nadziei? W związku z Foxym? – spytała z niedowierzaniem.

– Jasne. Jest nieźle nadziany. Nigdy by mi nie wybaczyli, gdyby wymknął mi się z rąk.

Więc Orla pojechała do Stoneybridge sama z mętłym wyjaśnieniem, że Brigid utknęła w pracy.

Stoneybridge niewiele się zmieniało, ale zawsze ją zaskakiwało swoim pięknem. Gdy spacerowała po ścieżkach urwiska, spoglądając na piaszczyste plaże i ciemne, poszarpane skały, zapierało jej dech w piersiach.

Ciotka Chicky coraz bardziej jej imponowała, doprowadzając dom do dawnej świetności. Panna Queenie kręciła się wokół, szczebiocząc i z radości klaszcząc w dłonie. Rigger przestał być taki gburowaty. Nauczył się prowadzić samochód i nawet czasem podwoził Orle. Zapytał, czy pamięta jego matkę. Słyszała o Nuali, ale ona wyjechała do Dublina, zanim Orla przysłała na świat.

– Chicky na pewno będzie wiedzieć – zasugerowała.

– Nie zadajemy sobie żadnych pytań – odparł Rigger. – Tak jest lepiej.

Potraktowała to jak ostrzeżenie. Właśnie miała go poprosić, żeby powiedział coś o sobie. Więc zamiast tego rozmawiali o remoncie w Kamiennym Domu, nowym ogrodzie i planach. Rigger wierzył, że plan wypali. Cieszył się, że może brać udział w jego realizacji od samego początku.

Matka Orli była bardziej sceptyczna. Chicky zawsze miała szalone pomysły, tak

jak wtedy, gdy uciekła do Ameryki bez pytania o zgodę.

– Cóż, wyszło jej to na dobre, prawda? – Orla broniła ciotki, która zawsze traktowała ją jak dorosłą. – Przeżyła wspaniałe małżeństwo, a na koniec odziedziczyła wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić Kamienny Dom.

– Jednak to dziwne, że nigdy tu nie przyjechał, prawda? – Kathleen wszędzie węszyła spisek.

– Och, mamo, przestań. Zawsze coś jest nie tak.

– Zwykle tak właśnie jest – potwierdziła Kathleen. – I kolejna rzecz: ludzie dużo gadają o tym, że Chicky mieszka z bardzo młodym chłopcem i staruszką. To nie przystoi.

– Mamo! – Orla parsknęła śmiechem. – W jakim świecie ty żyjesz? Myślisz, że Rigger zaspokaja cioteczkę w ogródku? Może jeszcze żyją w trójkącie razem z panną Queenie?

Mama zaczerwieniła się ze złości.

– Nie bądź taka wulgarna, proszę cię. Powtarzam tylko, co mówią ludzie. To wszystko.

– Kto tak mówi?

– Na przykład O’Harowie.

– Są wściekli, że panna Sheedy nie sprzedała im domu.

– Jesteś taka sama jak twój wujek Brian. Zawsze ich atakuje! Czy Brigid nie jest przypadkiem twoją przyjaciółką?

– Jest, ale to jej wujowie są chciwymi spekulantami. Sama też tak uważa.

– A właśnie, co ona takiego robi, że nie mogła przyjechać do domu?

– Ciężko pracuje, żeby się utrzymać. Tak jak ja. Tylko że ja zawsze stawiam cię na pierwszym miejscu. Widzisz, jakie masz szczęście?

Matka nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Orla spędzała z Chicky każdą wolną chwilę. Mimo całego zamieszania i tłumów przewijających się przez Kamienny Dom, z Chicky emanował spokój. Nigdy nie pytała, czy siostrzenica ma w Londynie chłopaka i czy zamierza tam zostać na stałe. Nigdy nie mówiła, że ludzie będą dziwnie patrzeć, gdy Orla włoży krótką lub długą spódniczkę, podarte džinsy lub cokolwiek innego. Chicky zupełnie nie była świadoma tego, co ludzie mówią i myślą. Nigdy nie doradzała, co Orla powinna zrobić ze swoim życiem. Więc Orla była naprawdę zaskoczona, gdy pewnego razu Chicky zapytała, czy potrafi gotować.

– Przeciętnie. Razem z Brigid gotujemy dwa, trzy razy w tygodniu. Ona świetnie przyrządza ryby. Tam są lepsze, mają mniej ości i nie smakują jak tran.

Chicky roześmiała się.

– Tu też nie. Teraz smakują inaczej. Pieczesz ciasta?

– Nie, to za trudne. Zbyt dużo roboty.

– Mogłabym zrobić z ciebie świetną kucharkę – zaproponowała Chicky.
– A ty jesteś świetną kucharką?
– Jakoś tak się złożyło. To ostatnia rzecz, o którą bym siebie podejrzewała, ale daje mi dużo radości.

– Czy wujek Walter też gotował?
– Nie, zwykle zostawiał to mnie. Był bardzo zajęty.
– Wiem. – Nie wiedziała, ale potrafiła rozpoznać, kiedy Chicky chciała zakończyć rozmowę. – Dlaczego chcesz mnie tego nauczyć?

– Mam nadzieję, że pewnego dnia, nie teraz oczywiście, ale może kiedyś wrócisz do domu i pomożesz mi prowadzić pensjonat.

– Nie sądzę.

– Wiem. – Chicky zdawała się myśleć, że to rozsądne podejście. – Ja też nie chciałam wracać, a jednak tu jestem.

Tego dnia nauczyła Orlę, jak zrobić naprawdę łatwy ciemny chleb z pasternakiem i zupę jabłkową. Nie napracowały się zbyt, a obiad był wspaniały. Panna Queenie powiedziała, że dopiero przy Chicky zaczęła jadać jak królowa.

– Wyobraź sobie, że ten pasternak jest z naszego ogrodu, a jabłka są ze starego sadu. Chicky przyrządza z tego takie pyszności!

– Wiem, jest geniuszem! – odparła Orla z uśmiechem.

– Zapewne. Jakie mamy szczęście, że wróciła do nas, zamiast zostać w Stanach! A tobie jak się wiedzie w Londynie?

– Całkiem nieźle, panno Queenie. Mam dużo pracy, jestem ciągle zajęta, ale jest świetnie.

– Żałuję, że nie podróżowałam więcej – odparła panna Queenie. – Ale myślę, że i tak wróciłabym tutaj.

– Co takiego szczególnego jest w tym miejscu?

– Morze, spokój, wspomnienia. Jest tak, jak powinno być. Raz byliśmy w Paryżu i w Oksfordzie. Oba miejsca prześliczne. Razem z Jessicą i Beatrice często to wspominałyśmy. Było naprawdę uroczo, ale to nie było prawdziwe, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jakbyśmy odgrywały role w sztuce. Tutaj nie musisz tego robić.

– Tak, wiem, co pani ma na myśli.

Chicky spojrzała na nią z wdzięcznością. Orla nie miała pojęcia, o co chodziło biednej staruszce, ale mimo to udzieliła właściwej odpowiedzi.

Po powrocie do Londynu upiekła ciemny chleb i zrobiła zupę z pasternaku na powitanie Brigid wracającej z Paryża.

– Boże, zrobiła z ciebie kurę domową – rzuciła Brigid.

– A ty masz mi coś do powiedzenia? – zapytała Orla.

– Zamierzam za niego wyjść.

– Fantastycznie! Kiedy?

– Latem. Oczywiście jeśli zgodzisz się zostać moją druhną.
– Oczywiście, pod warunkiem że nie będę musiała wystąpić w śliwkowej tafcie lub limonkowym szyfonie.
– Cieszysz się moim szczęściem?
– Spójrz na siebie. Jesteś taka szczęśliwa, bardzo się cieszę. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to entuzjastycznie.
– I nie myślisz, że to tylko głupiutki, stary Foxy?
– Co masz na myśli? Oczywiście, że nie. Myślę, że to szczęśliwy Foxy. Powiedz, gdzie i kiedy się oświadczył?
– Kocham go, wiesz?
– Wiem. – Orla skłamała, patrząc w twarz przyjaciółki, która z niewyjaśnionych przyczyn zamierzała poślubić Foxy’ego Farrella.

Potem sprawy nabrały tempa.

Brigid rzuciła pracę i zaczęła spędzać mnóstwo czasu z rodziną Foxy’ego w Berkshire. Ślub miał się odbyć w Stoneybridge.

– Jaka szkoda, że Chicky nie skończy do tej pory remontu. Byłoby znakomicie, gdyby Farrellowie mogli się tam zatrzymać. Będą przerażeni tą mieściną – powiedziała Brigid.

– Myślę o powrocie – wypaliła Orla.

– Chyba żartujesz. – Brigid była w szoku. – Nie pamiętasz, jak ciężko było się stamtąd wydostać?

– To nic pewnego... Tylko się zastanawiam.

– To przestań – powiedziała stanowczo przyjaciółka. – Nie minie dwadzieścia minut, a będziesz chciała stamtąd uciec. I gdzie będziesz pracować, na litość boską? W zakładzie włókienniczym?

– Nie, mogłabym pracować z Chicky.

– Ten interes nie wypali. Mówię ci. Nie przetrwa nawet dwóch sezonów. Będzie musiała sprzedać dom i straci pieniądze. Wszyscy to wiedzą.

– Ale nie Chicky. I ja też nie. Twoi wujowie tak mówią, bo sami chcieli go kupić.

– Nie będę się kłócić z druhną.

– Przrzeknij, że nie pomyślisz o fioletowej tafcie. – I było po sprawie.

Orla tylko dalej nie mogła uwierzyć, że ktoś rzeczywiście chce poślubić Foxy’ego Farrella.

Jak zwykle, gdy nadchodziły zmiany, Orla napisała do pani Daly z prośbą o radę.

– Czy ja oszalałam, zastanawiając się nad powrotem? Czy to po prostu reakcja na plany matrymonialne Brigid związane z tym idiotą? Czy pani nudziła się w Stoneybridge?

Pani Daly odpisała:

Wspominam ten okres z przyjemnością. Byłyście świetnymi dziećmi, naprawdę

kochałam tę pracę. A Stoneybridge jest cudowne. Tutaj są góry, jest uroczo i mogę jechać nad morze, ale to nie to samo. Tam morze było u moich stóp. Dlaczego nie spróbujesz przez rok? Powiedz ciotce, że to nie jest decyzja na całe życie. Dziękuję, że nie pytasz o Shane'a. Teraz zajmuje się kimś nieznacznie bardziej interesującym ode mnie, ale wróci. A ja go przyjmę. To śmieszny, stary świat. Gdy to zrozumiesz, będziesz już w połowie drogi.

James i Simon stali się małomówni. Interesy nie szły za dobrze. Gospodarka była osłabiona, niezależnie od tego, co mówili politycy. Oni znali sytuację. Ludzie nie rezerwowali stoisk na wystawach jak kiedyś. Targi były mniejsze niż rok wcześniej. Perspektywy były tragiczne. Wszystkie swoje nadzieje pokładali w Martym Greenie, grubej rybie z branży konferencyjnej. Właśnie planowali małe przyjęcie, żeby mu zaimponować.

– Poproś swoją seksowną, rudowłosą koleżankę, żeby nam pomogła – zasugerował James.

– Brigid właśnie się zareczyła. Nie ma ostatnio ochoty być dziewczyną do towarzystwa – odparła Orla.

– Cóż, powiedz, żeby przyprowadziła narzeczonego. Czy on dobrze się prezentuje i w ogóle?

– Jesteście gorsi niż moja matka i babka razem wzięte. Świetnie wygląda i jest nieźle nadziany.

Brigid i Foxy uznali, że szykuje się niezła zabawa. Zjawili się w dobrych nastrojach. Marty Green był wszystkimi zachwycony. Wydawało się, że sprzedaż jest pewna. Jednak szczególnie zainteresowała go Orla, która wyglądała zabójczo w szkarłatnej sukni z jedwabiu, znalezionej w sklepie charytatywnym, i w bardzo drogich czerwono-czarnych błyszczących szpilkach. Roznosiła białe wino i tacę z przekąskami.

– Pyszne – powiedział z uznaniem. – Kto jest waszym dostawcą?

– Sama je zrobiłam – odparła Orla z uśmiechem.

– Doprawdy? A więc nie tylko piękna.

Był pod dużym wrażeniem. Osiągnęli sukces.

Jednak Orla czuła, że jest pod większym wrażeniem jej samej niż firmy.

– Miło z pana strony, panie Green, ale nie zostałam zatrudniona, żeby z uśmiechem podawać przekąski. Wszyscy bardzo ciężko pracujemy. Świetnie znamy rynek. Cieszymy się, że możemy powiedzieć to panu osobiście.

– Miło mi to słyszeć osobiście. – Cały czas się jej przyglądał.

Orla odeszła, ale czuła na sobie jego wzrok. Nawet gdy James podawał statystyki, Simon mówił o trendach, Foxy głośno zachwycał się nową, wspaniałą restauracją, a Brigid pytała, czy pan Green interesuje się rugby, bo może załatwić bilety na mecz.

Marty Green zastanawiał się, czy Orla zjadłaby z nim kolację.

Zobaczyła, że James i Simon uśmiechają się do siebie z ulgą i nagle poczuła się ogromnie urażona. Była kartą przetargową. Oczywiście. Wystroiła się, poświęciła przerwę na lunch, przygotowując wyszukane i czasochłonne przystawki, obtaczając szparagi w cieście, robiąc sos, układając artystycznie przepiórcze jaja z solą z selera na liściach sałaty, a teraz próbują ją wysłać, jak ofiarnego baranka, prosto w łapy Marty'ego Greena.

– Dziękuję bardzo za zaproszenie, ale mam już inne plany – odparła.

– To zrozumiałe. Może innym razem?

Musiała przyznać, że był uprzejmy. Wszyscy się uśmiechali, choć każdy inaczej: Orla sztucznie, James i Simon wykrzywiali twarz w grymasie przerażenia. Brigid skrywała za uśmiechem szok, że Orla odrzuciła randkę z tak bogatym i uroczym człowiekiem. Foxy jak zawsze uśmiechał się głupkowato.

Marty Green wyszedł, obiecując, że się odezwie. Orla zrobiła sobie wielkiego drinka.

– Dlaczego byłaś dla niego taka niemila? – zapytał Simon.

– Nieprawda. Podziękowałam mu i powiedziałam, że mam inne plany.

– O tym właśnie mówię. Nie masz żadnych planów.

– Och, właśnie że mam. Planuję nie wychodzić z pewnym biznesmenem jak jakaś dziewczyna do towarzystwa lub prostytutka.

– Daj spokój, nikt tego nie sugerował – wtrącił się James.

– To było oczywiste – uniosła się. – Umów się z tym miłym panem, rachunkiem i pogaduszkami zajmie się on, a ty załatw kontrakt.

– Przecież to szansa dla nas wszystkich. Założyliśmy, że...

– Dlaczego nie zamontujecie w biurze rury? Mogłabym wokół niej tańczyć rozebrana. To też by pomogło, prawda?

– To tylko kolacja – powiedział Simon.

– Tak, a po wystawnej kolacji mogłabym podziękować i wyjść? Na jakim wy świecie żyjecie? Gdybym po kolacji nie poszła z nim do hotelu, uznałby, że jestem wredna. Że go zwodzę. I tak byłby zły. W ten sposób wszyscy zachowaliśmy twarz. Cóż, przynajmniej większość.

– Hej, Orla, przesadzasz – wtrącił Foxy. Brigid spojrzała na niego, ale tego nie zauważył. – To znaczy, przecież o to w tym wszystkim chodziło.

– Foxy, nigdy nie miałaś więcej racji – zakończyła Orla.

Nazajutrz James i Simon postanowili zachować się wspaniałomyślnie. Obgadali sprawę i doszli do wniosku, że rzeczywiście można było odnieść takie wrażenie. Ostatnią rzeczą, której chcieli, było... cóż, to, co sugerowała.

Orla wysłuchiwała uprzejmie wszystkiego, co mieli do powiedzenia. A potem zaczęła ostrożnie.

– Nie jestem na was zła. Od dłuższego czasu myślałam o odejściu z pracy. Moja

ciotka otwiera hotel w zachodniej Irlandii. A ja szukałam czegoś, czemu mogłabym się poświęcić. Proszę, zrozumcie, to nie dasy ani jakieś gierki. Zupełnie nie o to chodzi. Jestem wam bardzo wdzięczna za wszystko, czego tu się nauczyłam. Dam wam miesiąc, żebyście mogli kogoś znaleźć.

Nie udało im się jej przekonać. W końcu musieli się zgodzić.

Powiedziała Chicky, że przyjeżdża tylko na rok, żeby pomóc w otwarciu.

– Chyba nie ma sensu robić ze mnie fantastycznej kucharki.

– Dlaczego nie? To zawsze ma sens.

– Mogłabyś prowadzić prawdziwą szkołę kucharską – zaproponowała Orla.

– Przede wszystkim mamy do zaoferowania piękne krajobrazy. Gotować mogą wszędzie. Zresztą tajników się nie zdradza.

– Jak mam się nie pozabijać z matką po powrocie? – zastanawiała się Orla.

– Nie wracaj do domu – poradziła Chicky.

– Mogę zatrzymać się u ciebie?

– Nie. Ktoś mógłby mieć pretensje. Znajdziemy ci jakieś lokum, a Rigger je wyremontuje. Twój domek. Zostaw to mnie. Kiedy wracasz?

– W każdej chwili. Nie potrzebują mnie w firmie. Chcą zatrudnić kogoś tylko na pół etatu. Chicky, czy ja oszalałam?

– To tylko rok. Nawet nie zauważysz, jak minie.

Gdy przyjechała, Rigger był już zajęty remontem domu dla siebie i Carmel. Dla niej przeznaczony był stary dom z kamienia, zajmowany niegdyś przez ogrodnika. Miał solidny dach, więc nie było problemu z wilgocią. Wystarczyło porządnie go posprzątać.

Nowy dom Orli był gotowy.

– Mam nadzieję, że nie będziesz zachowywać się jak pani Daly. Nie chcę, żebyś była na językach całego miasteczka – powiedziała matka tuż po jej przyjeździe.

– Och, mam nadzieję, że nie – zgodziła się żarliwie.

Zauważyła, że Chicky stara się zachować powagę.

– Ojciec i ja zastanawiamy się, dlaczego właściwie chcesz zamieszkać w tym starym domku przesiąkniętym wilgocią. Przecież masz gdzie mieszkać. Co ludzie pomyślą?

– Nic, mam nadzieję. Nawet nie zauważą.

Pani Daly i Chicky mądrze postawiły na niezależność. Orla miała nadzieję, że instynkt jej dobrze podpowiada, a powrót nie okaże się błędem.

Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Natychmiast po przyjeździe rzuciła się w wir pracy. Dni spędzone w biurze Jamesa i Simona wspominała jak długie wakacje. Nie sądziła, że może być aż tyle do roboty.

System finansowy Chicky pozostawiał wiele do życzenia. Księgi prowadzono rzetelnie i dokładnie, ale... staromodnie. Nic nie było skomputeryzowane. Chicky nie

używała oprogramowania dla księgowych, zamiast tego pracowała na papierowych księgach i teczkach. Jak przed pięćdziesięciu laty. Orla zaczęła od znalezienia odpowiedniego pokoju na biuro, w którym można by ustawić komputer, drukarkę, księgi, szkice, szafki na akta i inne potrzebne rzeczy.

Chicky zaproponowała jedną z dużych spiżarni na tyłach kuchni. Orla zdołała namówić Riggera, żeby przestał remontować swój dom i poświęcił kilka godzin na otynkowanie i pomalowanie biura.

– To się ostatecznie opłaci – nalegała. – Zejdziemy wszystkim z oczu.

Znalazła komputer i zainstalowała potrzebne oprogramowanie. Nalegała, żeby Chicky wszystkiego się nauczyła.

– Nie, nie, to twoja działka.

– Przepraszam bardzo, ja poświęciłam wczoraj dwie godziny, żeby nauczyć się robić ciasto parzone. Nie wykręcałam się. Dziś nauczymy się obsługi programów księgowych. Jeśli się skoncentrujesz, to potrwa czterdzieści pięć minut.

Więc Chicky się skoncentrowała.

– Nie poszło najgorzej – pochwaliła Orla. – Jutro zainstalujemy system rezerwacji, a później nauczysz się, jak kupować i sprzedawać.

– Jesteś pewna, że to niezbędne? – Chicky przeraziła się, że tyle czasu straci w biurze, gdy są ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Oczywiście. Przypuśćmy, że chcesz kupić jakiś sprzęt kuchenny. To ci zaoszczędzi mnóstwo czasu, który straciłabyś na telefony i zakupy.

– Możliwe – przyznała z powątpiewaniem.

Ale zgodziła się, że dobrze jest mieć wszystko w zasięgu ręki, a gdy Orla zrobiła jej mały test, pytając, jak znajdzie kogoś, kto zrobił rezerwację na następny miesiąc i chce ją przedłużyć o kolejny tydzień, Chicky wkrótce potrafiła otworzyć system rezerwacji. W tym samym czasie Orla uczyła się, jak zrobić sosy do dań mięsnych, metod czyszczenia, filetowania i podawania ryb prosto z morza w sposób, jakiego pozazdrościłby doświadczony sprzedawca w sklepie rybnym.

Przeszkody znikwały jedna po drugiej.

O’Harowie podjęli żalosną próbę oprostowania pozwolenia na budowę. Chicky jakimś cudem udało się to rozwiązać bez popadania w konflikty. Musieli dogadać się z lobby ekologicznym, które obawiało się, że nowy hotel zakłóci spokój w siedliskach ptaków i innych zwierząt. Poczestowano wszystkich zainteresowanych herbatą i bułeczkami, a potem zaproszono ich na spacer, aby pokazać, że przyroda jest chroniona w każdy możliwy sposób. Odeszli zadowoleni.

Ekipę budowlaną zachęcono do wzmożonego wysiłku domowym jedzeniem. Chicky codziennie o pierwszej stawiała obiad na stole, a o pierwszej trzydzieści wszyscy wracali do pracy. Dla większości robotników, którzy jeszcze niedawno przynosili do pracy kanapki, wystawny obiad stał się najprzyjemniejszym punktem

dnia. Wracali do domu i mówili żonom, że irlandzki gulasz lub boczek i kapusta u pani Starr smakują zupełnie inaczej. To wzbudzało niechęć.

Dom był na ukończeniu. Panna Queenie powiedziała, że wygląda jak za jej młodości, zanim zaczęło być krucho z pieniędzmi.

Nieopodal Rigger kończył remont swojej chaty. Wszyscy chętnie pomogli w umeblowaniu. Orla widziała, jak bardzo Rigger denerwuje się opinią teściów, ale nauczyła się, że o takich rzeczach się nie rozmawia.

Zupełnie inaczej było, gdy mieszkała z Brigid. Rozmawiały na każdy temat, wszystko poddając dogłębnej analizie. Oczywiście tak było za dawnych czasów. Teraz Brigid miała obsesję na punkcie ślubu, listy prezentów, listy gości i rozmieszczenia ich przy stole. Na domiar złego oczekiwała, że skoro Orla jest na miejscu, to wszystkim się zajmie.

Czy mogłaby pójść do kościoła i dowiedzieć się, jakimi kwiatami mogą przyozdobić ławki przy ołtarzu? Orla na próżno przekonywała, że w Stoneybridge nie robi się takich rzeczy. Brigid weszła w tryb „szalonej panny młodej” i nie dało się jej zatrzymać.

W desperacji poprosiła Chicky o radę.

– Powiedz, że jej rodzina chce i powinna się tym zająć.

– Ale ona im nie ufa. Uważa ich za wieśniaków.

– Prawdopodobnie ma rację. Podkreśl jednak, że jej rodzina jest bardzo wrogo nastawiona do wszystkiego, co jest związane z Kamiennym Domem, więc sytuacja będzie niezręczna, jeśli zda się na ciebie. To powinno pomóc.

– Marnujesz się tutaj. Powinnaś pracować w ONZ.

Przed ślubem Brigid zjawiała się w Stoneybridge dwa razy. Była zestresowana i pełna obaw.

– Mogę zatrzymać się u ciebie? – błagała Orlę. – Jeśli zostanę w domu, moja matka stanie się ofiarą panny młodej.

Orla nie zamierzała jej zapraszać. To rzeczywiście mogło zostać źle odebrane przez rodzinę, a ponadto oznaczałoby, że Orla będzie musiała się włączyć w te wariackie przygotowania.

– Brigid, nie mogę cię przyjąć. Pani Daly przyjeżdża.

– Pani Daly? Nasza pani Daly? Ze szkoły?

– Tak, wszystko już ustalone.

– Boże, zachowujesz się bardzo dziwnie, odkąd wróciłaś do Stoneybridge.

– Wiem. To przez to morskie powietrze.

– Od kiedy tak się kumplujesz z panią Daly?

– Od zawsze.

– Orla, praca z panną Queenie ci nie służy. Stałaś się strasznie ekscentryczna.

– Nie na tyle, żeby włożyć na siebie kanarkowożółte ciuchy. Wybrałaś już kolor

mojej sukni?

– Och, ubierz się, jak chcesz.

– Dobrze. Mam coś odpowiedniego: ciemnozłotą z kremową koronką. Skromna, ale wyszukana.

– Długa?

– Oczywiście.

– Dobrze. Gdzie ją widziałas? Pojedziemy zobaczyć, skoro już tu jestem?

– Mam ją w domu.

– Już kupiłaś? – Brigid była oburzona.

– Nie muszę jej wkładać na wesele. Po prostu na nią popatrz.

– A jeśli nie będzie się nadawać? Możesz ją zwrócić?

– Kiedyś się przyda.

– Przyda? Do mycia garów w pensjonacie? Boże wszechmogący, Orla, co się z tobą stało?

– Bóg raczy wiedzieć.

Należało dołożyć wszelkich starań, żeby Brigid nie dowiedziała się, że sukienka należy do panny Queenie. Sześćdziesiąt lat temu miała ją na sobie na balu. Wywarła wielkie wrażenie. Na Orli leżała jak ulał.

Pani Daly nic się nie zmieniła. Przywiozła ze sobą dwie walizki i rower.

– To miłe, że zjawiała się pani w tak krótkim czasie. – Orla była wdzięczna, że nauczycielka pomogła jej w potrzebie.

– Było mi to na rękę. Upodobania Shane’a okazały się trwalsze, niż przypuszczałam.

– Przykro mi.

– Mnie nie, naprawdę. Dobrze się stało. Potrzebowałam wstrząsu.

– Udało się?

– Tak. Dzięki osiemnastolatce w zaawansowanej ciąży i temu całemu „jesteśmy zachwyceni sytuacją”. Przyda mi się kilka dni, żeby to przemyśleć.

– To zamierza pani tu robić?

– Tak, to miejsce temu sprzyja. W obliczu oceanu człowiek czuje się mniej znaczący, patrzy na rzeczy z odpowiedniej perspektywy.

– Szkoda, że to nie działa na Brigid. – Orla westchnęła.

– Czujesz, że ją straciłaś, prawda? – powiedziała ze współczuciem pani Daly.

– Szczerze mówiąc, tak. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, odkąd skończyłyśmy dziesięć lat. Na początku wydawało mi się, że to tylko kolejny etap. Jak moda na stepowanie, gdy wkładałyśmy trykoty i ćwiczyłyśmy w kółko te same kroki. Ale teraz to co innego. To na całe życie. I to z Foxym!

– Może go kocha.

– Nie. Gdyby go kochała, nie starałaby się tak szaleńczo zaimponować jego

rodzinie.

– Więc może potrzebuje poczucia bezpieczeństwa.

– Brigid? Świetnie potrafi się o siebie zatroszczyć.

– A ty byłaś już kiedyś zakochana?

– Zakochana, nie. Zauroczona.

– Cóż, przynajmniej widzisz różnicę. Pozwól, że podpowiem ci, co powinniście tu sadzić. Połowa rzeczy z ogródka nie przetrwa zimy.

Pani Daly jeździła po okolicy na rowerze, pijąc piwo w pubach, aby zaznaczyć swoje terytorium. A gdy Brigid wróciła do domu, to zadała jej mnóstwo pytań, na które Orla się nie odważyła. Na przykład, co będzie robić całymi dniami po miesiącu miodowym, jeśli nie zamierza pracować? Czy natychmiast planują powiększenie rodziny? Czy często będzie się widywać z rodziną męża?

Odpowiedzi były głęboko niezadowolające, koncentrowały się głównie wokół wyścigów konnych i wizyt u siostry Foxy’ego w Hiszpanii. Ale były też drobne radości. Brigid po prostu zakochała się w sukni panny Queenie, określając ją z aprobatą jako vintage. Siostra Foxy’ego również ma zamiar włożyć suknię w tym stylu. Świetnie się składa.

Wesele było rzeczywiście straszne. Całkowicie przesadzone, z gigantycznym namiotem i przepychem wylewającym się z każdego kąta.

O’Harowie nawet wykończyli na tę okazję kilka mieszkań, które kupili podczas boomu, a które od recesji stały opuszczone. Zostały naprędce odświeżone, żeby rodzina Farrellów miała gdzie się zatrzymać.

Drużba Foxy’ego, Conor, kolejny pajac, który zapomniał o irlandzkich korzeniach i akcencie, wygłosił bardzo wulgarną mowę. Wspomniał między innymi, że jednym z bonusów świadkowania jest wydymanie druhny. Dziś w nocy to nie będzie przykre doświadczenie. Foxy zaśmiał się głośno. Orla patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem, starając się nie natknąć spojrzeniem na Chicky.

Chicky szeptem pogratulowała Brianowi, że trzyma się od nich z daleka. Ale Brian, który wciąż boleśnie odczuwał odrzucenie przez O’Harów, nadal nie potrafił wybić sobie z głowy Sheili O’Hary, niegdyś uważanej za świetną partię, a obecnie będącej w separacji z mężem hazardzistą.

Kiedy państwo młodzi pojechali na lotnisko Shannon, Conor podszedł do Orli.

– Podobno masz mieszkanie – zaczął.

– Masz taki cudowny sposób bycia – odparła z podziwem. – Założę się, że wszystkie dziewczyny za tobą szaleją.

– Dziś wieczorem mówimy tylko o tobie. Co ty na to? – spytał wyraźnie zachęcony.

Orla patrzyła na niego zaskoczona. Nie zdawał sobie sprawy, że z niego szydzi. Jeśli bankierami są tacy ludzie jak Conor i Foxy, nic dziwnego, że zachodnia

gospodarka znajduje się w tak opłakanym stanie.

– Conor, nawet gdybym miała umrzeć jako dziewica, nie miałbyś szans – odparła, uśmiechając się uprzejmie.

– Lesbijka.

– To musi być powód – przytaknęła wesoło.

– Okej, bądź zołą. Spytałem tylko dlatego, że taka jest tradycja.

– Oczywiście, Conor – odparła łagodnie.

Pani Daly wybrała się na długą wędrowkę po górach, żeby uniknąć wesela. W drodze spotkała dwóch francuskich dentyków, którzy spędzali w okolicy wakacje. Nazajutrz zamierzali się udać w stronę Donegal. Pani Daly chciała do nich dołączyć. Mieli samochód z bagażnikiem na dachu – idealnym na rower.

Orla siedziała i gapiła się na nią.

– Wiem, świat składa się z ludzi takich jak ja i takich jak Brigid. Ty jesteś gdzieś pośrodku. Czy to nie wspaniałe?

Nie miała wiele czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zbliżało się wesele Riggera. Dzięki Bogu, tym razem to miała być skromna uroczystość.

Chicky zamierzała podać pieczoną jagnięcinę, rodzina Carmel zamówiła wspaniały tort. Wesele odbyło się w domu państwa młodych. W porównaniu z nonsensem w namiocie i pozerstwem Farrellów i O’Harów to była bardzo przyjemna i miła uroczystość.

Gdy już było po wszystkim, a Hickeyowie zadowoleni wrócili do domu, Chicky, Orla i panna Queenie usiadły i pogratulowały sobie.

Główne prace budowlane były już na ukończeniu; pozostał wystrój wnętrz. Chicky nadal chciała zatrudnić profesjonalistów, ale Orla uparła się, że nikt nie dostanie pieniędzy, dopóki nie udowodni, że zna się na rzeczy. Uważała, że Chicky równie dobrze mogłaby zająć się tym sama. Ostatecznie miała pod ręką Queenie, która doskonale wiedziała, jak wyglądał dom w czasach swojej świetności.

Chicky znała się na komforcie i stylu, jednak wciąż się wahała.

– Nocleg będzie sporo kosztował. Przecież nie chcemy, żeby goście potem mówili, że to jakaś niechlujnie wykonana podrobka.

– Spotkałam wielu takich projektantów w Londynie. Niektórzy rzeczywiście byli genialni, ale reszta to kowboje. Zwykli oszuści. Trzeba nieustannie patrzeć im na ręce.

Zdecydowały się na Howarda i Barbarę, parę projektantów, których Brigid poznała na przyjęciu w Dublinie i gorąco polecała.

Orli od razu się nie spodobali. Byli tuż po czterdziestce, mówili z lekkim akcentem, ciągle wtrącali „skarbie” i „bardzo”, gdy tylko coś im się nie spodobało.

– Skarbie, nie wolno ci nawet myśleć o postawieniu w holu tego starego zegara. Będzie wszystkich bardzo niepokoił i zakłócał rytm snu.

– Zawsze tam stał – zauważyła łagodnie biedna panna Queenie.

– Halo, staramy się bardzo, żeby to miejsce było do przyjęcia, prawda? Przecież po to tu jesteśmy, skarbie.

Oddały Howardowi i Barbarze jeden z najlepszych pokoi z dużymi oknami i balkonem wychodzącym na morze. Rozglądali się po nim, jakby go obwąchiwali. Gdy schodzili na dół, spojrzeli na siebie wymownie. Lekko wzdrygali się na widok rzeczy, które im się nie podobały, jak kamienna podłoga w kuchni. Powinna zostać zerwana i zastąpiona porządnym litym drewnem. Orla odparła, że podłoga jest oryginalna i służy domownikom od początku, od lat dwudziestych dziewiętnastego wieku.

– Nie mam nic do dodania – powiedział Howard. – Najwyższy czas się jej pozbyć. Ale Orla postawiła na swoim. Podłoga nie podlega negocjacom.

Barbarze i Howardowi nie podobał się pokój poranny, zwany też pokojem panny Sheedy. Uznali, że jest pretensjonalny. A jeśli jest rzecz, przez którą jakieś miejsce może pójść na dno, skarbie, to właśnie zły ton. Zostawiali w pokoju straszny bałagan. Mokre ręczniki na podłodze w łazience, niewyobrażalną liczbę brudnych kubków po kawie, kieliszki i popielniczkę, mimo zakazu palenia, o którym przypominano kilkakrotnie.

Nie docenili ogródka, uznając, że nie wygląda profesjonalnie – goście są przyzwyczajeni do znacznie większych i lepiej utrzymanych terenów zielonych. Zmarszczyli groźnie brwi na widok Glorii, twierdząc, że trzymanie kota w pobliżu jedzenia jest niehigieniczne. Panna Queenie, Chicky i Orla na próżno starały się ich przekonać, że Gloria jest kotem o nienagannych manierach i że nigdy nie zbliżyłaby się do stołu w trakcie przygotowywania posiłku. Trzeba przyznać, że Gloria pomyliła nogę Howarda z drapakami, a zaniepokojona piskiem próbowała się ukryć w nogawce jego spodni. Gdy Barbara zaczęła krzyczeć i wymachiwać rękami, biedna kicia schowała się za sofę. Drżała, dopóki panna Queenie nie przyszła jej z pomocą. Teraz nie tylko Orla ich nienawidziła.

Pokonani przez lobby Glorii zwrócili swoją wrogość w kierunku ciężarnej Carmel. Mają nadzieję, że gdy dziecko się urodzi, będzie się trzymać z dala od pensjonatu. Ostatnią rzeczą, na którą goście mają ochotę, skarbie, są wrzaski niemowlaka. Za dużo złych wibracji.

Nie pochwalili pysznego jedzenia, które zaserwowały im Chicky z Orlą, zamiast tego zasugerowali, że Kamienny Dom powinien mieć odpowiednią piwnicę z winem, a po kolacji poprosili o dużą brandy.

Orla postanowiła być stanowcza. Nazajutrz po śniadaniu porozmawiała z gośćmi. Ma nadzieję, powiedziała, że są już gotowi przedstawić jakieś praktyczne rady na temat wystroju, materiałów i kolorów, a także wskazać, gdzie można kupić rekomendowane rzeczy.

Barbara i Howard byli tym nieco zaskoczeni. Zakładali, że będą mieli kilka dni na przesiąknięcie atmosferą miejsca. To właśnie podejrzewała Orla. Przyniosła do biura dzbanek kawy i zniecierpliwiona usiadła przy komputerze.

– Oczywiście to dom w bardzo późnym stylu georgiańskim – zaczęła z przekonaniem. – Poszukałam w sieci domów z tamtego okresu. Kilka nawet wydrukowałam, żebyśmy mieli podstawę do rozmowy. Jestem ciekawa, do czego wy się odniesiecie.

Spojrzeli na nią zaniepokojeni.

– Cóż, oczywiście wszyscy wiemy, jak wyglądały wspaniałe domy w stylu georgiańskim... – zaczęła Barbara.

Orla rozpoznawała bufona z odległości dwudziestu mil.

– Tak, ale oczywiście to nie jest wspaniały dom. To wiekowy domek, na dodatek raczej w stylu wiktoriańskim. A co myślicie o kolorach?

– Wszystko zależy od punktu widzenia, prawda, skarbie? To tak, jakby pytać, jak długi jest kawałek sznurka. Tak samo jest z kolorami – zaczął Howard donośnym głosem.

– A gdzie waszym zdaniem powinniśmy kupić tkaniny? – Orla przez chwilę przetrząsała stertę wydruków.

Zauważyła, że Howard i Barbara zerkają na siebie.

Chicky włączyła się do rozmowy.

– Naturalnie mamy własne pomysły, ale zależy nam na opinii profesjonalistów. Macie znacznie większe doświadczenie i dużo więcej kontaktów niż my.

– Nie wiedziałam, że tak świetnie radzisz sobie z komputerem – zauważyła chłodno Barbara.

– Tak jak każdy w moim wieku – odparła Orla z uśmiechem. – Tak przy okazji zastanawiałam się, dlaczego nie macie strony internetowej.

– Nie była nam potrzebna. – Barbara wydawała się zadowolona z siebie.

– Więc jak docieracie do klientów? – zapytała niewinnie Orla.

– Z polecenia.

– Rozumiem, w ten sposób nawiązujecie kontakt. A gdzie mogą zobaczyć efekt waszej pracy? Czym ich przekonujecie, żeby was zatrudnili? – I tym razem wyglądała niewinnie, ale wyzwanie zostało rzucone.

Pod koniec spotkania było już oczywiste, że nadszedł czas pożegnania. Barbara wspomniała o wynagrodzeniu za poświęcony czas i wysiłek. Chicky i Orla spojrzały na siebie osłupiałe. Howard stwierdził, że chętnie to zrobią po znajomości, żeby nikt nie miał żalu. Całemu przedsięwzięciu życzyli sukcesów. Ze smutkiem uznali, że Kamienny Dom nie przetrwa nawet tygodnia, jeśli w ogóle uda się go otworzyć.

Rigger odwiózł ich na stację. Całą podróż przebyli w kompletnej ciszy. Gdy zapytał, czy wróca, żeby nadzorować prace, odparli, że to mało prawdopodobne.

– Cóż, mam nadzieję, że wizyta była udana – powiedział Rigger.

– Udana to bardzo mocne słowo, skarbie – odparli, gdy wnosili ich bagaże do pociągu.

Chicky, Carmel i Orla jeszcze tej samej nocy wybrały kolory i materiały, a nazajutrz rano wzięły się do roboty. Dostały nauczkę. Na pewno byli gdzieś znakomici dekoratorzy wnętrz, ale nie miały czasu ich szukać. Musiały zaufać samym sobie.

Krok po kroku miejsce nabierało kształtów.

Strona internetowa już działała. Umieszczono na niej zdjęcia widoków z Kamiennego Domu, a także szczegółowy opis oferty. Dostały wiele pytań, ale jeszcze nikt się nie zdecydował na rezerwację.

Orla wysłała opis hotelu do wielu gazet, magazynu i programu radiowego. Jako nagrodę w kilku konkursach, które miały im przynieść rozgłos, oferowała zimowy tydzień w Kamiennym Domu. Kupiła duży album i poprosiła pannę Queenie, żeby trzymała wszystkie wycinki z gazet, które mogą się na coś przydać. Skontaktowała się z lotniskami, biurami turystycznymi, klubami książki, miłośnikami ptaków i klubami sportowymi; założyła stronę na Facebooku i konto na Twitterze.

Chicky nie mogła się nadziwić, że z malutkiego biura w Kamiennym Domu ma dostęp do całego świata. Dopracowały menu i opublikowały je w sieci, a potem wróciły do swoich codziennych zajęć, takich jak rozmowy z dostawcami. Powoli pojawiały się pierwsze rezerwacje. Były o krok od przyjęcia swoich pierwszych gości, gdy Carmel urodziła bliźniaki.

Panna Queenie zwierzyła się Orli, że nigdy nie była bardziej szczęśliwa. Tyle się dzieje w Kamiennym Domu, a ona jest w samym centrum wydarzeń. Pokój poranny oficjalnie nazwano jej imieniem, odnowiono fotografie z jej dzieciństwa, poznała chyba wszystkich w Stoneybridge, jadała pyszne posiłki w ciepłym domu. Kto by przypuszczał, że na starość życie stanie się znacznie lepsze niż wcześniej?

– Martwię się tylko o Chicky. Pracuje tak ciężko. – Panna Queenie z ufnością zwróciła się do Orli. – Wciąż jest młoda, przynajmniej dla mnie. Wielu mężczyzn ma na nią oko, ale ona w żadnym nie widzi potencjalnego męża.

– A co ze mną, panno Queenie? O mnie pani się nie martwi?

– Nie, Orla, zupełnie. Popracujesz z Chicky rok, tak jak obiecałaś, a potem zaczniesz podbijać świat. Masz to wypisane na twarzy.

Zamiast się z tego ucieszyć, Orla nagle poczuła się samotna. Nie chciała odchodzić, żeby podbijać wielki świat. Chciała zostać i być częścią tego.

– Nigdzie mi się nie śpieszy, panno Queenie.

– Lepiej nie zostawać zbyt długo w Stoneybridge. To niebezpieczne. Nie można poślubić mewy lub głuptaka – odparła panna Queenie.

– Przecież sama pani mówiła, że nigdy nie była tak szczęśliwa jak teraz.

– Robiłam, co mogłam. I miałam szczęście. Wielkie szczęście.

Gdy nazajutrz rano Orla przyniosła starszej pani herbatę i spojrzała na łóżko, zdała sobie sprawę, że panna Queenie nie żyje. Umarła we śnie. Ręce miała złożone, twarz spokojną. Wyglądała o dwadzieścia lat młodziej, jakby artretyzm i bóle zniknęły.

Orla nigdy wcześniej nie widziała nikogo martwego. Nie było się czego bać. Zniosła herbatę do pokoju Chicky.

Chicky była już na nogach. Gdy tylko zobaczyła Orłę, domyśliła się, co się stało.

– Nie ma Boga. Przecież gdyby był, nie pozwoliłby, żeby Queenie umarła przed otwarciem. To niesprawiedliwe. – Rozpłakała się.

– Może to nawet lepiej.

– Co masz na myśli? Tak bardzo chciała wziąć w tym udział.

– Nie. Denerwowała się. Pytała mnie kilkakrotnie, czy powinna zasiadać do kolacji razem z gośćmi.

– Oczywiście, że tak.

– Bała się, że jest za stara i taka nieopierzona... To jej słowa.

– Jak możesz być taka spokojna? Biedna Queenie, biedna, kochana Queenie. Co to za życie?

Orla pociągnęła ją za rękę.

– Chodź ją zobacz, Chicky. Gdy tylko spojrzysz na jej twarz, od razu zrozumiesz, że naprawdę żyła. I to dzięki tobie.

Weszły do pokoju, w którym panna Queenie sypiała przez ponad osiemdziesiąt lat. Od lat trzydziestych dwudziestego wieku, gdy Irlandia była niepodległa zaledwie od dziesięciu.

Gloria też przyszła. Nie wskoczyła na łóżko. Stała w drzwiach i spoglądała z szacunkiem, jakby rozumiała, co się stało. Wszystkie patrzyły na staruszkę. Chicky pochyliła się i dotknęła jej zimnej dłoni.

– Queenie, będziesz z nas dumna – obiecała.

Zamknęły za sobą drzwi, poszły powiedzieć Riggerowi i Carmel, a potem zadzwoniły do doktora Daia.

Stoneybridge pożegnało pannę Queenie Sheedy z wielką pompą. Przed Kamiennym Domem zebrał się spory tłum, który powoli ruszył za karawanem.

Ojciec Johnson zwrócił uwagę, że najbliższa niedzielna msza będzie pierwszą od wielu dekad, w której nie będzie uczestniczyć żadna z panien Sheedy. Powiedział też, że panna Queenie zadzwoniła do niego w zeszłym tygodniu z pytaniem, czy na jej pogrzebie można by zaśpiewać *Lord of the Dance*. Odparł, że cała reszta już dawno będzie w królestwie niebieskim, zanim ona dojdzie do wniosku, że nadszedł jej czas. Jednak ścieżki Pana są niezbadane. Staruszka dołączyła do swoich ukochanych sióstr, zostawiając po sobie wspomnienie dobrze przeżytego życia.

Zgromadzeni odśpiewali wybraną przez nią piosenkę. Wydmuchiwali nosy i ocierali łzy. Rozmyślali o tym, że panna Queenie zawsze dobrodusznie zerkała na nich i na ich dzieci.

Rigger niósł małą trumienkę na cmentarz. W ponurym nastroju wspominał, jak serdecznie powitała go w swoim domu, jak potrafiła się wszystkim cieszyć: ogródkiem, chatą, przejazdzkami vanem, bliźniętami.

Żałował, że Rosie i Macken nie będą mieć takiej kochanej babci. Jednak wszystko im o niej opowiedzą. A pewnego dnia, gdy to jego będą nieśli na ten sam cmentarz, to one opowiedzą swoim dzieciom o wspaniałej panie Queenie, cudownym relikwie burzliwej przeszłości Irlandii.

Ponieważ zmarła nie miała żadnych krewnych, poproszono Riggera, aby jako pierwszy wsypał łopatę ziemi na grób. Następne były Chicky i Orla. Tłum milczał. Nagle doktor Dai swoim potężnym, walijskim barytonem zaśpiewał *Abide With Me*. Zgromadzeni jeden za drugim zeszli ze wzgórza.

W Kamiennym Domu podano herbatę i kanapki.

Gloria przeszukała dokładnie każdy kąt, a gdy nie znalazła panny Queenie, usiadła zdezorientowana na ganku i w furii zaczęła się myć.

Gdy Orla roznosiła poczęstunek, dotarło do niej, jak wiele osób uczestniczy w stypie. Z Londynu przyjechała Brigid z Foxym. Pani Daly zjawiła się z jednym z francuskich dentystów, teraz jej bliskim przyjacielem. Była cała rodzina O'Harów, animozje odeszły w niepamięć. Byli tu wszyscy budowlańcy, dostawcy, farmerzy, pracownicy zakładu włókienniczego, a także Aidan, prawnik z pobliskiego miasta, który, jak mówiono, podkochiwał się w Chicky.

Panna Queenie klasnęła w dłonie i zawołała: „Wyobraźcie sobie, wszyscy zjawili się tu dla mnie! Jakież to miłe!”.

Aidan poprosił Orłę na stronę i oświadczył, że panna Queenie w zeszłym tygodniu sporządziła testament. Wszystko zostawiła Chicky, oprócz dwóch małych zapisów, jednego dla Riggera, a drugiego dla Orli.

Zapytał też, czy Chicky zgodziłaby się zjeść z nim kolację, gdyby ją ładnie poprosił.

Orla odparła, że może powinien poczekać na otwarcie, bo Chicky na razie myśli tylko o tym, ale zapewniła Aidana, że nie ma nikogo innego.

– Nie będę sprawiał żadnych problemów – powiedział.

– To najlepsza rekomendacja – odparła żarliwie, patrząc na wujków Brigid i pożałowania godnego Foxy'ego.

– Trzeba przyznać, że Howard i Barbara świetnie się spisali – oznajmił Foxy z uznaniem.

– Prawda? – zgodziła się Chicky.

Rigger już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Orla zmarszczyła brwi. Życie

jest krótkie. Skoro Chicky tak chce to rozegrać, to odpuść sobie.

Do przyjazdu pierwszych gości zostało kilka dni. Mieli prawie komplet. Został tylko jeden wolny pokój. Orla i Chicky siadywały wieczorami, przeglądając listę gości. Mieli przybyć ze Szwecji, z Anglii i Dublina. Jedni samochodami, inni pociągiem. Rigger miał całą rozpiskę.

Wielokrotnie przeglądały menu i sprawdzały, czy były wszystkie składniki. Wyobrażały sobie gości zbierających się przy stole. W pokoju panny Sheedy przygotowały wybrane magazyny i książki; mapy, atlasy ptaków i przewodniki. Kalosze, parasole i płaszcze przeciwdeszczowe były dostępne w przedpokoju.

Gloria powoli kończyła krótki okres żałoby. Znow siadywała przy kominku, pomrukując i łagodząc największy nawet niepokój serca.

– Orla, dam ci już teraz pieniądze, żebyś mogła stąd uciec – powiedziała Chicky w ostatni wieczór.

– Zawsze miałam na to pieniądze.

– Chodzi o to, że nie chcę cię zatrzymywać. Zrobiłaś więcej, niż obiecałaś.

– Dlaczego wszyscy chcą się mnie pozbyć? Dzień przed śmiercią Queenie powiedziała, że nie powinnam zostać w Stoneybridge i poślubić mewy albo głuptaka.

– I miała rację.

– A co z tobą? Aidan pytał o ciebie.

– Och, daj spokój, Orla!

– Założę się, że Walter chciałby, żebyś znow wyszła za mąż.

– Tak, zapewne.

– Więc?

– I co z tego? Mam uprowadzić doktora Daia? Nakłonić ojca Johnsona do zrzucenia sutanny? Umieścić w sieci ogłoszenie: „Bogata wdowa z własnym biznesem”? – Chicky roześmiała się. – Ale mówimy o tobie. Orla, masz tylko jedno życie.

– A co złego jest w zostaniu tutaj? Przynajmniej przez jakiś czas? – spytała Orla.

– Nie mogę odejść, zanim porządnie nie rozkręcimy tego miejsca. To ponad moje siły.

Chicky rozparła się na krześle. Gloria przeciągnęła się z zadowoleniem. Zegar w holu wybił północ.

Tego dnia Kamienny Dom miał otworzyć swoje podwoje. Przez długi czas nie posiedzą same w kuchni. Spojrzały na siebie i podniosły kieliszki. Na zewnątrz fale rozbijały się o brzeg, a wiatr smagał gałęzie drzew.

Winnie

Winnie oczywiście chciała wyjść za mąż lub być w poważnym związku. Kto by nie chciał?

Mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy. Kogoś, z kim można dzielić życie, a kiedyś mieć dzieci. Oczywiście tego właśnie pragnęła, ale nie za wszelką cenę.

Nigdy nie poślubiłaby pijaka, tak jak jej koleżanka, której mąż tak się upił na własnym weselu, że zaczął wszystkich obrażać. Wracano do tego latami.

Nie poślubiłaby kogoś, kto maniakalnie wszystko kontroluje, ani skąpca. Jednak wiele koleżanek wyszło za dobrych, ciepłych, pogodnych mężczyzn, którzy żyli pełnią życia.

Gdyby tylko był ktoś taki dla niej...

A jeśli gdzieś jest, to jak ma go znaleźć? Miała dość serwisów towarzyskich, „szybkich randek” i chodzenia do klubów. Nic to nie dało.

Odpuściła tuż po przekroczeniu trzydziestki. Prowadziła aktywne życie: jako pielęgniarka zatrudniona przez agencję codziennie pracowała w innym szpitalu. Chodziła do teatru, na kurs gotowania, spotykała się ze znajomymi i dużo czytała.

Jej życie z całą pewnością nie było smutne i nie czuła się samotna. Wręcz przeciwnie, ale byłoby miło poznać tego jedyne. Po prostu.

Winnie była optymistką. Na oddziałach zawsze mówiono, że świetnie się z nią pracuje, bo we wszystkim potrafi dostrzec jakieś pozytywy. Pacjenci za nią przepadali – zawsze znajdowała czas, aby im dodać otuchy, pochwalić, jak dobrze sobie radzą, i napomknąć, jak duże postępy zrobiła współczesna medycyna. W szpitalnej stołówce nie traciła czasu na narzekanie, że irlandzcy mężczyźni są żałośni. Pogodziła się z tym.

Wciąż miała mglistą nadzieję, że gdzieś czeka miłość, tylko nie była już pewna, że akurat na nią.

Teddy’ego poznała w swoje trzydzieste czwarte urodziny.

Wyszła z przyjaciółkami, trzema zamężnymi pielęgniarkami, na kolację do restauracji U Ennia na nabrzeżu. Włożyła nowy srebrno-czarny żakiet. Za namową fryzjera zdecydowała się na bardzo kosztowną kurację odżywiającą włosy. Dziewczyny powiedziały, że wygląda bosko. Jak zawsze. Mimo to wciąż była sama.

To był uroczy wieczór. Wszyscy pracownicy podeszli do stolika i zaśpiewali *Happy Birthday*, podano jakiś włoski likier na koszt firmy. Dwaj mężczyźni przy sąsiednim stoliku, którzy obserwowali je z zainteresowaniem, przyłączyli się do życzeń. Śpiewali z taką pasją, że ich również poczęstowano darmowymi drinkami.

Byli uprzejmi i nie narzucali się.

Peter powiedział, że jest hotelarzem, a jego przyjaciel, Teddy Hennessy, wytwórcą sera. Obaj mieszkają w Rossmore. Bywają w Dublinie raz w tygodniu, bo żona Petera i matka Teddy'ego lubią chodzić do teatru. Oni w tym czasie wolą zaglądać do nowych restauracji. Tym razem padło na tę.

– A twoja żona nie jeździ z wami? – zapytała Fiona bez ceregieli.

Winnie oblała się rumieńcem, ale Teddy nawet nie zauważył, że jej przyjaciółka sprawdza grunt.

– Nie jestem żonaty. Jak mówią moi przyjaciele, za bardzo pochłania mnie praca. Jestem wolny jak ptak.

Miał chłopięcy urok i był do wzięcia. Miękkie, jasne włosy opadały mu na oczy. Winnie odniosła wrażenie, że się jej przygląda.

Postanowiła nie robić sobie złudnych nadziei. Może zauważył, że jako jedyna nie ma na palcu obrączki. A może coś jej się przywidziało.

Dobrze im się rozmawiało. Peter opowiadał o swoim hotelu, Fiona sypała anegdotami z kliniki chorób serca. Barbara opisała kilka katastrof, którym musiał stawić czoło jej mąż David podczas lepienia naczyń z gliny. Ania, dziewczyna z Polski, która dosyć późno została pielęgniarką, pokazała im zdjęcia swojego malucha.

Teddy i Winnie nie mówili dużo, ale widać było, że wpadli sobie w oko. Niewiele się o sobie dowiedzieli ponad to, że dobrze się czują w swoim towarzystwie. A potem nadszedł czas rozstania, ponieważ panowie musieli odebrać panie z teatru. Czekwały ich jeszcze dwie godziny drogi.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – zwrócił się Teddy do Winnie.

Reszta pań wylewnie żegnała się z Peterem.

– Ja również – odparła Winnie.

Żadne nie zrobiło nic, żeby wymienić się numerem telefonu lub adresem.

Ostatecznie zrobił to za nich Peter.

– Drogie panie, czy mogę zostawić wizytówkę? Gdybyście znały jakieś inne dobre restauracje, dajcie nam znać, dobrze?

– Dobry pomysł, Peter. Winnie, masz przy sobie wizytówkę? – Fiona popatrzyła na nią wymownie.

Winnie zapisała swój adres mejlowy i numer telefonu na odwrocie reklamy wyborczego wina Ennia. I panowie wyszli.

– Równie dobrze mogłaś umieścić mi na głowie neon: „Zdesperowana stara panna” – burknęła Winnie.

Fiona wzruszyła ramionami.

– Był miły. Miałam pozwolić mu się wymknąć?

– Serowarstwo! – zamyśliła się Barbara. – Bardzo sielankowe.

– Pani Hennessy... ładnie brzmi. – Uśmiechnęła się Ania.

Winnie westchnęła. Rzeczywiście był miły, ale nie zamierzała robić sobie nadziei z powodu przypadkowego spotkania.

Teddy zadzwonił do niej już następnego dnia. Będzie w Dublinie w następny weekend. Może Winnie miałyby ochotę pójść z nim na kawę?

W dużej, słonecznej kawiarni przegadali całe popołudnie. Mieli sobie tyle do powiedzenia. O rodzinie Winnie – trzech siostrach i dwóch braciach porzrzucanych po świecie. O całej serii pożegnań, łzach wylewanych na lotnisku i obietnicach, że przyjedzie w odwiedziny. Ale jakoś nie mogła się wybrać do Australii lub Ameryki. Nie przepadała za dalekimi podróżami.

Teddy pokiwał głową. Jest dokładnie taki sam. Nie lubi ruszać się zbyt daleko od Rossmore.

Gdy Winnie miała dwanaście lat, zmarła jej mama, która była sercem i duszą całej rodziny. Pięć lat później ojciec ożenił się ponownie z sympatyczną, ale oderwaną od rzeczywistości Oliwią. Zajmowała się wyrobem biżuterii, którą potem sprzedawała na rynkach i targach w całym kraju. Trudno powiedzieć, czy Winnie ją lubiła. Macocha żyła w innym świecie.

Teddy był jedynakiem. Ojciec zginął w wypadku na farmie wiele lat temu. Matka poszła do pracy w miejscowej mleczarni, żeby móc posłać syna do dobrej szkoły. Podobało mu się tam, ale gdy nie został lekarzem ani prawnikiem, mama była bardzo rozczarowana. Byłaby to dla niej nagroda za długie i ciężkie godziny pracy.

Uwielbia swoją pracę. Jest laureatem kilku nagród, prowadzi małą, ale dobrze prosperującą firmę. Poznał wielu wspianiałych ludzi, dał pracę wielu mieszkańcom Rossmore, którzy inaczej byliby zmuszeni szukać pracy za granicą. Jego matka, która po latach spędzonych w mleczarni okazała się doskonałą bizneswoman, zajęła się księgowością i bardzo się zaangażowała w działalność firmy.

Winnie opowiedziała o swojej pracy. Wy tłumaczyła mu, co to znaczy być zatrudnioną przez agencję. Dosłownie nie wiesz, gdzie cię jutro wyślą. Może do jednej z wielkich, lśniących, nowiutkich prywatnych klinik, a może do zatłoczonego szpitala miejskiego, położniczego lub do domu starców. Dzięki temu praca nie jest nudna, ale trudno dobrze poznać swoich pacjentów – nie ma mowy o ciągłości czy zaangażowaniu w opiekę nad nimi.

Okazało się, że oboje byli w Turcji na wakacjach, lubili czytać thrillery i byli ofiarami spisku troskliwych przyjaciół, którzy niestrudzenie umawiali ich na randki. Może się uda, może nie, powiedzieli zgodnie, ale wiedzieli, że wkrótce znów się spotkają.

– Dobrze się dziś bawiłem.

– Może następnym razem coś ugotuję?

Twarz mu pojaśniała.

Stał się częścią jej życia. Nie przeważającą, taką w sam raz na dwa spotkania w tygodniu.

Wychodził od niej przed północą i wracał do domu dwie godziny. Aż pewnego wieczoru zapytał, czy mógłby zostać na noc. Odparła, że będzie jej bardzo miło.

Ze dwa razy wyjechali nawet na weekend. Krótki. Piątki należały do matki Teddy'ego. Zabierał ją wtedy na kolację do hotelu Petera. Winnie szybko zrozumiała, że nic nie może pokrzyżować jej planów.

Tak, w każdy piątek, potwierdził z żalem. To tak niewiele, a mama uwielbia te wyjścia. A gdy się pomyśli o rzeczach, z których dla niego zrezygnowała przez wszystkie te lata...

Winnie zachodziła w głowę, o co chodzi. Przecież nie wyglądał na maminsynka. Jednak czuła, że denerwuje się na myśl o przedstawieniu jej matce. Jakby to był test. Dziwaczne. Przecież był dorosły. Jednak nie zamierzała go pospieszać.

Zaczęła planować wspólny, kilkudniowy urlop.

Słyszała o Kamiennym Domu, hotelu, który już wkrótce ma zostać otwarty na zachodzie. Zdjęcie prezentowało się bardzo atrakcyjnie. Przedstawiało wielki stół, przy którym wszyscy goście będą spotykać się wieczorami, a przy kominku wygrzewał się słodki czarno-biały kotek. Obiecywano doskonałe domowe jedzenie, komfort, spacer, obserwację ptaków i szansę odkrycia spektakularnego wybrzeża.

Idealnie. Gdyby tylko udało jej się przekonać Teddy'ego, żeby zrezygnował z cennej piątkowej kolacji z matką.

Matką!

Powinna była ją najpierw poznać, zanim pomyślała o porwaniu słodkiego chłopca do zachodniej Irlandii! Jednak miejsce miało potencjał. Później może nie być wolnych pokoi. Teddy'emu na pewno spodoba się pomysł, a jeśli termin nie będzie mu pasował, odwoła rezerwację.

A potem nadszedł czas, żeby poznać matkę. Kobietę, która tyle poświęciła dla swojego synka; której piątkowych wieczorów nic nie mogło zakłócić. zaproponowała, żeby Teddy zaprosił na weekend swoją przyjaciółkę z Dublina.

Winnie długo myślała, w co się ubrać. Chciała dobrze wypaść.

Pani Hennessy zapewne rzadko rusza się z Rossmore, więc nic krzykliwego nie wchodzi w grę. Srebrno-czarny żakiet może okazać się zbyt efektowny. Lepiej włożyć praktyczny granatowy kostium.

– Denerwuję się tym spotkaniem – wyznała Teddy'emu.

– Nie masz powodu. Na pewno przypadniecie sobie do gustu.

Do Rossmore pojechała pociągiem z małą walizeczką w dłoni. Peter wraz z żoną Grettą zaoferowali jej nocleg w hotelu. Pani Hennessy nie wiedziała, że Teddy w Dublinie nocuje u Winnie, więc uznali, że to rozsądne wyjście.

– Damy ci najlepszy pokój. Przyda ci się odrobina luksusu po spotkaniu z tą lwicą

– zaproponował Peter.

– Myślałam, że ją lubicie – odparła zaskoczona.

– Jest wielką damą i świetnym towarzystwem, ale w przyrodzie nie ma drugiej samicy tak nadopiekuńczej w stosunku do swojego młodego. Odstrasza wybranki jedną po drugiej. – Peter wydawał się rozbawiony.

Winnie udała, że go nie słyszy. Przecież nie będą o niego walczyć. Był dorosłym mężczyzną, który sam podejmuje decyzje.

Teddy wyszedł po nią na dworzec.

– Mama zaprosiła fantastycznych gości na jutrzejszy obiad. Mówi, że tak daleka podróż musi być tego warta – powiedział z satysfakcją.

– To wspomniałomyślnie z jej strony. I będę miała okazję zobaczyć twój dom – mruknęła.

Cieszyła się, że wzięła ze sobą mały upominek dla pani Hennessy. Wszystko będzie dobrze.

Peter i Gretta byli mocno poruszeni.

– Chcesz zobaczyć pokój i przebrać się przed kolacją? – spytała Gretta.

– Nie, jestem gotowa. – Winnie wiedziała, jak wielką wagę pani Hennessy przykłada do punktualności.

– Jak wolisz – odparła Gretta z powątpiewaniem.

Winnie ruszyła prosto do restauracji hotelowej. Wytłumaczy mamie Teddy’ego, że nie jest jej rywalką i nie stanowi żadnego zagrożenia. Rozwieje jej wątpliwości i tym zdobędzie jej serce.

Nie zauważyła żadnej nobliwej staruszki. Może legendarna punktualność pani Hennessy jest przesadzona? I wtedy Teddy ruszył do baru, do najwytworniejszej kobiety w restauracji.

– Tutaj jesteś, mamó! Jak zwykle pierwsza! Mamó, to moja przyjaciółka Winnie.

Winnie patrzyła z niedowierzaniem. To nie była niesamodzielną, słabowitą staruszką, tylko kobietą tuż po pięćdziesiątkę, zadbaną i wystrojona na zabój. Miała na sobie złoty żakiet z brokatu, a pod nim jedwabną suknię w kolorze wina. Torbę i buty z miękkiej, delikatnej skóry. I bardzo elegancką biżuterię. Chyba przyszła prosto od fryzjera.

Musiała zająć jakąś pomyłką.

Winnie zatkało. Zawsze wiedziała, co powiedzieć, lecz tym razem zupełnie zabrakło jej słów.

Pani Hennessy była równie zaskoczona, jednak poradziła sobie z tym z dużo większą klasą.

– Winnie, cóż za przyjemność! Teddy tyle mi o tobie opowiadał.

Zmierzyła ją od stóp do głów.

Winnie nagle uświadomiła sobie, jak duże i wygodne ma buty. I dlaczego, na

Boga, włożyła ten ponury granatowy kostium? Wygląda jak jakiś pożałowania godny tragarz, a nie gość tej ikony stylu.

Teddy uśmiechał się, przenosząc wzrok z jednej na drugą. Widział to, co chciał widzieć: udane spotkanie matki i dziewczyny. Dobry nastrój nie opuszczał go przez cały wieczór, podczas gdy jego matka traktowała Winnie protekcjonalnie i lekceważąco, i niemal otwarcie z niej szydziła. Teddy Hennessy niczego takiego nie zauważył. Widział za to, jak wszyscy troje stają się rodziną.

Pani Hennessy zaproponowała, żeby przeszły na ty. Są już właściwie przyjaciółkami.

– Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałam – wyznała z uznaniem.

– Och, doprawdy? – Biedna Winnie zastanawiała się, gdzie się podziała jej elokwencja.

– Oczywiście. Kiedy Teddy powiedział mi, że poznał w Dublinie jakąś pielęgniarzkę, spodziewałam się głupiutkiej małolaty. To wspaniale spotkać kogoś tak dojrzałego i rozsądnego.

– Och, na taką wyglądam?

Zrozumiała prawdziwy sens tych słów: dojrzała i rozsądna, czyli gruba, nudna, zwyczajna i stara. To były słowa ulgi, które Lillian Hennessy pozwoliła sobie wycedzić ze swoich perfekcyjnie umalowanych ust. Ta Winnie to żadne zagrożenie. Jej cherubinek nie mógł zauroczyć się tak nieatrakcyjną kobietą. Nie może myśleć o niej poważnie.

– To cudownie, że Teddy ma w Dublinie odpowiednie towarzystwo – kontynuowała Lillian poufale. – Kogoś, kto trzyma go z dala od niebezpieczeństw i nieodpowiednich związków.

– Rzeczywiście, jestem w tym dobra – odparła Winnie.

– Naprawdę? – Spojrzenie Lillian było bezwzględne.

Teddy był skonsternowany.

– Cóż, mam trzydzieści cztery lata i jak dotąd trzymam się z dala od nieodpowiednich związków.

Lillian aż krzyknęła z zachwyty.

– Jesteś po prostu cudowna! Tak, oczywiście, Teddy ma tylko trzydzieści dwa lata, więc musimy mieć na niego oko – pisnęła.

Znała wszystkich w restauracji. Wszystkich pozdrawiała skinieniem głowy lub machnięciem ręki. Niektórym nawet przedstawiała Winnie jako „starą, starą przyjaciółkę rodziny z Dublina”. Wybrała wino, poskarżyła się, że sery z ich wytwórni nie są odpowiednio eksponowane na tacach, a w końcu przypomniała o zaproszeniu na jutrzejszy obiad, tym samym uznając spotkanie za zakończone.

– Sporządzałam listę gości w dygocie, ale teraz, gdy cię poznałam, jestem pewna, że z łatwością dogadasz się z każdym. Więc poznasz wielu miejscowych starych

głupców. Wszyscy strasznie prowincjonalni, ale z pewnością znajdziesz kilka bratnich dusz.

A potem wyszła do holu. Stukała eleganckimi obcasami, dopóki Teddy nie odprowadził Winnie do windy.

– Wiedziałem, że będzie wspaniale – powiedział.

Cmoknął Winnie w policzek i już go nie było. Musiał odwieźć matkę do domu.

Tymczasem w hotelu Rossmore Winnie wypłakała wszystkie łzy. Widziała w lustrze rozmazane odbicie swojej twarzy. Starej i bez wyrazu. Kogoś takiego można było przedstawić co najwyżej starym głupcom. Ktoś taki nie mógł nikogo przyprawić o dygot. Skąd ta kobieta bierze takie wyrażenia?

Było jej żal Teddy’ego. Tak ją zostawić przy windzie i pobiec za swoją wystrojoną, żądną władzy mamuszką. Co z niego za mężczyzna? Raczej szczeniak niezdolny do stworzenia prawdziwego związku.

Nie pójdzie na żaden obiad. Jakoś się wykręci i wróci do Dublina. Niech myślą, co chcą. Przez ostatnie miesiące miała klapki na oczach. W tym wieku powinna być mądrzejsza.

A co do wieku, Lillian powiedziała, że Teddy ma trzydzieści dwa lata w taki sposób, jakby uważała, że wciąż jest dzieckiem. Za dwa tygodnie skończy trzydzieści trzy. Jest tylko czternaście miesięcy młodszy od Winnie. Zdążyli wyśmiać różnicę wieku. Dla nich to bez znaczenia. Czy Lillian naprawdę myślała, że uda jej się zrobić z Winnie jakąś kuguarzycę prześladowającą młodego, bezbronnoego Teddy’ego?

Cóż, nieważne. To ostatnia rzecz, o którą można by ją posądzić. Spała niespokojnie i obudziła się z bólem głowy.

Przy łóżku stała Gretta ze śniadaniem.

– Co? Niczego nie zamawiałam...

– Boże, Winnie, jadłaś kolację z Lillian. Pewnie potrzebujesz transfuzji krwi lub terapii wstrząsowej. Przyniosłam ci kawę, croissanty i Krwawą Mary. To postawi cię na nogi.

– Mam gdzie Lillian. Najbliższym pociągiem wracam do Dublina. Nie będzie ze mną pogrywać. Poddaję się.

– Najpierw wypij Krwawą Mary. No już, wypij. To samo zdrowie. Cytryna, sól z selera i tabasco.

– I wódka.

– Jakie potrzeby, takie środki.

Winnie wychyliła kieliszek podany przez Grettę.

– Dlaczego tak mnie nienawidzi?

– To nieprawda. Po prostu boi się, że straci Teddy’ego. Pokazuje pazury, gdy czuje się zagrożona. Ale tym razem nic nie wskóra.

Gretta powiedziała, że w hotelu odbędzie się wesele i że akurat jest pod ręką

fryzjerka. Wpadnie do pokoju i zrobi jej jakąś fryzurę. Potem przyjdzie wizażystka.

– Za późno – jęknęła Winnie. – Już mnie widziała. Specjalnie nie przywiozłam superciuchów, żeby jej nie zawstydzić. Ją zawstydzić? Ja? Chyba postradałam rozum.

– Pożyczę ci świetny top, którego jeszcze nie widziała. Missoni. Najwyższa półka. Kupiłam go w jednym z outletów. Zwalisz ją z nóg.

– Nie mam takiego zamiaru. Przestało mi na nich zależeć.

– Nikomu z nas na niej nie zależy, ale wszyscy kochamy Teddy’ego. Tylko ty możesz go uratować. Zgódź się, Winnie, to tylko obiad. Dasz radę. Możesz mi nie wierzyć, ale to tak naprawdę przyzwoita osoba.

Zanim się zorientowała, była już pod prysznicem. Potem przyszła fryzjerka, później wizażystka wyregulowała jej brwi, nałożyła róż na kości policzkowe i cienie do powiek w kolorze akwamaryny i fioletu, które idealnie pasowały do bluzki.

– Nie poddawaj się bez walki – zagrzewała ją Gretta, podziwiając rezultaty metamorfozy.

– Wracaj do pracy, Gretta. Wesele czeka.

– Nie obchodzi mnie ślub. Obchodzi mnie Teddy. Musimy go wyrwać z jej macek. Wiem, że to nasza przyjaciółka, ale musi pozwolić Teddy’emu żyć własnym życiem. W tobie nadzieja. Nie wiem, jak to zrobisz, ale na pewno coś wymyślisz.

– Nie zamierzam stawiać ultimatum. Albo chce ze mną być, albo nie.

– Och, Winnie, gdyby życie było takie proste. Organizujemy wesela co tydzień przez okrągły rok. Nawet nie wiesz, jak wyboista droga wiedzie do ołtarza.

– Wolę prostą drogę, łatwą i przyjemną, nawet jeśli miałabym nią kroczyć sama.

– Uda ci się, Winnie. Walcz.

Lillian zaprosiła na obiad ponad tuzin osób. Podano świeżego łososa z młodymi ziemniakami i purée z grochu. Były też bardzo wytworne sałatki ze szparagami, z awokado, orzechami i serem pleśniowym.

Winnie rozejrzała się po komfortowym i przytulnym domu: na drewnianych podłogach leżały dywany; wokół stały duże sofy obite perkalem i krzesła; na stoliku oprawione rodzinne zdjęcia.

Drinki stały na stole w oranżerii wychodzącej na zadbane ogród. To był konik Lillian.

Winnie była pod wrażeniem, ale nie chciała się przypochlebiać. Nie podziwiała, nie chwaliła, zamiast tego skupiła się na gościach. Ze zdziwieniem odkryła, że polubiła przyjaciół Lillian.

Została posadzona obok prawnika, który powiedział, że Irlandczycy coraz częściej się procesują, szukają odszkodowań, gdzie mogą. Opowiadał prześmieszne historyjki z sali sądowej. Z drugiej strony siedzieli Hannah i Chester Kovac, założyciele miejscowej przychodni, którzy mówili o problemach w służbie zdrowia. Naprzeciwko siedział pan Neddy, który prowadził dom starców, i jego żona, Clare, dyrektorka

miejscowej szkoły; ich przyjaciele Judy i Sebastian opowiedzieli, jak zaczęli od małego kiosku w centrum miasta, a teraz mają duży sklep przy głównej ulicy Rossmore. Było duże zamieszanie przy budowie obwodnicy, bo ludzie obawiali się, że przez to zniknie z miasta handel, ale okazało się, że zamiast tego dublińscy zaczęli kupować domki w okolicach Whitethorn Woods.

To byli normalni, serdeczni ludzie, którzy świetnie się dogadywali z Lillian Hennessy. Ta kobieta musiała mieć wiele twarzy.

Zauważyła, że Lillian spogląda na nią od czasu do czasu w zamyśleniu. Jakby zdała sobie sprawę, że Winnie się zmieniła, i nie chodziło tylko o wygląd. Winnie nie zwróciła za to uwagi, że prawnik stale jej dolewa, jak się wyraził, doskonałego chablis. Kiedy podano truskawki, myślała mniej jasno, niż powinna.

Złapała się na tym, że wpatruje się w Teddy'ego jak w obrazek. Był taki dobroduszny i ciepły. I tak gorliwie zajmował się gośćmi. Często spoglądał na nią z uśmiechem. Jakby jego marzenia się ziściły, gdy tylko przekroczyła próg domu.

Winnie musiała przyznać, że Lillian była dobrą gospodynią. Udało jej się nakłonić gości do ruszenia się z miejsca i rozmów z innymi. Obserwując ten taniec, Winnie postanowiła, że uda się do toalety, żeby uniknąć rozmowy z Lillian.

Za późno.

– Jaki piękny top Missoni – powiedziała z podziwem.

– Dziękuję.

– Mogę zapytać, gdzie go kupiłaś?

– To prezent. – Winnie zakończyła śledztwo.

– Mam nadzieję, że cię nie zanudziliśmy. Zapewne myślisz, że to prowincjonalny piknik. – Jej lniana kremowa sukienka i żakiet nadawały się na wesele.

– Lillian, jestem zachwycona. Masz wspaniałych przyjaciół.

– Założę się, że ty też masz wielu przyjaciół.

– Cóż, to prawda. Też lubię towarzystwo i rzeczywiście mam wielu przyjaciół. –

Usłyszała swój niewyraźny głos.

Może rzeczywiście trochę się upiła? Musi uważać.

Lillian zmrużyła oczy. Czy ona naprawdę jej nienawidzi? Mogło tak być. W końcu to walka o władzę. Winnie nie położy rąk na jej cherubinku. Matka będzie o niego walczyć. A ona była zbyt zmęczona, żeby odpierać ataki. Nocne szlochy, wyczerpujące poranne przygotowania, Krwawa Mary na śniadanie i wino do obiadu zrobiły swoje. To przegrana bitwa. Po co walczyć?

Wtedy zobaczyła, jak z drugiego końca stołu Teddy uśmiecha się do niej. Był z niej taki dumny. Naprawdę ją kochał. W jego oczach nie była stara ani nudna. Był za dobry, żeby oddać go bez walki.

– Masz bardzo elegancki dom, Lillian. Teddy miał szczęście, że wychowywał się w tak uroczym miejscu.

– Dziękuję.

Spojrzenie Lillian było bezlitosne. Teraz już nie próbowała ukryć wrogości.

– Rozumiem, dlaczego nie lubisz stąd wyjeżdżać. Niczego ci tu nie brakuje. – Winnie miała nadzieję, że nadal się uśmiecha.

– Ależ ja lubię podróżować. Zwiedzać różne miejsca i zabytki. Ty nie, Winnie? Gdzie jedziesz na wakacje?

Teddy podszedł do nich. Twarz rozjaśniał mu uśmiech. Było lepiej, niż przypuszczał.

Nagle Winnie zaczęła im opisywać Kamienny Dom.

Lillian wyglądała na zainteresowaną.

– Brzmi naprawdę nieźle. Prawdziwe ustronie. Kogo masz zamiar zaprosić? Z pewnością kogoś znajdziesz. Sama chętnie bym pojechała. Myślę, że ta oferta może przekonać bardziej wyrafinowaną klientelę. Znasz kogoś takiego? Jakaś znajoma pielęgniarzka? Czy to raczej same amatorki słońca? – Lillian nie odpuszczała.

– Rzeczywiście to wolą. Ale nie każdemu przeszkadza kiepska pogoda. – Winnie brnęła dalej. – Mnie nie przeszkadza wiatr i deszcz, szczególnie w tak pięknym miejscu. A tam po całym dniu będzie czekać gorąca kąpiel i smaczna kolacja. Z pewnością wiele osób myśli podobnie.

– Na pewno kogoś znajdziesz – powiedziała Lillian protekcyjnie.

– Myślałam o Teddym. – Ośmielona drinkiem Winnie była odważna jak lwica.

– Teddym! – Lillian krzyknęła w popłochu, jakby chodziło co najmniej o międzynarodowego zbrodniarza wojennego.

– Wspaniały pomysł! – Teddy był zachwycony. – To dziewicze tereny, a zimą nie będzie tłumów. Myślisz, że są jeszcze wolne miejsca?

– Nie powinno być z tym problemu.

Teddy był najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi.

– A może pojedziemy wszyscy razem? – zaproponował. – Brzmi fantastycznie, a skoro już się poznałyście, byłoby wspaniale, gdybyśmy pojechali we troje, prawda?

Patrzył to na matkę, to na dziewczynę, oczarowany tym, jak to wszystko świetnie się złożyło.

Zapadła głucha cisza. Jak mógł tego nie zauważyć?

– Czego mógłbym chcieć więcej? – kontynuował, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

Lillian pierwsza zdołała się opanować.

– Oczywiście, jak wspomniałeś, może być problem z rezerwacją – zaczęła niepewnie.

Teraz wszystko zależało od Winnie. Żadna inteligentna odpowiedź nie przyszła jej do głowy. Mogła powiedzieć tylko prawdę:

– Właściwie to zrobiłam już rezerwację – przyznała, spuszcając wzrok.

– Czy to nie wspaniale? – Teddy był cały w skowronkach. – Zatem wszystko ustalone. Kiedy?

Winnie niepewnie podała datę. To nie może być prawda. Czy on naprawdę zamierza wziąć ze sobą matkę? Może zabierze ją też w podróż poślubną? Boże, spraw, żeby termin mu nie pasował.

Zauważyła, że Teddy spochmurniał.

– O nie! Wtedy jest konferencja dla producentów serów. To jedyny tydzień w roku, który mi nie pasuje.

Winnie z głębi serca podziękowała Bogu, obiecując, że w przyszłości będzie częściej się modlić.

– No cóż, robienie rezerwacji w ciemno nie było zbyt mądre, ale nic się nie stało. Zadzwońię do nich i odwołam... – odparła skruszona.

Miała nadzieję, że nikt nie zauważył, jak jej ulżyło.

– Poza tym może być bardzo zimno, nawet mokro – wtrąciła szybko Lillian.

– Musicie koniecznie pojechać we dwie. – Teddy niczego nie rozumiał.

Lillian zakrztusiła się, ale przez chwilę udawała, że bierze to pod uwagę:

– Nie, skarbie, pojedziemy kiedy indziej.

– To trochę jak *Hamlet* bez Księcia. – Winnie zmusiła się do uśmiechu przypominającego maskę pośmiertną.

– Jeszcze będzie okazja – zapewniła Lillian.

– Nie ma o czym mówić. Bez ciebie nie jedziemy. – Winnie nieomal podarła na strzępy porządną, lnianą serwetę.

– Będę spokojniejszy, wiedząc, że nie jesteście same pod moją nieobecność. Odpoczniecie i przy okazji lepiej się poznacie.

Najwyraźniej mówił szczerze. Były w pułapce.

– Ależ, Teddy, przecież i tak się poznamy. Po prostu nie chcemy jechać bez ciebie – zaczęła Lillian.

– Twoja mama może mnie odwiedzić w Dublinie. Pokażę jej miasto.

– To miejsce jest dla was idealne. I zarezerwowane. Musicie pojechać.

– Nie wiadomo, kto tam będzie. A jeśli przyjadą same maolaty? – Lillian chwyciła się brzytwy. – Choć oczywiście to mało prawdopodobne – przyznała ostatecznie.

– Tak, nie wzięłam tego pod uwagę. – Winnie tak żarliwie pokiwała biedną, zmęczoną, skołowaną głową, że przestraszyła się, iż jej odpadnie.

Ale to były ich ostatnie podrygi. Spojrzały na siebie. Obie wiedziały, że jeśli odmówią, stracą go. A żadna z nich tego nie chciała. Zaczęły się wycofywać.

Lillian skapitulowała pierwsza.

– Cóż, jeśli naprawdę tego chcesz... Tak, w sumie, dlaczego nie? Z przyjemnością z tobą pojedę.

– Co? – Winnie poczuła się tak, jakby ktoś ją postrzelił.

– Teddy ma rację – dodała Lillian. – Musimy się poznać. I wiesz, naprawdę myślę, że będę się dobrze bawić.

Winnie poczuła, że podłoga zapada się pod nią. Musi coś powiedzieć, natychmiast, inaczej spędzi cały tydzień z tą kobietą przepełnioną nienawiścią. Z emocji zaschło jej w gardle i nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko w milczeniu pokiwała głową.

Spojrzała na złośliwą twarzyczkę Lillian. Zamierzała wykorzystać wyjazd, żeby zniszczyć wszystko, co było między nią a Teddym.

Wyprostowała się.

– Świetny pomysł, Lillian. Z pewnością będziemy dobrze się bawić. Potwierdzę rezerwację – powiedziała, myśląc jednocześnie: „No dobrze, proszę bardzo, zobaczymy, kto wygra”.

Obiad jakoś dobiegł końca i nadszedł czas, aby Teddy odwiózł ją na dworzec.

– Będziemy w kontakcie! – Lillian krzyknęła w drzwiach.

– A nie mówiłem? – zapytał Teddy. – Wiedziałem, że się dogadacie.

– Tak, jest bardzo miła, bardzo gościnna.

– I jedziecie razem na urlop. Czy to nie cudowne?

– Tak, powiedziała, że podoba się jej...

– Mama nie jeździ na wakacje z byle kim. Wiesz, jest bardzo wybredna. Musiała od razu cię polubić.

– Cudownie... – odparła Winnie.

Czuła się wypompowana i pokonana. Do tego zaczynała mieć kaca. Do końca życia będzie pamiętać, żeby nie przesadzać z winem przy obiedzie. Niewczesna nauczka.

Winnie patrzyła w okno, gdy pociąg przemierzał irlandzkie wioski. Jacy ludzie wypasają bydło na tych zielonych poletkach albo uprawiają tę niewdzięczną ziemię? Ludzie, którzy nie upiliby się ani przy obiedzie, ani przy innej okazji. Nigdy by nie przystali na tygodniowy urlop z największą nienawistnicą w Irlandii. Próbowała zasnąć, ale gdy tylko jednostajny rytm pociągu zaczął ją usypiać, przyszedł SMS. Od Teddy'ego.

Bardzo tęsknię. Byłaś cudowna. Wszyscy za Tobą szaleją. Ja też. A najbardziej zachwycona jest mama. Mówi tylko o waszym wyjeździe. Jesteś wspaniała. Kocham cię.

Nie poprawiło jej to humoru. Przeciwnie, poczuła się jeszcze gorzej. Była dorosłą kobietą, nie jakąś smarkulą. Zawaliła sprawę. Za dwa i pół miesiąca pojedzie z Lillian Hennessy do Kamienego Domu. Istna herbatka u Szalonego Kapelusznika. Jak jeden z tych dziwnych snów, śmiesznych i strasznych zarazem.

Przyjaciółki zauważyły w niej jakąś zmianę. Gdy spytały o wizytę w Rossmore,

tylko wzruszyła ramionami. Ledwie odważyły się zapytać, czy nadal spotyka się z Teddym. Winnie nie chciała z nimi jechać na żadne wakacje.

Fiona i Declan błagali ją, żeby wpadła do domku letniskowego, który wynajęli w Wexford. Jest mnóstwo miejsca. Naprawdę zrobi im przyjemność, jeśli się zgodzi. Jednak Winnie nawet nie brała tego pod uwagę. Tak samo jak propozycji Barbary i Davida, którzy wybierali się na wycieczkę autokarową po Włoszech. Zdjęcia Ani z łodzi, którą wynajęli na rzece Shannon, też nie wzbudziły zainteresowania.

– Musisz zrobić sobie jakieś wakacje – powiedziała stanowczo Fiona.

– Och, zrobię sobie. W zimie jadę na tydzień na zachód. Będzie świetnie. – Powiedziała to w taki sposób, jakby czekała ją praca w kanałach.

– Teddy jedzie z tobą? – dopytywała się Barbara.

– Teddy? Nie, to w tym samym tygodniu, co jakaś konferencja, na którą jeździ co rok. Dla serowarów.

– Nie mogłaś wybrać innego terminu? – zdziwiła się Fiona.

Winnie udawała, że nie słyszy tego pytania.

Teddy przyjeżdżał i zostawał na noc w niewielkim mieszkanku Winnie raz, dwa razy w tygodniu. Nigdy nie był tak radosny i szczęśliwy. Najwyraźniej uznał, że między paniami natychmiast zawiązała się wielka przyjaźń, a wspólne wakacje są tego najlepszym dowodem. Co prawda po cichu na to liczył, ale nie spodziewał się aż tyle. Był ujmujący i pod każdym względem idealny. Jako przyjaciel, kochanek i partner. Już mówił o ślubie. Winnie starała się nie traktować tego poważnie.

– Ach, to droga po równi pochyłej. – Śmiała się.

– Wszystko przemyślałem. Moja firma i tak potrzebuje biura w Dublinie. Moglibyśmy pomieszkiwać trochę tu, trochę w Rossmore.

– Nie ma pośpiechu.

– Ależ jest. Chciałbym, żebyśmy mieli wielki ślub w Rossmore, żebym mógł się tobą pochwalić.

Winnie milczała.

– Oczywiście, jeśli wolisz, możemy wziąć ślub tu, w Dublinie, z wszystkimi twoimi przyjaciółmi. To twój dzień, Winnie, twój wybór.

– Czy tak nie jest nam dobrze?

Winnie wiedziała, że gdy wróci z tych nieszczęsnych wakacji, mogą już nie mieć przed sobą żadnej przyszłości.

Z Lillian wymieniła kilka listów, SMS-ów i telefonów. Musiała się bardzo starać, żeby nie wykrzyczeć do słuchawki, że to był wielki błąd.

Potem Teddy pojechał na konferencję, a następnego dnia Winnie z Dublina, a Lillian Hennessy z Rossmore wyruszyły do Stoneybridge.

Spotkały się na parkingu Kamiennego Domu. Pech chciał, że przyjechały w tym samym momencie. Winnie bardzo starym, poobijanym bangerem kupionym od

portiera ze szpitala, a Lillian nowiutkim mercedesem.

Winnie miała ze sobą wielką płócienną torbę, którą włożyła na ramię, Lillian zaś dwie identyczne walizki, które postawiła przy samochodzie.

Pani Starr czekała przy drzwiach wejściowych. Była drobną kobietą po czterdziestce. Miała krótkie, kręcone włosy i szeroki uśmiech. Mówiła z lekkim amerykańskim akcentem. Przywitała je serdecznie. Pobiegła po walizki Lillian, a potem zaprowadziła je do dużej, przytulnej kuchni. Na stole leżały jeszcze ciepłe bułeczki, masło i dżem. W jednym końcu pomieszczenia płonęły polana w kominku, w drugim stała kuchenka opalana węglem. Dokładnie jak w folderze.

Zostały zaproszone do środka i posadzone.

– Jesteście pierwsze – powiedziała gospodyni. – Reszta zjawi się za jakąś godzinę. Napijecie się kawy lub herbaty?

Pani Starr błyskawicznie dowiedziała się o nich więcej, niż wiedziały o sobie nawzajem. Lillian opowiedziała o mężu, który zginął, gdy jej syn był małym chłopcem, i o dniu, w którym się o tym dowiedziała. Winnie powiedziała, że jej ojciec ożenił się z sympatyczną kobietą zajmującą się wyrobem biżuterii i że jej rodzeństwo mieszka za granicą.

Jeśli pani Starr pomyślała, że kobiety stanowią dosyć osobliwą parę, niczym się nie zdradziła.

Winnie nalegała, żeby to Lillian dostała pokój z widokiem na morze. Był to cichy, ciepły pokój z wielkim oknem na zatokę. W kilku odcieniach kojącej zieleni, bez telewizora, za to z niewielką łazienką. Wszystko było pięknie wyremontowane. Drugi pokój był podobny, ale nieco mniejszy, a okna wychodziły na parking. Winnie poczuła zmęczenie. To była długa podróż w strugach deszczu, a im bliżej Stoneybridge, tym droga stawała się węższa i mniej przejezdna. Teraz najchętniej by się położyła i odpoczęła. W pokoju były dwa łóżka, szersze i węższe. Gdyby były przyjaciółkami, jak utrzymywała Lillian, spokojnie wystarczyłyby im jeden pokój. Na tacy stał dzbanek i biszkopty. Mogłyby napić się razem herbaty, przeglądając książki, mapy i broszury, które leżały na toaletce.

Ale Winnie nie obchodziło, co ktoś pomyśli. Pani Starr była hotelarzem, gospodynią i bizneswoman. Na pewno nie miała czasu, żeby zastanawiać się nad dziwną parą.

Poczuła, że zapada w sen. Z dołu dobiegały szmery rozmów docierających kolejno gości. To było w jakiś sposób uspokajające, bezpieczne. Jak w dzieciństwie, kiedy mama jeszcze żyła, a dom tętnił życiem.

Pani Starr powiedziała, że dwadzieścia minut przed kolacją rozlegnie się gong. Siostry Sheedy, które mieszkały tu całe dekady, pomimo biedy wiernie strzegły tradycji. Często jadły sardynki i pieczoną fasolkę z tostami, ale dźwięk dzwonka zawsze rozlegał się po domu. Tego chcieliby ich mama i papa.

Winnie obudził łagodny dźwięk gongu. Boże! Musi spędzić ten wieczór z traktującą wszystkich protekcjonalnie Lillian. Ten i sześć kolejnych. Jak mogła do tego dopuścić? Widocznie oszalała. To jedyne wytłumaczenie.

Zanim wyszła z pokoju, dostała SMS.

Udanego wieczoru. Tak bardzo chciałbym być z Wami. Kiedyś cieszyły mnie te zjazdy, ale teraz czuję się samotny i tęsknię za Wami. Napisz, jak hotel. Bardzo Cię kocham, Teddy.

Goście zaczynali się schodzić. Pani Starr zaproponowała, żeby się poznali, ona zaś, razem ze swoją siostrzenicą Orlą, zajmie się kolacją.

Lillian, jak można się było spodziewać, wystroiła się na zabój i od razu zaczęła wszystkich uwodzić. Właśnie tłumaczyła młodemu Szwedowi, że Winnie to stara, stara przyjaciółka. Długo się nie widziały i nie mogą się wprost doczekać długich spacerów, podczas których nadrobią stracony czas. Rozmawiała też z emerytowaną nauczycielką Nell. Pobyt w Kamiennym Domu był prezentem pożegnalnym od pracowników szkoły. Doszli do wniosku, że to w sam raz dla niej. Nell miała pewne wątpliwości. Lillian szeptem odparła, że ona też na początku nie była przekonana, ale jej stara przyjaciółka nalegała. Trzeba przyznać, że na razie jest bardzo przyjemnie.

Winnie natomiast rozmawiała z Henrym i Nicolą, którzy przyjechali z Anglii. Potrzebowali odrobiny spokoju, a ogłoszenie znaleźli w Internecie. Pomyślała, że mogą być w żałobie. Byli bladzi i lekko wstrząśnięci, ale może jej się coś przywidziało.

Druga para wydawała się trochę niezadowolona. Oboje nie odzywali się za wiele. Reszta siedziała dalej. Pozna ich później.

Najpierw podano wędzonego pstrąga z kremem chrzanowym i ciemnym chlebem domowej roboty, potem pieczone jagnię profesjonalnie pokrojone przez panią Starr. Były też dania wegetariańskie i wielka szarlotka. Wino stało w starych, kryształowych, rzeźbionych karafkach. Panny Sheedy zwykły do nich wlewać sok z pomarańczy i lemoniadę. Piękne antyki tworzyły ducha domu.

Winnie mogła tylko podziwiać kawał dobrej roboty. Wszystkim dobrze się rozmawiało. Pani Starr słusznie nie robiła zamieszania z przedstawianiem sobie ludzi. Kiedy wszystko zostało zjedzone, a Orla załadowała dużą zmywarkę i poszła do domu, pani Starr wypiła z gośćmi kawę.

Poinformowała ich, że śniadanie podawane będzie w formie szwedzkiego stołu, a jeśli ktoś chciałby ciepły posiłek, musi stawić się o dziewiątej. Mogą przygotować suchy prowiant lub podać listę okolicznych pubów, w których serwuje się lekkie lunchy. Jeśli ktoś chce, na zewnątrz stoją rowery, z których można korzystać, w przedpokoju zaś znajdują się lornetki, parasole, a nawet kalosze. Przedstawiła pokrótce trasy spacerowe i okoliczne atrakcje. W okolicy znajduje się wiele pięknych zatoczek i potoków wartych obejrzenia przy dobrej pogodzie. Są też ścieżki przez

urwiska, ale przy schodzeniu nad morze należy zachować dużą ostrożność. Warto zwiedzić jaskinie, ale należy najpierw sprawdzić pływy. Ciekawa jest jaskinia Majella. Latem to świetne miejsce dla zakochanych. Łatwo można zostać odciętym przez przyływ, a wędrująca po okolicach para musi czekać, dłużej, niż się spodziewała, aż morze cofnie się w głąb i pozwoli przejść.

Po kolacji Winnie odpisała Teddy'emu. Miejsce jest urocze i oryginalne, zostały bardzo serdecznie przyjęte. Dodała, że też go bardzo kocha, choć nie była pewna, czy rzeczywiście tak jest.

Chyba przebywała w jakimś nierealnym świecie, w którym odgrywała rolę starej znajomej swojej przyszłej teściowej. Teraz, a może na zawsze. Zapadła w głęboki sen, z którego obudziło ją dopiero pukanie do drzwi.

To była Lillian, ubrana, umalowana i gotowa do działania.

– Myślałam, że nie opuścisz ciepłego posiłku. W naszym wieku porządne śniadanie to podstawa.

Winnie czuła, że ogarnia ją wściekłość. Czy Lillian naprawdę uważa, że są w tym samym wieku?

– Zejdę za dziesięć minut – powiedziała, przecierając oczy.

– Och, skarbie, nie masz widoku na ocean.

– Za to mam urocze góry, a tak się składa, że kocham góry – wycedziła Winnie przez zaciśnięte zęby.

– Prawda. To jest w tobie wspaniałe. Łatwo cię zadowolić. A zatem do zobaczenia na dole.

Winnie stała pod prysznicem. Nadchodzący tydzień wydawał się wiecznością, a ona mogła winić tylko samą siebie.

Młody Szwed wyszedł z filigranową i energiczną Fredą. Lekarze z Anglii zamawiali grillowaną makrelę. Pozostali goście przeglądali dostarczone przez panią Starr mapy i podnieceni zastanawiali się, gdzie można pójść. Był też John, Amerykanin, który cierpiał z powodu zmiany czasu i wyglądał na bardzo zmęczonego.

Niebo było pogodne, parasol ani kalosze nie były potrzebne. Suchy prowiant, przygotowany i zapakowany w woskowany papier, czekał już na chętnych; reszta dostała listę pubów.

Do dziesiątej wszyscy goście opuścili Kamienny Dom, a siostrzenica pani Starr przyszła posprzątać pokoje. Tak oto ustalili się plan dnia. Zupełnie jakby hotel działał od lat.

Winnie i Lillian zdecydowały się na spacer po klifie.

Postanowiły pójść do West Harbour. Przed nimi cztery mile fantastycznych widoków. Gdy dotrą na miejsce, zjedzą lunch w barze U Brady'ego, a potem złapią jakiś autobus odjeżdżający co godzina do Stoneybridge.

Winnie odwróciła się i popatrzyła tęsknym wzrokiem na Kamienny Dom.

Jak dobrze byłoby wrócić, usiąść z panią Starr przy stole, napić się herbaty, zjeść trochę świeżego domowego chleba i pogadać o świecie. Zamiast tego czekają ją cztery godziny żarcików Lillian. Ta jednak litościwie milczała, a krajobraz był fantastyczny. Gdy dotarły na miejsce, Winnie czuła się odprężona.

A Lillian znów była sobą.

– Przyjemny spacer, z pewnością, ale niezbyt wymagający – oznajmiła.

– Piękne krajobrazy. Mogłabym bez przerwy patrzeć w niebo – odparła Winnie.

– Och, oczywiście, ale jutro powinniśmy pójść na południe. Pani Starr mówiła, że jest dużo ciekawsze. Te wszystkie małe zatoczki, potoczki; możemy zajrzeć do jaskiń.

– Mogą być zdradliwe. Zobaczmy najpierw, jak inni sobie poradzą. – Winnie była ostrożna.

– Och, to wszystko tchórze. Będą unikać wszelkich przygód. Przecież po to tu przyjechałyśmy, prawda? Ostatni zryw, zanim na dobre zaczniemy się starzeć.

– Ty się nigdy nie zestarzejesz.

– Nie, ty natomiast już wykazujesz niebezpieczne objawy. Gdzie się podział twój hart ducha? Jutro bierzemy suchy prowiant i wyruszamy na południe.

Winnie uśmiechnęła się, udając, że się zgadza. Nie miała zamiaru narażać się na ryzyko z powodu gierki Lillian. Ale załatwi to jutro rano. Do tego czasu będzie urocza, miła i pogodna. Nagrodą jest Teddy.

„Proszę Cię, dobry, miły Boże, niech on okaże się tego wart”.

Do Kamiennego Domu wróciły autobusem, inni goście również wracali ze swoich wycieczek. W kominku płonęły polana. Wszyscy jedli bułeczki i popijali herbatę, jakby mieszkali tu od zawsze.

Na kolacji Winnie usiadła naprzeciwko Fredy. Okazało się, że jest asystentką w bibliotece. Winnie odparła, że jest pielęgniarką.

– Masz coś na stałe? – zapytała Freda.

– Nie, zatrudnia mnie agencja, każdego dnia w innym szpitalu. Nie żartuję.

– Właściwie to chodziło mi o stałego partnera.

Lillian podsłuchiwała.

– W naszym wieku wszystkie trochę tracimy zainteresowanie tymi sprawami – zaćwierkała.

– No nie wiem... – Freda namyślała się chwilę. – Ja nie.

Gdy odeszła, Lillian szepnęła do Winnie:

– Dziwna osoba.

– Raczej zabawna.

– Jak już mówiłam, masz niewielkie wymagania. To zadziwiające, jak mało oczekujesz od życia!

– Cała ja. – Winnie uśmiechnęła się sztucznie.

Reszta rozmawiała o pogodzie. Pani Starr powiedziała, że od południa nadchodzą burze, należy być bardzo ostrożnym. Zatoczki i potoki natychmiast wypełniają się wodą; nawet mieszkańcy dają się oszukać sile wiatru i pływów. Winnie odetchnęła z ulgą. Przynajmniej będą musiały odwołać głupi plan Lillian bawienia się w odkrywców.

Ale gdy nazajutrz spakowały prowiant, Lillian skierowała się wprost na południe. Winnie przystanąła. Może odmówić. Ale Lillian ma pewnie rację. Pani Starr jest przesadnie ostrożna.

Winnie uznała, że da radę. Na litość boską, ma dopiero trzydzieści cztery lata. Lillian ma pięćdziesiąt trzy, co najmniej. Skoro tyle już zniosła, kosztowało ją to tyle czasu, wymagało tyle cierpliwości, że nie podda się teraz.

I na początku było to bardzo orzeźwiający doświadczenie. Słona bryza; wielkie, mroczne i groźnie wyglądające skały. Krzyki dzikich ptaków i łomot fal uniemożliwiały rozmowę. Ruszyły przed siebie. Zatrzymały się, żeby popatrzeć na Atlantyk. Najbliższy ląd znajduje się trzy tysiące mil stąd, w Stanach Zjednoczonych!

Potem znalazły wejście do jaskini Majella. Wiatr dał niemiłosiernie, więc postanowiły się w niej schronić. Usiadły na skalnym gzymsie i rozpakowały prowiant: chleb z serem, pojemnik z zupą. Piekły je oczy, a policzki zaczerwieniły się od wiatru i bryzy morskiej, ale czuły się świetnie. Przepęniała je energia i radość.

– Dobrze, że się nie poddałyśmy i doszłyśmy aż tutaj – przyznała Winnie. – Warto było.

– A tak się wzbraniałaś – odparła triumfalnie Lillian. – Myślałaś, że jestem lekkomyślna.

– Cóż, nawet jeśli tak było, to się myliłam. Trochę wysiłku nigdy nie zaszkodzi.

Ledwie Winnie to powiedziała, gdy poczuła na twarzy krople wody. To fala wdarła się w głąb jaskini. Dziwne, ale nie wycofała się do morza; za nią nadeszły kolejne fale, rozpryskując się wokół ich stóp.

Szybko ruszyły w głąb jaskini. Ciemne i zimne fale nadpływały jedna za drugą. Bez słowa wspięły się wyżej. Tam będą bezpieczne.

Woda wciąż się podnosiła. Próbując wspiąć się jeszcze wyżej, Lillian niechcący straciła do wody obie płócienne torby. Bezradnie patrzyły, jak fale porywają prowiant, telefony i ciepłe, suche skarpety.

– Kiedy zacznie się odpływ? – zapytała Lillian.

– Chyba za sześć godzin – ostrym tonem odparła Winnie.

– Ktoś po nas przyjdzie.

– Nikt nie wie, gdzie jesteśmy.

Milczały. Jaskinię wypełniał tylko szum wiatru i fal.

– Ciekawe, kim był Majella – odezwała się Winnie po długim milczeniu.

– Chyba był taki święty, Gerard Majella – odparła niepewnie Lillian.

Pierwszy raz nie była czegoś pewna.

– Bardzo możliwe – zgodziła się Winnie. – Kimkolwiek był, miejmy nadzieję, że potrafi wyciągać ludzi z tarapatów.

– Zgodziłaś się na to. Byłaś zadowolona, że się nie poddałyśmy.

– Rzeczywiście. Ale to było przedtem.

– Modlisz się?

– Nie, nie bardzo. A ty?

– Kiedyś tak. Teraz już nie.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Siedziały w milczeniu, wsłuchując się w grzmot fal i wycie wiatru. Wyżej był jeszcze tylko jeden gzyms, na który muszą się wspiąć, jeśli sprawy przybiorą gorszy obrót.

Były zmarznięte, przemoknięte i przerażone. I nie mogły liczyć na siebie.

Winnie zastanawiała się, czy to koniec. Pomyślała o Teddym. Pani Starr będzie musiała przekazać mu złe wieści. Nigdy się nie dowie, że przez ostatnie godziny odczuwała zimną nienawiść jego matki i ogromny żal, że dała się wciągnąć w tę idiotyczną grę. To musiało się źle skończyć, ale kto mógł przypuszczać, że aż tak?

Mimo że nie widziała twarzy Lillian, to czuła, że drżą jej ramiona, słyszała szczerkanie zębami. Ona również musi być przerażona. Ale to, do cholery, jej wina. Jednak mogły liczyć tylko na siebie.

Odezwała się po dłuższym czasie.

– To już nie ma znaczenia, ale wiesz, jak to się stało, że się tu znalazłyśmy? Mam na myśli Stoneybridge. Nienawidziłaś mnie od samego początku. A przecież obie kochamy Teddy’ego. Czy to nie powinno nas połączyć?

W jaskini Majella, w obliczu śmierci, pierwszy raz ktoś wspomniał o miłości. Dotychczas Lillian traktowała Winnie jak starą idiotkę przechodzącą menopauzę, opiekunkę jej cherubinka.

– Kocham go! – krzyknęła Winnie. – A on kocha ciebie. Więc chciałam cię poznać i spróbować cię polubić. To wszystko.

– Nie wyszło, prawda? – odparła ponuro Lillian. – Znalazłyśmy się tu przez przypadek. Nie chcę tu być tak samo jak ty. To ty znalazłaś Kamienny Dom. Posunęłaś się nawet do tego, żeby tu dzisiaj przyjść. I spójrz teraz na nas.

Cisza.

– Powiedz coś, zapytaj o coś – błagała Lillian.

– Ile masz lat?

– Pięćdziesiąt cztery.

– Wyglądasz znacznie młodziej.

– Dziękuję.

– Dlaczego udajesz, że jesteśmy w tym samym wieku? Kiedy się urodziłam, miałaś dwadzieścia jeden lat.

– Bo chciałam, żebyś zniknęła z naszego życia.

Znów cisza.

W końcu odezwała się Winnie.

– Cóż, teraz żadna z nas go nie dostanie.

– Myślisz, że z tego wyjdziemy? – Głos Lillian znacznie się postarzał.

To już nie była osoba, która zawsze wszystko wie.

Winnie poczuła, że zaczyna ogarniać ją współczucie. Starła się je pokonać, ale nie potrafiła.

– W takiej sytuacji należy myśleć pozytywnie i działać – powiedziała, przesuając się po gzymsie.

– Działać? Tutaj? Co tu można robić?

– Wiem, nie da rady się ruszyć. Mogłybyśmy coś zaśpiewać.

– Zaśpiewać? Zwariowałaś?

– Sama spytałaś.

– Dobrze, w takim razie zaczynaj.

Winnie pomyślała chwilę. Mama lubiła *Carrickfergus*.

Chciałabym, żebyś był w Carrickfergus,

Zaledwie trzy mile od Ballygrand.

Przepłynęłabym najgłębszy ocean,

Myśląc o dniach w Ballygrand...

Zamilkła. Ku jej zdumieniu Lillian dołączyła.

Ale morze jest głębokie, nie potrafię go przepłynąć,

Ani nie mam skrzydeł, żeby nad nim przefrunąć.

Gdybym tylko znalazła zręcznego wiosłarza,

Przeprawiłby na drugi brzeg moją miłość i mnie.

Obie umilkły, zastanawiając się nad słowami piosenki.

– Na pewno jest jeszcze jakaś bardziej nieodpowiednia piosenka, tylko akurat nie przychodzi mi do głowy – powiedziała przepaszająco Winnie.

Po raz pierwszy usłyszała szczerzy śmiech Lillian. Nie parsknęła, nie nabijała się ani nie szydziła. Naprawdę ją to rozbawiło.

– Mogłaś wybrać *Cool Clear Water* – powiedziała w końcu.

– Twoja kolej.

Lillian zaczęła od *The Way You Look Tonight*. Tę piosenkę śpiewał ojciec Teddy'ego w noc przed śmiercią pod kombajnem.

Następnie zabrzmiała *Only The Lonely* w wykonaniu Winnie. Znalazła nagranie krótko po tym, jak ojciec poślubił dziwną, chłodną kobietę. I *True Love* w wykonaniu Lillian. Zawsze miała nadzieję, że jeszcze kogoś pozna, ale tak się nie stało. Ciężko pracowała i za bardzo się starała, żeby stać się kimś ważnym w Rossmore. Na miłość nie było czasu.

Winnie zaśpiewała *St Louis Blues*. Tą piosenką wygrała kiedyś konkurs talentów zorganizowany w pubie. Główną nagrodą była jagnięca gicz.

– Chyba nie powinniśmy nadwerężyć głosu. Może się przydać, żeby wezwać pomoc. Jak myślisz? – zapytała Lillian, jakby naprawdę była ciekawa jej opinii.

– I tak nikt nas nie usłyszy. Najlepsze, co możemy zrobić, to myśleć pozytywnie. Znasz jakieś piosenki Beatlesów?

Padło na *Hey Jude*.

Lillian przypomniała sobie, że jej matka uważała Beatlesów za zdeprawowanych tylko dlatego, że mieli długie włosy. Na to Winnie odparła, że jej macocha nawet o nich nie słyszała. Ojciec też nie za bardzo się orientował. Trudno było porozmawiać z nimi o czymkolwiek.

– Wiedzą, że tu jesteś?

– Nikt nie wie. W tym problem.

– Chodzi mi o Stoneybridge. Wiedzą o Teddym?

– Nie. W ogóle niewiele wiedzą o moich znajomych.

– Może powinnaś go im przedstawić. Mówił, że jeszcze nie poznał twojej rodziny.

– Cóż, wiesz, jak to jest... – Winnie wzruszyła ramionami, chcąc zbagatelizować sprawę.

– On cię ze mną poznał.

– To prawda.

Wspomnienie spotkania wciąż było gorzkie. Winnie przeklinała swoją głupotę. Dlaczego zgodziła się na te przepychanki z teściową z piekła rodem? Po co z nią walczyła, udając przyjaźń? Żeby zdobyć jej syna? I jak to się skończyło? W jaskini, w oczekiwaniu, w najgorszym wypadku, na powolną śmierć przez utonięcie, a w najlepszym, gorączkę reumatyczną.

– Na początku nie byłam zbyt zadowolona – przyznała Lillian po dłuższej chwili.
– Ty też nie, ale to ty zaproponowałaś wyjazd.

– Nie tobie. Powiedziałam ci, że chciałabym przyjechać do Kamiennego Domu z Teddym. To wszystko. Sama się wprosiłaś.

– On mnie zaprosił. A ty się na to zgodziłaś.

– To już nie ma znaczenia – powiedziała Winnie zrezygnowanym tonem.

– Nie poddawaj się, proszę. Boję się. Lepiej się czuję, gdy jesteś silna. Znasz jeszcze jakieś piosenki?

– Nie – odparła z uporem Winnie.

– Musisz znać.

– Może *By The Rivers Of Babylon*?

Okazało się, że Lillian była kiedyś na weselu w kościele Świętego Augustyna w Rossmore, na którym para młoda wybrała właśnie ten utwór jako hymn weselny, a ksiądz z Polski uznał, że to pewnie jakaś stara irlandzka pieśń i śpiewał wraz z nimi.

Winnie przypomniała sobie, że gdy któregoś roku wypadła jej zmiana w Boże Narodzenie, to żeby rozweselić pacjentów, wszyscy wężykiem przeszli w tańcu przez oddziały, śpiewając przy tym właśnie tę piosenkę. Nawet kwaśna siostra oddziałowa przyznała, że pomogło.

Na to Lillian odparła, że nic nie pobije *Heartbreak Hotel*, i to właśnie zaśpiewały. Winnie przyznała, że tak właściwie to woli *Suspicious Minds* w wykonaniu Elvisa, ale znały tylko jedną linijkę, coś o złapaniu w pułapkę. Mimo to śpiewały ją w kółko, dopóki im się nie znudziło.

Podczas *Sitting On The Dock Of The Bay* Otisa Reddinga zauważyły, że poziom wody się obniżył. Żadna nie odważyła się powiedzieć tego na głos. Ale gdy stało się jasne, że zaczął się odpływ, a gardła miały zdarte od śpiewu i słonej bryzy, wyciągnęły do siebie ręce.

Zmarznięte, mokre i drżące przytulały się kilka sekund. Słowa zniszczyłyby tę kruchą nadzieję i chwiejny pokój.

Teraz to była tylko kwestia czasu.

Gdy stało się jasne, że zaginęły, pani Starr wezwała Riggera. Zorganizował ekipę poszukiwawczą, w tym szwagra Chicky.

– Ostrzegałam je, żeby nie szły na południe, więc można założyć, że tam właśnie poszły – wydusiła Chicky przez ściśnięte gardło.

Rigger zapytał, czy mówiła o jakichś konkretnych miejscach. Chicky zastanowiła się chwilę i wszystko stało się jasne.

Widziała wyzywające spojrzenie Lillian, gdy poprzedniego wieczoru ostrzegała wszystkich przed burzami. A rano Lillian wyszła bez najmniejszego wahania co do kierunku.

Mężczyźni postanowili pójść w stronę jaskini. Powiedzieli, że zadzwonią, kiedy tylko się czegoś dowiedzą.

Jednak wcześniej do pensjonatu zadzwonił Teddy Hennessy. Jest synem Lillian i dzwoni z Anglii. Przeprasza, że przeszkadza, ale nie może dodzwonić się ani do Lillian, ani do Winnie. Musiały wyłączyć telefony.

Chicky Starr zachowała się profesjonalnie i powściągliwie. Nie było sensu go niepokoić, skoro jeszcze nic nie wiadomo. Starannie zapisała numer.

– Poszły na spacer na klif. Powinny niedługo wrócić, panie Hennessy.

– Dobrze się bawią? – Najwyraźniej czekał na potwierdzenie.

– Tak. Przykro mi, że nie mogą same tego panu powiedzieć. Będzie im przykro, że przegapiły pański telefon.

– Dostałem wczoraj SMS od Winnie. Pisała, że miejsce jest cudowne.

– Miło mi to słyszeć. – Pani Starr poczuła, że głos więźnie jej w gardle. – Przyjemnie jest patrzeć, jak stare przyjaciółki dobrze się bawią...

Boże, oby nie musiała za kilka godzin rozmawiać z tym mężczyzną po raz

kolejny, mówiąc mu zupełnie co innego.

– Lillian jest moją matką, jak mówiłem. Te wakacje to okazja, żeby mogły lepiej się poznać. Rozumie pani. Cieszę się, że wszystko tak dobrze się układa.

W jego głosie brzmiały nadzieja i entuzjazm. Jak mogła mu powiedzieć, że jego twarda, bezwzględna matka zupełnie nie dogaduje się z Winnie, która okazała się jego dziewczyną? I jak może się to zmienić, jeśli zdarzyło się najgorsze?

Stała bez ruchu, dopóki Orla nie szarpnęła jej za rękaw, pytając, czy podawać kolację. Chicky wzięła się w garść i zaczęła usadzać gości. Wszyscy niecierpliwie wyczekiwali wieści o zaginionych. W powietrzu czuło się niepokój.

– Nie martwcie się, nic im się nie stanie – odezwała się Freda. – Wszystko będzie dobrze. Będą przemarznięte i głodne, ale całe.

Powiedziała to z wielką pewnością, jednak dopóki telefon nie zadzwonił, wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Były bezpieczne. Ekipa poszukiwawcza zabrała je najpierw do domu doktora Daia, ale chyba nic im nie jest. Są przemarznięte i w szoku. Chicky Starr nie dała po sobie poznać, jak bardzo jej ulżyło, i poinformowała gości, że Winnie i Lillian zaskoczył przypływ i będą potrzebowały gorącej kąpieli, ale można zacząć kolację bez nich.

Kiedy blade i zawinięte w koce stanęły w drzwiach, wszyscy zaczęli wiwatować.

Lillian rozładowała napięcie.

– Teraz już wiecie, jak wyglądam bez makijażu. Nigdy się z tego nie otrząsnę! – Roześmiała się.

– Odciał was przypływ? – zainteresowała się Freda.

– Tak, ale wiedziałyśmy, że woda się cofnie – odparła Winnie.

Drżała, jednak nie chciała robić przedstawienia.

– Nie bałyście się? – zapytali lekarze.

– Nie, nie bardzo. Winnie była wspaniała. Cały czas śpiewała, żeby podtrzymać nas na duchu. Przy okazji, świetnie wychodzi jej *St Louis Blues*. Któregoś wieczoru mogłaby dać recital.

– Tylko jeśli ty wykonasz *Heartbreak Hotel* – dodała Winnie.

– Lillian, dzwonił twój syn z Anglii. Powiedziałam, że oddzwonisz, jak wrócisz – wtrąciła się pani Starr.

– Najpierw weźmy kąpiel – odparła Lillian.

– Czy on wie, że... – zaczęła Winnie.

– Powiedziałam, że się trochę spóźnicie. To wszystko.

Spojrzały na nią z wdzięcznością.

Lillian zamyśliła się.

– Winnie, może ty do niego zadzwonisz? To twój chłopak. To z tobą chce przecież rozmawiać. Powiedz mu, że zadzwonię innym razem. – I poszła do kąpieli.

Tylko Chicky Starr i Freda O'Donovan zrozumiały znaczenie tych słów. Podczas długich godzin czekania na zmianę pływów wielkiego Atlantyku dokonała się inna wielka zmiana. Przed nimi niekoniecznie droga łatwa i przyjemna, ale wyglądało na to, że uspokoiła się nie tylko pogoda.

John

John musiał pamiętać, żeby reagować na swoje imię. Od dawna nikt się do niego w ten sposób nie zwracał, a przecież tak właśnie nazwano go na chrzcie w sierocińcu.

Dla wszystkich był Corrym.

Tak nazywał się ukochany przez dzieciaki mały cherubinek – bohater książki dla dzieci, którą zakonnice czytały podopiecznym do poduszki. John uważał, że to ładne imię, a zakonnice chciały mu zrobić przyjemność.

W sierocińcu pracował ogrodnik, starszy człowiek pochodzący z Salinas. Zawsze powtarzał, że to cudowne miejsce i pewnego dnia, gdy będzie miał wystarczająco dużo pieniędzy, wróci tam i kupi dom.

Corry powtarzał tę nazwę w nieskończoność. Salinas. Ładnie.

To będzie jego nazwisko.

I tak został Corrym Salinasem, a gdy miał szesnaście lat, dostał swoją pierwszą pracę.

Pracował w barze kanapkowym, który zaopatrywał ekipy filmowe. Corry szybko zwrócił na siebie uwagę. Nie chodziło tylko o jego kręcone na skroniach włosy, orli nos, ciemne oczy i inteligentne spojrzenie, ani porozumiewawczy uśmiech, który nigdy nie zniknął z jego twarzy. Po prostu zawsze pamiętał o gustach klientów. Który lubi masło orzechowe, a który niskotłuszczowy ser. Nic nie stanowiło problemu; nawet najbardziej męczące, mające obsesję na własnym punkcie gwiazdeczki, które najpierw składały zamówienie, potem zmieniały zdanie, a na koniec oskarżały dostawcę o pomyłkę, były pod wrażeniem.

– Nie mam pojęcia, skąd się bierze twoja cierpliwość. – Monica, jego koleżanka z pracy, była dużo mniej wyrozumiała.

– Jest wiele barów kanapkowych. Jeśli chcemy, żeby wybierali nasz, musimy się trochę postarać. Przynajmniej na początku – odpowiadał pogodnie.

Nie bał się ciężkiej pracy. Nie płacił za wynajmowany pokój nad pralnią, którą w zamian za to codziennie rano sprzątał. Nie wydawał też pieniędzy na jedzenie – w końcu pracował w barze z kanapkami. Każdego zaoszczędzonego centa przeznaczał na lekcje aktorstwa. Nie sposób mieszkać w Los Angeles i nie być częścią przemysłu filmowego.

Monica i Corry zaczęli ze sobą chodzić.

Ze swoim wyglądem Corry bez problemu mógł zostać statystą, ale to nie wchodziło w grę. Musiałby się obijać całe dni, zarabiając znacznie mniej niż w barze. Postanowił, że poczeka na pierwszą rolę mówioną. Wtedy może i agent się

znajdzie.

Wszystko było częścią planu.

Monica miała inne plany. Uważała, że powinni wynająć razem mieszkanie i założyć własny fast food. Po co harować na kogoś? Ale Corry był stanowczy. Zamierzał być aktorem. Praca na pełny etat w gastronomii nie wchodziła w grę.

Monicę to martwiło. Widziała zbyt wiele osób, które zmarnowały życie, goniąc za hollywoodzkim snem. Jej ojciec popełnił ten błąd. Jednak Corry, ten przystojniak z ekspresyjną twarzą i pewnością, że jemu się uda, był miłością jej życia. Nie chciała na niego naciskać i ryzykować, że go straci.

Potem Monica zaszła w ciążę. Nie wiedziała, jak mu o tym powiedzieć. Tak bardzo się bała, że powie, że to nie jest dobry czas na dziecko. Antykoncepcja była na jej głowie. Tak się umówili, a ona zapomniała wziąć pigułki. Długo zastanawiała się, jak mu o tym powiedzieć, żeby go nie zdenerwować. W końcu sam się domyślił.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytał czule.

– Nie chciałam niszczyć twoich marzeń.

– Teraz oprócz kariery mam jeszcze jedno marzenie: rodzinę.

Pobrali się trzy tygodnie później. Monica wprowadziła się do pokoju nad pralnią. Żeby trochę zaoszczędzić, pracowali jeszcze więcej. Lekcje aktorstwa były bardzo drogie, a słyszeli, że dziecko to również duży wydatek.

Kiedy Maria Rosa przyszła na świat, Corry Salinas miał już agenta i rolę jednego z trzech śpiewających kelnerów w wysokobudżetowej komedii muzycznej. Agent powiedział, że może nie jest to rola jego marzeń, ale to pierwszy krok do kariery. Film miał być powrotem podstarzałej i kapryśnej aktorki, która zapewne zamieni życie na planie w piekło, ale jeśli Corry się spodoba, kto wie, co z tego wyniknie.

Tak więc dołożył wszelkich starań, żeby się spodobać. Podczas długich, niekończących się dni zdjęciowych był nienagannie uprzejmy i cierpliwy. Pierwszego asystenta reżysera traktował jak Boga, a rozkapryśzonej gwiazdzie przygotowywał świeżo wyciskane soki. Rozповідаła wszystkim, że jest uroczy.

Pozostali dwaj aktorzy w rolach śpiewających kelnerów mogli pozwalać sobie na okazywanie irytacji, ale nie Corry. Jego przyklejony do twarzy uśmiech i uczynność opłacały się. Gdy tylko skończyły się prace nad filmem, zaproponowano mu udział w kolejnym.

Maria Rosa była najpiękniejszym dzieckiem pod słońcem.

Teściowie mieli nadzieję, że zięć w końcu znajdzie porządną, dobrze płatną pracę, a do tego czasu zamierzali im pomagać. Corry nie miał rodziny, która mogłaby pomóc, ale często zabierał córkę do sierocińca, w którym się wychował i gdzie zawsze był mile widziany. Ciągłe wypytywał o swoich rodziców, lecz zakonnice nie były w stanie powiedzieć mu nic konkretnego. Znalazły go pod bramą sierocińca, gdy miał jakieś trzy tygodnie. W liście napisanym po włosku błagano je, żeby się nim

zaopiekowały i dały mu szansę na lepsze życie.

– I to właśnie zrobiliście – powtarzał.

Zakonnice były zachwycone, że w sierocińcu był ktoś taki. Tak wielu z ich wychowanków opuszczało sierociniec przepełnionych goryczą, smutkiem i żalem, że musieli spędzić dzieciństwo w takiej instytucji. Teraz, gdy czasy się zmieniły i zakonnice mogły chodzić do kina i teatru, obiecały, że pójdą na każdy film, w którym zagra Corry, a nawet założą jego fanclub.

Monica sądziła, że znoszenie i wnoszenie wózka po schodach do pokoju nad pralnią będzie utrapieniem, jednak Corry nie był jeszcze gotowy na przeprowadzkę. Kariera aktorska to wielka niewiadoma. Oczywiście, będą mieli piękny dom, tylko jeszcze nie teraz.

W drugim filmie Corry zagrał nastolatka z problemami, a rozkapryszona, podstarzała aktorka wystąpiła w roli jego macochy. Recenzenci nie zostawili na niej suchej nitki. Żadna szanująca się aktorka nie przyjęłaby takiej roli. Jej kariera jest skończona. Ale chłopiec? To dopiero talent! Oferty zaczęły napływać.

Corry w końcu kupił dom, na który Monica czekała z utęsknieniem. Mimo to, gdy Maria Rosa miała trzy latka, wszystko zaczęło się psuć. Corry spędzał coraz więcej czasu w kawalerce wynajętej przez studio. Musiał bywać w nocnych klubach, na przyjęciach i imprezach charytatywnych.

Prasa zaczęła łączyć go z Heidi, koleżanką z planu najnowszego filmu. Gdy przyjechał do domu na weekend, na calutkie dwa dni, Monica zapytała wprost, czy jest w tym choć ziarno prawdy.

Corry tłumaczył, że ten cały cyrk to tylko marketing.

– Tylko?

– No dobrze, sypiam z nią, ale to nie ma żadnego znaczenia. Liczysz się tylko ty i Maria Rosa.

To był szybki rozwód. Mógł widywać córkę w każdą sobotę, a także podczas dziesięciodniowych wakacji każdego roku.

Jak słusznie przewidywano w plotkarskiej prasie, Corry nie poślubił Heidi. Młoda aktoreczka nie zniosła tego zbyt dobrze. Opowiadała w prasie, że jest ofiarą cudzołożnika.

Monica za to nie udzielała żadnych wywiadów. Milczała jak grób. Gdy Corry przyjeżdżał w soboty po córkę, nigdy nie było jej w domu. Któreś z jej rodziców otwierało mu drzwi. Padało tylko kilka słów. Spojrzenie wyrażało rozczarowanie i żal.

Czasem, kiedy Corry czuł się samotny, prosił Monicę, żeby jeszcze raz przemyślała swoją decyzję. Odpowiedź była zawsze taka sama:

– Nie mam do ciebie żalu, ale kontaktuj się ze mną tylko przez adwokata.

Z czasem dostawał coraz lepsze role.

Gdy miał dwadzieścia osiem lat, ożenił się z Sylwią. To było zupełnie inne wesele niż pierwsze. Sylvia pochodziła z zamożnej rodziny, która dorobiła się fortuny w biznesie hotelarskim. Była piękna i bardzo rozpieszczona. Rodzice niczego jej nie odmawiali. Nie protestowali, gdy zapragnęła, żeby na dwudzieste pierwsze urodziny zorganizowali jej wesele, które stanie się wielkim wydarzeniem towarzyskim.

Corry nie mógł uwierzyć, że ta wspaniała dziewczyna chce wyjść za niego za mąż. Zgadzał się na wszystkie pomysły jej rodziny. Miał tylko jedno życzenie: żeby jego dziesięcioletnia córka była jedną z dziewczynek niosących kwiaty. Odmówili z taką stanowczością, że więcej o tym nie wspomniał.

Prawnicy Sylvii i Corry'ego przygotowali szereg umów związanych z intercyzą. Media trąbiły o ślubie. Prasa walczyła o sesję zdjęciową na wyłączność.

Dzień ślubu pamiętał jak przez mgłę. Z niepohamowaną tęsknotą powracał myślami do pierwszego wesela, gdy oboje mieli po osiemnaście lat i byli pełni nadziei. Usilnie starał się o tym nie myśleć. To było wtedy, teraz jest inaczej.

„Teraz” nie trwało zbyt długo. Corry spędzał całe godziny w studiu. Ponadto był potrzebny na przymiarkach, spotkaniach promocyjnych, zagranicznych festiwalach. Sylvia się nudziła. Czas upływał jej na grze w tenisa i zbiórkach pieniędzy dla organizacji charytatywnych.

Na trzydzieste urodziny Corry'ego Sylvia planowała kolejną huczną imprezę. Akurat zbiegło się to w czasie z premierą jego najnowszego filmu. Zagrał lekarza w tarapatach, który musi podjąć bardzo trudną moralnie decyzję. Wszędzie wisiały plakaty reklamowe, z których spoglądała jego zafrasowana twarz. Kobiety do niego lgnęły. Niejedna marzyła o tym, żeby w jej towarzystwie zapomniał o dylematach moralnych.

Corry przejrzał listę gości. Sami wielcy z Hollywood i z branży hotelarskiej. Jego córka nie została zaproszona.

Tym razem postanowił być twardy.

– Ma dwanaście lat. Na pewno o tym przeczyta. Musi tam być.

– To moje przyjęcie i nie życzę sobie jej obecności. To zamknięty rozdział. Zresztą to dobry moment, żebyśmy postarali się o nasze dziecko – powiedziała Sylvia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Ze swoją pasierbicą spotkała się tylko kilka razy, tłumacząc się tym, że nie jest zbyt dobra w relacjach z małymi dziewczynkami. Wszystkie są takie głupiutkie i chichoczą z byle powodu.

W jej sposobie mówienia było coś lekceważącego, jakby dawała do zrozumienia, że zawsze dostaje to, czego chce. Dawny oszałamiająco piękny uśmiech teraz przypominał grymas.

Zapytał, czy może zaprosić którąś z sióstr z sierocińca. Chciał wybadać, na czym stoi.

– Mój drogi Corry, zupełnie nie będą tu pasować. Przecież wiesz.

– Do mojego świata zawsze będą pasować. Wychowały mnie. Dzięki nim jestem tym, kim jestem.

– Więc wyślij im pieniądze, kochany. Bardziej docenią coś takiego niż zaproszenie na salony, gdzie zapewne będą się czuły jak ryby bez wody.

Corry już wcześniej wysłał pieniądze na sierociniec. Działał też w komisji zbierającej fundusze, ale nie w tym rzecz. Przynajmniej trzy siostry w cywilu, jak zwykł je określać, bardzo by się ucieszyły z zaproszenia na tak wielkie przyjęcie. Czy te kobiety, które znalazły go na schodach sierocińca i zaopiekowały się nim, gdziekolwiek mogły się czuć nie na miejscu?

Ciśnienie mu podskoczyło. Poczł się lekko oszołomiony. Słyszał swój głos jakby z oddali, jak gdyby ktoś inny wypowiadał te słowa.

– Bez mojej córki i ludzi, którzy mnie wykształcili, wykarmili i ubrali, nie będzie żadnego przyjęcia.

– Jesteś przemęczony. Za dużo pracujesz.

– To prawda, za dużo pracuję. Nie zmienia to jednak faktu, że mówię poważnie. Jak nigdy.

Sylvia uznała, że powinni zmienić temat. Wrócą do tego kiedy indziej.

– Zmienimy temat, jeśli wyślesz im zaproszenia.

– Nie pozwolę się szantażować i zmuszać do robienia czegoś, na co nie mam ochoty.

– W porządku – powiedział Corry i małżeństwo dobiegło końca.

Zważywszy na okoliczności, rozstanie przebiegło bezboleśnie. Prawnicy Corry'ego i Sylvii trochę się poprzepychali, ale wypracowali porozumienie. Po wszystkim Sylvia zdała sobie sprawę, że bez Corry'ego jej życie towarzyskie straciło cały blask. Dała się nawet skusić na udzielenie kilku wywiadów na temat ich burzliwego małżeństwa.

Corry czytał to z niedowierzaniem. Same bzdury.

Starał się wyjaśnić córce, że życie z Sylaia było jednym wielkim stekiem kłamstw. Wszystko na pokaz. Tylko po to, żeby wzbudzić podziw i zazdrość innych. Nie było żadnych ostrych kłótni. We wszystkim jej ustępował. Prawda jest taka, że on i Sylvia zupełnie nie znali jedno drugiego.

– Tato, dlaczego się z nią ożeniłeś?

– Przypuszczam, że schlebiało mi jej zainteresowanie – odparł bez ogródek.

Maria Rosa była nad wiek mądrą dziewczynką, poza tym to samo mówiła mama, więc nie pozostawało nic innego, jak w to uwierzyć.

W ciągu dwóch kolejnych dekad Corry stał się międzynarodową gwiazdą. Każdy film z jego udziałem był sukcesem. Widywano go w towarzystwie pięknych kobiet na różnych ważnych imprezach, premierach filmowych, premierach teatralnych na

Broadwayu czy otwarciach wystaw. Był też częstym bywalcem na największym i najdroższym jachcie pływającym po Morzu Śródziemnym. Plotkarskie gazety łączyły go z kolejnymi gwiazdami filmowymi, dziedziczkami fortun, przedstawicielkami pomniejszych rodów królewskich. Wszystko wysrane z palca.

Maria Rosa odziedziczyła po ojcu ciemne oczy i romantyczną urodę. Po matce – praktyczne podejście do życia i równowagę wewnętrzną. I była pracowita jak oni oboje. Została nauczycielką i wyjechała na wolontariat za granicę. Styl życia jej ojca, gwiazdy filmowej z pierwszej ligi, zupełnie jej nie interesował. Wiedziała, że to niszczy wszelkie przejawy życia rodzinnego.

W młodości zbyt często musiała uciekać przed paparazzi, unikać rozmów z ludźmi w obawie, że ktoś wyrwie jej słowa z kontekstu i zmieni sens tego, co powiedziała. Dla córki Corry'ego Salinasa wszystkie drzwi stały otworem, ona jednak nie miała ochoty z tego korzystać.

Nigdy nie była nieprzyjaźnie nastawiona ani obrażona na ojca. Zawsze, gdy tylko wracała do Los Angeles, dzwoniła do niego, żeby go zabrać na pizzę lub do pobliskiej meksykańskiej restauracji, gdzie można było posiedzieć w spokoju, bez zamieszania towarzyszącego mu wszędzie, gdzie się pojawił.

Dowiedział się od córki, że Monica ponownie wyszła za mąż. Harvey był delikatnym człowiekiem, prowadził kwiaciarnię. Matka nigdy nie była bardziej szczęśliwa. Jediną rysą na obrazku było to, że córka nadal nie wspominała nic o własnym ślubie czy dzieciach. Wzdychała, mówiąc, że jeszcze nie poznała nikogo odpowiedniego. Zresztą, na Boga, czy to miasto nie jest najlepszym ostrzeżeniem przed małżeństwem?

Uważa się, że to niesprawiedliwe, iż mężczyźni z wiekiem wyglądają coraz lepiej. I rzeczywiście, Corry był po pięćdziesiątce i nadal mógł grać amantów, podczas gdy dla aktorki w tym wieku zdobycie jakiegokolwiek roli było nie lada wyczynem. On jednak wiedział, że to nie będzie trwało wiecznie.

Tuż przed sześćdziesiątką doszedł do wniosku, że potrzebna jest mu ostatnia, absolutnie niezapomniana rola. Poważna i wymagająca. Rola, dzięki której przejdzie do historii. Niestety nie zanosilo się na to.

Jego agent Trevor, zwany Niestrudzonym, próbował go przekonać do seriali telewizyjnych, ale Corry nie chciał o tym słyszeć. Gdy zaczynał karierę, uważano, że w serialach grają tylko starzy aktorzy, którym się nie udało. Liczy się tylko kino. Nic więcej.

Trevor wzdychał. Tłumaczył Corry'emu, że to się zmieniło. Nastaly złote czasy telewizji. Teraz scenariusze piszą fantastyczni ludzie. Jest nawet rola, która idealnie pasuje do tego, czego szuka Corry. Może zagrać prezydenta Stanów Zjednoczonych! Na swoich warunkach. Powtarzał, że prawdziwy przepis na sukces to umieć się zaadaptować do zmieniających się warunków. Ale Corry nie słuchał.

Zmiana agenta nie wchodziła w grę. Nie w tym wieku. A Trevor rzeczywiście był nieustrudzony w poszukiwaniu idealnej roli dla swojego najznakomitszego klienta. Jak mówiło stare powiedzenie: zmiana agenta jest jak zmiana leżaka na Titanicu.

Corry zawsze był zrelaksowany i na luzie, ale stał się bardziej uparty. Uważał, że wszystko wie lepiej niż agenci, studia filmowe, a nawet cała branża.

Nie posłuchał niegdyś zakonnic, które chciały, żeby został księdzem, ani właściciela baru kanapkowego, który zaoferował mu stałą pracę. Puszczając mimo uszu komentarze tych, którzy twierdzili, że jego lekcje aktorstwa to wydatek, na który nie może sobie pozwolić. Zawsze wiedział, co jest dla niego dobre.

Wkrótce stuknie mu sześćdziesiątka. Trevor chciał mu z tej okazji załatwić rolę marzeń, ale jedyne, co udawało mu się zdobyć, to kolejne oferty z telewizji.

– To świetna rola – namawiał Trevor. – Zagrasz Włocha, który myśli, że jest śmiertelnie chory, i wraca do Włoch, żeby odnaleźć swoje korzenie. I wtedy pozna pewną kobietę. Aktorki ustawiają się w kolejce do tej roli. Oczywiście pod warunkiem, że ty zgodzisz się wystąpić. Nie uwierzysz, kto się zgłosił.

– Żadnej telewizji.

– Wszystko się zmieniło, uwierz mi. Popatrz, kto teraz dostaje nagrody! Same gwiazdy telewizji.

– Nie.

Patowa sytuacja trwała tygodniami. Corry powiedział o tym córce.

– Tato, dlaczego się nie zgodzisz? Żaden z moich znajomych nie ma czasu na chodzenie do kina. Wszyscy oglądają telewizję albo ściągają z sieci. Sporo się zmieniło. Wszystko się zmienia.

Miała więcej racji, niż oboje sądzili.

Doradca finansowy Corry'ego, który zawsze dobrze wykonywał swoją pracę, poważnie odczuł skutki recesji. Stracił mnóstwo pieniędzy na nieudanych inwestycjach, więc zaczął inwestować jeszcze bardziej ryzykownie i nierozsądnie. Wszystko wyszło na jaw w dniu jego śmierci.

Wjechał prosto w mur, pozostawiając za sobą finansowy chaos.

Pierwszy raz od wielu lat Corry musiał zacząć myśleć o pieniądzach. Także przy wyborze ról. Po trochu pozbył się większości majątku.

Trevor nieustrudzenie robił, co mógł, żeby problemy finansowe nie przedostały się do prasy. Wspomniawszy też kilkakrotnie o telewizji. Tym razem Corry posłuchał.

Producenci mieli się spotkać we Frankfurcie. Chcieli, żeby Corry pojawił się na spotkaniu i osobiście potwierdził, że jest zainteresowany rolą. Dzięki temu pieniądze na produkcję popłynęły szerokim strumieniem. Trevor zapewnił, że to będzie coś, i Corry odzyskał majątek.

– Chcę mieć pewność, że mojej córce niczego nie zabraknie – powiedział Corry ponuro, pakując torbę.

Corry'ego jak zawsze dyskretnie wprowadzano na pokład tuż przed samym odlotem. Usiadł w fotelu w pierwszej klasie, nie robiąc zamieszania. Wyglądało na to, że nikt go nie rozpoznał. Na kolanach miał wstępną wersję scenariusza nowego serialu. Zajrzał do niego niechętnie. Nie miał serca do tego projektu, choć Niestrudzony Trevor uważał, że dzięki niemu znacznie poprawi swoją sytuację finansową i stanie się jeszcze bardziej popularny. Gdy dotrze do Frankfurtu, zamelduje się w hotelu, weźmie prysznic, przebierze się. Dopiero wtedy zastanowi się, co dalej. Był zmęczony. Po kilku minutach zasnął w wygodnym fotelu.

Przebudził się. Samolot jeszcze nie wystartował. Steward zaproponował mu świeży sok pomarańczowy. Poinformował, że mają lekkie opóźnienie, ale wszystko jest w porządku. Kapitan twierdzi, że zaraz wystartują.

Gdy Corry spojrział na zegarek, usłyszał komunikat. Lot został odwołany. Podjęto odpowiednie kroki, żeby wszyscy mogli polecieć jutro. Ci, którzy nie mogą czekać, zostaną skierowani do innych linii lotniczych. Niestety nie ma żadnych lotów bezpośrednich.

Corry wiedział, że jutro będzie za późno. Może zapomnieć o relaksie w hotelu. Trevor nigdy w to nie uwierzy. Nigdy mu tego nie daruje.

Na lotnisku zapanował chaos. Każdy próbował przebukować lot. Ostatecznie został tylko jeden z przesiadką w Shannon. Może zdąży. Miał jeszcze chwilę, więc zadzwonił do Trevora, który natychmiast wszystkim się zajął. Żeby nie tracić czasu, prosto z lotniska zabierze go na spotkanie. Da cynk prasie, więc zrobią kilka zdjęć, gdy Corry będzie wychodził z lotniska. Opowie jakąś bajkę o tym, że lot się opóźnił, udzieli kilku wywiadów i tyle. A potem prosto na spotkanie. Bez względu na okoliczności musi się tam pojawić. Wszyscy na niego liczą.

Wszyscy na niego liczą? No cóż. Możliwe, że się spóźni, ale przecież dojedzie. A zamartwianiem się nie przyśpieszy samolotu ani nie skróci lotu. Zasnął. Przespał cały lot, obudził się przed samym lądowaniem.

Popatrzył w dół. Po horyzont rozciągała się zielona szachownica niewielkich pól. W oddali dostrzegł wybrzeże. Maria Rosa była kiedyś w Irlandii na studenckim wyjeździe. Bardzo jej się podobało. Wspominała, że wszyscy mają jakieś historie do opowiedzenia. Jak by to było, gdyby mógł spędzić wakacje z córką? Była teraz po czterdziestce; piękna kobieta pochłonięta nauczaniem. Tak samo swobodna w kwaciarni z matką i Harveyem, jak z ojcem przy drinku w najlepszych hollywoodzkich hotelach.

Maria Rosa ciągle była sama, każde napomknienie kwitowała żartem, więc Corry przestał wypytywać. Możliwe, że spodobałyby jej się wspólne wakacje. Zaproponuje jej to zaraz po powrocie.

Zerknął na zegarek. Strasznie późno. Będzie musiał biec, żeby złapać następny lot.

Okazało się, że za późno. Corry patrzył, jak jego samolot odlatuje do Frankfurtu.

Niestrudzony Trevor wraz z całą masą reporterów będzie czekać na niego na lotnisku. Zadzwoił do niego. Odsunął słuchawkę od ucha, gdy agent wściekał się i protestował jak szalony. W końcu zabrakło mu przekleństw i wyzwisk, a głos osłabł. Zupełnie opadł z sił.

– Więc co zamierzasz?

– Jestem zmęczony, bardzo zmęczony – odparł Corry.

– Ty? – Trevor znowu się uniósł. – Niby co cię tak zmęczyło? To my odwalamy całą brudną robotę. To my musimy wyjaśniać, dlaczego cię tu nie ma.

– To przez linie lotnicze... – próbował się bronić.

– Nie wciskaj mi kitu. Byłbyś tu, gdyby naprawdę ci na tym zależało.

– Można przełożyć to spotkanie?

– Oczywiście, że nie. Za kogo ty ich masz? Przylecieli tu specjalnie, żeby się z tobą spotkać. I wszystkim udało się tu dolecieć na czas, oprócz ciebie. – Trevor znowu się wściekł.

– Skoro nici ze spotkania, to zostaję tu na tydzień. Do diabła z tym wszystkim! Muszę trochę odpocząć.

– Hej, teraz nie ma na to czasu... Już wszystko przygotowałem.

– A ja próbowałem tam dotrzeć, ale linie lotnicze nawaliły. Do usłyszenia, Trevor. Odezwę się za tydzień.

– Dokąd się wybierasz? Co będziesz robił? Nie możesz tak nagle zniknąć!

– Jestem dorosły. I stary, co wciąż mi wytykasz. Mogę wziąć tydzień, nawet miesiąc wolnego, jeśli zechcę. Do zobaczenia w Los Angeles. – Wyłączył telefon.

Poszedł po kolejną kawę. Taka wolność to dla niego coś nowego. Uniknął udziału w spotkaniu, którego się obawiał. Mógł robić, na co miał ochotę. Bez żadnych konsultacji z menedżerami, agentami czy opiekunami. Był zupełnie wolny.

Linie lotnicze wyświadczyły mu przysługę.

Tylko co teraz? Może powinien kupić przewodnik turystyczny albo znaleźć jakieś biuro podróży? Na stołach dookoła leżały przeróżne foldery reklamowe okolicznych atrakcji. Może średniowieczny festyn na zamku albo wycieczka na Moher, fantastyczny klif uważany za jeden z cudów świata? Czy nie lepiej pograć w golfa? Corry nie był tym zainteresowany.

Zaciekawiła go za to jedna skromna ulotka: Dom nad urwiskiem. Zaproszenie do ciepłego, gościnnego pensjonatu położonego wśród niekończących się plaż i klifów zamieszkałych przez niezliczone stada dzikich ptaków. Zadzwoił i zapytał o wolny pokój.

Usłyszał przyjemny głos. Kobieta powiedziała, że akurat jest jeszcze jeden. Najlepiej będzie, jak po prostu wynajmie samochód i skieruje się na północ. A gdy dotrze do Stoneybridge, zadzwoni do niej ponownie, wtedy wskaże mu dokładną

drogę do pensjonatu.

– A co z płatnością? – zapytał Corry.

Wolał nie podawać nazwiska, może uda mu się pozostać incognito. Byłoby cudownie.

– Wszystko ustalimy, gdy już będziesz na miejscu – odparła wesoło pani Starr. – Mogę prosić o nazwisko?

– John.

– W porządku. John, tylko się nie spiesz i uważaj na tutejszych kierowców. Potrafią nagle zajechać drogę bez żadnego ostrzeżenia. Miej to na uwadze, a wszystko będzie dobrze.

Ulżyło mu. Był teraz tylko zwykłym turystą jadącym na wakacje. Żadnej prasy, żadnych paparazzi.

Był mroźny, jasny poranek. Corry rzucił swój bagaż na tylne siedzenie wypożyczonego samochodu i ruszył na północ.

Musiał pamiętać, że od teraz nazywa się John.

Wyglądało na to, że goście już się zdomowili. Pensjonat okazał się dokładnie taki jak na ulotce.

John postawił kołnierz, żeby się za nim ukryć. Przywykł do tego, że gdy tylko ktoś na niego spojrzy, zaraz zerka powtórnie, krzyżąc: „O mój Boże, to Corry Salinas!”. Ale w pensjonacie nikt nie zwrócił na niego uwagi. Może Niestrudzony Trevor miał rację, mówiąc, że twarz Corry’ego już niedługo przestanie być rozpoznawalna.

Mówił, że jest biznesmenem z Los Angeles, który przyjechał na tydzień zasłużonego urlopu. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu ukrywać się za kołnierzem. Nawet jeśli ktoś go rozpoznał, najwidoczniej nie zrobiło to na nim wrażenia, ale raczej po prostu nikt nie miał pojęcia, kim on jest.

Jedzenie było dobre, a rozmowa swobodna, jednak on był wyczerpany. Dotąd zawsze musiał odgrywać jakąś rolę, dawać przedstawienie. Co za ulga, że tutaj nie musi nikogo udawać. Zarazem czuł się trochę zagubiony. Jaka była teraz jego rola?

Pierwszy poszedł do pokoju. Przeprószył wszystkich, zapewniając, że to nie on wymyślił podział na strefy czasowe. Zaśmiali się, życząc mu dobrej nocy.

Rzeczywiście spał dobrze w wygodnym łóżku, choć nie za długo. Przez zmianę strefy czasowej obudził się wyspany i gotowy do działania o trzeciej w nocy.

Zaparzył herbatę i spojrzął przez okno na fale rozbijające się o brzeg. Chciał zadzwonić do córki. W Kalifornii było osiem lub dziewięć godzin wcześniej. Możliwe, że właśnie teraz wracała do domu po długim dniu pracy w szkole.

Wziął telefon, ale się zawahał. Zastanawiał się, czy córka rzeczywiście ma ochotę słuchać o jego dziwacznych wakacjach. Zawsze była uprzejma, a jednocześnie zdystansowana. Jakby wszystko, co się tyczyło jego, działo się w jakimś nierealnym

i dzieciennym świecie notowań, recenzji i wskaźników popularności. Dla Marii Rosy był to świat zupełnie oderwany od rzeczywistości.

Zbeształ się za niepotrzebne analizowanie. Wybrał numer.

– Maria Rosa? Tu tato.

– Cześć, tato. Co słyszeć?

– Dobrze. Utknąłem w Irlandii. Miałem lecieć do Niemiec, ale nie zdążyłem na przesiadkę.

– Irlandia nie jest taka zła, tato. Mogłeś trafić w dużo gorsze miejsce.

– Wiem. Podoba mi się. Jestem na wybrzeżu atlantyckim. Strasznie tu dziko.

– Pewnie też zimno?

– Tak, ale w hotelu jest ciepło. Zostaję na tydzień.

– To dobrze, tato.

Była zaciekawiona? Znudzona? Trudno było stwierdzić z takiej odległości.

– Chciałem tylko się przywitać.

– Miło cię słyszeć, tato.

Zapadła cisza. Czy to koniec rozmowy?

– Ciebie też. – Nie chciał jeszcze kończyć. – Słyszysz w słuchawce huk fal? Są naprawdę wielkie. Brzmią prawie jak werble.

– Która jest u ciebie godzina?

– Po trzeciej.

– Tato, powinieneś się położyć – podsumowała jego jedyna córka.

Corry pożegnał się. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny i zagubiony.

Drzemał niespokojnie. Schodząc na śniadanie, czuł się słaby i wycieńczony. Kilka osób siedziało już przy stole. Wszyscy współczuli mu złego samopoczucia. Młoda pielęgniarka Winnie udzieliła mu kilku rzeczowych porad. Choć obiecał ich przestrzegać, dał się namówić na irlandzkie śniadanie jako alternatywne lekarstwo. Pani Starr postawiła przed nim dzbanek świeżo zaparzonej kawy.

Siedział nad ostatnią filiżanką, gdy Orla sprzątała ze stołu, a pani Starr przygotowywała lornetki, mapy i prowiant dla gości. Gdy wszyscy wyszli, Chicky odetchnęła z ulgą. Zdał sobie sprawę, ile ją to wszystko kosztuje.

Odwracając się, zauważyła, że ją obserwuje.

– To nasz pierwszy tydzień – wyjaśniła.

– Ale nie jesteś początkująca. Widać, że wiesz, co robisz.

– Masz rację. Ale wtedy byłam tylko pracownicą. Tutaj wszystko jest na mojej głowie. John, co chciałbyś dziś robić? Może wypijesz jeszcze jedną filiżankę kawy, a ja w tym czasie opowiem ci o okolicy?

Miło gawędzili przy kolejnym dzbanku kawy. W dużo lepszym nastroju i przenikliwym blasku słońca wyruszył na swój pierwszy spacer.

Za radą Chicky skierował się w głąb łądu. Szedł odludną ścieżką, mijał owce

o czarnych pyskach i zakręconych rogach. A może to kozice? Gdy dorastał, nie miał zbyt wiele okazji poznawania przyrody. Było tyle rzeczy, o których nie wiedział.

Dotarł do małego pubu. Z jasnego, chłodnego blasku dnia trafił wprost w ciemność. W środku płonęło torfowe ognisko. Kilku mężczyzn, zaciekawionych przybyszem, podniosło wzrok znad kufli.

John uprzejmie wszystkich przywitał. Jest Amerykaninem, dodał niepotrzebnie, zatrzymał się w Kamiennym Domu. Pani Starr powiedziała mu, że warto odwiedzić ten pub.

– Przyzwoita kobieta. – Właściciel, zadowolony z pochwały, z większym niż zwykle zapalem polerował kufle.

– Większość życia spędziła w Ameryce. Stamtąd pan ją zna? – zapytał jeden z gości.

– Nie. Wczoraj na lotnisku w Shannon zobaczyłem reklamę jej pensjonatu. I oto jestem!

To naprawdę było wczoraj? Corry już teraz czuł się zupełnie oderwany od swojego świata.

Postawny mężczyzna w wielkiej czapce spojrzął na Johna przenikliwie. Miał szeroką, czerwoną twarz i małe, ciekawskie oczka.

– Wyglądasz jakoś znajomo. Na pewno nie byłeś wcześniej w tych stronach?

– Nigdy. Jestem tu pierwszy raz. Mieszkacie w pięknym zakątku świata.

Zrobiło im się miło. Corry do perfekcji opanował sztukę odwracania uwagi od własnej osoby. Wystarczy kilka pochwał i sprawa załatwiona.

– Chicky Starr wyszła za Jankesa. Biedak zginął w koszmarnym wypadku samochodowym – powiedział rumiany mężczyzna.

– Panie, zmiłuj się nad jego duszą – zgodnie dodała reszta zgromadzonych.

– To straszne – przyznał John.

– Tak. Chicky była zdruzgotana. Ale się pozbierała. I to jak! Wróciła do siebie i kupiła stary dom panien Sheedy. Wieki zajęło doprowadzenie go do porządku. Nie uwierzyłbyś, ile pracy to kosztowało.

– Z pewnością to bardzo komfortowe miejsce – zgodził się John.

– Polecisz je swoim znajomym w Ameryce?

– Jasne.

John zastanawiał się, czy zna kogoś w Los Angeles, kto byłby zainteresowany pobytem tutaj.

Zostawili go w spokoju, żeby mógł skosztować zamówionej zupy i guinnessa. Czuł się zadziwiająco swobodnie w ich towarzystwie. Słuchał, jak dyskutują o Franku Hanrattym, który pomalował swojego vana na jasnorożowo, żeby zawsze i bez najmniejszego problemu mógł go znaleźć. Frank nic nie widzi, nawet w okularach, mimo to ciągle jeździ samochodem. Jeszcze nigdy nie miał żadnego wypadku.

Jeszcze... Nigdy się nie ożenił, lecz mimo to prowadzi ciekawsze życie towarzyskie niż każdy z nich. Gdziekolwiek by się pojawił, wszędzie jest mile widziany. Ma fioła na punkcie kina. Co tydzień jeździ swoim różowym vanem trzydzieści mil do kina. Zawsze ogląda przynajmniej dwa filmy.

Rozmowa spokojnie toczyła się po sali. John wyobrażał sobie zwyczajne, pozbawione większych oczekiwań życie Hanratty'ego zadowolonego z tego, co ma. Zastanawiał się, czy nie postawić im wszystkim kolejki. Pewnie na tym skończyłoby się w filmie, ale życie to nie film, a oni mogliby się poczuć urażeni, więc tylko uśmiechnął się szeroko i obiecał, że jeszcze tu zajrzy.

– Wyśmienita zupa. I pyszne te kawałki kurczaka.

Trafił w sedno. Właściciela nic nie mogło bardziej ucieszyć.

– Ten kurczak jeszcze wczoraj rano biegał po podwórzu – stwierdził z dumą.

Spacer działał cuda. Złe samopoczucie znikło i John spokojnie przespał noc. Obudził się o szóstej rano. Z przyjemnością leżał w łóżku, wsłuchując się w szum wiatru i morza, głośniejszy niż wczoraj. Wiatr zmienił kierunek i teraz dudnił w szyby. Gdy John w końcu wstał z łóżka, zobaczył ciemne, złowieszcze fale.

Podczas śniadania pani Starr ostrzegła wszystkich przed złą pogodą. John planował wyruszyć wzdłuż skalistego, pełnego małych zatoczek brzegu morza, ale zrezygnował. Nie wiedząc, jaką drogę wybrać, ociągał się z wypiciem ostatniej filiżanki kawy. Przy drzwiach wyjściowych zrobił się spory tłum. Gdy wszyscy wyszli, John uśmiechnął się do Chicky, dając w ten sposób znak, żeby się do niego przysiadła.

– Słyszałem, że spędziłaś sporo czasu w Nowym Jorku.

Polubił te pogawędki. Było coś kojącego w zwyczajnej rozmowie z ludźmi, którzy ani niczego o nim nie wiedzieli, ani nie mieli wobec niego żadnych oczekiwań.

Następnego poranka John znów jako ostatni skończył śniadanie. Obserwując, jak Orla sprząta ze stołu, zagaił Chicky:

– To wspaniale, że masz tu rodzinę, która ci pomaga – odezwał się.

– Tak. Co prawda Orla miała inne plany, ale nie wypaliły i wygląda na to, że podoba jej się tu i zostanie jeszcze trochę. – Pani Starr zazwyczaj nie sprawiała wrażenia zabieganej, jednak tego ranka wyglądała na dosyć zajętą.

– Czy ja przypadkiem nie przeszkadzam?

– Przepraszam, John, rzeczywiście jestem dziś trochę rozkojarzona. Samochód mi się zepsuł. Dinny go naprawi, ale dopiero wieczorem. Rigger, nasz menedżer, musi dziś zawieźć dzieci na szczepienie. A ja i Orla miałyśmy dziś zrobić zakupy. Sama nie...

– Mogę was podwieźć – zaproponował bez namysłu.

– Wykluczone. Przecież jesteś na wakacjach.

Orla włączyła się do rozmowy.

– Daj spokój, Chicky. John nie ma nic przeciwko temu. To tylko piętnaście minut drogi. Pojadę sama, jeśli chcesz. Z powrotem załatwię inny transport.

Chicky się zgodziła.

Orla była bardzo ładna. Droga do miasta upłynęła im na miłej pogawędce.

– Wiem, że to nie fair, w końcu jesteś na wakacjach, ale Chicky ma tyle na głowie. To jej pierwszy tydzień. Pomyślałam, że się nie obrazisz.

– Oczywiście, że nie. Cieszę się, że mogę pomóc. Chętnie pójde z tobą na zakupy. Lubię chodzić po sklepach – zaproponował John.

Był pod wrażeniem rozmów Orli z rzeźnikiem i serowarem, a także emocjami i przepychankami w warzywniaku. Uwinęli się szybko.

– Dziękuję bardzo. Poprosiłam jednego z O’Harów, żeby mnie podwiózł do Kamienego Domu, więc jesteś już wolny. Korzystaj z urlopu i baw się dobrze.

– Właściwie to chciałem się jeszcze napić kawy. Tam jest kawiarnia. Co powiesz na to, żebyśmy zostawili zakupy w samochodzie i wstąpili na chwilę? Góra dziesięć minut.

Rozmowa płynęła bardzo swobodnie. Opowiedziała mu, jak o mały włos nie pojechała do Nowego Jorku, żeby odwiedzić Chicky i wujka Waltera. I oczywiście właśnie wtedy biedny wujek zginął w wypadku.

Orla była kiedyś na kursie w Dublinie. Potem razem z koleżanką Brigid wyjechała do pracy do Londynu. Na początku świetnie się bawiły, ale koleżanka zaręczyła się i wyszła za mąż za szaleńca, a ona nie mogła sobie znaleźć miejsca. Tęskniła za morzem i klifami, więc wróciła. Gdyby nie Chicky, nie znalazłaby tu pracy. Stoneybridge działa kojąco. Odzyskała spokój.

– Chyba wiem, co masz na myśli. Jestem tu krótko, a już czuję się lepiej.

– To musi być dla ciebie zupełnie inny świat – dodała ze współczuciem.

– To prawda – przyznał, nie wchodząc w szczegóły.

– Przypuszczam, że u siebie nie mógłbyś po prostu usiąść w kawiarni, żeby napić się kawy.

Spojrzał na nią badawczo.

– Co masz na myśli? – zapytał w końcu.

– John, przecież wiemy, kim jesteś. Obie z Chicky wiedziałyśmy od początku.

– Ale nic nie powiedziałyście – odparł zbity z tropu.

– Przedstawiłeś się jako John. Chciałeś być incognito. Dlaczego miałybyśmy się wtrącać?

– Inni goście też wiedzą?

– Tak, chłopak ze Szwecji przejrzał cię pierwszej nocy. A Henry i Nicola, ta para z Anglii, zapytali Chicky, czy jesteś tu incognito.

– Wszystko inne jest prawdą. Rzeczywiście byłem w drodze na spotkanie biznesowe w Niemczech i naprawdę przyjechałem tu pod wpływem impulsu.

– Pewnie. John, dla nas nie ma znaczenia, za kogo się podajesz. To twoje życie, twoje wakacje.

– Ale skoro wszyscy już wiedzą...? – zapytał z powątpiewaniem.

– Po prostu szanują twoją prywatność. Zresztą, przede wszystkim koncentrują się na własnych problemach.

– To, że wiedzą, z pewnością rozwiązuje pewne problemy. Miałem tylko nadzieję, że chociaż na chwilę uda mi się zupełnie odciąć się od swojego życia i wszystkiego, co się z nim wiąże.

– To zapewne uciążliwe. Ciągłe musisz się tłumaczyć i odpowiadać na te same pytania. Znasz Toma Cruise'a? A Brada Pitta?

– Nie to jest najgorsze. Chodzi o oczekiwania ludzi. Myślą, że ja naprawdę jestem postaciami, które gram. Mam wrażenie, że zawsze są rozczarowani.

– Szczerze wątpię. Wszyscy uważamy, że jesteś uroczy. Właściwie już dałam sobie spokój z facetami, ale ty wpadłeś mi w oko.

– Nie żartuj ze staruszka. – Roześmiał się.

– Mówię poważnie. Chciałabym, żebyś miał więcej frajdy z tego, kim jesteś. A jesteś znanym na całym świecie człowiekiem sukcesu, którego wszyscy uwielbiają. Gdybym osiągnęła to co ty, byłabym szczęśliwa i dumna jak paw.

– Grałbym tylko kolejną rolę. Tak samo jak każdego dnia w pracy. W swoim prywatnym życiu chciałbym móc być po prostu sobą.

Orla zastanawiała się chwilę.

– Przecież z rodziną możesz być sobą, prawda?

– Mam tylko córkę. Pierwszej nocy dzwoniłem do niej do Kalifornii.

– Mówiłeś jej o Kamiennym Domu? Mogłaby nas kiedyś odwiedzić ze swoją rodziną.

– Nie założyła rodziny. Jest nauczycielką.

– Musi być z ciebie bardzo dumna. Wpadasz czasem do niej do szkoły, żeby pogadać z uczniami?

– Nie. Boże broń!

– Nie chcą poznać gwiazdy filmowej? – zapytała zaskoczona.

– Maria Rosa chyba tego nie chciała.

– Założę się, że się mylisz. Pytałeś ją o to?

– Nie. Ale nie chcę wchodzić z butami w jej życie.

– Boże, jesteś najwspanialszym ojcem na świecie! Dlaczego moi rodzice nie są tacy jak ty?

Corry natychmiast przełączył się na tryb słuchania. W nim czuł się najswobodniej.

– Trudno się z nimi dogadać? – zapytał ze współczuciem.

– Szczerze mówiąc, tak. Chyba chcieliby, żebym była inna. Sądzą, że za wcześnie się wyprowadziłam. Uważają, że się marnuję, zmywając naczynia u Chicky.

Dokładnie tak to ujęli. Ich zdaniem powinnam poślubić któregoś z bosko okropnych O'Harów i zamieszkać w ordynarnym, wielkim domu z kolumnami przed wejściem i trzema łazienkami.

– Tak powiedzieli?

– Nie musieli. Przecież to oczywiste.

– Może po prostu chcą dla ciebie jak najlepiej, tylko nie wiedzą, jak to powiedzieć.

– O nie, moja matka potrafi doskonale wyrażać swoje myśli. Jej kazanie o tym, jak to marnuję sobie życie, słyszę zawsze co najmniej na cztery różne sposoby.

– Zostawmy na chwilę bosko okropnego O'Harę, jak to ujęłaś. Jest ktoś, kto naprawdę ci się podoba? – zapytał delikatnie.

Nie był nachalny, tylko zainteresowany.

– Nie. Na razie dałam sobie spokój z facetami.

– Szkoda, na pewno są wśród nich wartościowi ludzie.

Miał cudowny uśmiech. Odrobinę ironiczny, radosny.

– Wolę nie ryzykować. Z pewnością znasz to z autopsji.

– Nie, nie znam. Byłem dwukrotnie żonaty. I w wielu nieformalnych związkach. Nie powiem, że rozumiem kobiety, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby od nich stronić.

– John, nie ma co porównywać. Za tobą szaleje cały świat.

– Wyglądasz mi na taką, która sama ma spory wybór.

– Wcale nie. Zresztą nie chcę się w to bawić. W najlepszym razie skończyłoby się na kompromisie, w najgorszym to mógłby być koszmar.

– Nigdy nie byłaś zakochana?

– Prawdę mówiąc, nie. A ty?

– Kochałem Monicę, moją pierwszą żonę. Może dlatego, że byliśmy wtedy bardzo młodzi, a wszystko było nieznane i ekscytujące, no i mieliśmy córkę. Ale myślę, że to naprawdę była miłość.

– Mnie nigdy to nie spotkało.

– Świadomie tego unikasz.

– To nie tak. Po prostu nie pozwolę robić z siebie idiotki. I nie interesują mnie żadne kompromisy. Za dużo ich widziałam. Moi rodzice nie mają o czym ze sobą rozmawiać. Pewnie nigdy nie mieli. Moja ciotka Mary poślubiła człowieka, który ma chyba ze sto lat i żadnego kontaktu z rzeczywistością, ale jest bogaty. Chicky za to wyszła za mąż z miłości, ale ukochanego zmyło z powierzchni ziemi. Nie wygląda to zbyt zachęcająco.

– Może nie dajesz nikomu szansy, żeby cię lepiej poznał. Od razu wkładasz zbroję.

– Może. Nie chcę z nikim walczyć. Samo tak wychodzi.

– Nie to miałem na myśli...

– Ale największym problemem są rodzice. Ciągłe się wtrącają do mojego życia. Nie mam już siły udawać, że mi to nie przeszkadza.

– No tak, rodzice zawsze źle do tego podchodzą. To walka o władzę – stwierdził smutno.

– Wygląda na to, że ty jakoś sobie poradziłeś.

– Wcale nie. Chciałem dla niej jak najlepiej, ale nic z tego nie wyszło. Spieprzyłem na całej linii.

– Jacy byli twoi rodzice?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, kim był mój ojciec, a matka zostawiła mnie w sierocińcu.

– Tak mi przykro. – Orla położyła dłoń na jego ręce. – Ale ze mnie oślica. Nie wiedziałam. Mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

– Nic się nie stało. Próbuję ci tylko wyjaśnić, dlaczego tak ważna jest dla mnie rodzina. O swojej matce wiem tylko tyle, że mówiła po włosku i zostawiła mnie pod drzwiami sierocińca prawie sześćdziesiąt lat temu. Mijały dni, miesiące i lata, a ja wciąż zastanawiałem się nad tym, czy u niej wszystko w porządku i dlaczego mnie porzuciła.

Orla ścisnęła jego dłoń w geście solidarności.

– Założę się, że ona też cały czas o tobie myślała. Tylko spójrz, co osiągnęłaś. Byłaby z ciebie taka dumna.

– Naprawdę? Rzeczywiście, jestem sławny, ale jak sama zauważyłaś, nie potrafię się tym cieszyć. Może ona chciałaby, żebym dobrze się bawił, był szczęśliwszy i bardziej spokojny.

– Ubijmy interes – zaproponowała Orla. – Zacznę dawać szansę mężczyznom. Nie będę z góry zakładać, że wszyscy są koszmarnymi nudziarzami. Spróbuję myśleć jak Amerykanie: nieznamy to przyjaciel, którego jeszcze nie poznałem!

– To nie tylko amerykańskie podejście.

– Może i nie. W każdym razie nie będę reagować odruchem wymiotnym na samą myśl o randce z którymś z braci lub wujków Brigid O'Hary. Zaryzykuję. Może być?

– Znakomicie.

Uśmiechnął się szeroko. Podobał mu się jej entuzjazm.

– W zamian za to ty zaczniesz się cieszyć z tego, kim jesteś. John, wszyscy uwielbiają gwiazdy. Życie zwykłych ludzi jest nudne. Spotkanie gwiazdy to wielkie wydarzenie. Spróbuj to zrozumieć.

– Obiecuję. Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób.

– A, jeszcze córka. Nie możesz z nią porozmawiać tak jak ze mną? Pięknie mówiłeś o miłości. Każde dziecko byłoby zachwycone, mając takiego ojca.

– Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem.

– Może czas zacząć? Mógłbyś jej powiedzieć, że bardzo chciałbyś się z nią spotkać i poznać jej przyjaciół. Oczywiście, jeśli nie będą mieli nic przeciwko temu. Na pewno się ucieszy.

– Boję się odrzucenia.

– Ja też ryzykuję. Ale przecież mamy umowę?

– No dobrze. Ale masz też dać spokój swoim rodzicom. Wiem, że doprowadzają cię do szału, ale chcą dla ciebie jak najlepiej.

– Spróbuję. Pewnie zostanę świętą jeszcze za życia, ale spróbuję! – Roześmiała się.

Przypieczętowali umowę uściskiem dłoni i ruszyli w drogę powrotną.

Mijali klub golfowy. Kilku wytrwałych golfistów było w trakcie rozgrywki. Przy wejściu stał krzykliwie różowy van.

– O Boże, Frank już pewnie pije ciepłą whisky! – Orla westchnęła.

John gwałtownie zahamował.

– Sam chętnie bym się napił.

– Nie możesz. Nie jesteś członkiem klubu. Zresztą nie jadłeś nic od śniadania.

Ale John zaparkował i ruszył w stronę drzwi. Zaniepokojona Orla pobiegła za nim.

Przy pustym barze siedział rozczochrany staruszek. Czytał gazetę przez szkło powiększające. Podniósł wzrok, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wszedł mężczyzna po pięćdziesiątce, w drogiej skórzanej kurtce.

– A niech mnie diabli, jeśli to nie Frank Hanratty! – powiedział nieznajomy.

– Hm... Tak? – Do Franka rzadko zbliżali się ludzie, którzy go znali, a nieznajomi właściwie nigdy.

– Jak się masz, Frank, mój stary druhu?

Spojrzał na niego.

– Corry Salinas! – wykrztusił w końcu z niedowierzaniem.

– Zgadza się, a kogo się spodziewałeś?

– Ale skąd wiesz, kim jestem?

– Nie dalej jak wczoraj rozmawialiśmy o tobie w pubie. Dowiedziałem się, że jesteś wielkim znawcą kina. A teraz cię spotykam.

– Ale skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zapytał Frank oszołomiony.

– To chyba twój samochód stoi na zewnątrz?

Frank skinął głową. To miało sens.

– Może napijesz się ciepłej whisky, eee, Corry? – zaproponował.

– To dla mnie trochę za wcześnie. Ale nie pogardzę filiżanką kawy. Poznałeś już moją przyjaciółkę Orlę?

Usiedli i rozmawiali o filmach. Barman przyniósł im kawę do stolika.

– Nie mogę uwierzyć, że wpadłeś tu, żeby się ze mną zobaczyć. – Frank był

najszczęśliwym człowiekiem na świecie.

John i Orla spojrzeli na siebie.

Wykorzystana szansa.

Henry i Nicola

Gdy Henry skończył medycynę, jego rodzice mieli nadzieję, że wybierze specjalizację, może nawet chirurgię. Oboje z zawodu lekarze żalowali, że nie kształcili się dalej. „Jakie możliwości otworzyłyby się przed nami” – mawiali w zadumie.

Jednak Henry był nieugięty. Zamierzał zostać lekarzem rodzinnym.

W gabinecie rodziców nie było miejsca, ale on i Nicola mogą wyjechać gdzieś na wieś. Szybko poznają mieszkańców, postarają się o dzieci i staną się częścią miejscowej społeczności.

Henry poznał Nicolę w pierwszym tygodniu studiów. Choć byli bardzo młodzi, zaledwie po kilku tygodniach znajomości oboje zrozumieli, że są dla siebie stworzeni. Rodziny prosiły, żeby poczekali, pobyli trochę razem, zanim zdecydują się na ślub. Po czterech latach powiedzieli, że nie mogą dłużej czekać.

Skromny, radosny ślub odbył się w rodzinnym mieście Nicoli. Goście zgodnie przyznali, że w tym skomplikowanym świecie, pełnym zamętu i nieporozumień, młodzi są niczym dwie skały na wzburzonym morzu.

Dobrze przygotowali się do zawodu, odbywając półroczne staże na oddziale położniczym, chorób serca i pediatrii. Wkrótce czuli się gotowi powiesić na drzwiach gabinetu tabliczkę z własnym nazwiskiem. A gdy zaczęli rozglądać się za idealnym miejscem, w którym mogliby osiąść, postanowili postarać się o dziecko. Nadszedł już czas.

Trudno było znaleźć wymarzone miejsce, ale bardziej skomplikowane okazało się poczęcie dziecka. Nie mogli tego zrozumieć. Przecież byli lekarzami, wiedzieli wszystko o płodności i planowaniu potomstwa. Wyniki badań były prawidłowe. Zachęcano ich do dalszych prób, których i tak nie mieli zamiaru zaniechać. Po roku poddali się sztucznej zapłodnieniu. Bez efektu.

Znieśli wypowiedane w dobrej wierze, jednak irytujące komentarze rodziców, którzy nie mogli doczekać się wnuków, i przyjaciół oferujących pomoc w opiece nad dzieckiem.

Niezależnie od tego, czy im się uda, czy nie, Henry i Nicola wiedzieli, że przetrwają wszystko. Poradzili sobie nawet z tragedią, która rozegrała się na ich oczach. Jakiś młody szaleniec pod wpływem narkotyków przyprowadził swoją poturbowaną dziewczynę na izbę przyjęć i na oczach wszystkich zastrzelił najpierw ją, a potem popełnił samobójstwo.

Chwalono ich za to, jak świetnie poradzili sobie z sytuacją, jak pomogli

pacjentom dojść do siebie po tym traumatycznym wydarzeniu. Tak naprawdę przeżyli głęboki wstrząs. Dręczyło ich wspomnienie tego straszego poranka. Co prawda byli przygotowani do radzenia sobie ze śmiercią, ale ta była zbyt trudna, okrutna i bezsensowna. Wszystko straciło sens. Poszukiwanie idealnego miejsca przestało być ważne.

Pewnego dnia Nicola zobaczyła kuriozalną ofertę pracy. Firma oferująca rejsy śródziemnomorskie szukała lekarza pokładowego. Rozbawiło ich to. Co za życie! Gra w tenisa, sączenie koktajli z kapitanem, leczenie lekkich niestrawności i oparzeń słonecznych. To musi być prawdziwy piknik. I nagle ich olśniło. Zawsze ciężko pracowali i nigdy nie mieli czasu na wakacje za granicą. Może tego właśnie potrzebują? Zmian, słońca i odpoczynku. Wszystkiego, co pozwoli im zapomnieć o tamtym feralnym dniu i ukoji próżny żal, że nie zdołali przewidzieć i zapobiec tragedii.

Wysłali aplikację i poszli na rozmowę kwalifikacyjną.

Okazało się, że firma potrzebuje tylko jednego lekarza, ale mogą podróżować razem, jeśli drugie zajmie się czymś innym.

Nicola doszła do wniosku, że może uczyć gry w brydża i prowadzić pokładową bibliotekę.

– Albo możesz leczyć, a ja poszukam innego zajęcia – zaproponował Henry.

– Najchętniej widzieliby cię w roli bawidamka. Będiesz bezpieczniejszy w białym kitlu w gabinecie. – Roześmiała się.

I podpisali umowę.

Szybko przywykli do życia na statku i stali się powszechnie lubianą parą. Pasażerowie byli zrzędcy, ale nieszkodliwi, a ich dolegliwości przede wszystkim związane z wiekiem. Potrzebowali kogoś, kto ich uspokoi i doda otuchy. Henry był świetny na obu polach.

Nicola zaś coraz lepiej radziła sobie na swoim. Zaczęła nawet prowadzić zajęcia z obsługi komputera, telefonów komórkowych i Skype'a.

Widzieli miejsca, których bez tego nigdy by nie zobaczyli. Jak inaczej mogliby zwiedzić suki i targowiska w Tangerze, kasyna w Monte Carlo, ruiny Pompejów i Efezu? Stali przed Ścianą Płaczu w Jerozolimie, pływali w błękitnych wodach otaczających Kretę.

To miała być tylko półroczna przygoda, ale gdy firma zaproponowała im przedłużenie umowy, bardzo trudno było odmówić. Nigdy w życiu nie byli tak zrelaksowani; w końcu mieli czas, żeby ze sobą porozmawiać, podzielić się doświadczeniami. Nigdy przedtem nie było im tak lekko na duchu. Powoli zaczęli zapominać o tragedii.

Na dodatek na zimę zaplanowano rejsy po Karaibach. Jak inaczej mogli zobaczyć miejsca tak odległe? Cóż za okazja! Przedłużyli umowę.

Spacerując po starych plantacjach na Jamajce lub siedząc wśród egzotycznych kwiatów Barbadosu, gratulowali sobie szczęścia, które ich spotkało. Czasem rozmawiali o powrocie do prawdziwej medycyny i adopcji. To były jednak tylko luźne rozmowy. Byli teraz tacy szczęśliwi.

Wypoczywali, ale mieli też obowiązki. Henry trafnie zdiagnozował zapalenie wyrostka robaczkowego, zorganizował transport helikopterem do szpitala i tym samym uratował życie chłopcu. Nicola zaś ocaliła pewną staruszkę, stosując na niej chwyt Heimlicha. Henry potwierdził, że szesnastolatka jest w ciąży, i pomógł jej przekazać tę wiadomość rodzicom. Nicola spędziła wiele godzin z kobietą cierpiącą na depresję, która wybrała się w rejs, żeby popełnić samobójstwo. Skończyło się jednak na liście do prezesa, w którym napisała, że nikt nigdy nie opiekował się nią tak troskliwie i że teraz czuje się dużo lepiej.

Więc zaproponowano im wiosenne rejsy po Skandynawii.

Nicola przedstawiła kierownikowi rejsu pewien pomysł. Może zatrudnią fryzjera, żeby nauczył mężów, jak modelować włosy żon?

Spojrzał na nią zakłopotany, ale ona nalegała. Kobietom spodoba się zaangażowanie i troska partnerów, mężczyźni zaś kupią pomysł, bo pozwoli im zaoszczędzić pieniądze.

– A co z naszym salonem piękności?

– Najpierw będą musieli poddać się cięciu i stylizacji w salonie. Proszę mi wierzyć, opłaci się.

I miała rację. Zajęcia należały do najpopularniejszych.

Oboje zakochali się w wybrzeżu Norwegii, od Bergen do Tromsø. Stali przy relingu obok siebie i podziwiali zapierające dech fiordy skąpane w świetle słonecznym. Pasażerowie jak zwykle byli albo starymi wyjadaczami, albo żółtodziobami onieśmielonymi ilością rozrywek, jedzenia i picia.

Trzeciego dnia rejsu stewardesa Beata zjawiała się u Henry'ego. Atrakcyjna blondynka z Polski powiedziała, że ma do niego bardzo, ale to bardzo niezręczną sprawę.

Henry poprosił, żeby bez pośpiechu wyjaśniła, o co chodzi. Miał nadzieję, że nie będzie mówiła o jakichś poważnych problemach zdrowotnych.

Beata splotła ręce i odwróciwszy wzrok, zaczęła opowiadać. Problem dotyczył Helen Morris, kobiety zajmującej kajutę 5347. Podróżowała z matką i ojcem.

Beata zamilkła.

Henry pokręcił głową.

– Cóż, to kajuty rodzinne, prawda? W czym konkretnie tkwi problem?

– Problemem są rodzice. Ojciec jest ślepy, a matka ma demencję.

– To niemożliwe. Takie rzeczy trzeba zgłosić przed wejściem na pokład. I podpisać specjalne oświadczenie ubezpieczeniowe.

– Najpierw zamyka matkę w kajucie, a ojca zabiera na spacer, żeby zaczerpnął świeżego powietrza, a potem odwrotnie. Nigdy nie schodzą na ląd. Wszystkie posiłki jedzą w kajucie.

– Ale dlaczego mi to mówisz? Nie powinnaś tego powiedzieć kapitanowi lub kierownikowi rejsu? – Henry był zdziwiony.

– Wyszadliby ich w najbliższym porcie. Takie osoby na pokładzie to za duże ryzyko. – Beata pokręciła głową.

– Ale co ja mogę zrobić? – Henry naprawdę się pogubił.

– Teraz wiesz. To wystarczy. Musiałam komuś powiedzieć. Ty i twoja żona jesteście bardzo mili. Znajdziecie jakieś wyjście.

– Ile ta Helen Morris ma lat?

– Myślę, że około czterdziestu.

– Czy wygląda na zrównoważoną?

– Tak, jest w porządku. Przynoszę jej posiłki do kajuty. Ufa mi. Powiedziała, że to jedyny sposób, żeby mogli pojechać na wakacje. Będziesz wiedział, co robić.

Jeszcze tego samego wieczoru Henry powiedział o wszystkim Nicoli. Wiedzieli, co powinni zrobić. Powinni zgłosić, że pasażerka skłamała w sprawie stanu zdrowia i kondycji rodziców. Wiedzieli, że nawet solidne ubezpieczenie firmy nie pokryje ewentualnego odszkodowania.

Ale jaką decyzję podjąć?

– Może pójdziesz z nią porozmawiać? – zaproponowała Nicola.

– Nie chcę zostać wciągnięty w znową.

– Oczywiście, że nie. Zrobisz to, co należy. Chodzi jedynie o to, żeby ta kobieta nie była tylko nazwiskiem. Porozmawiaj z nią, Henry, proszę.

Sprawdził ich deklaracje. Nie było żadnej wzmianki na temat upośledzenia lub inwalidztwa któregoś z rodziców. Helen podała adres w zachodnim Londynie, gdzie mieszkali wszyscy we troje.

Zapukał do drzwi kajuty 5347. Otworzyła mu blada, długowłosa kobieta. Miała wielkie oczy przepełnione niepokojem.

– Och, pan doktor? – przywitała go lekko podenerwowana.

Henry trzymał teczkę.

– To tylko rutynowa wizyta. Odwiedzam wszystkich pasażerów, którzy skończyli osiemdziesiąt lat. Na wszelki wypadek – powiedział trochę zbyt ostrym tonem.

– Nic im nie jest. Dziękuję, doktorze.

– Może mógłbym ich poznać, żeby...

– Matka śpi, a ojciec słucha muzyki – odparła.

– Chciałbym mimo wszystko – nalegał.

– O co tak naprawdę chodzi?

Zmarszczyła brwi.

– Nie przychodzą na posiłki, więc chciałem zobaczyć, czy nie cierpią na chorobę morską.

– Ktoś panu coś powiedział? – zapytała wystraszona.

– Nie, nie – odparł zdecydowanie. – To zwykła wizyta. Należy do moich obowiązków. – Uśmiechnął się, czekając na zaproszenie.

Helen przez pół minuty patrzyła na niego badawczym wzrokiem. W końcu podjęła decyzję.

– Proszę wejść, doktorze – powiedziała, otwierając drzwi na oścież.

Henry zobaczył staruszkę – siedział w fotelu ze słuchawkami na uszach i wystukiwał nogą rytm. Niewidomy zwrócony był w stronę kajuty. Za oknem powoli przesuwał się zjawiskowy krajobraz norweskich fiordów. Żona siedziała na łóżku, trzymała lalkę, którą próbowała uspić, powtarzając w kółko: „Mała Helen, mała Helen”.

Henry przełknął ślinę. Nie był na to przygotowany.

– Rutynowa kontrola, jak mówiłem – odchrząknął.

– Będzie pan musiał to zgłosić? – Helen miała zaczerwienione oczy i błagalne spojrzenie.

– Tak.

– Dlaczego, doktorze? Radziłam sobie przez cztery dni. Zostało jeszcze dziewięć.

– To nie takie proste. Mamy bardzo jasną politykę.

– Żadna polityka nie pomoże mi zorganizować im wakacji. Odrobiny świeżego powietrza, jakiejś odmiany od mieszkania w Hammersmith z niekończącymi się schodami. To moja jedyna szansa, doktorze.

– Nie powiedziałaś nam całej prawdy.

– Nie mogłam. Nie zgodzilibyście się.

Milczał.

– Doktorze, proszę posłuchać. Z pewnością ma pan udane życie, w którym wszystko dobrze się układa. Cieszy mnie to, ale nie każdy ma takie szczęście. Jestem jedynaczką. Rodzice nie mają nikogo oprócz mnie. Byli dla mnie tacy dobrzy. Dzięki nim zostałam nauczycielką. Nie mogę ich teraz zostawić. – Zamilkła, jakby z obawy, że się rozklei. Po chwili kontynuowała. – Pracuję zdalnie, poprawiając i oceniając prace z kursu korespondencyjnego. To monotonne zajęcie, które niszczy kręgosłup, ale przynajmniej mogę się nimi opiekować. A oni potrzebują tak niewiele... Więc czy zabranie ich na krótkie wakacje to naprawdę takie przestępstwo? A ja przy okazji mogę trochę odpocząć i zobaczyć te wszystkie piękne miejsca.

Henry poczuł się upokorzony. Helen splotła ręce na kolanach. Ojciec uśmiechał się, słuchając muzyki, matka, gaworząc i chichocząc, trzymała w ramionach lalkę, do której zwracała się jak do własnej córki.

– Naprawdę to rozumiem – powiedział bezradnie.

– Ale i tak musi pan o tym donieść, a oni wysadzą nas przy najbliższej okazji?

– Nie podejmą takiego ryzyka...

– A pan podjąłby ryzyko, doktorze? Pan, który ma szczęśliwe życie, jest świetnie wykształcony, jest w związku z cudowną kobietą. Widziałam was razem. Ma pan wymarzoną pracę, niekończące się wakacje. Nic pan nie wie o moim życiu. Pańskie jest łatwe. Znajdzie pan w sobie dobroć, żeby dla nas zaryzykować? Naprawdę będę ostrożna. Proszę mi wierzyć.

Henry zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że jego życie nie jest takie proste. Nie mają upragnionego potomstwa. Byli świadkami morderstwa i samobójstwa, którym mogliby zapobiec, gdyby byli mądrzejsi. Praca była tylko tymczasowa. Poza tym czuli się nieco winni z powodu swojego stylu życia na statku. Ale jak to się miało do życia kobiety siedzącej przed nim?

– Skąd pani wzięła pieniądze... – zaczął.

– Zmarł brat taty. Zostawił mu dziesięć tysięcy funtów. Wydawało się, że taka okazja może się więcej nie powtórzyć.

– Rozumiem.

– I do tej pory było cudownie. Po prostu cudownie. Lepiej niż w najśmielszych marzeniach – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Nie będzie łatwo – odparł.

Jej uśmiech był nagrodą. Zastanawiał się, czy jest w jej życiu ktoś, kto gotów jest dzielić z nią ciężar opieki i tę całkowitą determinację, która nie pozwala jej się poddać.

– Pójdę po Nicolę – powiedział Henry, przypieczętowując umowę.

Ostatecznie okazało się to mniej uciążliwe, niż się początkowo wydawało. Nicola codziennie siedziała w kajucie, gdy Helen zabierała ojca na spacer, a nawet na basen. Henry brał robotę papierkową ze sobą i siedział ze starszkiem, gdy Helen z matką zabierały lalkę na spacer po pokładzie.

Helen nauczyła się unikać pogaduszek z innymi pasażerami. Każdego dnia była silniejsza i bardziej zrelaksowana. Henry nie rozmawiał z Beatą na temat umowy, ale wiedział, że jest jej świadoma i to docenia.

Zdarzały się niebezpieczne sytuacje. Na codziennym zebraniu załogi kierownik rejsu wspominał, że ktoś widział, jak starszy mężczyzna potknął się na pokładzie. Czy doktor Henry wie, o kogo chodzi? Czy jest jakiś problem?

Henry skłamał bez zająknięcia. Tak, starszek był nieco słaby, ale jego córka ma wszystko pod kontrolą.

Nicola trafiła na kontrolę inspektorki kajut. Pojawiła się niespodziewanie w drzwiach kajuty Helen w towarzystwie Beaty.

Nicola przełknęła ślinę. Musiała zachować spokój.

– Właśnie prowadzę indywidualną lekcję z obsługi komputera – wyjaśniła

z uśmiechem.

Matka Helen na szczęście powstrzymała się od śpiewania kołysanki. Inspektorka ruszyła do następnej kajuty, mówiąc, że po czterdzieście każdy potrzebuje takich lekcji.

– Cóż, przyjdź do mnie do biura, żeby się umówić. Znajdziemy ci jakiś wolny termin.

A potem na cocktail party kapitana statku zauważono, że nie ma nikogo z kajuty 5347.

– Jedzą wczesną kolację – wyjaśniła Nicola.

– Nie lubią, gdy się im przeszkadza – dodał Henry.

Przez te dziewięć dni poznali Helen. Wspominała, że brakuje jej nauczania. Kochała kontakt z dziećmi. Chwile, gdy w końcu rozumiały jakiś problem, przepełniały ją radością.

Helen z głębi serca dziękowała Henry’emu i Nicoli. Powiedziała, że są dobrymi ludźmi, którzy w pełni zasługują na swoje szczęście. Oni natomiast delikatnie starali się wy badać, jak to będzie, gdy wróci do domu.

– Tak jak zawsze – odparła ponuro – ale przynajmniej będziemy mieć co wspominać. To były dobrze wydane pieniądze.

– Może trafi się kolejny spadek? – zapytał Henry, żeby trochę rozluźnić atmosferę.

– Nie, ale mam jeszcze tysiąc funtów. Starczy na drobne rozrywki – powiedziała i na jej twarzy znów pojawił się ten smutny uśmiech.

Gdy zawinęli do Southampton, Nicola i Henry odetchnęli z ulgą.

Helen wynajęła samochód do Londynu. Do wypożyczalni mieli pojechać taksówką.

Wymienili się adresami.

– Wyślijcie mi pocztówkę z następnego rejsu – rzuciła Helen, jakby byli zwykłymi znajomymi z wycieczki.

– Dobrze, a ty daj znać, jak ci się wiedzie – odparła beznamiętnie Nicola.

Tak samo jak Helen przewidywała, że nic się nie zmieni.

Oficerowie i załoga stali na pokładzie i żegnali pasażerów. Nicola i Henry uściskali Helen, gdy opuszczała statek z uwieszonymi na niej rodzicami. Widzieli, jak schodzi z pomostu. Niezachwiana, krępa postać z wysoko podniesioną głową.

Ekipa sprzątająca już pracowała, gdy Henry i Nicola schodzili na ląd. Pojadą do domu i przez następne dziesięć dni będą nadrabiać zaległości w kontaktach z rodzicami i przyjaciółmi, a potem wyruszą w kolejny rejs. Tym razem na Maderę i Wyspy Kanaryjskie.

Właśnie żegnali się z kierownikiem rejsu, gdy usłyszeli, co się stało. Tuż za Southampton zdarzył się straszny wypadek. Rozbił się samochód, są trzy ofiary

śmiertelne – wszyscy byli pasażerami rejsu. Henry i Nicola spojrzeli na siebie z przerażeniem. Wiedzieli, zanim kierownik zdążył się odezwać.

– Wygląda na to, że to samobójstwo. Dacie wiarę? Wsiadła do wypożyczonego samochodu i wjechała w mur. Zupełny wrak. Zginęli na miejscu. Znaleźli folder ze statku, dlatego się z nami skontaktowali. To ta kobieta z kajuty 5347, Helen Morris, i jej rodzice...

– To musiał być wypadek – wydusił z trudem Henry.

– Nie sądzę. Świadkowie twierdzą, że zatrzymała samochód, cofnęła, a potem wjechała prosto w mur. Na Boga, dlaczego to zrobiła?

– Nie wiemy, co dokładnie...

– Wiemy, Nicola. Przyjechała policja. Będzie dochodzenie. Musimy z nimi porozmawiać, złożyć zeznania – oświadczył, a potem zapytał bez ogródek: – Henry, jesteśmy kryci? Niczego nie zauważyłeś, prawda?

– Nie, wydawało się, że wszystko z nią w porządku. Była bardzo pozytywnie nastawiona – odpowiedział Henry po kilku sekundach, ale miał wrażenie, że minęły wieki.

Kierownikowi ulżyło, ale nadal się martwił.

– A co z rodzicami? Jak się czuli?

– Byli osłabieni, ale dobrze się nimi opiekowała – odparł, a potem wygłosił serię kłamstw, które wraz z Nicolą powtarzali przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Zanim opuścili statek, Henry chciał jeszcze porozmawiać z Beatą. Czy słyszała, co się stało? Tak, wszyscy słyszeli. Była opanowana.

– Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co ich spotkało, ale to dobrze, że choć na koniec przeżyli odrobinę radości.

Zaklinała go, żeby nic nie mówił. Ona też może mieć przez to kłopoty. Na pożegnanie pocałował ją w policzek.

– Może się jeszcze kiedyś spotkamy na jakimś rejsie?

– Nie sądzę – odparł.

Czuł, że jego przygoda na statku dobiegła końca. Od teraz będzie robił to, co powinien: leczył ludzi i poprawiał jakość ich życia. Naginanie zasad skończyło się tym, że ma na sumieniu trzy osoby.

– Ona i tak by to zrobiła – powiedziała Nicola w drodze powrotnej do Esher.

Patrzył przed siebie w milczeniu.

– Zrobiłaby to w Bergen lub Tromsø lub gdziekolwiek indziej.

Wciąż cisza.

– Po prostu dałeś jej dziewięć dodatkowych dni. To wszystko.

– Złamałem zasady. Bawiłem się w Boga.

– Kocham cię, Henry.

– Ja też cię kocham, ale to nie zmieni tego, co się stało.

Nikommu o tym nie powiedzieli. Nie tłumaczyli, dlaczego rezygnują z najlepszej pracy pod słońcem. Odsunęli się od rodziny i przyjaciół. Brali krótkoterminowe zastępstwa w szpitalach. Przestali marzyć o własnej praktyce na wsi. Po tym wszystkim już by się do tego nie nadawali. Zgłosili się do programu badawczego nad zapobieganiem samobójstwom i radzeniem sobie z depresją. Przeszli testy i zostali zaproszeni do współpracy.

W końcu, tuż po kolejnym cichym i przygnębiającym obiedzie, rodzice Henry'ego postanowili przemówić synowi do rozumu.

– Bardzo się zmieniłeś, odkąd wróciłeś z tamtego rejsu – zaczął ojciec.

– Myślałem, że jesteście temu przeciwni. Mówiłeś, że to nie jest prawdziwa medycyna – opryskliwie burknął Henry.

– Rzeczywiście. Mówiłem też, że powinieneś zrobić specjalizację. Mógłbyś być teraz konsultantem, tyle drzwi stałoby przed tobą otworem.

– Chcemy tylko, żebyś był szczęśliwy. To wszystko, kochanie – dodała matka.

– Nie ma ludzi szczęśliwszych od nas – odparł i wyszedł do ogrodu pobawić się z psem.

Więc rodzice Henry'ego postanowili przemówić do rozumu Nicoli. Złapali ją w kuchni, gdy sączyła herbatę, patrząc przed siebie.

– Nie chcemy się wtrącać, kochanie – zaczęła matka Henry'ego.

– Wiem, nigdy się nie wtrącacie. Jesteście wspaniali – powiedziała Nicola z uznaniem, zastanawiając się, jak uniknąć zbliżającego się „ale”.

– Po prostu się martwimy.

Ojciec próbował nie dopuścić do zakończenia rozmowy, zanim się rozpoczęła.

Twarz Nicoli nie wyrażała żadnych emocji.

– Oczywiście. Od tego są rodzice.

– Tułacie się od ponad dwóch lat, nie chcecie poszukać porządnej pracy. Zrozum, wiem, że to nasza sprawa, ale martwimy się o was. – Teść błagał, żeby go wysłuchała.

Nicola odwróciła się i spojrzała na niego.

– Czego od nas chcecie? Wyduście to z siebie. Może będziemy w stanie to zrobić.

Coś w jej twarzy go przeraziło. Nigdy nie widział jej tak wściekłej. Natychmiast zaczął się wycofywać.

– Chciałem tylko powiedzieć... Zamierzałem powiedzieć, że... przydałby wam się urlop... jakaś przerwa... – Głos uwiązł mu w gardle.

– A, urlop! – Nicola wydała z siebie histeryczny okrzyk zachwyty. Jakby to była jedyna rzecz, którą mogła znieść. Jedyna. – Zabawne, że to mówisz, bo właśnie rozmawialiśmy o urlopie. Pogadam z Henrym i damy wam znać.

I wybiegła z kuchni, zanim zdążyli coś dodać.

Wspomniała o tym Henry'emu, gdy wracali do domu.

- Chyba nie mam siły na wakacje – powiedział.
- Ja też nie, ale musiałam coś powiedzieć, żeby mieć ich z głowy.
- Przepraszam. Twoi rodzice nie są takim wrzodem na tyłku.
- Ależ są, tylko nie w twojej obecności. Są lekko zaniepokojeni swoim zięciem.

Dasz wiarę?!

- Chcesz pojechać na wakacje?
- Mogłabym pojechać gdzieś na tydzień, zanim przyjdzie zima, ale nie wiem gdzie.
- Cóż, na pewno nie na Wyspy Kanaryjskie, żeby złapać trochę słońca.
- Śnieg też odpada. Nie mam najmniejszej ochoty jeździć na nartach.
- A ja nie przepadam za wycieczkami autokarem.
- Ani za Paryżem. Za zimno i za mokro.
- Zrobiliśmy się bardzo kapryśni i wymagający, a nie stuknęła nam jeszcze czterdziestka – powiedział nagle Henry. – Kto wie, jacy będziemy na starość.

Spojrzała na niego czule.

– Może musimy przejść ten etap, żeby znormalnieć. – Choć powiedziała to lekkim tonem, mówiła poważnie.

- Wiem, co zrobimy. Pojedziemy pospacerować.
- Pospacerować?
- Tak, gdzieś, gdzie jeszcze nie byliśmy; pogórze szkockie albo wrzosowiska Yorkshire.
- A nawet Walia?
- Czemu nie? Po powrocie sprawdzimy kilka miejsc.
- Ale nie musimy zatrzymywać się w hostelach?
- Nie! Powinniśmy znaleźć przytulny hotel z dużą ilością gorącej wody i dobrym jedzeniem.

Nicola rozparła się w fotelu. Westchnęła.

Po raz pierwszy od dwóch lat wierzyła, że jest dla nich jakaś szansa. Tygodniowy urlop nie rozwiąże wszystkich problemów, ale może dzięki niemu zaczną wychodzić na prostą.

Gdy dotarli do Esher, w domu zastał ich straszny ziąb. Henry rozpałił w kominku. Pierwszy raz od dwóch lat. Zobaczył zdziwienie w oczach Nicoli.

– Cóż, jeśli zamierzamy zdecydować, gdzie pojedziemy na wakacje, odrzucmy też inne konwenanse – wyjaśnił.

Nicola przyniosła gorącą czekoladę. Kolejny „pierwszy raz”. Zwykle, gdy wracali z wizyty u jednych lub drugich rodziców, byli wyczerpani, ale tym razem było inaczej. Przynieśli laptop do stolika przy kominku.

Znaleźli kilka nadzwyczajnych ofert. Dom na farmie na zupełnym odludziu w Walii. Zbyt oddalony. Nie chcieli aż tak się izolować. Drewniane domki w New

Forest, pod okna podchodzą dzikie kucyki. Może tu? Ale czy nie zmęczą się nimi po dwóch dniach? Stary zajazd w pobliżu Wału Hadriana? Nie byli przekonani.

Wtedy zobaczyli zdjęcie hotelu w zachodniej Irlandii. Duży dom z kamienia na klifie nad Oceanem Atlantyckim. W ofercie spacer i obserwacja dzikiego ptactwa, spokój i dobra kuchnia. Było w tym coś pociągającego.

– Świetnie zareklamowany... W rzeczywistości może nie być tak różowo. – Nicola niemal bała się wykazać jakikolwiek entuzjazm.

– To prawda, ale zdjęcie musi być prawdziwe. Fale i wielkie, puste plaże... Te wszystkie ptaki.

– Dzwonimy? Jak ona się nazywa? A, pani Starr.

Osoba, która odebrała telefon, mówiła z lekkim amerykańskim akcentem.

– Kamienny Dom. W czym mogę pomóc?

Nicola wyjaśniła, że są po trzydziestce, ostatnio pracowali bardzo dużo i potrzebują wakacji, jakiejś odmiany. Czy mogłaby im powiedzieć coś więcej o tym miejscu?

Chicky Starr powiedziała, że jest zwykłe, ale jej zdaniem kojące i uzdrawiające. Kiedy pracowała w Nowym Jorku, każdego roku wracała w te strony, żeby nabrać sił. Spacerowała całymi dniami, wpatrywała się w ocean, a gdy wracała do Ameryki, wiedziała, że poradzi sobie ze wszystkim. Ma nadzieję, że gościom też w ten sposób się przysłuży.

To brzmiało zbyt dobrze.

– Będziemy śpiewać tradycyjne pieśni i temu podobne, wie pani, jak w irlandzkim pubie? – zapytał nieśmiało Henry.

– Mam głęboką nadzieję, że nie. – Roześmiała się Chicky. – Oczywiście do kolacji będzie wino, a jeśli ktoś będzie miał ochotę na zabawę, może udać się do jednego z miejscowych pubów na koncert.

– Kolację będziemy jeść wszyscy razem?

Chicky zrozumiała, o co naprawdę pytają.

– Co wieczór będzie zasiadać do stołu jedenaście, dwanaście osób, ale to nie będzie żaden test na wytrzymałość. Mam wieloletnie doświadczenie. Dołożę wszelkich starań, żeby nikt nie czuł się zmuszany do dobrej zabawy. Proszę mi wierzyć.

Uwierzyli i natychmiast dokonali rezerwacji.

Rodzice Henry'ego byli zadowoleni.

– Nicola rzeczywiście wspominała, że macie jakieś plany – zaczęła matka – ale powiedziała, że to jeszcze nic pewnego, a ja nie chciałam być natrętna.

– Ależ skąd, mamo. Nie ma o czym mówić – skłamał.

Rodzice Nicoli byli zdziwieni.

– Irlandia? A dlaczego nie Brytania? Tu są tysiące ciekawych miejsc, których

jeszcze nie widzieliście.

– Tak zdecydował Henry – skłamała Nicola.

To zakończyło temat. Naprawdę trochę obawiali się swojego zięcia.

Polecieli do Dublina, stamtąd na zachód pojechali pociągiem. Patrzyli przez okno na małe poletka, mokre bydło i miasteczka z obcymi nazwami napisanymi w dwóch językach. Czuli się obco, mimo że wszyscy mówili po angielsku.

Gdy wysiedli z pociągu, autobus do Stoneybridge już na nich czekał, jak obiecała Chicky Starr. Powiedziała, że stamtąd odbierze ich osobiście.

– Jak się poznamy? – zapytał z zaciekawiony Henry.

– Ja was poznam – odparła.

I rzeczywiście poznała.

Gdy tylko wysiedli, natychmiast pomachała do nich drobna kobieta. Rozmawiali przez całą drogę do Kamiennego Domu.

Miejsce wyglądało dokładnie tak jak na zdjęciu na stronie internetowej. Dom stał na planie kwadratu na zwirowanej ścieżce; słońce chyliło się ku zachodowi, a okna lśniły miękkim światłem. W oknie siedział czarno-biały kot. Mała kulka futra z wystającymi łapkami i uszami.

Spienione kremowe fale docierały do brzegu, gdzie rozbijały się o pasmo nagich, majestatycznych klifów.

Chicky poczęstowała ich herbatą i bułeczkami, a potem zaprowadziła do pokoju z małym balkonem z widokiem na morze.

Jej obecność działała uspokajająco. Nie zadawała żadnych pytań ani o ich życie, ani o to, dlaczego wybrali jej hotel. Zapewniła, że pozostali goście wydają się cudownymi ludźmi. Położyli się w wielkim łóżku i zapadli w sen. Sjesta o piątej po południu! Dla Henry’ego i Nicoli to kolejny „pierwszy raz”.

Gdyby nie dźwięk gongu, przespaliłyby całą noc. Ostrożnie zeszli do dużej kuchni i poznali pozostałych gości.

Przy stole siedział już Amerykanin, John, który wyglądał bardzo znajomo. Kogo im przypominał? Powiedział, że znalazł się tu pod wpływem impulsu, bo spóźnił się na lot z Shannon. Była też wesoła pielęgniarka Winnie, która przyjechała z koleżanką, starszą panią o imieniu Lillian. Obie były Irlandkami i choć każda była duszą towarzystwa, tworzyły dziwną parę. Była też Nell, cicha i czujna starsza pani zachowująca rezerwę, i Szwed, którego imienia nie dosłyszeli.

Jedzenie było wyborne, a porady na temat zwiedzania okolic bardzo dokładne. Nie pojawił się nikt ze skrzypcami, z akordeonem i składanką irlandzkich pieśni.

Gdy Orla, siostrzenica pani Starr, sprzątnęła ze stołu, wszyscy bez zbędnego tłumaczenia rozeszli się do swoich pokoi.

Nieśmiało przyznali, że jest idealnie. W ostatnich latach tak często się mylili. Chodzili na palcach, żeby nie zapeszyć, ale znowu zapadli w głęboki sen, a huk fal

rozbijających się o klif był raczej kojący niż niepokojący.

Nazajutrz przywitały ich płynące po niebie chmury i przenikliwy wiatr. Pomyśleli, że naprawdę złapią tu oddech. Znajomość z innymi gośćmi była bliska, ale nie nachalna. Gdy Winnie i Lillian zaginęły następnego wieczoru, Henry zaoferował pomoc w poszukiwaniach, na wypadek gdyby potrzebna była opieka medyczna. Jednak pani Starr wolała, żeby zostali w domu. Może zaginione wrócą o własnych siłach? Powiadomiono miejscowego lekarza, Daia Morgana. On się nimi zajmie.

– Dai Morgan? Nie brzmi zbyt irlandzko – zauważył Henry.

– Jest z Walii. Przyjechał tu na zastępstwo trzydzieści lat temu, kiedy sędziwy doktor Barry zachorował. Biedny staruszek zmarł, a doktor Dai po prostu został.

– Dlaczego? – zapytała Nicola.

– Bo wszyscy go pokochali. I nadal kochają. Dai i Annie świetnie się tu odnaleźli. Urodziła im się córka, Bethan, która pokochała to miejsce. Ona też jest lekarzem. Niesamowite!

Następnego dnia doktor Dai zjawił się w Kamiennym Domu, żeby sprawdzić, czy z paniami wszystko w porządku. Chicky podała kawę do stołu, przy którym Henry i Nicola odpoczywali w przerwie między kolejnymi spacerami. Zostawiła ich samych.

Był to postawny, poczciwie wyglądający mężczyzna po sześćdziesiątce, o naturalnym, kojącym sposobie bycia i szerokim uśmiechu.

– Chicky mówi, że jesteście z tej samej branży co ja – zaczął.

Natychmiast podnieśli gardę. Naprawdę nie mieli ochoty odpowiadać na pytania, co robią i jak się rozwija ich kariera. Jednak nie chcieli być nieuprzejmi.

– To prawda – odparła Nicola.

– To kara za wszystkie nasze grzechy – dodał Henry.

– Cóż, chyba są gorsi od nas – powiedział Dai Morgan.

Uśmiechnęli się uprzejmie.

– Będzie mi brakować tego miejsca – powiedział nagle.

– Wyjeżdża pan?

Byli zaskoczeni. Chicky Starr nic o tym nie wspominała.

– Tak. Dopiero w tym tygodniu się zdecydowałem. Chodzi o moją żonę Annie. Jest chora. Lekarze nie dają jej żadnych szans. Chciałaby wrócić do Swansea. Wszystkie siostry tam mieszkają i matka, zdrowa jak ryba osiemdziesięciolatka.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Nicola.

– Naprawdę jest aż tak źle? – zapytał Henry.

– Tak, to kwestia kilku miesięcy. To nie tylko moja opinia.

– Jak to przyjęła?

– Och, Annie to skarb. Wie, co ją czeka. Nie robi zamieszania, nie histeryzuje, po prostu chce być z rodziną.

– A co potem? – zapytał Henry.

– Nie miałbym serca tu wracać. Stoneybridge to nasze wspólne życie. Bez niej to nie będzie to samo.

– Podobno mieszkańcy was kochają. Jesteście dla nich bardzo ważni – odezwała się Nicola.

– Ja też kocham to miejsce, ale nie chcę być tu bez Annie.

– Kiedy wyjeżdżacie?

– Przed Bożym Narodzeniem.

Siedzieli w górskim pubie, w którego drzwiach pojawiła się owca z czarnym pyskiem, i zastanawiali się nad dziwnym przypadkiem walijskiego lekarza i jego żony. Ci ludzie spędzili całe życie tak daleko od domu rodzinnego, żeby na stare lata do niego wrócić.

Wciąż rozmawiali o lekarzu, gdy spacerowali długą, pustą plażą. Co skłoniło go do zostania w tym małym, odległym miasteczku, wśród zupełnie obcych ludzi?

Dyskutowali o tym w nocy przy grzmocie fal.

– Zdajesz sobie sprawę, o czym tak naprawdę rozmawiamy? – zapytał Henry.

– Tak. O nas. Czy odnaleźlibyśmy tu spokój tak jak on?

– To, że jemu się udało, nie oznacza, że uda się każdemu. – Henry starał się nie ekscytować.

– Może jednak jest takie miejsce, gdzie moglibyśmy osiąść i robić coś pożytecznego, zamiast ciągle uciekać? – spytała Nicola z nadzieją w oczach.

Henry pochylił się nad nią i ujął jej twarz w dłonie.

– Naprawdę cię kocham, Nicola. Helen miała rację. Jestem szczęściarzem, że mam ciebie.

Coraz bardziej pociągały ich rozmowy z doktorem Daiem. On również polubił ich towarzystwo. Nie pocieszali go. Byli bardziej zrelaksowani niż podczas pierwszej rozmowy. Opowiedzieli mu, że szukają miejsca, w którym mogliby osiąść na stałe, i społeczności, której byliby potrzebni tak jak on przed laty.

– Och, jest jeszcze wiele do zrobienia – westchnął doktor. – Gdybym mógł zacząć od początku, wiele rzeczy zrobiłbym inaczej.

– Na przykład? – zapytał Henry z zaciekawieniem, nienachalnie, raczej tak, jakby chciał się czegoś nauczyć.

– Na przykład zbir mieszkający w tamtych szeregowcach. Wzywano mnie tam dwukrotnie. Mówił, że jego żona Deirdre ma jakieś zawroty głowy. Raz spadła z drabiny, innym razem potracił ją samochód. Połamane kości, siniaki. Wyglądało no to, że ją pobił. Nie przepadałem za nim, ale co mogłem zrobić? Żona przysięgała, że mówi prawdę. Za trzecim razem byłem już pewien, ale było za późno. Nie przeżyła.

– O Boże... – szepnęła Nicola.

– Właśnie, gdzie był Bóg, gdy ten drań ją mordował? Wcześniej się nie odezwałem, bo to było tylko moje przecucie. Intuicja, której nie posłuchałem, i przez

to Deirdre zmarła.

– Wtedy coś powiedziałaś? – Oczy Nicoli zaszkliły się łzami.

– Próbowałem, ale mnie uciszeli. Jej własna rodzina, bracia i siostry. Powiedzieli, że nie należy szargać jej dobrego imienia. Musi zostać pochowana jako ukochana żona i szczęśliwa matka, w przeciwnym razie jej życie pójdzie na marne. Nie mogłem tego zrozumieć. Nadal nie mogę. Gdybym umiał cofnąć czas, zareagowałbym za pierwszym razem.

– Co się stało z mężem?

– Mieszka tu nadal. Kilka razy wylewał krokodyle łzy, wspominając „swoją biedną żonę”. A potem kogoś poznał, jednak to nie była druga Deirdre. Gdy pierwszy raz ją uderzył, poszła prosto na policję. Skazano go za napaść. Odsiedział sześć miesięcy i wyszedł w niesławie. Rodzina Deirdre zrzuciła wszystko na żal po śmierci żony. Przypuszczam, że w pewnym sensie to prawda.

Spochmurniał przy wspomnieniu tej sprawy.

– Często to rozpamiętujesz? – zapytała Nicola.

– Kiedyś cały czas. Codziennie mijam cmentarz, na którym ją pochowano. Za każdym razem, gdy widziałem ich dom, przypominałem sobie jej twarz, gdy przysięgała, że spadła z drabiny. Annie powiedziała, że dopóki się z tym nie uporam, nie będzie ze mnie żadnego pożytku, więc starałem się, jak mogłem, żeby o tym zapomnieć.

Dai widział w ich oczach prawdziwe zrozumienie i współczucie. Może im również przydarzyło się coś podobnego?

Odezwał się ostrożnie.

– Annie powiedziała, że w pewnym sensie postawiłem się w centrum uwagi, zrobiłem z tego tylko swój problem. Jakby wszystko zależało od mojego zaangażowania w sprawę lub jego braku. A przecież były też inne czynniki: on zawsze byłby okrutnym draniem używającym pięści, a ona ofiarą. Czy sądziłem, że jestem jakimś aniołem zemsty zesłanym na ziemię, żeby porządkować świat? Przekonała mnie.

– Wybaczyłeś sobie? – zapytał Henry.

– Właśnie wtedy wydarzyło się coś jeszcze. Byłem w gabinecie, kiedy przynieśli jednego z młodych O’Harów. Jego matka powiedziała, że skarży się na bóle żołądka i wymiotuje. Jest senny i ma gorączkę. Coś mi nie pasowało, więc zrobiłem mu gruntowne badania. Doszedłem do wniosku, że to zapalenie opon mózgowych. Zadzwoiłem do szpitala. Powiedzieli, że ma natychmiast przyjechać. Czekanie, aż karetka dojedzie tutaj, trwałoby wieczność, więc nie namyślając się długo, wziąłem go na ręce i pobiegłem razem z jego matką do samochodu. Jechałem jak wariat. W szpitalu już na nas czekali. Zrobili badania, podali antybiotyki. Tak go uratowaliśmy. Wyrósł z niego wielki łobuz. Potrafi wypić morze wódki. Mimo

wszystko to miły chłopak. Dobrze sobie radzi z Shayem, swoim najmłodszym bratem. Troszczy się o niego. Zawsze, kiedy przechodzę obok, mówi: „Oto wielki człowiek, który uratował mi życie”. Proszę go wtedy, żeby podał mi jeden dobry powód, dla którego mam się z tego cieszyć. Ale przecież się cieszę. Wtedy udało mi się coś zmienić.

– Jestem pewna, że nie tylko wtedy – powiedziała Nicola.

– Może i nie, ale dla mnie to było odkupienie, którego bardzo wtedy potrzebowałam.

Henry i Nicola rozmawiali o tym, czekając w pokoju na gong wzywający na kolację.

– Odkupienie... Tego właśnie potrzebujemy – powiedziała Nicola.

– Potrzebujemy jeszcze wróżki, żeby je dla nas znalazła.

Henry uśmiechnął się i wziął ją za rękę. Pierwsi zeszli na kolację.

Chicky i Orla przygotowywały właśnie tacę z napojami. Rozmawiały o czymś poważnym tonem.

– Co oni mogą, Chicky? Przykuć go do łóżka łańcuchem?

– Nie, ale nie mogą pozwolić mu błąkać się gdzieś po nocach.

– Spróbuj go powstrzymać. I tak dopnie swego...

Gdy ich spostrzegły, natychmiast przerwały rozmowę. Chicky zachowywała się bardzo profesjonalnie. Nigdy nie omawiała prywatnych spraw przy gościach. Nakrywanie do stołu szło jak po maśle, choć było to efektem starannego przygotowania. Były ciekawe, jak minął im dzień. Przyniosły album, żeby zidentyfikować gęś, którą widzieli, gdy dumnie kroczyła przez bagniste pola w pobliżu jeziora. Miała różowe nogi i pomarańczowy dziób.

– Wydaje mi się, że to gęgawa. – Chicky przewracała strony o irlandzkich ptakach. – Jak myślicie?

Też tak sądzili.

– Co roku przylatują z Islandii. Dacie wiarę? – Chicky zamilkła w zamyśleniu.

– Chciałabym znać się na ptakach tak jak ty. – Nicola zazdrościła Chicky pasji, z jaką o tym mówiła.

– Och, jestem tylko amatorką. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się ściągnąć dla gości prawdziwego znawcę. Mieszka tu chłopak, Shay O’Hara, który o ptakach wie wszystko. Ale nie wyszło.

– Tak to właśnie z nim jest. – Orla ze smutkiem pokręciła głową.

Chicky doszła do wniosku, że to wymaga jakiegoś wyjaśnienia.

– Shay ostatnio nie jest sobą. Ma depresję. Nie można do niego dotrzeć. Wszyscy mamy nadzieję, że niedługo mu przejdzie.

– Depresja w młodym wieku to poważny problem.

– Wiem o tym. Doktor Dai się tym zajął, ale Shay nie chce przyjmować żadnych

lekarstw ani chodzić na konsultacje. Nikogo nie słucha. – Westchnęła.

Reszta gości zaczęła się zbierać na dole. Rozmowa zeszła na inny temat.

Nicola siedziała obok przystojnego Amerykanina, który wciąż przedstawiał się jako John i który zaprzyjaźnił się z Frankiem Hanrattym. Frank wiozł go górskimi drogami swoim różowym vanem na spotkanie ze starym reżyserem filmowym, który po przejściu na emeryturę osiadł w tych okolicach. Bardzo sympatyczny i spełniony człowiek, który poczęstował ich zupą z pokrzywy.

– Rozpoznał cię? – zapytała Nicola bez ogródek.

Do tej pory nikt nie przyznał na głos, że John jest gwiazdą filmową.

John przyjął to zupełnie naturalnie.

– Tak, był na tyle uprzejmy, żeby powiedzieć, że zna moje filmy. Jest fascynujący. Ma kury, ule i kozy. Dom pełen książek. To najszczęśliwszy człowiek, jakiego spotkałem.

– Nadzwyczajne. – Nicola zdawała się zafascynowana. – To niesamowite być szczęśliwym.

John spojrział na nią przenikliwie, ale nic nie powiedział.

Zanim położyli się spać, wyszli na zewnątrz zaczerpnąć trochę zimnego, morskiego powietrza.

Orla właśnie wyprowadzała rower, żeby wrócić do domu.

– Masz czasami dość tego widoku? – zapytał ją Henry.

– Nigdy. Kiedy mieszkałam w Londynie, bardzo za nim tęskniłam. Niektórym wydaje się smutny, ale nie mnie.

– A temu biednemu ptaśkowi, o którym nam opowiadałyście? Jemu pewnie wydaje się smutny?

– Jemu wszystko wydaje się smutne – odparła i pojechała do domu.

O trzeciej nad ranem Henry'ego i Nicolę obudziły jakieś krzyki. Było jeszcze za wcześnie na ptasi chór zbierający się o świcie lub poranne zgromadzenie mew. Może to jakiś ptak na balkonie?

Wstali, żeby to sprawdzić.

W świetle księżycy zauważyli sylwetkę na tle morza. Była to szczupła postać nastoletniego chłopca w cienkiej bluzie. Obejmował się rękami. Głowę miał odchyloną do tyłu. Coś wykrzykiwał.

To musiał być Shay.

W milczeniu włożyli płaszcze i buty. Zeszli na dół. Wyszli na zewnątrz w zimną noc.

Chłopak miał zamknięte oczy i wykrzywioną twarz. Nie mogli zrozumieć, co wykrzykuje. Drżał. Wąskie ramiona skulił w rozpacz. Stał niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska.

Zbliżali się do niego powoli, rozmawiając przy tym ze sobą, żeby go nie

zaskoczyć.

Otworzył oczy.

– Nie przekonacie mnie, żebym zmienił zdanie – powiedział.

– Masz rację – potwierdził Henry.

– Co masz na myśli?

– Nie mam zamiaru cię do niczego przekonywać. Jeśli nie zrobisz tego teraz, to zrobisz później. Wiem o tym.

– Więc dlaczego chcesz mnie powstrzymać?

– Powstrzymać? Nic z tych rzeczy, prawda, Nicola?

– Nie, broń Boże. I tak zrobisz, co zechcesz.

– To co tu robicie?

Patrzył na nich ogromnymi oczami przepełnionymi lękiem. Cały się trząsł.

– Chcieliśmy zapytać cię o gęgawę. Widzieliśmy dzisiaj jedną. Dowiedzieliśmy się, że przyleciała z Islandii.

– Nic szczególnego. Jest ich tu pełno. Gdybyście zobaczyli śnieżycę, to co innego.

– Śnieżycę? One też przylatują z Islandii? – podchwyciła Nicola.

Chodziła tuż za chłopcem z miejsca na miejsce, niemal bezwiednie, patrząc na morze, jakby sądziła, że zobaczy śnieżycę w świetle księżyca.

– Nie, przylatują z północy Kanady, z Grenlandii. Można je zobaczyć na Wexford, na wschodnim wybrzeżu. Tutaj raczej się nie zapuszczają.

– A ty je widziałeś? – zapytał Henry.

– Tak, często, ale nie tutaj. W zeszłym roku widziałem gęś zbożową. To dopiero rzadkość.

– Gęś zbożową! – powtórzył Henry z szacunkiem.

Chłopak uśmiechnął się.

– Wejdiesz do środka? Pokażesz nam w atlasie? – Nicola zapytała tak, jakby właśnie na to wpadła.

– Nie. Chicky będzie mnie namawiać, żebym poszedł do lekarza. Nienawidzę lekarzy.

– Rozumiem. – Nicola przewróciła oczami, jakby podzielała jego zdanie.

– Zresztą możecie sprawdzić sami. Ona ma wszystkie potrzebne książki.

– To nie to samo. Mógłbyś nam wytłumaczyć...

– Nie czułbym się z tym dobrze. – Próbował się wycofać.

Nicola stała tuż za nim. Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

– Proszę, chodź z nami. Henry nie może spać, bardzo byś nam pomógł.

– No dobrze. Ale tylko na chwilę – powiedział i wszedł z nimi do kuchni.

Znaleźli mu dużą bluzę w szkocką kratę. Cienki sweter suszył się na kaloryferze. Nicola zrobiła herbatę, zjedli chleb z serem. Chłopak właśnie wyjaśniał, jak odróżnić berniklę białolicą od bernikli obrożnej, gdy O’Harowie wpadli z krzykiem.

Przeczytali list zostawiony na stole, w którym napisał, że jest mu przykro, ale nie widzi innego wyjścia. Modlili się, biegnąc przez klify, żeby zdążyć na czas.

Ojciec Shaya usiadł przy stole i rozpłakał się jak dziecko.

Zadzwonili do matki, która była w takim szoku, że musiała zostać w domu. Chicky zeszła na dół. Nie wyglądała na zaskoczoną, zupełnie jakby radzenie sobie z takimi sytuacjami należało do jej codziennych obowiązków.

– Potrzebujemy lekarza – powiedziała siostra Shaya.

Chłopak zdenerwował się na samo wspomnienie o tym.

Chicky właśnie miała wyjaśnić, że w kuchni jest dwoje lekarzy, ale Henry pokręcił głową.

– Jestem pewien, że doktor Dai chętnie się zjawi – powiedział.

– I będzie wiedział, co robić – dodała Nicola.

Chicky zrozumiała.

Nazajutrz przy śniadaniu nie rozmawiano na ten temat. Orla już zdążyła się dowiedzieć. Całe Stoneybridge słyszało o tym, że dwoje turystów z Anglii zagadało chłopaka i w ten sposób odwiodło go od samobójstwa. Podając jedzenie, Orla patrzyła na nich z wdzięcznością.

Niektórym gościom wydawało się, że słyszeli w nocy krzyki. „Nic ważnego”, powiedziała Chicky, a potem zaczęli omawiać plany na kolejny dzień.

Po śniadaniu odwiedzili doktora Daia.

– Uratowaliście dziś komuś życie – stwierdził.

– Ale na jak długo? – zapytał Henry. – Spróbuje ponownie, prawda?

– Może nie. Zgodził się pójść do szpitala na obserwację. Powiedział, że będzie brać lekarstwa i porozmawia ze specjalistą. To znaczny postęp.

Małżonkowie spojrzeli na siebie.

– Nie mogę się doczekać wyjazdu. Już dziś zacznę wszystkich powiadamiać. Tak się zastanawiałem... To może być dla was zaskoczenie, ale pomyślałem... – Wiedzieli, co zamierza powiedzieć. – Potrzebuję zastępcy na kilka miesięcy. Bylibyście skłonni to rozważyć?

– Nie zaufają nam. Jesteśmy obcy.

– Ja też byłem.

– To co innego. Nic o nas nie wiedzą.

– Wiedzą, że uratowaliście życie Shayowi O’Harze. To równie dobra wizytówka jak każda inna.

Później długo rozmawiali o tym, jak to zastępstwo miałyby wyglądać.

– Nie musicie zostawać trzydzieści lat jak ja. – Patrzył, jak stoją razem w zimowym słońcu, spokojni jak nigdy dotąd. – Oczywiście, możecie zostać nawet dłużej.

Anders

Pytany w szkole, kim będzie, gdy dorośnie, Anders zawsze odpowiadał, że księgowym. Tak jak jego ojciec i dziadek. Będzie pracował w dużej rodzinnej firmie w imponującym biurze w Sztokholmie. Z dumą mawiał, że Almkvistowie to jedna z najstarszych firm w Szwecji.

Był nad wyraz radosnym dzieckiem z blond czupryną opadającą na oczy. Od małego kochał muzykę, a jako pięciolatek grał już całkiem dobrze na pianinie. Trochę później przyszała pora na gitarę, na której sam nauczył się grać. Co noc słychać było, jak po odrobieniu pracy domowej ćwiczył w swoim pokoju; potem gosposia, Fru Karlsson, pokazała mu nyckelharpę, tradycyjną szwedzką harfę klawiszową. Należała do jej dziadka, który nauczył ją na niej grać. Ona z kolei nauczyła Andersa kilku tradycyjnych szwedzkich melodii. Zakochał się w eterycznym brzmieniu tego instrumentu.

Mieszkał w pięknym apartamencie wychodzącym na Djurgårdskanalen z rodzicami, Patrikiem i Gunillą Almkvistami, Fru Karlsson i psem Rivą. Wszystkim mówił, że chodzi do najlepszej szkoły w Szwecji, a Riva jest najlepszym psem na świecie. Chwalenie firmy papy było kolejnym elementem tego świata. Kuzyni Klara i Mats skończyli rachunkowość i właśnie zaczęli zdobywać doświadczenie w rodzinnej firmie. Mats był trochę zarozumiały, ale Klara mocno stąpała po ziemi i zdążyła już poznać firmę od podszewki. Wiedzieli, że Anders, jako spadkobierca i następca, porzuci kiedyś fortepian i nyckelharpę i pójdzie na uniwersytet, żeby przygotować się do przeznaczonej mu roli. Tymczasem zabierali go na kawę i opowiadali o klientach firmy.

Wszelkiej maści znane osobistości ze świata biznesu, sportu i rozrywki przechodziły przez wielkie łukowe drzwi biura. Spotkania odbywały się w sali konferencyjnej, a także na dyskretnych obiadach w prywatnych salach restauracyjnych. Wszyscy pracownicy ubierali się nienagannie; Mats nosił garnitury robione na zamówienie i śnieżnobiałe koszule, a Klara zawsze wyglądała elegancko. Postawiła na stonowane stroje biurowe, w których prezentowała się jak na wybiegu. Wydajność, styl i dyskrecja były hasłami firmy. Mats i Klara pasowali do nich idealnie. Anders nie wiedział, czy kiedykolwiek odnajdzie się w tym świecie.

Największym wyzwaniem był dla niego styl. Nie zwracał uwagi na to, co noszą ludzie, i zawsze cenił przede wszystkim wygodę. Nie mógł zrozumieć wagi butów robionych na zamówienie, precyzji szwajcarskich zegarków i krawatów z czystego jedwabiu. To były elementy świata, do którego z całą pewnością nie należał. Dla

niego ważna była muzyka folkowa.

Matka śmiała się z niego z czułością.

– Anders, w dobrze skrojonym ubraniu będziesz prezentował się jeszcze lepiej. Dziewczyny będą za tobą szalały.

– Nawet tego nie zauważą. Albo będą do mnie podobne, albo nie.

Miał piętnaście lat, był nieśmiały i zadawał kłopotliwe pytania.

– To nie tak. Pokochają cię, ale najpierw będą musiały cię zauważyć. Liczy się pierwsze wrażenie. Uwierz mi, wiem, co mówię.

Gunilla Almkvist zawsze wyglądała elegancko. Pracowała w stacji telewizyjnej, gdzie przywiązywano wielką wagę do stylu. Nigdy nie opuszczała domu bez starannego przygotowania. Do pracy chodziła dwa kilometry w tenisówkach; eleganckie szpilki leżały na dolnej półce w jej biurze. Wszystkie siedem par.

Dokładała wszelkich starań, żeby syn zaczął ubierać się bardziej elegancko i zainteresował się modą. Gdy skończył osiemnaście lat, poddała się.

– Anders, żarty się skończyły. Gdybyś był w wojsku, nosiłbyś mundur. Gdybyś był dyplomata, też musiałbyś się stosować do protokołu. Będziesz pracował w Biurze Rachunkowym Almkvist i Almkvist. Tu też są pewne zasady i oczekiwania.

– Dlatego właśnie będę studiował rachunkowość. Czy nie o to w tym chodzi?

– Po części. Ale chodzi również o szacunek do tradycji rodzinnej. – Tym razem powiedziała to jakoś inaczej niż zwykle.

Spojrzał na nią.

– Przecież to wszystko nieistotne. Nie o to chodzi.

– Ze wszystkich rzeczy, o których mówiłam, zapamiętaj chociaż to. Zgadzam się, że w szerszym znaczeniu to nieistotne, jednak to drobna rzecz, która może ułatwić ci życie. To wszystko. Pamiętaj o tym.

Dlaczego zachowuje się tak dziwnie?

– Zawsze mówisz o ciuchach i stylu. Nie muszę o tym pamiętać, bo ciągle mi przypominasz. – Uśmiechnął się do niej, bo chciał, żeby było tak jak zawsze.

Ale nie było.

– Nie będzie mnie tu, żeby ci o tym przypominać – powiedziała przez ściśnięte gardło. – Dlatego musisz mnie wysłuchać. Wyjeżdżam. Odchodzę od ojca. Jesienią zaczniesz studia. To dobry czas na zmiany.

– On o tym wie? – wyszeptał.

– Tak. Wiedział, że poczekam, aż skończysz szkołę. Jadę do Londynu. Dostałam pracę i mam zamiar tam zostać.

– Nie będziesz się czuła samotna?

– Nie, Anders. Samotna jestem tutaj. Z ojcem oddaliliśmy się od siebie już dawno temu. Jego prawdziwą żoną jest firma. Nawet za mną nie zatęskni.

– Ale... ja będę tęsknił! Nie mogę w to uwierzyć! Jak mogłem niczego nie

zauważyć? Dlaczego się nie domyśliłem?

– Byliśmy bardzo dyskretni. Nie chcieliśmy ci wcześniej mówić.

– Masz kogoś w Londynie? – Wiedział, że pyta jak dziecko.

– Tak. To ciepły, miły, zabawny człowiek. Ma na imię William. Dużo się razem śmiejemy. Mam nadzieję, że kiedyś go poznasz i polubisz. I przez wzgląd na ojca, pamiętaj, co mówiłam o doprowadzeniu się do porządku. Życie stanie się znacznie prostsze.

Odwrócił głowę, żeby ukryć ból. Matka przenosi się do Londynu, do jakiegoś Williama, który ją rozśmiesza. I o czym mówi w takiej chwili? O ciuchach. Cholernych ciuchach! Cały świat mu się zawalił.

Rodzice wcale się od siebie nie oddalili. W zeszły piątek urządzili przyjęcie. Papa podniósł kieliszek i patrząc na mamę, powiedział: „Za moją piękną żonę”. I przez cały ten czas wiedział, że zamierza go zostawić dla jakiegoś Williama?

To nie może być prawda.

Matka chciała go przytulić, ale bała się, że ją odepchnie.

– Kocham cię, Anders. Choć może trudno ci w to teraz uwierzyć. Twój ojciec również. Bardzo. Nawet jeśli tego nie okazuje, jest z ciebie dumny i bardzo cię kocha.

– Duma i miłość to dwie różne rzeczy. Z ciebie był dumny czy cię kochał?

W końcu na nią spojrział.

– Był dumny, że wywiązałam się z mojej części umowy. Dobrze prowadziłam dom; byłam odpowiednim towarzystwem na tych wszystkich niekończących się kolacjach; byłam dobrą gospodynią. Dałam mu syna. Tak, myślę, że był zadowolony.

– A co z miłością?

– Nie wiem, Anders. Myślę, że twój ojciec kocha tylko firmę i ciebie.

– Nigdy bym się nie domyślił. Zawsze jest taki chłodny.

– Taki jest. Zawsze będzie. Ale wiem, że cię kocha. Po prostu nie potrafi tego okazać.

– Zostałabyś, gdyby potrafił?

– To nie jest dobre pytanie. To kwadratura koła – odparła.

Wiedział, że mówi prawdę. Wyciągnął do niej rękę, a ona długo szlochała w jego ramionach.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Fru Karlsson kręciła z dezaprobatą nosem, gdy Gunilla Almkvist pakowała ubrania. Bizuterię zostawiła. Według oficjalnej wersji zaoferowano jej pracę w telewizji satelitarnej w Londynie. Nie wykorzystać takiej szansy byłoby zbrodnią. Anders wyjeżdża na studia, a mąż w pełni popiera jej decyzję. W ten sposób unikną oskarżeń o ucieczkę lub nieudane małżeństwo. Nie chcieli dawać pożywki plotkom, co prawda rozkosznym, jednak bardzo nie na miejscu w takiej firmie.

Patrik Almkvist był uprzejmy i miły. Nie uważał za stosowne omówić ostatnie

wypadki z synem. Był zadowolony, że Anders porządnie obciął włosy i poszedł na przymiarę do krawca.

Coraz więcej czasu spędzał w biurze.

W przeddzień wyjazdu matki wszyscy troje poszli na obiad. Patrik uniósł kieliszek, mówiąc do żony: „Życzę ci, żebyś znalazła w Londynie wszystko, czego szukasz”.

Anders patrzył na nich z niedowierzaniem. Koniec dwudziestu lat wspólnego życia, dwóch dekad nadziei i marzeń, a oni wciąż grają swoje role. Czy tak właśnie zachowują się ludzie? Doszedł do wniosku, że nigdy się nie zakocha. To dobre dla poetów, piosenek o miłości i marzycieli. Ale to nie jest prawdziwe życie.

Nazajutrz wyjechał na uniwersytet do Göteborga.

Zaledwie po tygodniu poznał Erikę, studentkę włókiennictwa i projektowania. Podeszła do niego na imprezie i poprosiła do tańca.

Później zapytał ją, dlaczego to zrobiła.

– Po prostu byłeś porządnie ubrany – odparła.

Ta odpowiedź go zawiodła.

– Czy to ważne? – zapytał.

– Tak, bo to znaczy, że zależy ci na sobie i innych na tyle, żeby o siebie dbać. To wszystko. Mam dosyć niechlujów.

Od tego czasu byli parą. Erika uwielbiała gotować, ale tylko wtedy i tylko to, na co miała ochotę. Uwielbiała też zapraszać gości, a gdy dowiedziała się, że Anders ma w domu nyckelharpę, na której potrafi grać, była zdumiona, że nie wziął jej ze sobą. Przywiózł ją następnym razem, a Erika od razu zabrała się do organizowania jam session, na których serwowała pyszne kolacje.

Erika była drobna i zabawna. Uważała, że prawa kobiet i moda wcale się nie wykluczają. Uwielbiała się stroić z byle okazji i zawsze była najatrakcyjniejszą i najbardziej stylową dziewczyną w towarzystwie, czym zadziwiała Andersa. Rozśmieszali się nawzajem i szybko stali się nierozłączni.

Tuż przed Wielkanocą powiedziała mu, że nigdy za niego nie wyjdzie, bo uważa, że małżeństwo jest formą zniewolenia, ale zawsze będzie go kochać. Chciała mu to wyjaśnić teraz, żeby nie było żadnych nieporozumień.

Anders był zaskoczony. Przecież nawet jej o to nie prosił. Ale i jemu to pasowało, więc chętnie się zgodził.

Erika zaprosiła go do siebie na święta.

Ojciec prowadził niewielką restaurację, a mama jeździła taksówką. Przyjęli go serdecznie. Mieli ze sobą świetny kontakt. Zazdrościł im tego. Siostra i brat, dwunastoletnie bliźniaki, byli nierozłączni. Bez przerwy przekomarzali się z rodzicami. Na każdy temat: od kieszonkowego do implantów piersi, od Boga do rodziny królewskiej. W rodzinie Almkwistów nie mówiło się o takich rzeczach.

Bliźniaki zapytały Erikę, kiedy pozna rodzinę Andersa. Zanim zdążył się odezwać, szybko odparła, że przyjdzie na to czas. Wyjaśniła im, że jest osobą ekscentryczną. Musi minąć trochę czasu, zanim ludzie ją zaakceptują.

– Co to znaczy ekscentryczna?

– Sprawdź.

– Chciałbym, żebyś poznała mojego ojca – powiedział później.

– Nie ma mowy. Nie chcę, żeby dostał zawału. Ale mogę z tobą pojechać do twojej matki do Londynu.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Po prostu boisz się, że gdy poznasz Williama, zaczniesz sobie wyobrażać, jak uprawiają seks. To wszystko.

– Nieprawda – odparł. Ale nie potrafił upierać się przy tym kłamstwie, więc zaraz dodał: – No, może trochę.

– Sprawdźmy, czy uda nam się wyrwać do Londynu. Postaram się coś zorganizować. Możemy przy okazji podszkolić angielski, zwiedzić Londyn i poznać twojego ojczyma. Wszystko za jednym zamachem.

Kiedy w końcu wyruszyli do Londynu, był kwiecień. W parkach i ogrodach kwitły żonkile, wszystko tętniło życiem. Gunilla i William mieszkali w eleganckim domu w pięknej dzielnicy niedaleko Imperial War Museum, kilka minut piechotą od Tamizy i zabytkowego, majestatycznego centrum, z którego słynął Londyn. To był ich pierwszy pobyt w Londynie. Tłum i hałas na początku ich nieco zniechęcił, ale szybko zatopili się w nim z entuzjazmem, zdecydowani cieszyć się każdą chwilą.

Gunilla była zrelaksowana i zachwycona wizytą. Nawet jeśli miała jakieś wątpliwości, czy Erika jest odpowiednią partią dla spadkobiercy rodzinnej firmy, niczym się nie zdradziła. William okazał się bardzo gościnnie, wziął nawet trzy dni urlopu w swojej firmie produkującej programy dla telewizji, żeby pokazać młodym turystom prawdziwy Londyn. Zaczęli od London Eye, z którego rozciągał się widok na milę w każdym kierunku. William sprawdził też kilka klubów folkowych, do których wieczorem mogliby pójść już sami, gdyby mieli ochotę. Nawet udało mu się dowiedzieć, że w pubie niedaleko Bermondsey będzie można posłuchać gry na nyckelharpie w ramach wieczoru muzyki skandynawskiej. Anders był zachwycony.

Jeszcze nigdy tak łatwo nie rozmawiało mu się z matką. Nie narzekała na jego wygląd. Wręcz odwrotnie, była pełna podziwu.

– Erika jest po prostu cudowna – powiedziała mu. – Przedstawiłeś ją już ojcu?

– Jeszcze nie. Wiesz...

Jeśli wiedziała, nic takiego nie powiedziała.

– Nie zwlekaj zbyt długo. Zaproś ją wkrótce. Jest urocza.

– Wiesz przecież, jakim jest snobem, jaką wagę przykładają do tego, kim ktoś jest i co robi. Zapomniałaś już? A ona mówi, co myśli. Nienawidzi wielkiego biznesu. Nie

znosi ludzi, z którymi on ma do czynienia na co dzień.

– Jest zbyt uprzejma, żeby to okazać.

Anders chciałby w to wierzyć.

Gunilla była ciekawa, co słyhać w firmie. Czy Anders często tam zagląda, kiedy jest w domu?

– Szczerze mówiąc, rzadko bywam w domu – przyznał.

– Powinieneś jeździć i mieć oko na swoje dziedzictwo. Twój ojciec by tego chciał.

– Nigdy mnie o to nie poprosił.

– Nie dałeś mu okazji – odparła.

Kiedy wrócili do Szwecji, zadzwonił do ojca. Rozmowa była formalna, jakby Patrik Almkvist rozmawiał z obcym człowiekiem. Z tego, co Anders mógł wywnioskować, ojciec był zadowolony, że syn przyjedzie latem, żeby trochę popracować.

– Tylko tak, żebym nie narobił zbyt wielu szkód – zasugerował Anders.

– Każdy chętnie rzuci wszystko, żeby ci pomóc – zapewnił ojciec.

I rzeczywiście. Anders zauważył z niejakim zażenowaniem, że każdy robi wszystko, co w jego mocy, żeby mu ułatwić życie. Zwracano się do niego z szacunkiem, na który nie zasłużył. Był przecież tylko studentem. Jednak wszyscy traktowali go jak młodego księcia, który kiedyś obejmie tron. Nikt nie chciał z nim zadzierać. Był przyszłością firmy.

Nawet kuzyni, Mats i Klara, chcieli, żeby wiedział, ile wysiłku wkładają w pracę. Bez przerwy informowali go, co do tej pory zrobili i jak dobrze wypełniają powierzone im obowiązki. Dokładali wszelkich starań, żeby dowiedzieć się, co go interesuje. Nie jadał posiłków w ekskluzywnych restauracjach; nie ciekawiły go biurowe plotki; nie chciał nic wiedzieć o porażkach konkurencji.

Był zagadką.

Ojciec też miał problem z rozpracowaniem zainteresowań Andersa. Kurtuazyjnie zapytał o życie na uczelni. Czy wykładowcy mają doświadczenie w biznesie, czy tylko uniwersyteckie?

Nie pytał o pozauczelniane zainteresowania lub sprawy sercowe, czy nadal kocha muzykę, czy grywa jeszcze na nyckelharpie, a nawet o to, z kim się przyjaźni. Wieczorami siedzieli w apartamencie w Östermalm, rozmawiając o firmie i spotkaniach z klientami. Czasami szli na kolację do ulubionej restauracji Patrika. Innym razem, przy milczącej dezaprobacie Fru Karlsson, jedli w domu wędliny i sery. Im więcej ojciec mówił, tym mniej Anders o nim wiedział. Ten człowiek żył tylko pracą.

Anders obiecał matce, że postara się zbliżyć do ojca, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał. Powiedział mu o Erice.

– Ojczy, mam dziewczynę. To znajoma ze studiów.

– To dobrze.

Ojciec pokiwał głową, jakby właśnie usłyszał, że Anders zaktualizował system w laptopie.

– Poznałem jej rodzinę. Pomyślałem, że mógłbym zaprosić ją tutaj na kilka dni.

– Tutaj? – zdziwił się ojciec.

– No cóż, tak.

– Ale co ona będzie tu robić całymi dniami?

– Może pozwiedzać miasto, a lunch będziemy jadać razem. Mogę też wziąć kilka dni urlopu, żeby pokazać jej okolice.

– Tak, naturalnie, jeśli chcesz... Oczywiście.

– Była ze mną w Londynie u matki.

– Ach tak?

– Było świetnie. Tam nie miała problemu z zagospodarowaniem czasu.

– W Londynie to chyba nic trudnego. Tu będzie trochę inaczej – odparł chłodno ojciec.

– Bardzo ją lubię, papo.

– Już dobrze, dobrze. – Jakby chciał ostudzić emocje, którymi Anders mógłby go zaatakować.

– Właściwie to chcemy razem zamieszkać. – W końcu to z siebie wydusił.

– Nie wiem, skąd weźmiesz na to pieniądze.

– Cóż, myślałem, że porozmawiamy o tym przy okazji. Ale wracając do tematu, czy mogę zaprosić Erikę w przyszłym tygodniu?

– Jeśli chcesz. Załatw wszystko z Fru Karlsson. Będzie musiała przygotować sypialnię dla twojej przyjaciółki.

– Mamy zamiar zamieszkać razem. Myślałem, że będzie spać w moim pokoju.

– Nie narzucamy twojej moralności i standardów Fru Karlsson.

– Ojczy, to nie moja moralność, tylko dwudziesty pierwszy wiek!

– Wiem, ale nawet twoja oderwana od rzeczywistości matka zdaje sobie sprawę z wagi dyskrecji. Fru Karlsson przygotowuje sypialnię. Od was zależy, co z tym zrobicie.

– Zdenerwowałem cię czymś?

– Ani trochę. Właściwie to podziwiam twoją bezpośredniość. Z pewnością ty też rozumiesz mój punkt widzenia.

Powiedział to tonem, którego zwykł używać w pracy. Bez podnoszenia głosu, z tą jego niezachwianą pewnością, że zawsze ma rację.

Erika przyjechała pociągiem w pierwszym tygodniu lipca. Jak z rękawa sypała anegdotami o współpasażerach. Była ubrana w dżinsy i szkarłatną kurtkę. Przywiozła plecak pełen notatek. Poranki zamierzała przeznaczyć na naukę.

– Ojciec będzie chciał nas zabierać do jakichś eleganckich miejsc – zaczął zdenerwowany.

- Całe szczęście, że kupiłeś sobie eleganckie ciuchy.
- Nie miałem na myśli siebie, tylko...
- Nie martw się, Anders. Mam buty i sukienkę.

I rzeczywiście miała. Gdy wybrali się do ulubionej restauracji ojca, włożyła małą czarną, jaskraworóżowy szal i eleganckie szpilki. Wyglądała olśniewająco. Potrafiła słuchać i zadawała inteligentne pytania. Beztrosko opowiadała o własnej rodzinie – diabolicznych bliźniakach, przygodach mamy w pracy, restauracji ojca, w której serwowano trzydzieści siedem odmian marynowanych śledzi. Opowiedziała o ich pobycie w Londynie, o mamie Andersa, która okazała się wspaniałą gospodynią, a nawet o Williamie.

– Pewnie pan go nie zna, panie Almkwist, zważywszy na okoliczności i w ogóle, ale to niesamowity człowiek. Znalazł pub w Bermondsey, gdzie można było posłuchać gry na nyckelharpie, którą Anders uwielbia, a potem poszliśmy na kolację do restauracji z niesamowitą złotą mozaiką na suficie. Wie pan, że jest właścicielem firmy producenckiej? Kapitalista w każdym calu, oczywiście przeciwny wszelkiej dobroczynności, którą nazywa jąmużną. Ale również hojny i pomocny, co dowodzi, że ludzi nie można szufladkować.

Anders z niepokojem obserwował ojca. Ludzie zwykle nie rozmawiali z szefem Almkwistów w ten sposób. Raczej z daleka omijali tematy takie jak nierówność i przywileje. Ale ojciec radził sobie doskonale. Jakby rozmawiał z dalekim znajomym. Nie zadawał pytań na temat studiów Eriki, jej marzeń ani planów na przyszłość.

Anders zastanawiał się, czy kiedykolwiek wykazał entuzjazm lub zapął do czegoś poza pracą.

Erika nie miała takich zmartwień.

– Po prostu ma klapki na oczach. Jak wielu ludzi z jego pokolenia. Mój ojciec troszczy się tylko o akcyzę na alkohol i o to, czy klienci pływają do Danii po tanią wódkę. Mama jest zafiksowana na pomysłe taksówek tylko dla kobiet. Twój ojciec zawiesił się na ulgach podatkowych, zarządzaniu aktywami, funduszach powierniczych i tego typu rzeczach. Tacy są ludzie w jego świecie. Nie histeryzuj.

– Ale tak nie powinno być – upierał się.

Wzruszyła ramionami.

– Ale tak jest. Zawsze było i zawsze będzie. To my decydujemy, co jest w życiu ważne.

– Cóż, ja nie chcę skończyć bez żadnych zainteresowań, z klapkami na oczach, jak to nazwałaś.

– Więc się nie ograniczaj. Może wyjdziemy i poszukamy jakiejś dobrej muzyki?

Erika była bardzo praktyczna. Nie widziała nic złego w udawaniu przed Fru Karlsson, że śpi w pokoju gościnnym. Powiedziała, że to kwestia szacunku.

Tydzień minął szybko. Znów siedział z ojcem w pustym domu, omawiając audyty, nowe umowy i fuzje. Zauważył, że cieszą go te rozmowy, ale chciał już wrócić na uczelnię i zamieszkać z Eriką. Kuzynom ulżyło, że wyjeżdża. Ojciec wydawał się obojętny, uścisnął dłoń syna oficjalnie, wyrażając nadzieję, że Anders będzie pilnie się uczył, a potem wdroył w firmie współczesne standardy ekonomiczne.

Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem ojca, ten wydał mu się jak z innej planety.

Mijały miesiące. Tak jak obiecał matce, utrzymywał kontakt z ojcem. Dzwonił do niego mniej więcej co dziesięć dni; prowadzili drętwe rozmowy, które zawsze schodziły na temat pracowników lub potencjalnych klientów. Czasem mówił ojcu o rozwoju biznesu lub elemencie prawa podatkowego, na który natknął się na studiach, albo o długim weekendzie spędzonym z rodzicami Eriki na Majorce. Odkładał telefon z ulgą i był pewien, że ojciec czuje dokładnie to samo. Następnego lata Anders napisał, że razem z Eriką mają zamiar spędzić dwa miesiące w Grecji. Jeśli ojca zaskoczyło, że syn nie poświęci tego czasu na pracę w firmie, nie dał tego po sobie poznać. Anders raczej poczuł, niż usłyszał, jego dezaprobatę.

– Bardzo ciężko pracowałem. Muszę odpocząć.

– Rzeczywiście – odparł chłodno ojciec.

Na greckich wyspach spędzili magiczne wakacje. Pływali, śmiali się, pili retsinę i tańczyli w tawernach w rytm buzuki.

Erika opowiedziała mu o swoich planach. Po studiach zamierza wziąć udział w nowym projekcie konserwacji zabytkowych tkanin; pieniądze już się znalazły. Zapowiada się interesująco. A gdzie? Cóż, w Göteborgu oczywiście. Pod skrzydłami Muzeum Kultury Światowej.

Anders milczał. Zawsze miał nadzieję, że w końcu znajdzie pracę w Sztokholmie. Że zamieszkają na jednej z wysepek w centrum miasta.

Nie wzięliby ślubu, gdyż Erika nadal uważała małżeństwo za formę zniewolenia, ale żyliby razem i mieli dwójkę dzieci.

Erika najwyraźniej miała inne plany. Nie chciał jednak nic mówić, dopóki tego nie przemyśli.

– Dlaczego milczysz? Myślałam, że się ucieszysz.

– Cieszę się, oczywiście.

– Ale?

– Ale miałem nadzieję, że będziemy razem. Czy jestem egoistą?

– Oczywiście, że nie, ale oboje jesteśmy na etapie poszukiwania własnej drogi. Ty jeszcze nie zdecydowałaś, więc ja mówię pierwsza, żeby zobaczyć, czy uda nam się coś z tym zrobić.

Spojrzała na niego, ciekawa, czy zrozumiał.

– Ale przecież my wiemy, co będzie ze mną. Wracam, żeby prowadzić rodzinną firmę.

Erika spojrzała na niego osobliwie.

– Nie mówisz poważnie.

– Cóż, oczywiście, że tak. Przecież wiesz. Byłaś tam. Widziałas przygotowania. Muszę to zrobić. Nigdy nie było innej możliwości.

– Ale przecież tego nie chcesz – jęknęła.

– Nie w taki sposób, ale mówiłaś, żebym się nie ograniczał, i to właśnie robię, a przynajmniej próbuję. Nie zamierzam poświęcić życia firmie jak mój ojciec.

– Ale przecież zacząłeś z tym walczyć. Czy nie dlatego spędzasz lato w Grecji, zamiast pracować w firmie?

Była całkowicie oszołomiona.

– Erika, przecież wiadomo, że muszę wrócić.

– Nie, nie wiadomo. Masz tylko jedno życie i wiem, że nie chcesz go spędzić w małym światku twoich kuzynów i współpracowników.

– Nie ma innej możliwości. Jestem jedynakiem. Gdybym miał braci, którzy mogliby przejąć moje obowiązki... – Urwał.

– Lub siostry – poprawiła automatycznie. – Uczciwiej będzie, jeśli powiesz mu to teraz, zamiast marnować czas jego i swój.

– Nie mogę. Muszę przynajmniej spróbować. To byłaby zniewaga. Przecież przykładasz dużą wagę do szacunku. Jestem mu winien przynajmniej tyle.

Rozmawiali w maleńkiej tawernie na nabrzeżu. Był ciepły wieczór. Z oddali dobiegały śmiechy turystów. Muzycy zaczęli stroić instrumenty.

Anders i Erika byli świadomi tego, że stoją nad przepaścią.

Stracili nad tym kontrolę. Przyszłość, która jeszcze pół godziny temu zapowiadała się wspaniale, przepadła.

Na próżno próbowali ocalić resztki wakacji. Anders był przekonany, że resztę życia musi spędzić u Almkwistów, Erika – że po prostu nie znalazł jeszcze swojej drogi. To były zbyt fundamentalne różnice, żeby mogli je zignorować. Po powrocie do Szwecji zrozumieli, że nie ma przed nimi przyszłości.

Podzielili płyty i książki. Anders znalazł pokój w akademiku. Powiedział ojcu, że się rozstali.

Gdyby mu powiedział, że pociąg się spóźnił, reakcja byłaby podobna. Ojciec stwierdził, że tak czasem w życiu bywa, i przeszedł do następnego tematu.

Anders uczył się zawzięcie, zdecydowany osiągnąć świetne wyniki. Gdy czasami w drodze do lub z biblioteki widywał Erikę w towarzystwie rozbawionych ludzi, czuł wielkie ukłucie żalu. Zawsze pozdrawiali się serdecznie; czasami nawet wypijał z nimi piwo w studenckiej kawiarni.

Ich przyjaciele nie wiedzieli, co o tym myśleć. Tak dobrze się dogadywali. I z pozoru nic się nie zmieniło; po prostu nie byli już razem.

Matka wysłała mejl, wyrażając żal z powodu rozstania. Widocznie Erika jej o tym

powiedziała. Gunilla i William uważali, że Erika jest cudowna i że Anders musi pamiętać, iż drzwi raz zamknięte często można ponownie otworzyć. Poradziła, żeby poświęcił trochę czasu muzyce albo nauczył się grać w tenisa, brydża lub golfa. Może wróciłby do gry na pianinie? Musi mieć jakąś odskocznnię. Ale Anders od rozstania nie grywał już nawet na nyckelharpie.

Anders był wzruszony, ale nie miał czasu na szukanie nowego hobby. Musiał skupić się na końcowych egzaminach; bez uzyskania dobrych ocen nie mógł zająć należnego mu miejsca w firmie. Nadszedł czas, żeby ustąpić i zająć się obowiązkami.

Co miesiąc jeździł do domu na kilka dni, żeby wdrożyć się do pracy w biurze. Nauczył się wyrażać swoje poglądy i podejmować decyzje. Miał głowę do interesów, pracownicy zaczęli traktować go poważnie. Przestał być tylko synem i dziedzicem: stał się pełnoprawnym członkiem zespołu. Nawet porozmawiał z kuzynem o jego problemach z piciem, które ostatnio stały się przedmiotem troski. Ponieważ Mats należał do rodziny, problem do tej pory nie został poruszony. Anders był stanowczy, ale sprawiedliwy. Nie potępił go, lecz dał mu wyraźne ostrzeżenie. Mats wziął się w garść i sytuacja została opanowana.

Jeśli ojciec był tego świadom, to niczym się nie zdradził. Jednak przekazywał Andersowi coraz więcej obowiązków. Anders z kolei opierał się na Klarze, która chętnie dzieliła się z nim doświadczeniem. Bardzo mu się to przydało, bo zbliżały się egzaminy końcowe.

W słoneczny czerwcowy dzień Patrik Almkvist siedział obok żony na rozdaniu dyplomów. William musiał zostać w Londynie z powodów służbowych. Anders był mu wdzięczny za to dyplomatyczne ustąpienie pola. Mogłoby być nieciekawie. Zamiast tego z radością zauważył, że rodzice uśmiechali się nie tylko z powodu dobrego wychowania. Odkąd nie mieszkali razem, byli zrelaksowani w swoim towarzystwie. Ze zdziwieniem zauważył, że pojawiło się między nimi coś w rodzaju przyjaźni. I że potrafią razem cieszyć się z osiągnięć syna.

Przy kolacji głównie rozmawiali o przyszłości: dawno temu zaplanowano, że Anders pojedzie najpierw na rok do Stanów, żeby pracować w dużej, renomowanej amerykańskiej firmie rachunkowej, gdzie w krótkim czasie wiele się nauczy. Wszystko zostało uzgodnione ze starszymi partnerami. Anders nie mógł się doczekać. Klara bardzo pomogła, miała kontakty w Bostonie i wszystko zorganizowała. Okazało się, że Gunilla również ma tam znajomości, a on spędzi w tym mieście niezapomniane chwile. Gdy spacerowali ulicami Göteborga, Anders czuł, że jest na swoim miejscu.

Nazajutrz rano Patrik Almkvist upadł w hotelowym lobby.

Miał atak serca.

Nie bardzo groźny, jak powiedzieli w szpitalu. Panu Almkvistowi nic nie zagraża, ale musi odpocząć. Anders i Gunilla czuwali przy jego łóżku dwa dni, potem matka

wróciła do Londynu, a Anders zabrał ojca do Sztokholmu.

Fru Karlsson natychmiast wszystkim się zajęła. Anders wiedział, że zostawia ojca w dobrych rękach. Właśnie ustalał z nią szczegóły opieki, gdy ojciec się odezwał.

– Nie ma mowy o wyjeździe do Bostonu. Anders, musisz skoczyć na głęboką wodę. Będziesz moimi oczami i uszami. Nadszedł twój czas.

Niemożliwe! Jest o wiele za młody. Jeszcze nawet nie zaczął naprawdę żyć.

Wyjazd został odwołany. Wkrótce wszyscy mieli wrażenie, że Anders zawsze rządził firmą. Chętnie przyjmował wyzwania, jednak zdawał sobie sprawę, że nie poradziłby sobie bez wiedzy i lojalności Klary. To ona streszczała mu ważne informacje przed każdym spotkaniem, udzielała wyczerpujących informacji o klientach. Udało mu się znaleźć czas na pływanie. Robił to każdego dnia w porze lunchu, zamiast jeść ciężkie posiłki w ciemnych, pokrytych panelami stołówkach, do których chętnie zaglądał były szef. Raz w tygodniu chodził na koncerty, ale w pozostałe wieczory, gdy Fru Karlsson sprzątała po kolacji, siadał z ojcem i opowiadał o tym, co wydarzyło się tego dnia w firmie.

Pan Almkvist stopniowo wracał do zdrowia, choć nigdy nie odzyskał go w pełni. Po powrocie do pracy spędzał w niej tylko kilka godzin dziennie, zwykle ograniczając się do udziału w spotkaniach w sali konferencyjnej, swoją obecnością dodając im wagi i znaczenia.

Mijały miesiące.

Czasami Anders czuł się tym wszystkim przytłoczony, kiedy indziej zaś myślał, że gdzieś tam jest prawdziwy świat, w którym ludzie robią to, co naprawdę chcą, albo to, co ważne, albo jedno i drugie jednocześnie. Jednak zdawał sobie sprawę, że jest uprzywilejowany, dziedzicząc tak prestiżowe stanowisko, szczególnie w świecie niepewności i niepokoju o zatrudnienie i gospodarkę. Był niesamowitym szczęściarzem, że miał pewną, pełną wyzwania pracę. Przywileje wiązały się z obowiązkami; zawsze o tym wiedział.

To ojciec napomknął o urlopie.

Powiedział, że syn pracuje za ciężko i że powinien wyjechać, żeby trochę odsapnąć. Anders zupełnie nie wiedział, gdzie się udać. Johan, znajomy z klubu folkowego, polecił mu Irlandię. Można tam pojechać, ruszyć przed siebie i zawsze znajdzie się coś wartego zobaczenia lub przeżycia.

Zarezerwował bilet do Dublina i postanowił nie robić żadnych planów – niesłychane zachowanie jak na kogoś związanego z firmą Almkwistów. Na lotnisku rozpaczliwie zatęsknił za Eriką. Stąd lecieli do Londynu, Hiszpanii, Grecji. Teraz był sam.

Oszalał, że pozwolił jej odejść, ale przecież nie mógł podjąć innej decyzji. Nie mógł na stałe zostać z Eriką w Göteborgu, gdzie znalazła wymarzoną pracę. A ona nie zgodziłaby się na życie w cieniu Almkwistów, jako przykładna żona firmy, jak jego

matka.

Miał nadzieję, że uda mu się o niej zapomnieć. Jako spadkobierca Almkwistów był dobrą partią, więc o towarzystwo na kolację czy tańce nie było trudno. Jednak żadna kobieta nie potrafiła wzbudzić jego zainteresowania, choć był bardzo aktywny towarzysko. Ucieszył się, gdy usłyszał, że Erika z nikim się nie związała. Tak bardzo chciał z nią teraz porozmawiać i powiedzieć, gdzie się wybiera. Odebrała telefon natychmiast i naprawdę się ucieszyła. Była ciekawa wszystkiego, co miał do powiedzenia, ale ją zawsze ciekawiło wszystko i wszyscy. To nie czyniło go wyjątkowym.

– Jedziesz ze znajomymi?

– Nie chcę jechać ze znajomymi. Chcę jechać z tobą.

– O nie, nie będę się nad tobą litować z tego powodu. Masz takich przyjaciół, na jakich zasłużyłeś. Dokonałeś wyboru. – Powiedziała to lekkim tonem, ale mówiła poważnie. – W Irlandii poznasz mnóstwo ludzi. Chodzę do irlandzkiego klubu. Mają świetną muzykę i są bardzo otwarci.

– Cóż, wyślę ci pocztówkę, jeśli znajdę tam jakiś irlandzki bar.

– Trudno będzie nie znaleźć. Ale wyślij i tak.

Czy naprawdę cieszyła się, że zadzwonił, czy była po prostu sobą?

W posępnym nastroju wszedł do samolotu.

Ericie spodobałby się hotel, bezładny i czarujący zarazem. Poradzono mu, żeby najpierw przejechał się po mieście autobusem wycieczkowym, a wieczorem udał się na tradycyjny irlandzki wieczór do pobliskiego pubu. Nazajutrz przy śniadaniu poznał grupę Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, którzy planowali wynająć łódź na Shannon. Okazało się to droższe, niż się spodziewali. Potrzebowali jeszcze jednej osoby do wspólnego pokrycia kosztów. Może chciałby do nich dołączyć?

Dlaczego nie? Folder wyglądał atrakcyjnie: urocze jeziora i dzika rzeka, małe porty. Zanim się zorientował, był w drodze do Athlone, miasta położonego w samym środku Irlandii, skąd mieli wyruszyć w rejs. Wkrótce potem płynęli wzdłuż trzcin i brzegów, starych zamków i mięscin z małutkimi portami i długimi nazwami. Słońce świeciło, czas płynął leniwie.

Płynął z pięcioma beztroskimi mężczyznami i kobietami z firmy ubezpieczeniowej z Chicago. Mieli szukać przodków i krewnych, ale podeszli do tego dosyć lekko. Byli bardziej zainteresowani dobrą irlandzką muzyką i pić irlandzkiego piwa w dużych ilościach. Anders dołączył do nich z entuzjazmem.

Na maleńkiej poczcie kupił trzy pocztówki i wysłał do ojca, matki i Eriki.

Długo się zastanawiał, zanim napisał kilka linijek do ojca. Dosłownie nie było nic, co mogłoby zainteresować staruszkę. W końcu postanowił napisać, że gospodarka kraju z powodu recesji doznała poważnego wstrząsu. To przynajmniej zrozumie.

Po rejsie Amerykanie zamierzali zrobić sobie pięciodniowy wypad na golfa.

Zaprosili go, ale odmówił. Kiepsko mu szły manewry na łodzi, tym bardziej nie chciał ich denerwować na polu golfowym.

Zamiast tego znalazł wycieczkę objazdową po zachodniej Irlandii.

John Paul, wesoły, rumiany kierowca twierdził, że zna wszystkie najlepsze puby z muzyką na żywo na wybrzeżu. Każdej nocy brali udział w elektryzującym koncercie. Był po imieniu ze wszystkimi muzykami i przed dotarciem na miejsce opowiadał o nich pasażerom i przedstawiał repertuar.

– Poproście, żeby Micky Moore zaśpiewał dla was *Mo Ghile Mear*. Zjeżą wam się włosy na plecach – poradził.

Wiedział nawet, kiedy jakiś stary emerytowany dudziarz ma zamiar wpaść do klubu i dać koncert. Anders był ciekawy wszystkiego.

Okazało się, że John Paul również gra na dudach. Nie mylić z dudami szkockimi, *bagpipes*. Prawdziwe dudy to dudy łokciowe, *uilleann pipes*. Nie trzeba w nie tak dąć, jak to robią Szkoci, bo pod ramieniem znajduje się mieszek, który naciska się łokciem. *Uilleann* po irlandzku znaczy właśnie łokieć.

Andersa zahipnotyzowała rozbrzmiewająca dookoła muzyka.

John Paul powiedział, że jeśli się kiedyś wzbogaci, otworzy własny lokal, do którego będzie zapraszał przeróżnych muzyków.

– Tutaj, na zachodzie? – zaciekawiał się Anders.

– Być może, choć nie chciałbym nikomu robić konkurencji. Właściciele pubów to moi przyjaciele.

John Paul i Anders rozmawiali o Bogu i przeznaczeniu, o istocie zła i wyobraźni. Anders zapytał, ile ma lat. Mężczyzna spojrział na niego zaskoczony.

– Tak dobrze mówisz po angielsku, że zapomniałem, że nie jesteś stąd. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, dziewięć miesięcy po wizycie papieża Jana Pawła II. Prawie każdy chłopak urodzony w tamtym roku ma tak na imię.

– Masz zamiar całe życie wozić turystów?

– Nie, kiedyś będę musiał wrócić do domu, do mojego staruszka. Reszta już dawno rozjechała się po świecie w poszukiwaniu szczęścia. Zostałem tylko ja, stary głupiec, a mój ojczulek nie jest już w stanie sam zarządzać gospodarstwem. Wkrótce będę musiał stawić temu czoło, wrócić do Stoneybridge i przejąć jego obowiązki.

– Ciężka sprawa – przyznał Anders ze współczuciem.

– Och, daj spokój! Czyż nie czekają na mnie cegły i zaprawa, bestie w polu i maleńka farma? Połowa Irlandii oddałaby za coś takiego własną matkę! Ale to nie dla mnie. Nie nadaję się do szukania zaginionych owieczek. Nie cierpię zajmować się kwotami mlecznymi i tym, co masz hodować, bo Europa tak chce, a czego nie. Dla niektórych ludzi to siła napędowa, dla mnie zaś mordęga. Ale takie jest życie. Zresztą całkiem niezłe.

– A co z pubem i muzyką?

– W przyszłym życiu, Anders. Zrobię to następnym razem.

Na jego dużej, okrągłej, ogorzałej twarzy malowała się całkowita rezygnacja.

W ostatni wieczór uczestnicy wycieczki zaprosili Johna Paula na kolację. W podziękę zagrał im kilka melodii na dudach. Zrobił zdjęcie całej grupie; na odwrocie wszyscy się podpisali, podali też adresy mejlowe.

Ostatniego ranka Anders pił z nim kawę.

– Będzie mi brakować twojego towarzystwa – powiedział. – Nie ma nikogo, z kim można porozmawiać o świecie tak jak z tobą.

– Nie żartuj sobie ze mnie! Szwecja jest pełna muzyków i myślicieli takich jak my.

Anders poczuł się absurdalnie zaszczycony tym określeniem.

– Może i tak. Po prostu ich nie spotkałem.

– Cóż, na pewno gdzieś są. – John Paul nie miał co do tego wątpliwości. – Przyjeżdżają tu wspaniali Szwedzi. Potrafią grać na łyżkach, śpiewać *Bunch of Thyme*. Zresztą Joe Hill był chyba ze Szwecji.

– Może masz rację. Dam ci znać, gdy ich znajdę.

– Bądźmy w kontakcie, Anders. Należysz do tych dobrych.

Po powrocie do pracy zastanawiał się, czy naprawdę należy do tych dobrych. Okazało się, że Mats wrócił do nałogu i to w dość spektakularnym stylu. Co więcej, jeden z ich najbardziej prestiżowych klientów uciekł z bardzo młodą kobietą i ogromną ilością aktywów zaledwie kilka tygodni przed ważnym audytem.

Ojciec jeszcze nigdy nie był tak zmartwiony i zaniepokojony. Wystarczyło kilka godzin w firmie, żeby Anders poczuł, że całe dobrodziejstwo urlopu się ulotniło. Włączył muzykę, którą ze sobą przywiózł. Solowy lament na irlandzkie dudy i porywający chóralny refren przypomniały mu beztroskie dni i towarzystwo. Ale przecież wiedział, że to było tylko chwilowe. Zachowuje się jak dziecko, które codziennie chciałoby mieć urodziny.

Ojciec nie wykazał żadnego zainteresowania wyjazdem, mimo że syn najwyraźniej bardzo chciał mu o tym opowiedzieć.

– Może pokażę ci zdjęcia? – zaproponował. – Może posłuchamy razem muzyki? Słuchaliśmy tam wspaniałej, tradycyjnej muzyki irlandzkiej.

– Tak, tak, bardzo ciekawe, ale to tylko wakacje. Anders, zachowujesz się jak Fru Karlsson, która ma wielką potrzebę opowiadania mi swoich snów. To nieistotne.

W tamtym momencie postanowił, że wyprowadzi się od ojca. Znajdzie sobie jakieś małe mieszkanie i skończy ten niekończący się cykl rozmów o pracy od rana do wieczora.

Miał nadzieję, że starczy mu zapału, żeby to zrobić. Wszyscy będą temu przeciwni. Po co wyprowadzać się z wygodnego, eleganckiego apartamentu, który i tak kiedyś będzie jego? Denerwować Fru Karlsson? Zostawić ojca samego, zamiast

towarzyszyć mu na stare lata?

Anders pomyślał o Johnie Paulu, który zamierzał porzucić marzenia o rajach dla muzyków, aby spełnić swój obowiązek, zaopiekować się ojcem i zająć się owcami. Ale nawet jemu zostanie trochę wolnego czasu. Może będzie mógł wieczorami grać na dudach? Nie będzie musiał co wieczór omawiać z ojcem spraw farmy.

Jeśli Anders będzie miał kiedyś syna, powie mu na samym początku, że powinien podążać za głosem serca i że nikt nie będzie od niego oczekiwał żadnych poświęceń. Jednak było mało prawdopodobne, że będzie go miał. Widział się tylko u boku Eriki, ale pozwolił jej odejść. Jednak zadzwonił do niej, żeby opowiedzieć o wyjeździe do Irlandii.

Erika słuchała z ciekawością. Sporo wiedziała o muzyce irlandzkiej. Nawet kupiła flażolet i uczyła się grać.

– Przyjedź na weekend, zabiorę cię do Galway. Spodoba ci się.

Weekend z dala od Almkwistów; z dala od dramatu z odwykiem kuzyna, zbiegłego klienta, niepokoju ojca, ogólnego spowolnienia w biznesie... tego właśnie potrzebował.

Gdy jechał w stronę Göteborga, gdzie był tak szczęśliwy w czasach studenckich, zastanawiał się, czy Erika zaprosi go do siebie. Nie rozmawiali o tym. Równie dobrze mogła mu zarezerwować pokój w hotelu. Jeśli jednak zostanie u niej, to czy będą spać w jednym łóżku? Byłoby nienaturalnie, gdyby przygotowała mu materac na podłodze. Ostatecznie ani on, ani Erika z nikim się nie spotykają, więc nie można by mówić o zdradzie. Ale nie mógł oczekiwać, że wszystko będzie tak jak dawniej. Westchnął. Wszystkiego dowie się dopiero na miejscu.

Erika wyglądała cudownie. Gdy mówiła, jakim sukcesem okazał się projekt, oczy jej błyszczały, a słowa padały z prędkością światła. Zostali docenieni i dostali poważną dotację. Na kolację przyrządziła szwedzkie klopsiki, które zawsze były ich daniem na specjalne okazje. W mieszkaniu niewiele się zmieniło – nowe zasłony, kilka nowych regałów.

Potem poszli do Galway. Sądząc po powitaniach, Erika była tu stałą bywalczynią. Przedstawiła Andersa ludziom po obu stronach baru, a potem usadowili się przed sceną. Nagle znów znalazł się w zachodniej Irlandii, gdzie nieustannie słyszeć muzykę i huk fal.

Po koncercie podszedł do muzyków, żeby porozmawiać. Szczególnie z Kevinem, który grał na dudach.

– Znasz motyw z *The Brendan Voyage*? – zapytał.

– Tak, znam, ale staram się tego nie grać. W Londynie ludzie przy tym płaczą.

– Ja też – przyznał się Anders.

Erika spojrzała na niego zdziwiona.

– Przecież ty nigdy nie płaczesz.

– W Irlandii płakałem – odparł smutno.

– Tak to działa na ludzi – powiedział Kevin ponuro. – Przyjdź jutro, zagram to specjalnie dla ciebie. Będziemy mogli razem sobie popłakać, a potem wypić piwo.

– Jesteśmy umówieni – zgodził się ochoczo Anders.

Gdy wrócili do mieszkania Eriki, wypili piwo i zabrali się do wyjadania resztek z lodówki. Zapaliła świece na stoliku, przy którym usiedli naprzeciwko siebie. Nagle każde z nich uświadomiło sobie obecność drugiego. Erika popatrzyła na niego poważnie.

– Zmieniłeś się.

– Nie zmienił się mój stosunek do ciebie.

– Mój też, mimo to nadal śpisz osobno. – Roześmiała się.

– Szkoda – odparł z uśmiechem.

– To prawda, ale nie zamierzam spędzić kolejnych tygodni, a nawet miesięcy, żałując tego, co mogło być.

– Żałowałaś?

– Wiesz, że tak.

– Mimo to nadal nie zamierzasz ze mną zamieszkać i stawić czoła Almkwistom.

– A ty nadal nie bierzesz pod uwagę rezygnacji z Almkwistów i zamieszkania ze mną. Słuchaj, już to przerabialiśmy. Nie ma sensu do tego wracać.

– Wiesz, że miałem obowiązki. Nadal je mam.

– Nie lubisz ich, przyjacielu. Jesteś nieszczęśliwy. Dziś nawet jednym słowem nie wspomniałeś o pracy. To mój jedyny zarzut. Gdybym wiedziała, że to jest to, czego pragniesz, mogłabym to rozważyć.

– Nazwałaś mnie przyjacielem...

– Przecież nim jesteś. Zawsze będziesz, nawet gdy już dawno założymy rodziny.

– Nic takiego się nie wydarzy. Szukałem. Nie ma nikogo.

– Cóż, będziemy musieli postarać się bardziej. Opowiedz mi jeszcze o Irlandii.

Opowiedział jej o Amerykanach irlandzkiego pochodzenia na Shannon, o Johnie Paulu, który musi wrócić na farmę, żeby zająć się ojcem. A potem poszedł spać w pokoju gościnnym. Długo nie mógł zasnąć.

Następnego dnia Anders i Erika siedzieli w Galway i słuchali gry Kevina. Anders znów usłyszał huk fal roztrzaskujących się o dzikie brzegi Atlantyku i poczuł nagły, przytłaczający przypływ rozpacz. Zobaczył całe swoje życie: wstawanie o świcie, wkładanie garnituru, pracę w biurze, powrót do pustego mieszkania, sen, wstawanie o świcie... Odpowiedzialność. Lojalność. Obowiązek. Zasady. Oczekiwania. Rodzinna tradycja. A gdy muzycy zrobili przerwę, Anders chciał wyjaśnić Ericie, dlaczego musi zostać z ojcem, ale brakowało mu słów. Zdania grzęzły mu w gardle.

– Chodzi o to... – zaczął i urwał. – To tradycja rodzinna. To znaczy, jeśli ja nie... Są pewne oczekiwania... Chodzi o to, kim jestem. Mogę to zrobić. Już to robię.

Jestem następcą. Wszyscy na mnie czekają. Całe życie... Bo jeśli nie tym, to kim jestem?

– Anders, proszę, przestań. Słuchaj, nie chodzi o to, że nie podoba mi się to, że pracujesz w firmie ojca. Chodzi o to, że tego nienawidzisz i to się nigdy nie zmieni. Ale nie zamierzasz nic z tym zrobić. Do ciebie należy decyzja, nie do nich. To twoje życie, nie ich. Ze swoim życiem możesz zrobić, co zechcesz. Zastanów się przynajmniej, co innego mógłbyś robić. Jeśli już to znajdziesz, wtedy weź pod uwagę odejście.

Pochyliła się i pogłaskała go po dłoni.

– Nie myśl o tym teraz.

– Innymi słowy nie myśl o tym nigdy – odparł ze smutkiem.

– Nie, ale zawsze dochodzisz do tego samego miejsca i trafiasz na tę samą przeszkodę. Może jednak coś się wydarzy. Coś, czego będziesz chciał bardziej niż firmy. Kiedy ten dzień nadejdzie, możesz znów o tym pomyśleć.

Chciał powiedzieć, że Eriki pragnie bardziej niż firmy, ale to nie była do końca prawda. Nie mógł odejść. Oboje o tym wiedzieli. Przytulili się do siebie, zanim wyruszył w długą drogę do domu.

W samochodzie słuchał muzyki z ciężkim sercem. To był tylko sen, wakacyjne wspomnienie. Zachowuje się jak dziecko, jeśli myśli, że jest dla niego inne życie.

Mijały tygodnie. Ojciec chłodno i z dystansem przyjął wiadomość o wyprowadzce syna. Fru Karlsson była oburzona. Próbowwała wyegzekwować obietnicę, że co wieczór będzie odwiedzał ojca.

Często jadał samotnie w mieszkaniu. Podgrzewał gotowe dania w mikrofalówce i otwierał piwo. Ojciec również jadał sam w swoim wielkim apartamencie.

Raz w tygodniu Anders przychodził do niego na kolację, przygotowany na żale i naciski, które powitają go w drzwiach. Albo ojciec, albo Fru Karlsson przypomną mu, że gdyby chciał zostać na noc, jego pokój czeka. A potem rozlegnie się głębokie westchnienie na temat wielkości i pustki rodzinnego domu. Ojciec mówił, jak trudno ostatnio się dowiedzieć, co się dzieje w firmie, skoro on sam pojawia się tam tylko na trzy godziny, a Anders zabawia się gdzieś każdego wieczoru, zamiast być tu, żeby z nim wszystko omówić.

Często zastanawiał się, co słyhać u Johna Paula. Czy życie na farmie okazało się lepsze, niż się obawiał, czy może gorsze? Czy warto było się poświęcić? John Paul mógł żałować intymnych zwierzeń na temat swojej niechęci do powrotu i opieki nad ojcem. Mógłby być niezadowolony, gdyby to wszystko nagle wróciło.

Pewnego wieczoru Anders sprawdził w sieci Stoneybridge, skąd pochodził John Paul. Było to małe, atrakcyjne nadmorskie miasteczko, które najwyraźniej odżywało latem, a w zimowym okresie raczej pustoszało. A jednak okazało się, że niedawno otwarto duży hotel na klifie, Kamienny Dom, oferujący tygodniowy pobyt w zimie na

wybrzeżu atlantyckim, imponujący krajobraz, dobre jedzenie, spacer i obserwację dzikiego ptactwa. A w pubach muzykę, jeśli gościom będzie się chciało poszukać. Był to nedorzeczny pomysł, wiedział o tym, ale mimo to zarezerwował pokój.

Ojcu zaledwie wspomniał, że wybiera się na urlop. Pan Almkvist o nic nie pytał, wyraził tylko lekką dezaprobatę z powodu nagłej decyzji syna.

Nie powiedział Erice. Ostatnie spotkanie było punktem zwrotnym. Nie ma sensu jej mówić, że znów jedzie do Irlandii. I tak by z nim nie pojechała. Powiedziałyby, że marnuje życie. Nie mogła zrozumieć, że on nie ma wyboru. Nie chciał znów rozmawiać na ten temat.

Poleciał do Dublina, a stamtąd złapał pociąg na zachód.

Chicky Starr czekała na niego na dworcu. Nie widziała nic dziwnego w tym, że młody księgowy ze Szwecji przyjechał na takie odludzie. Pochwaliła go za perfekcyjny angielski. Jej zdaniem Skandynawowie mają talent do języków. Gdy mieszkała w Nowym Jorku, zawsze zdumiewało ją, jak łatwo adaptowali się emigranci z Danii, Szwecji i Norwegii.

Zanim dojechali do cudownego domu, zdążył się odprężyć i poczuł się naprawdę dobrze. Poznał resztę gości. Amerykanin wyglądał jak Corry Salinas, nawet mówił tak jak on. Anders zastanawiał się, co u licha ktoś taki będzie tu robił. Wymienił spojrzenie z lekarzem z Anglii, który również zauważył aktora. Ale co z tego? Jeśli facet potrzebuje odpoczynku, zmiany, niczym się nie różni od pozostałych. Nikt nikomu nie zamierza przeszkadzać.

Przy kolacji rozmawiał z Fredą, sympatyczną dziewczyną, która wydawała się zaskoczona jego muzycznymi zainteresowaniami. Powiedziała, że trafił w odpowiednie miejsce; w tej części Irlandii oddycha się muzyką. Sama chętnie by posłuchała.

– Ty też jesteś muzykiem – powiedziała.

To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Anders powiedział jej o nyckelharpie i swojej miłości do muzyki.

– A jak zarabiasz na życie? – zapytała.

– Jestem tylko nudnym księgowym. – Skrzywił się.

– Księgowi nie są bardziej nudni niż cała reszta – odparła. – Ale ty chyba nie masz do tego serca. Dlaczego nie podążasz za przeznaczeniem? – Mówiąc to, patrzyła gdzieś w dal.

– Wiem doskonale, jakie jest moje przeznaczenie. Wkrótce zajmę miejsce swojego ojca w firmie, która jest dziełem jego życia. Raz lub dwa razy w tygodniu będę grywał dla pół tuzina osób w jakimś małym klubie. Tak będzie wyglądało moje życie. – A potem, żeby nieco złagodzić ponury charakter wypowiedzi, uśmiechnął się i dodał: – Ale teraz mam wakacje i zamierzam odkryć najlepszą muzykę w tym kraju. Dołączysz do mnie?

Umówili się, że nazajutrz po śniadaniu udadzą się na poszukiwania.

Było tak normalnie. Cieszył się, że przyjechał. Kiedy się położył i wyjrzał przez okno na fale w świetle księżyca, wiedział, że będzie spał spokojnie. Już samo to było warte przyjazdu.

Nazajutrz zapytał Chicky o kluby muzyczne.

Wiedziała o dwóch pubach znanych z dobrej muzyki. Jeden z nich oferował nawet owoce morza w porze lunchu, jeśli byłby zainteresowany spróbowaniem miejscowego jedzenia.

Gdy rozmawiali, na dół zeszła Freda. Z niecierpliwością oczekiwała, co przyniesie nowy dzień. Zapowiadała się możliwa pogoda, w dobrych nastrojach ruszyli więc w stronę centrum. Anders wziął ze sobą plecak z mapami i przewodnikami. Mijali bielone domki, gospodarstwa i przybudówki. Przez chwilę droga biegła wzdłuż linii brzegowej, a ponieważ byli na szczycie klifu, wiatr i bryza smagały im twarze. Nawet drzewa były zgięte wóół, skarłałe od atlantyckich wichur. Potem stracili z oczu morze, bo droga skręciła na ląd. Gdy zbliżali się do miasteczka, pola znikaly, zamiast nich pojawiły się rzędy nowych budynków mieszkaniowych, dziwnie pustych.

Główną ulicę Stoneybridge otaczały dwu- lub trzypiętrowe domy, każdy w innym kolorze. Puby łatwo było zauważyć, ale para odkrywców postanowiła wypić kawę w pierwszym sklepie.

Rozmowa toczyła się swobodnie, wymieniali pierwsze wrażenia na temat pozostałych gości Kamionnego Domu.

Anders zauważył, że Freda nic nie mówi o powodach swojego przyjazdu, ale innym przyjrzała się dość uważnie. Kręcąc lekko głową, powiedziała, że lekarz wraz z żoną są pogrążeni w głębokim smutku. Najprawdopodobniej są w żałobie. Nie powiedziała, skąd to przypuszczenie. A sympatyczną pielęgniarkę – jak ona ma na imię? Winnie, prawda? – czekają ciężkie chwile, ale ostatecznie okaże się, że było warto się pomęczyć.

Na obiad poszli do jednego z większych pubów: wielkie miski parujących, soczystych mały i świeży, chrupiący chleb. A potem, jakby na zawołanie, drobny mężczyzna czerwony na twarzy usiadł w rogu i zaczął grać na skrzypcach. Koncert rozpoczął.

Na początku muzycy mieli przewagę liczebną, ale stopniowo publiczność zaczęła się schodzić. Wyjaśniono im, że większość zjawia się wieczorami, niektórzy jednak lubią grać popołudniami, każdy może dołączyć. Muzyka, na początku łagodna i płynąca w tle, stawała się coraz szybsza. Jakaś para zaczęła tańczyć. Anders pożyczył gitarę i zagrał kilka szwedzkich piosenek. Wszystkich nauczył słów, a oni przyłączyli się do refrenu w wielkim stylu.

Przyznał dosyć nieśmiało, że przywiózł ze sobą tradycyjny szwedzki instrument

i że mógłby go jutro ze sobą wziąć. Oczywiście tylko wtedy, gdyby chcieli.

Gdy wrócił do stolika, Freda dziwnie na niego spojrzała.

– Raz lub dwa razy w tygodniu dla garstki osób? – powiedziała tak cicho, że ledwie mógł ją dosłyszeć przez owacje. – Nie sądzę.

Anders miał wrażenie, że mieszka tu całe życie. Amerykanin rzeczywiście okazał się Corrym Salinasem, który najwyraźniej podróżował incognito, bo przedstawiał się jako John. Towarzyszki podróży, Winnie i Lillian, omal nie utonęły drugiego dnia, ale zostały uratowane. Andersa ominął cały niepokój, ponieważ wieczór spędził w centrum na koncertach. Tym razem wziął ze sobą nyckelharpę, więc co chwila proszono, żeby coś zagrał i zaśpiewał. Nie było śladu po Johnie Paulu, choć Anders krążył między dwoma pubami.

W końcu zapytał człowieka z twarzą pooraną bruzdami, który grał na flażolecie, czy zna dudziarza o imieniu John Paul.

Oczywiście, że zna. Jak każdy. Przyzwoity gość. Czterech innych muzyków natychmiast przyłączyło się do rozmowy. Wszyscy znają biednego Johna Paula. Utknął w Rocky Ridge z pyskatym ojczulkiem, którego nic nie jest w stanie zadowolić. Wiecznie narzekający typ obwinia wszystkich, tylko nie siebie, o to, że dawno temu stąd nie wyjechał.

– A czy John Paul gra gdzieś w pobliżu?

– Nie było go tu od miesiący – powiedział jeden z mężczyzn, kręcąc ze smutkiem głową. – Pojechaliśmy kiedyś po niego całą grupą, ale powiedział, że nie może zostawić staruszka.

Nazajutrz rano Anders zapytał Chicky, jak dostać się do Rocky Ridge, a ona przygotowała mu suchy prowiant.

– Zapewne John Paul poczęstuje cię obiadem, ale na wypadek, gdyby go nie było, będziesz przygotowany.

Spacer okazał się dłuższy, niż się spodziewał. Kiedy dotarł na dużą, zaniedbaną farmę, był mocno wyczerpany. Sprawiała wrażenie opuszczonej. Gdy podszedł do drzwi, wybiegły gdaczące kury, zdenerwowane, że ktoś im przeszkadza.

Przy stole siedział starzec. Próbował czytać gazetę przez szkło powiększające. U jego stóp leżał duży owczarek. Bardziej przypominał dywan niż psa.

– Szukam Johna Paula... – zaczął Anders.

– Tak jak połowa kraju. Bóg jeden wie, ile godzin temu wyszedł i ślad po nim zaginął. Jestem jego ojcem, mam na imię Matty i jeszcze nie jadłem obiadu, a już po trzeciej.

– Cóż, jestem Anders i mam ze sobą prowiant, więc możemy coś zjeść – odparł Anders i rozpakował woskowany papier śniadaniowy.

Znalazł dwa talerze i rozdzielił kurczaka na zimno, ser i chutney. Zaparzył dzbanek herbaty. Zjedli jak gdyby nigdy nic. Jakby dla ojca Johna Paula to, że

przechodzący szwedzki turysta częstuje go jedzeniem, było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

Rozmawiali o rolnictwie na przestrzeni lat, o recesji i o tym, że wszystkie mieszkania, które zbudowali zarozumiali O’Harowie, stoją puste, przypominając osiedla widma z powodu chciwości ludzi, którzy myśleli, że status celtyckiego tygrysa jest im dany raz na zawsze. Opowiadał o swoich dzieciach, które dobrze się urządziły za granicą. Powiedział też, że pies wabi się Shep, i choć teraz jest ślepy i bezużyteczny, zawsze będzie miał dom.

Chciał posłuchać o rolnictwie w Szwecji. Anders odpowiadał najlepiej, jak umiał, choć wolałby być bardziej pomocny. Tak naprawdę był chłopakiem z miasta.

– Co więc sprowadza cię tutaj, skoro jesteś chłopcem z miasta? – zaciekał się Matty.

Anders wyjaśnił, jak poznał Johna Paula na wycieczce objazdowej.

– Kochał ten stary autobus, pracę bez perspektyw, między jedną speluną a drugą, szczęśliwy i wolny jak ptak. Nawet myślał o własnej knajpie, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli wróci tu i spróbuje wycisnąć ostatnie szylingi z tego miejsca – powiedział stary, z dezaprobatą kręcąc głową.

Anders poczuł, że wzbiera w nim gniew. Tak starzec dziękował synowi za poświęcenie? Czy życie może być bardziej niesprawiedliwe?

Próbował tłumaczyć, że może John Paul chciał tylko pomóc ojcu.

– A ty przypadkiem nie chcesz kupić tego miejsca? – Matty spojrzał na niego spod przymkniętych powiek.

– Nie, naprawdę chcesz sprzedać?

– Och, gdyby tylko się dało, do wieczora by mnie tu nie było.

– A gdzie byś poszedł, Matty?

– Poszedłbym do Świętego Józefa. To taki dom w mieście. Miałbym tam towarzystwo, a i odwiedzać by mnie można było. Nie tkwiłbym tutaj, w Rocky Ridge, z Johnem Paulem, który haruje od rana do nocy. I po co? Po nic.

– Mówił mu pan to?

– Nie mogę. On myśli, że jakoś się tu urządzi. Nic w życiu nie osiągnął, ale ma dobre serce i zasługuje na szansę rozruszania tego miejsca. Nie mogę sprzedać farmy za jego plecami, ot tak.

Anders milczał przez chwilę. Matty był przyzwyczajony do ciszy. Shep chrapał. Może świat jest pełen tego typu nieporozumień?

John Paul wrócił na szczyty gór, żeby zajmować się rzeczami, których nienawidzi, a ojciec tęskni do życia w ciepłym, bezpiecznym miejscu, gdzie ludzie mogliby do niego zaglądać, a obiad zawsze byłby o trzynastej. Obaj myśleli, że ten drugi rozpaczliwie chce utrzymać gospodarstwo.

Czy tak samo było w Szwecji?

Czy ojciec Andersa marzył, żeby przekazać firmę innym, zwolnić syna z obowiązku, który był dla niego brzemieniem? Czy to tylko pobożne życzenie? Fałszywa paralela?

Problemy nie rozwiązują się dzięki zbiegom okoliczności, tylko przez podejmowanie decyzji. Erika zawsze to powtarzała, ale on uważał, że to doktrynerstwo. A to prawda. Decyzja, żeby niczego nie zmieniać, to również decyzja. Wcześniej nie rozumiał tego w pełni.

Zapadł zmierzch. Shep spał niespokojnie. Anders zaparzył kolejny dzbanek herbaty i znalazł przy okazji herbatniki. Matty opowiedział mu o mężu Chicky, który zginął w wypadku samochodowym w Nowym Jorku, zostawiając tyle pieniędzy, że mogła tu wrócić i kupić dom panien Sheedy. Powiedział, że Chicky to prawdziwa wojowniczką; nie oczekiwała, że ktoś wygra bitwę za nią. Wielu mężczyzn okazywało jej względy, lecz ona nie była zainteresowana.

I nigdy nie wiadomo, jakie Bóg ma plany. Może jakiś sympatyczny Amerykanin przyjedzie na wakacje i uczucie jeszcze raz zwali ją z nóg? Jest jakiś odpowiedni gość?

Zdaniem Andersa raczej nie. Jest jeden sympatyczny Amerykanin, ale nie zanoszą się na romans.

– Och, masz na myśli Corry’ego Salinasa? Słyszałem, że tam się zatrzymał.

– Naprawdę?

– Tak, chciał to zachować w tajemnicy, ale wszyscy go rozpoznali. Frank Hanratty dopiero co opowiadał szaloną historyjkę, jak to Salinas przyszedł do klubu golfowego, żeby postawić mu drinka, bo zobaczył jego różowego vana na zewnątrz. Frank lepiej by zrobił, gdyby wziął się w garść.

Nagle usłyszeli, że nadjeżdża van, i John Paul wpadł do domu.

– Tatku, bydlę przedostało się przez ogrodzenie. Zablokowało całą drogę. Doktor Dai za pomocą kija golfowego próbował zapędzić je z powrotem. Ale szło mu gorzej niż mnie. A zanim znaleźliśmy kogoś do naprawy płotu... – urwał, gdy zobaczył Andersa. Wielką twarz rozpromieniła radość. – Anders Almkvist! Przyjechałeś nas odwiedzić – powiedział w zachwycie. – Tatku, to jest mój przyjaciel...

– Przecież wiem już wszystko. Odbyliśmy długą pogawędkę, czekając na ciebie. Wiem też, dlaczego Szwedom jest lepiej z koronami niż z euro – mówił ojciec.

John Paul stał z otwartymi ustami.

– I przywiózł mi obiad – podkreślił, kończąc pochwały.

Anders wziął kubek i nalał herbaty Johnowi Paulowi. Nie ma pośpiechu. Będzie mnóstwo czasu, żeby wszystko wyjaśnić.

John Paul odwiózł Andersa do Kamiennego Domu.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjechałeś do Rocky Ridge, żeby się ze mną spotkać!

– Miałem nadzieję, że posłucham, jak grasz w jednym z lokalnych klubów, ale

powiedzieli mi, że za ciężko pracujesz.

– Ja miałem nadzieję, że przyjechałeś, żeby mi powiedzieć, że oszczędłeś z tej twojej firmy.

– Nie, jeszcze nie.

– Ale może...? – Ucieszył się. – A więc cuda się jednak zdarzają.

– Zaczekaj, aż powiem ci, czego tak naprawdę chce twój ojciec. Potem porozmawiamy o cudach.

Andersowi było głupio, gdy spóźniony wślizgiwał się do kuchni.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, siadając obok lekarza i jego żony.

– Nie ma sprawy. Dziś jest kaczką. Jeszcze ciepła. Wszystko w porządku z Johnem Paulem?

– W porządku, w porządku – odparł. – Jak jest w Świętym Józefie?

– Wspaniale. Jeśli tylko udałoby się przekonać Matty’ego, na pewno by mu się spodobało. Moja ciotka tam jest. Kiedy ją odwiedzam, ledwo ma czas, żeby ze mną porozmawiać.

– Ale on chce tam iść. To John Paul ma wątpliwości.

– Z tym sobie poradzimy. A ty powiedz Johnowi Paulowi, że powinien stąd wyjechać, pojeździć trochę po świecie. Niech rodzeństwo go teraz odciąży. Odwiedzi Matty’ego od czasu do czasu, zamiast zostawiać wszystko na jego barkach.

– Mam nawet pewien pomysł.

– Jeśli to dla niego szansa, jestem za.

– Myślałem o otwarciu irlandzkiego baru w Szwecji. Chciałbym, żeby pomógł mi zająć się stroną muzyczną. Ja zajmę się biznesową.

– Więc to jest powód twojej wizyty. Zastanawiałam się nad tym. – Chicky wydawała się zadowolona, że poznała odpowiedź bez zadawania pytań.

– Nie miałem takiego zamiaru. Tak po prostu wyszło.

– Tak to już jest z tym miejscem. Tu rodzą się pomysły. To chyba zasługa morskiego powietrza.

– Jeszcze nie rozmawiałem o tym z ojcem.

– A jeśli będzie przeciwny? – zapytała Chicky delikatnie.

– Wszystko mu wyjaśnię. Będę mówił jak on, jasno i grzecznie. Nie okażę pogardy jego planom; podkreślę tylko, że nie są moje. – Był znacznie pewniejszy siebie.

Chicky przez chwilę kiwała głową, jakby wiedziała, że się uda.

– A gdy będziesz zatrudniał pracowników, pomyśl o mojej siostrzenicy. Mogłaby zająć się jedzeniem. Przynajmniej w sezonie. Twój pub na tym skorzysta, a dzięki temu ona stąd się wyrwie, zamiast przy mnie oszaleć na starość.

– Są gorsze miejsca. – Zaśmiał się.

Miał nadzieję, że ojciec zrozumie. I że nie będzie za bardzo rozczarowany. Klara

przejmie Almkwistów. W jej żyłach płynie przecież ta sama krew. A firmę zna i kocha bardziej, niż Anders mógłby kiedykolwiek. Wszystko, co musiał zrobić, to przekonać ojca, że kobieta może stanąć na czele tak prestiżowej firmy. Westchnął i rozparł się na krześle. Kto mógłby mu pomóc przekonać ojca? Wyciągnął ołówek i notes i zaczął sporządzać listę spraw, które musi załatwić. Na pierwszym miejscu był telefon do Eriki.

Wallowie

Nigdy nie przedstawiali się jako Ann i Charlie. Zawsze mówili o sobie „Wallowie”.

Kartki świąteczne również podpisywali „Wallowie”, a gdy odbierali telefon, mówili: „Wallowie przy telefonie”.

Był to wyraz solidarności. Rzadko widywano ich osobno, zawsze trzymali się razem. Najwyraźniej nigdy nie mieli dość swojego towarzystwa. Szczęśliwie dla nich, bo pracowali razem w domu w Dublinie, poprawiając i oceniając prace studentów z kolegium korespondencyjnego. Oboje byli nauczycielami, a w ten sposób mogli pracować w mniej stresujących warunkach i na dodatek spędzać czas razem. W domu urządzili mały gabinet, w którym przebywali codziennie od dziewiątej do drugiej. Mawiali, że przy nienormowanym czasie pracy najważniejsza jest dyscyplina. Bez niej czas przecieka przez palce.

Popołudniami spacerowali, zajmowali się ogrodem lub robili zakupy. Najważniejszą częścią dnia były konkursy, do których zasiadali o piątej.

Wygrali niezliczoną ilość nagród. W tak różnorodnych konkursach, jak wybór imienia dla wielkanocnego zajęczka z czekolady po napisanie limeryku na cześć altany ogrodowej. Za pomysł na hasło reklamowe nowych perfum pojechali nawet na wakacje na południe Francji; za odgadnięcie wagi indyka dostali zestaw żeliwnych naczyń. Wygrali najnowszy telewizor, najdroższą mikrofalówkę, motocykle dla niej i dla niego, aksamitne zasłony i całą masę mniejszych rzeczy, jak najmodniejsze czajniki elektryczne czy skórzane albumy na zdjęcia. Tydzień bez nagrody nazywali kiepskim. Radość sprawiały im nagrody, ale równie ważna była sama rywalizacja.

Mieli dwóch synów, którzy nigdy nie odgrywali w ich życiu większej roli. Gdy chłopcy chodzili do szkoły, zawsze bawili się u kolegów: Wallów nie interesowało zabawianie dzieciaków. Potem Andy został piłkarzem w poważnym angielskim klubie, a Rory jeździł po całej Europie jako kierowca ciężarówki.

Wallowie byli zaskoczeni wyborem synów. Nie mogli pojąć, dlaczego nie chcieli pójść na studia. Chłopcy z kolei nie potrafili zrozumieć swoich rodziców, którzy przetrząsali gazety i czasopisma w poszukiwaniu wygranej w postaci tosterka.

Lata mijały spokojnie. Byli bardzo zadowoleni z życia. Konkursy wybierali niezwykle ostrożnie, brali udział tylko w takich, w których mieli realną szansę na wygraną. Gardzili audiotele z pytaniami typu: Czy Wiedeń jest stolicą: a) Andory, b) Austrii, c) Australii? To nie była prawdziwa rywalizacja, tylko system zarabiania pieniędzy na połączeniach telefonicznych. Żaden szanujący się konkursowicz nie

wzięłyby udziału w czymś takim.

Wiedzieli też, że dżingle i rymowanki nie mogą być zbyt błyskotliwe. Należy znaleźć złoty środek. Badali wzajemnie swoje pomysły, szukając gry słów czy odniesień wykraczających poziomem ponad przeciętnego zawodnika. Do tej pory wszystko układało się świetnie.

Pewnego letniego wieczoru siedzieli na ławce ogrodowej wygranej za dopasowanie dwunastu kwiatów do miesięcy ich kwitnięcia i popijali ze szklanek Waterford Glass, które wygrali za najlepszą odę do kryształu. Gratulowali sobie dwudziestu pięciu lat szczęśliwego małżeństwa. Tego wieczoru byli szczególnie podnieceni: żeby uczcić nadchodzące za kilka miesięcy srebrne gody, zamierzali wygrać coś naprawdę wspaniałego. Jedną z nagród był rejs na Alaskę, ale pewnie będzie spora konkurencja. O taką nagrodę będą chcieli powalczyć zawodnicy z całego świata. Szanse wygranej są niewielkie. Był też kuszący kurs gotowania we Włoszech. Tydzień w szkockim zamku. Nieograniczone możliwości. Nie kierowało nimi skąpstwo ani oszczędność. Stać ich było na wakacje za granicą, jednak wygrana dawała znacznie więcej satysfakcji. Wypełniali formularze i wymyślali hasła z wielkim zapalem.

Wtedy znaleźli nagrodę marzeń. Ferie w luksusowym hotelu w Paryżu. Do dyspozycji samochód z kierowcą i plan na każdy dzień: Wersal, Chartres, a także zwiedzanie miasta, posiłki w restauracjach o międzynarodowej sławie. Taka okazja zdarza się raz w życiu.

Zapowiadało się nieźle. Konkurs ogłoszono w dosyć eleganckim magazynie o małym nakładzie; to dobrze wróżyło. Nie przyciągnie uwagi milionów czytelników. Zadanie polegało na uzasadnieniu w jednym akapicie, dlaczego to właśnie wy zasłużyliście na tę nagrodę.

Wallowie wiedzieli, że nie można udzielić żartobliwej odpowiedzi. Sędziami są przecież redaktorzy magazynu, biuro podróży i dwoje hotelarzy z Irlandii i Wielkiej Brytanii, którzy ufundowali nagrody za drugie i trzecie miejsce. Tacy ludzie traktują swoją ofertę z największą powagą. Satyra ani nonszalancja nie wchodzi w grę. Odpowiedź musi być równie poważna.

Z zadowoleniem przystąpili do konkursu. W prostych słowach wyjaśnili, że podczas dwudziestu pięciu lat szczęśliwego partnerstwa zatracili gdzieś romantyzm, który chcieliby odzyskać. Dodali, że nigdy nie prowadzili życia pełnego przepychu, ale jak każdy chcieliby, żeby blask choć na chwilę rozświetlił ich życie. Już wcześniej używali słów „rozświetlić” i „blask” i zawsze działały. Tym razem też podziałają.

Byli pewni, że nagroda trafi w ich ręce, więc gdy okazało się, że zajęli drugie miejsce, byli zdruzgotani. Nagrodą był urlop na jakimś odludziu na klifach Atlantyku na drugim końcu kraju. Spojrzeli na siebie z konsternacją. To kiepska nagroda za trud włożony w namiętny tekst o tym, że każdy potrzebuje odrobiny blasku!

Kobieta, z którą rozmawiali przez telefon, spodziewała się, że będą zadowoleni z wygranej, a ponieważ byli dobrze wychowani, starali się wykrzesać z siebie entuzjazm. Ale czuli żal na myśl o tym, że ktoś inny będzie siedział w ich samochodzie z szoferem i korzystał z ich rezerwacji w pięciogwiazdkowej restauracji.

Ann Wall wypakowała rzeczy z walizki: wygraną niegdyś torebkę od znanego projektanta i jedwabną apaszkę od Hermès. Charlie niechętnie odłożył na półkę przewodnik po Paryżu.

Oboje byli zirytowani i wściekli na siebie. Jak mogli być tak pewni wygranej? Koniecznie musieli dowiedzieć się, jaka była zwycięska praca.

Zadzwonili do Chicky Starr, właścicielki Kamienego Domu, żeby ustalić szczegóły. Podała im rozkłady jazdy i obiecała, że odbierze ich ze stacji. Musieli przyznać, że była rzeczowa, uprzejma i serdeczna. Właściwie zachwycająca. Pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć, że pobyt w jej pensjonacie to tylko kiepska nagroda pocieszenia.

Spytała o to, czy są wegetarianami. Poradziła też, żeby wzięli ze sobą ciepłe i przeciwdeszczowe ubrania. To chyba nie miejsce na eleganckie torebki i apaszki. Zaproponowała, że prześle im foldery i przewodniki, żeby mogli zaplanować pobyt. Będzie można wypożyczyć rowery, obserwować dzikie ptaki, a przy kolacji porozmawiać z grupą podobnie myślących ludzi.

Podobnie myślących? Wallowie powątpiewali w to. Nikt nie będzie tak rozgoryczony jak oni.

Pani Starr obiecała zachować w tajemnicy, że są zwycięzcami konkursu: to oni zdecydują, czy o tym mówić. Trochę ich to zaskoczyło. Zwykle z dumą oznajmiali, że wyjazd jest wygraną w konkursie, że są tu dzięki rozumowi, a nie pieniądзом. Jednak to miłe z jej strony.

Z ciężkim sercem zgodzili się na zaproponowane godziny przyjazdu, uprzejmie dodając, że już nie mogą się doczekać.

Obaj synowie przyjechali do Irlandii, żeby uczcić ich srebrne gody. Zabrali rodziców do Quentins, jednej z najbardziej znanych restauracji w Dublinie.

Wallów zaskoczyło obycie synów. Andy, teraz zawodnik pierwszej ligi, był przyzwyczajony do życia na wysokim poziomie i swobodnie przeglądał menu. Rory, który zwykle stołował się w przydrożnych barach, radził sobie równie dobrze.

Bezradnie zapytali o ostatnie sukcesy. Rodzice wygrali zestaw bagażowy, kolorowe lampki ogrodowe i drewnianą, rzeźbioną miskę do sałaty wraz z łyżkami.

Andy i Rory niechętnie pogratulowali. Opowiedzieli trochę o swoim życiu. Wallowie słuchali bez zrozumienia, gdy Andy mówił o transferach i usunięciach z ligi, a Rory opowiadał o nowych regulacjach prawnych, które dusiły cały przemysł transportowy, oraz pieniądzech, które ciągle oferowano za przewiezienie nielegalnych imigrantów. Oboje pochwalili się też życiem uczuciowym. Andy spotykał się

z supermodelką, a Rory zamieszkał z Hiszpanką o imieniu Pilar.

Wallowie powiedzieli, że wybierają się na tydzień do Stoneybridge. Wymienili wszystkie zalety hotelu. Wspomnieli także, że właścicielka jest zachwycająca.

Ku ich zaskoczeniu chłopcy wydawali się szczerze zainteresowani.

– To świetnie! Doskonała decyzja – powiedział Andy z podziwem.

– I na dodatek samodzielna. A nie nagroda w jakimś konkursie – dodał Rory.

Wallowie postanowili nie wyprowadzać ich z błędu. Po części dlatego, że wciąż było im przykro, że nie zajęli pierwszego miejsca, ale przede wszystkim pochlebiało im, że decyzja wyjazdu do tego zapomnianego przez Boga miejsca tak synów ucieszyła. Chcieli się trochę ogrzać w ciepłe tego entuzjazmu.

Andy powiedział, że jego dziewczyna zawsze chciała pojechać na wakacje w jakąś dziką okolicę, żeby pospacerować. Rory dodał, że Pilar widziała *Spokojnego człowieka* chyba z pół tuzina razy i marzy o tym, żeby zobaczyć to miejsce. Może ten hotel okaże się wart odwiedzenia.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Wallowie czuli, że odbierają na tych samych falach co ich dzieci. Bardzo satysfakcjonujące.

Jednak przygnębienie wróciło tydzień później, gdy przemierzali Irlandię. Deszcz padał nieprzerwanie. Przykro było patrzeć na mokre pola i szare góry. W tym właśnie momencie ktoś inny przylatuje na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Spotka się z kierowcą, który powinien witać się z Wallami. W samochodzie będą koce, na wypadek gdyby zrobiło im się zimno. Zawiezie ich do wspaniałego, pięciogwiazdkowego hotelu Martinique, gdzie w apartamencie na powitanie będzie czekać schłodzony szampan. W prawdziwym apartamencie. Dziś wieczór ci ludzie będą wybierać w restauracji hotelowej pozycje z menu, które Wallowie już zdążyli przestudiować w Internecie. Tymczasem oni jadą do jakiegoś pensjonatu typu „wikt i opierunek”. Pewnie będą przeciągi, nawet w środku trzeba będzie siedzieć w kurtkach, a posiłki przez calutki tydzień będą jadać w kuchni pani Starr.

W kuchni!

Powinni jadać pod dachami Paryża.

Im bardziej na zachód, tym pola wydawały się mniejsze i bardziej mokre. Nie musieli nic mówić. Rozumieli się bez słów. Czeka ich długi tydzień pełen rozczarowań.

Na dworcu rozpoznali Chicky Starr bez najmniejszego problemu. Pamiętali jej zdjęcie z folderu. Przywitała ich serdecznie i zaniósła bagaże do vana, opowiadając przy tym o okolicznych atrakcjach. Powiedziała, że przy okazji musi jeszcze podjechać po kilka rzeczy. Wallowie patrzyli, jak drogi komplet walizek ląduje na dachu. Przy zwykłych torbach i plecakach Chicky Starr wydawały się zupełnie nie na miejscu.

Wyglądało na to, że zna wszystkich. Zapytała kierowcę autobusu, czy na targu jest

spory tłum, uczniów przywitała pytaniem o wynik dzisiejszego meczu. Starszemu panu zaproponowała podwiezienie, ale odparł, że ma go odebrać synowa, a do tego czasu posiedzi sobie, podziwiając, jak świat się kręci.

Wallowie patrzyli z ciekawością. Jak to jest znać każdego w okolicy? Z pewnością można się poczuć częścią wspólnoty, ale też nabawić klaustrofobii. Nie było żadnej wzmianki o panu Starr. Ann Wall postanowiła natychmiast to naprawić.

– Czy mąż pomaga w całym przedsięwzięciu? – zapytała bez ogródek.

– Niestety zmarł kilka lat temu. Ale na pewno byłby bardzo zadowolony – powiedziała otwarcie Chicky.

Poczuł się zawstydzony. Byli nachalni.

– Urocze miejsce.

Charlie starał się być miły.

– Wyjątkowe. Sporo czasu spędziłam w Nowym Jorku. Wtedy wracałam do domu co roku, żeby złapać oddech. Mam nadzieję, że na innych też tak podziela.

Wallowie powątpiewali, ale przytaknęli z entuzjazmem.

Byli mile zaskoczeni Kamiennym Domem. Przede wszystkim było ciepło i bardzo komfortowo. Sypialnię z wykuszem wychodzącym na morze urządzono we wspaniałym stylu. Na stoliku przy oknie stały dwa kryształowe kieliszki, wiaderko z lodem i buteleczka szampana.

– W ten prosty sposób chcieliśmy pogratulować wam jubileuszu. To szczęście móc przeżyć coś takiego, a jeszcze większe zdawać sobie z tego sprawę – powiedziała Chicky.

Wallów zatkało.

– Cóż, mamy bardzo udane małżeństwo – stwierdziła po chwili Ann. – Ale skąd wiedziałaś?

– Czytałam waszą pracę konkursową. Wzruszająca. O tym, jak czerpicie radość z drobnych rzeczy, ale pragniecie odrobiny blasku. Naprawdę mam nadzieję, że staniemy na wysokości zadania.

Oczywiście czytała ich pracę. Zapomnieli, że była jedną z oceniających. Ale mimo wzruszenia nie wysłała ich na wakacje marzeń.

– Więc czytałaś wszystkie zgłoszone prace? – zapytał Charlie.

– Trzydzieści najlepszych.

– A zwycięzcy...?

– No cóż, było pięciu zwycięzców.

– Tak, ale chodzi nam o pierwszą nagrodę. Jaki był ich esej? – Ann Wall musiała wiedzieć, jakie słowa pokonały ich w wyścigu do mety.

Chicky przez chwilę milczała, jakby zastanawiając się, czy powinna odpowiedzieć.

– To naprawdę dziwne. Napisali coś całkiem innego. W zupełnie innym stylu niż

wy. To bardziej piosenka, jakby wersja *I Love Paris in The Springtime*, tylko z innymi słowami.

– Piosenka? Nic nie wspomiano o piosence. Miał być esej. – Wallowie byli oburzeni.

– No cóż, wiecie, jak to jest. Ludzie różnie interpretują polecenia.

– Ale słowa do czyjejs piosenki? Czy to nie narusza praw autorskich? – Wstrząs był potężny.

Chicky wzruszyła ramionami.

– To było naprawdę błyskotliwe. Bardzo chwytliwe. Wszystkim się podobało.

– Oryginał może jest chwytliwy i błyskotliwy, ale oni po prostu go sparodiowali. I polecili do Paryża. – Ból i gorycz mieli wypisane na twarzy.

Chicky spoglądała to na jedno, to na drugie.

– Cóż, teraz jesteście tutaj, więc miejmy nadzieję, że będziecie dobrze się bawić – powiedziała z rezygnacją.

Próbowali zachowywać się normalnie, ale wysiłek był zbyt wielki.

Chicky pomyślała, że mądrzej będzie zostawić ich samych. Stało się oczywiste, że dla Wallów pobyt w Kamiennym Domu to tylko kiepska nagroda pocieszenia.

– Jeśli to jakaś pociecha, wszyscy sędziowie zgodnie uznali, mimo zwycięstwa Flemmingów, że wasza historia jest rozczulająca. Wszyscy wam zazdrościmy. – Próbowala ich trochę udobruchać.

Bez skutku. Czuli się nie tylko zawiedzeni, ale i oszukani. Ta rana będzie się jątrzyć.

Starali się dojść do siebie. Nawet bardzo. Ale to nie było łatwe. Próbowali rozmawiać z resztą gości i wykazywać zainteresowanie tym, co mają do powiedzenia. A goście stanowili niesamowitą zbieraninę: chłopak ze Szwecji, bibliotekarka Freda, para lekarzy z Anglii, przyjmująca wszystko z dezaprobatą Nell, kobieta z wydętymi ustami, Amerykanin, który przegapił samolot i przyjechał tu pod wpływem chwili, oraz dziwne przyjaciółki, Winnie i Lillian. Co oni wszyscy tu robią?

Orla, siostrzenica właścicielki, podawała wyborne jedzenie. Naprawdę, nie było się do czego przyczepić. Poza tym, że Flemmingowie, kimkolwiek byli, ukradli ich urlop w Paryżu.

Tej nocy nie spali za dobrze. Nie mogąc zmrużyć oczu, o trzeciej w nocy zaparzyli herbatę. Siedzieli, nasłuchując wiatru i deszczu za oknem. Fale uderzające o brzeg wydawały smutne i żalosalne jęki, jakby łączyły się z nimi w bólu.

Nazajutrz goście z gotowością i entuzjazmem wyruszyli na zwiedzanie. Wallowie na chybił trafił wybrali kierunek i znaleźli się na długiej, opuszczonej plaży. Musieli przyznać, że spacer był orzeźwiający, a krajobraz prezentował się wspaniale.

Ale to nie był Paryż.

Poszli do jednego z pubów rekomendowanych przez Chicky na miskę zupy.

– Chyba nie zniosę kolejnych sześciu dni czegoś takiego. – Ann Wall odłożyła łyżkę.

– Moja była w porządku – odparł Charlie.

– Nie mówię o zupie. Mówię o pobycie w tej miejscinie.

– Wiem, rozumiem cię w pewnym sensie – zgodził się.

– To nie była uczciwa wygrana. Nawet Chicky to przyznała. – Ann Wall wydawała się naprawdę zasmucona.

– Chciałabyś wiedzieć, jak im tam jest? – zapytał Charlie.

– I tak, i nie. – Wybuchnęli śmiechem.

Kobieta za barem spojrzała na nich z uznaniem.

– Boże, jak to miło widzieć parę, która tak dobrze się czuje w swoim towarzystwie – powiedziała. – Nie dalej jak wczoraj mówiłam Paddy’emu, że przychodzą tu i w milczeniu wbijają wzrok w drinki. Paddy nawet nic nie zauważył. Pewnie wszystko już sobie powiedzieli. Tak uważa.

To miłe, gdy podziwiają twój związek, i to drugi raz w ciągu doby. Nie sądzili, że to coś niezwykłego. Ale według Chicky sędziowie im zazdrościli. Choć nie na tyle, żeby przyznać im pierwszą nagrodę.

Powiedzieli, że przyjechali z Dublina i że zatrzymali się w Kamiennym Domu.

– Chicky wykonała kawał dobrej roboty, prawda? – powiedziała kobieta. – Dla ludzi w okolicy jest wspaniałym przykładem. Kiedy jej biedny mąż, Boże, miej go w swojej opiece, zginął w strasznym wypadku drogowym w Nowym Jorku, po prostu wróciła do domu i zaczęła nowe życie. Dzięki niej interes się kręci i w zimie. Wszyscy życzymy jej dobrze.

Wallowie zgadzali się, że sprawa z mężem Chicky była smutna. Ale czy przez to mają się poczuć lepiej na tym odludziu?

Dopiero czwartego dnia powiedzieli pozostałym, jak się znaleźli w Kamiennym Domu. Wieczorami wszyscy byli bardziej zrelaksowani; zdążyli się już zorientować, że nikt nie był tym, na kogo wyglądał. Lillian i Winnie wcale nie były koleżankami, na dodatek omal nie utonęły; lekarze byli teraz bardziej spokojni, a Nicola gawędziła beztrudnie z Amerykaninem, który okazał się gwiazdą filmową; Szwed był pasjonatem muzyki, a Freda osobliwie dużo wiedziała o ludziach i ich życiu. Nell wciąż na wszystko kręciła głową – przynajmniej to się nie zmieniło. Naprawdę czuli, że bardziej niż grupą przypadkowych ludzi są grupą znajomych.

Wszyscy byli zachwyceni ich pasją. Dotychczas myśleli, że konkursy są ustawiane, poza tym jest za dużo chętnych do nagród. Wallowie wymienili kilka wygranych przedmiotów, co zostało przyjęte z podziwem.

– Trzeba mieć jakiś specjalny dar? – dopytywała się Orla. – Chciałabym wygrać motocykl i przejechać całą Europę.

Wallowie hojnie udzielali rad; to nie tyle dar, co zawziętość i prostota.

Wszyscy byli bardzo podekscytowani. Z wielką chęcią wzięliby udział w jakimś konkursie, gdyby tylko udało się coś znaleźć. Chicky i Orla pobiegły po gazety i czasopisma, a potem wszyscy zabrali się do wertowania.

W jednym należało nazwać zwierzęta w zoo. Wallowie wyjaśnili, że to konkurs skierowany do dzieci, więc każda szkoła w kraju weźmie w nim udział. Szanse były niewielkie. Mówili pewnie, niczym wytrawni pokerzyści kalkulujący szanse skompletowania strita lub koloru. Pozostali patrzyli na nich z szacunkiem.

W lokalnym dzienniku znaleźli konkurs: „Wymyśl festiwal”.

Wallowie przeczytali go uważnie. Uczestnicy mieli za zadanie zaproponować festiwal, który dałby impuls do ożywienia regionu w martwym okresie zimowym.

To jest to. Co mogliby zaproponować Stoneybridge? Goście wątpili w swoje siły. Liczyli na zręczny slogan, błyskotliwy limeryk. To zadanie wydawało się zbyt trudne.

Wallowie nie byli pewni, ale widzieli potencjał. To musi być związane z zimą, więc konkurs piękności odpada. Biedne dziewczyny zamarzyłyby na śmierć. Galway ma festiwal ostryg, więc o tym też należy zapomnieć. Przemysł kajakarski i surfingowy opanował już inne części wybrzeża.

Wspinaczka była zbyt specjalistyczna. Oczywiście pozostawała muzyka tradycyjna, ale Stoneybridge nie było jej centrum, jak Doolin lub Miltown Malbay w County Clare, nie pochodzili stąd też żadni legendarni dudziarze lub skrzypkowie. Festiwal spacerów już jest. Miasteczko nie mogło pochwalić się literatami, którzy mogliby stać się podstawą zimowej szkółki.

Nie było historii sztuk wizualnych. Nie mogli postawić w centrum zainteresowania Jacka Yeatsa i Paula Henry’ego.

– Może festiwal opowiadań? – zaproponowali Henry i Nicola, małomówni lekarze z Anglii.

Wszyscy uznali, że to dobry pomysł, ale okazało się, że w sąsiednim powiecie jest już coś takiego i to z długą tradycją.

Anders wyszedł z propozycją seminarium muzyki irlandzkiej, ale reszta uznała, że turystów biorących lekcje gry na flecie, łyżkach i bodhranie, irlandzkim bębnie, sporo jest i bez tego.

Amerikanin, którego na przemian nazywano John lub Corry, uznał, że mógłby się sprawdzić festiwal poszukiwania własnych korzeni. Można by znaleźć kilku genealogów, którzy pomagiliby szukać przodków. Jednak według opinii większości ten przemysł był w Irlandii nieźle obstawiony.

Winnie zasugerowała festiwal kulinarny. Miejscowi mogliby uczyć przyjezdnych, jak wypiekać ciemny chleb, farle ziemniaczane, a szczególnie, jak z mchu irlandzkiego zrobić pyszny mus, który jedli wczoraj na kolację. Ale najwyraźniej było już wystarczająco dużo szkół, z którymi trudno by było konkurować.

Uzgodnili, że prześlą się z tematem i spróbują coś zaproponować przy jutrzejszej

kolacji. To był zabawny wieczór. Wallowie, pomimo nastawienia, dobrze się bawili. Jednak gdy tylko wrócili do pokoju, znów zaczęli myśleć o Paryżu. Tego wieczoru powinni być w operze. Limuzyna szybowałaby w świątłach Paryża; po powrocie do Martinique przywitałaby ich obsługa, która już by ich kojarzyła. *Le maître* zaproponowałaby drinka w piano barze przed udaniem się do apartamentu. Zamiast tego próbowali wytłumaczyć zasady wygrywania grupie nieznajomych, którzy nie mieli o tym pojęcia.

Jak zwykle na samą myśl o tym zrobiło im się przykro.

– Mógłbym się założyć, że tamci nawet tego nie doceniają – powiedział Charlie.

– Na pewno odwołali wyjście do opery i poszli do pubu – dodała Ann z pogardą.

Nagle wpadła na pewien pomysł.

– Zadzwońmy do nich i zapytajmy, jak się bawią. Przynajmniej się dowiemy.

– Nie możemy zadzwonić do Paryża! – Charlie był zszokowany.

– Dlaczego nie? Krótka piłka. Powiemy, że chcieliśmy pogratulować.

– Ale jak ich znajdziemy? – zapytał Charlie zaskoczony tym pomysłem.

– Znamy nazwę hotelu i nazwisko. Co w tym trudnego?

Wallowie zawczasu zapisali w swoim kajeciku wszystkie szczegóły urlopu w Paryżu, w tym telefon do hotelu. Zanim mąż zdążył wymyślić kolejny powód, sięgnęła po telefon i wybrała numer.

– *Monsieur et Madame Flemming d'Irlande, s'il vous plaît* – zaczęła czystym, dźwięcznym głosem.

– Za kogo się podasz?

– Zobaczę.

Charlie słuchał zaniepokojony.

– Och, pani Flemming, dzwonię, żeby zapytać o urlop. Czy są państwo zadowoleni?

– Och, cóż, tak... To znaczy, dziękuję. – Kobieta wydawała się niezdecydowana.

– I są państwo zadowoleni z pobytu w Martinique? – nalegała Ann.

– Czy pani pracuje w hotelu? – zapytała nerwowo pani Flemming.

– Nie, dzwonię z Irlandii, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Cóż, sytuacja jest trochę niezręczna. Mówię to z przykrością, bo to bardzo ekskluzywny hotel, ale nie tego się spodziewaliśmy.

– Och, kochana, przykro mi to słyszeć. O co dokładnie chodzi?

– Cóż... po pierwsze, nie dostaliśmy apartamentu, tylko małego pokoik przy windzie, która całą noc jeździ w górę i w dół. Po drugie, nie możemy się stołować w restauracji. Dostaliśmy bony tylko do tak zwanego Le Snack Bar.

– Och, kochana, nie taka była umowa – zapewniła Ann z dezaprobatą.

– Tak, ale gadanie z nimi to jak rzucanie grochem o ścianę. Wzruszają ramionami i mówią, że umowa ich nie obowiązuje. – Pani Flemming była coraz smutniejsza.

– A kierowca?

– Widzieliśmy go raz. Jest do dyspozycji wszystkich gości, przede wszystkim VIP-ów. Nigdy nie ma czasu. Dali nam bony na wycieczkę autobusem do Wersalu. To było naprawdę wyczerpujące, bo trzeba było przejść sporą odległość po bruku. W ogóle nie pojechaliśmy do Chartres.

– Nie to obiecywano. – Ann cmoknęła oburzona.

– To prawda. Głupio nam, że narzekamy. To bardzo hojna nagroda. Po prostu...
Po prostu...

– A najlepsze restauracje? W porządku?

– Tak, powiedzmy. Obejmują tylko *prix fixe*, wie pani, ustalone menu. Często to flaki lub króliki, a my tego nie jadamy. Zapewniano nas, że będziemy mieć możliwość wyboru dań z całego menu, jednak okazało się, że tak nie jest.

– Zamierzacie coś z tym zrobić?

– Cóż, nie za bardzo wiemy co. Dlatego cudownie, że pani zadzwoniła. Jest pani z czasopisma?

– Pośrednio.

– Nie chcemy narzekać. To byłaby niewdzięczność z naszej strony. Po prostu spodziewaliśmy się znacznie więcej.

– Wiem, wiem. – Ann szczerze jej współczuła.

– Pracownicy hotelu są naprawdę mili i uprzejmi. Tylko chyba im się wydaje, że wygraliśmy kiepską nagrodę pocieszenia. Co według pani powinniśmy zrobić?

Spojrzeli na siebie pustym wzrokiem. Co można zrobić?

– Może mogliby się państwo skontaktować z firmą PR-ową, która się tym zajmowała – powiedziała w końcu Ann.

– A pani nie mogłaby się tym zająć? – Pani Flemming nie chciała wszczynać sporów.

– Więcej będzie można działać, jeśli to wyjdzie od was. Jesteście na miejscu i w ogóle... – Ann gorączkowo próbowała jakoś się z tego wykręcić.

– Ale była pani tak miła, żeby zadzwonić i zapytać, czy wszystko w porządku. Kogo pani właściwie reprezentuje?

– Jestem tylko zaniepokojoną obywatelką. – I Ann Wall rozłączyła się.

Drżała.

Co teraz?

Najpierw pozwolą, żeby to wspaniałe uczucie przeniknęło ich na wskroś. Wymarzone wakacje w Paryżu okazały się koszmarem. Och, jak dobrze! To zwariowane miejsce nad Atlantykiem okazało się znacznie lepsze od Paryża.

Wszystko, co obiecywano tam, spełniono tu. Może jednak zdobyli pierwszą nagrodę?

Postanowili, że z samego rana rzeczywiście zadzwonią do firmy PR-owej, żeby to

zgłosić.

Po raz pierwszy przesпали tu całą noc. Obyło się bez herbaty o trzeciej nad ranem i rozmyślań o niesprawiedliwości życia w ogóle, a konkursów w szczególności.

Wzięli prowiant i poszli na spacer wzdłuż klifów. Znaleźli stare ruiny kościoła, które chroniły przed wiatrem i wychodziły prosto na Amerykę. Chicky wspominała, że to dobre miejsce na piknik.

Śmiali się, rozpakowując solidne porcje placka z kurczakiem i pojemnik z zupą. Flemmingowie pewnie zmagają się z kolejną porcją flaków lub królikiem.

Ann Wall zostawiła zagadkową wiadomość w agencji PR-owej, że będzie lepiej, jeśli skontaktują się z Flemmingami, w przeciwnym wypadku dotknie ich bardzo niepożądany rozgłos. Czuli się jak bezczelne dzieciaki, które zawieszono za niesubordynację. Od teraz będą się cieszyć pobytem tutaj.

Wieczorem wszyscy zebrali się przy stole, gotowi podzielić się swoimi pomysłami. Wprost nie mogli się doczekać końca posiłku. Lillian, której twarz przez kilka ostatnich dni złagodniała, powiedziała, że obecnie istotą festiwalu jest, proszę wybaczyć straszne określenie, „wskaźnik zadowolenia”. Wszyscy mądrze pokiwali głowami, mówiąc, że właśnie to jest potrzebne.

Chicky dodała, że poczucie wspólnoty jest coraz bardziej istotne. Młodzi ludzie uciekają ze swoich miasteczek, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja. To naturalne, ale później wracają.

Orla zastanawiała się nad organizacją spotkań rodzinnych. Spodobał im się pomysł, ale uznali, że będzie trudny w realizacji. Czy ma na myśli zebranie klanu, czy może zwaśnionych członków? Lillian pomyślała, że festiwal babć byłby dobry. „Każdy chciałby być babcią”, powiedziała zdecydowanie. Winnie obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Nigdy o tym nie wspominała.

Henry i Nicola pomyśleli, że dobrym pomysłem byłaby „zdrowa wspólnota”. Obecnie ludzie bardzo przejmują się dietami, zdrowym stylem życia i sportem. W Stoneybridge wszystko to można znaleźć. Nagle Anders wypalił, że można by zrobić festiwal celebrujący przyjaźń. Wiecie, spotkanie starych znajomych, wybranie się na urlop z dawno niewidzianą osobą. Poświęcili temu pomysłowi chwilę tylko z czystej grzeczności, jednak im dłużej się nad tym zastanawiali, tym bardziej im się podobał.

Nie wykluczało to rodziny. Przyjacielem może być siostra lub ciotka.

Większość ludzi od czasu do czasu ma ochotę spotkać się z kimś dawno niewidzianym.

Przypuśćmy, że festiwal oferowałby szeroki wachlarz rozrywek. Można by uwzględnić wszystkie pomysły, jakie padły przy stole, tyle że w imię przyjaźni. Przerzucali się pomysłami. Rzeczywiście mogą oferować wspólne gotowanie, zajęcia sportowe, piesze wycieczki, obserwowanie ptaków, wspólne picie herbatki, śpiewy,

teatrzyk, naukę stepowania.

Wallowie z rosnącym podnieceniem obserwowali, jak goście planują, sporządzają notatki, układają program. Zwycięstwo mieli w garści.

Sprawdzili nagrodę. Zakupy za 1250 euro w dużym sklepie w Dublinie.

Wallowie wszystko rozpracowali. Podzielią się po równo. Anders dostanie trochę więcej, ponieważ to jego pomysł. Może być?

Wszyscy byli zachwyceni.

Jak powinni się nazwać? Stowarzyszenie Kamiennego Domu? Tak, brzmi idealnie. Orla to przepisze i każdy dostanie kopię. Tydzień przed Bożym Narodzeniem sprawdzą wyniki.

Gdy festiwal zostanie zorganizowany, wszyscy tu wrócą, żeby uczcić sukces.

A co najlepsze, wciąż jeszcze spędzą trochę czasu w tym uroczym domu z falami rozbijającymi się o brzeg. W miejscu, które nie tylko sprostало obietnicom, ale zaoferowało znacznie więcej.

Może nie do końca było romantycznie, a blask nie rozświetlił ich życia, za to udało im się przeżyć coś znacznie głębszego. Zrozumieli, co tak naprawdę jest w życiu ważne, i poczuli błogi spokój.

Pani Nell Howe

Gdy pani Howe odchodziła na emeryturę, uczennice szkoły Wood Park były pewne, że ma pięćdziesiąt lat. Tak naprawdę skończyła sześćdziesiąt, ale to nie miało znaczenia. Była stara. Nie zastanawiała się nad tym, jak teraz będzie wyglądało jej życie. Starzy ludzie tylko się rządzą, narzekają i zrządzą. Nie miały pojęcia, jak bardzo obawiała się rozpoczęcia nowego – pełnego nadziei, planów i wyzwania – roku szkolnego, w którym po raz pierwszy od czterdziestu lat nie weźmie udziału.

Jak daleko sięgano pamięcią, zawsze pracowała w szkole. Była wysoką, szczupłą kobietą, nosiła gładko zaczesane włosy, które spinała staromodną klamrą. Pod togi wkładała ciemne ubrania. W przeszłości uczyła matki i ciotki obecnych uczennic, ale w ostatnich latach, jako dyrektorka, częściej przebywała w gabinecie niż w klasie.

Dziewczęta nienawidziły być wzywane do gabinetu. Po pierwsze, oznaczało to nagane, skargę lub karę. A po drugie, chodziło o samo miejsce – zimne i nieprzyjazne. Na biurku zawsze było pusto: pani Howe nie tolerowała chaosu i bałaganu.

Na całej długości ściany stały tanie półki pełne książek na temat edukacji. Nie było solidnych regałów, a przecież można by się tego spodziewać po gabinecie kobiety, która całe życie poświęciła nauczaniu. Drugą ścianę pokrywały rozkłady zajęć, lista nadchodzących wydarzeń, szczegóły różnych harmonogramów i planów. Najwięcej miejsca zajmowały dwie duże, stalowe szafki na dokumenty, w których zapewne przechowywano akta całych pokoleń uczennic Wood Park i wielki komputer. W oknach wisiały ciemnobrązowe zasłony, na ścianach nie było żadnych obrazów, nic związanego z życiem za murami szkoły. Żadnych zdjęć, ozdób lub śladów, że dyrektorka interesuje się czymś poza pracą. Tu przyjmowała przyszłe uczennice i ich rodziców, nowych nauczycieli, inspektorów z Wydziału Edukacji, a także okazjonalnie absolwentki, które osiągnęły sukces i wracały po latach, żeby ufundować bibliotekę lub salę gier.

Jej asystentką od lat była Irene O'Connor. Okrągła i wesoła, w pokoju nauczycielskim nazywana „akceptowalną twarzą gabinetu pani Howe”. Wydawała się nie zauważać, że przełożona raczej na nią warczy, niż do niej mówi, rzadko dziękuje za wykonaną pracę i jest zawsze lekko zaskoczona, niemal zirytowana, gdy przynosi herbatę i ciastka na przykre zebrania, często przebiegające w atmosferze sporu.

Irene wstawiła do gabinetu mosiężną doniczkę z małym, łatwym w pielęgnacji kalanchoe. W sam raz dla pani Howe, która nigdy go nie podlała, a pewnie nawet nie zauważyła. Do ciemnych kostiumów nosiła jaskrawe koszulki, jakby starała się

wnieść trochę koloru do żałobnej atmosfery gabinetu, nie denerwując przy tym przełożonej. Z całą pewnością była święta, może nawet jeszcze za życia doczeka się kanonizacji.

Zajmowane przez nią małe biuro było odzwierciedleniem jej osobowości. Były tam pnące pelargonie i pocztówki od przyjaciół przypinane do tablicy ogłoszeń; na biurku stały jej oprawione zdjęcia. Na półkach pamiątki z podróży do Hiszpanii i zdjęcia przedstawiające ją na fiescie w plisowanej spódnicy i sombrero. Biuro, pełne świadectw szczęśliwego, aktywnego życia, było jaskrawym przeciwieństwem ponurej celi, dumy i radości pani Howe.

Irene zawsze wracała do domu na obiad, ponieważ mieszkała z niepełnosprawną matką i Kennym, synem jej zmarłej siostry. Razem z matką zapewniły chłopcu porządną dom, gdzie wyrastał na porządnego młodzieńca.

W pokoju nauczycielskim podziwiano ją za cierpliwość i wieczny dobry humor. Czasami okazywano jej współczucie, jednak nie chciała słyszeć złego słowa o swojej pracodawczyni.

– Nie, nie, to po prostu jej sposób bycia – mówiła. – Ma złote serce, a ja wymarzoną pracę. Spróbujcie to zrozumieć.

Nauczyciele mówili między sobą, że ludzie tacy jak Irene zawsze będą ofiarami osób pokroju pani Howe. Co ona ma na myśli, mówiąc, że „taki ma sposób bycia”? Ludzie to przecież ich sposób bycia. Jak inaczej można ich poznać?

Pani Howe została słusznie nazwana Jej Największym Wrogiem. Chichotali z trafności tego powiedzenia i jakoś ją oswoili. Choć dołożyli wszelkich starań, żeby dzieci się nigdy nie dowiedziały, jak nazywają ją za plecami.

Na rok przed emeryturą zaczęły się spekulacje na temat następczyni. Żaden z nauczycieli nie miał wystarczająco długiego stażu ani kwalifikacji. Dyrektorka nie uznała za stosowne dać im najmniejszej nawet wskazówki. Takie miała metody. Najprawdopodobniej będzie to ktoś z zewnątrz. Zespołowi ten pomysł nie bardzo przypadł do gustu. Przywykli do Jej Największego Wroga. Wiedzieli, jak z nią postępować, a do łagodzenia napięć mieli Irene. Kto wie, jakie zasady wprowadzi następczyni? Lepsze zło znane niż nieznanie.

Zastanawiali się też, co się stanie z Irene. Zostanie, żeby służyć nowej carycy? Ją także będzie usprawiedliwiać? A jeśli nowa szefowa będzie chciała zatrudnić kogoś innego?

Obawiali się nadchodzących zmian.

Była też sprawa prezentu dla pani Howe. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, czym się interesuje. Nawet zdawkowe rozmowy przy okazji rozpoczęcia roku szkolnego nie przyniosły żadnych wskazówek. Nigdy nie wspominała o wakacyjnych przygodach, spotkaniach rodzinnych, malowaniu domu lub pracy w ogródku. W końcu przestali pytać.

Pytanie jednak pozostało: co można dać kobiecie, żeby uczcić lata spędzone w Wood Park? Rejs, tygodniowy pobyt w SPA, zestaw kryształów Waterford Crystal lub piękny, ręcznie wykonany mebel nie wchodziły w grę. Jej gust uchodził za całkowicie utylitarny: liczy się tylko funkcjonalność.

Nauczyciele błagali Irene, żeby coś wymyśliła.

– Przecież widzisz się z nią codziennie. Często ze sobą rozmawiacie. Musisz coś wiedzieć.

Odparła, że nic jej nie przychodzi do głowy. Pani Howe jest bardzo dyskretna. Nie uznaje rozmów o sprawach prywatnych.

Komitet rodzicielski zwrócił się do niej z tym samym pytaniem. Chcieli uczcić okazję, jednak nie wiedzieli jak. Doszła do wniosku, że naprawdę musi się dowiedzieć czegoś o stylu życia swojej pracodawczyni.

Znała jej adres, więc w pierwszej kolejności poszła zobaczyć, jak mieszka. Był to szeregowiec przy St Jarlath's Crescent. Małe domki zbudowane jako kwatery dla klasy robotniczej, później przekształcone w standardowe mieszkania, a teraz, z powodu recesji, znów tracące na wartości. W większości niewielkich, dobrze utrzymanych ogródków pyszniły się kolorowe rabaty, w oknach zaś skrzynki z kwiatami.

Natomiast u pani Howe była tylko starannie skoszona trawa i dwa kwitnące krzewy. Drzwi, bramka i okiennice wymagały pomalowania. Ogród nie sprawiał wrażenia zaniedbanego, raczej widać było, że właścicielka nie przykłada do tego wagi. Żadnych wskazówek.

Irene odważnie postanowiła, że spróbuje dostać się do środka. Następnego dnia schowała do torebki okulary dyrektorki i udając, że znalazła je na biurku, wpadła do niej do domu.

Pani Howe niechętnie otworzyła drzwi.

– Niepotrzebnie się fatygowałaś, Irene – powiedziała chłodno.

– Na wypadek, gdyby chciała pani wieczorem poczytać – zająknęła się.

– Mam mnóstwo par. Jednak dziękuję. To miłe z twojej strony.

– Mogę wejść na moment? – Ta chwila odwagi kosztowała ją niemal utratę przytomności.

Zapadła cisza.

– Oczywiście.

Otworzyła drzwi na oścież.

Dom był ascetyczny jak gabinet w Wood Park. Puste ściany, rozklekotane biblioteczki, mały, staromodny telewizor. Na stole taca z kolacją: żółty ser, dwa pomidory, dwie kromki chleba. U Irene na kolację będzie zupa pomidorowa i makaron. Nauczyła Kenny'ego gotować, a dziś siostrzeniec zrobi mus z rabarbaru. Najpierw zagrają w scrabble, potem razem z mamą pooglądają opery mydlane,

a osiemnastoletni już Kenny spotka się ze znajomymi.

Cóż za szczęśliwy dom!

Ale skoro posunęła się tak daleko, nie podda się teraz.

– Mam problem – zaczęła.

– Tak? – spytała lodowato pani Howe.

– Tak. Zostałam poproszona przez rodziców i nauczycieli o pomoc w wybraniu dla pani odpowiedniego prezentu. Wszystkim zależy na tym, żeby była pani zadowolona. A ponieważ przebywam z panią całymi dniami, błędnie założyli, że będę wiedziała, co robić. Ale ja nie wiem. Zastanawiałam się, czy zechciałaby pani udzielić mi jakiejś wskazówki.

– Irene, ja niczego nie chcę.

– Ależ to nie podlega dyskusji. Chcą pani coś dać, coś odpowiedniego, stosownego.

– Dlaczego?

– Bo panią cenią.

– Jeśli naprawdę mnie cenią, zostawią mnie w spokoju i oszczędzą mi sentymentalnych pożegnań.

– Och nie, nie o to im chodzi.

– A tobie o co chodzi?

– Obawiam się, że uznają mnie za kiepską przyjaciółkę i koleżankę z pracy, jeśli po dwudziestu latach nie jestem w stanie powiedzieć, co byłoby dobrym prezentem pożegnalnym.

Pani Howe patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

– Irene, ale ty nie jesteś moją przyjaciółką ani współpracownicą – odparła w końcu. – To zupełnie inna relacja. Ludzie nie mają prawa oczekiwać od ciebie takiej wiedzy.

Irene na przemian otwierała i zamykała usta.

Zawsze stawiała w jej obronie. I po co? Rzeczywiście była zimna i bezduszna; nie miała przyjaciół ani zainteresowań. Niech kupią kosz piknikowy lub odkurzacz. Nieważne. Jej to nie obchodzi.

Wzięła torebkę i ruszyła do drzwi.

– Cóż, pójdę już. Nie będę pani przeszkadzać. Kolacja czeka. Chciałam tylko zwrócić okulary.

– Nie zostawiłam ich na biurku. Nigdy niczego nie zapominam.

Irene zdołała pewnym krokiem dojść do bramki. Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem wzroku, nogi się pod nią ugięły.

Przez te wszystkie lata pracy chroniła ją przed poirytowanymi rodzicami, niezadowolonymi nauczycielami, zbuntowanymi uczennicami. A dziś dowiedziała się, że nie ma prawa nazywać jej swoją przyjaciółką ani nawet koleżanką z pracy. Jest

ledwie podwładną.

Jak mogła być taka ślepa i pewna swojej pozycji?

Chwyciła się pobliskiej bramki, żeby odzyskać równowagę. Jakaś młoda kobieta wyszła z domu i spojrzała na nią z troską.

– Dobrze się pani czuje? Jest pani biała jak ściana.

– Chyba tak. Mam tylko lekkie zawroty głowy.

– Proszę wejść i usiąść. Tak się składa, że jestem pielęgniarką.

– Znam panią – sapnęła Irene. – Pracuje pani w klinice chorób serca Świętej Brygidy.

– Zgadza się. Chyba nie jest pani naszą pacjentką?

– Przychodzę z mamą, Peggy O'Connor.

– Tak, oczywiście. Nazywam się Fiona Carroll. Peggy wychwala pani dobroć pod niebiosami.

– Cieszę się, że jednak jestem w czymś dobra.

– Proszę wejść, pani O'Connor, zrobię herbatę.

Fiona wzięła ją pod ramię, a Irene z wdzięcznością weszła do domu, który znajdował się na zupełnie innej planecie niż mieszkanie dyrektorki. Fiona i jej dwóch chłopczyków podali herbatę z ciastem czekoladowym i dodali otuchy.

Irene poczuła się znacznie lepiej. Zawsze lojalna i dyskretna oparła się pokusie zrzucenia ciężaru z serca, choć Fiona musiała przecież znać swoją przykrą sąsiadkę i pewnie mogłyby ją pocieszyć. Jednak trudno się pozbyć starych nawyków.

Irene uważała, że asystentce nie wypada obgadywać przełożonej za plecami, dlatego nie powiedziała nic na temat spotkania, które wyprowadziło ją z równowagi. Zapewniła Fionę, że czuje się na tyle dobrze, żeby złapać autobus do domu. W tym momencie przyjechał Dingo, dostawca ziemi i sadzonek kwiatów. Rodzina Carrollów zamierzała poświęcić weekend na prace w ogrodzie. Obaj synowie chcieli założyć własną rabatę.

– Dingo odwiezie panią do domu – nalegała Fiona. – To po drodze.

Dingo nie miał nic przeciwko temu.

– To wspinała rodzina – powiedziała w samochodzie. – A ty masz rodzinę, Dingo?

– Nie, wybrałem życie w pojedynkę – odparł. – Proszę mi wierzyć, nie każde małżeństwo jest tak szczęśliwe jak Fiony i Declana. Niektóre pary żyją ze sobą jak pies z kotem. A pani nigdy nie wyszła za mąż?

– Nie, Dingo. Raz miałam okazję, ale on był hazardzistą, a ja nie chciałam ryzykować. A potem byłam potrzebna mamie i tak oto zostałam sama. – Zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

Zwykle inaczej odpowiadała. To wszystko przez panią Howe.

Dingo beztrudno jechał dalej.

– Mój wujek Nasey jest w takiej samej sytuacji. Podobała mu się kiedyś pewna kobieta, ale przegapił okazję. Ciągłe mnie prosi, żebym rozglądał się za kimś po czterdziestce. Jest pani po czterdziestce?

– Jeszcze. Jeśli mnie zapytasz za rok, będę musiała powiedzieć, że nie.

– Jasne, powiem mu o pani, zanim będzie za późno.

Wróciła do domu i przygotowała kolację. Nie wspomniała o niczym matce ani Kenny’emu. Nie mieli pojęcia, że jej wieloletnia praca dla pani Howe została skreślona jednym okrutnym zdaniem.

Nie byli też świadomi, że w chwili, gdy zasiadali do kolacji, Dingo opowiadał wujkowi o pewnej bardzo sympatycznej czterdziestodzieciolatce. Był przy tym tak przekonujący, że wujek bardzo chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

W ciągu kolejnych tygodni nauczyciele z Wood Park zauważyli, że w Irene zaszła jakaś zmiana. Gdy powracała kwestia organizacji imprezy pożegnalnej i prezentu dla pani Howe, wzruszała ramionami.

– To chyba nie ma znaczenia – mówiła i zmieniała temat.

Uznali, że prawdopodobnie martwi się o swoją posadę. Nowa dyrektorka może przecież zatrudnić nową asystentkę.

Irene jak zawsze wykonywała swoją pracę rzetelnie, jednak bez entuzjazmu i zaangażowania. Jeśli przełożona to zauważyła, nie dała po sobie niczego poznać. Irene nie przynosiła już na przykre zebrania herbaty i ciastek. Przeniosła kalanchoe do swojego biura, zaczęła o nie dbać i szybko przywróciła mu życie. Przestała też opowiadać o sobie.

A teraz naprawdę miała o czym. Pani Howe nie miała pojęcia, jak bujne życie towarzyskie zaczęła prowadzić. Zadzwoił do niej Nasey, mówiąc, że jego głupkowaty siostrzeniec był nią oczarowany. Może od czasu do czasu poszłaby z nim do kina? Potem doszły kręgle i puby. Naprawdę miał na imię Ignatius. Ostatecznie lepszy Nasey niż Iggy, jak nazywano kolegę z klasy. Pracował w sklepie rzeźnickim i miał najprzyzwoitszego pracodawcę pod słońcem.

Gdy wpadał z wizytą do Irene, zawsze przynosił najlepsze kotlety z jagnięciny lub wyśmienity stek wieprzowy. Jej matka go uwielbiała i nie traciła żadnej okazji, żeby mu powiedzieć, jak cudowną ma córkę.

– Wiem o tym, pani O’Connor. Nie musi mi jej pani zachwalać. Już zostałem złapany na haczyk – powiedział.

Peggy była zachwycona.

Nasey pochodził z zachodniej Irlandii, ale miał też rodzinę w Dublinie. Dwóch siostrzeńców: Dingo Irene już poznała; jest dostawcą, łapie też jakieś dorywcze prace. Mieszka tu też Nuala, jego siostra, i jej syn, Rigger, który był trudnym dzieckiem i spędził sporo czasu w poprawczaku. W końcu wysłała go na zachód i wygląda na to, że stanął na nogi. Poznał miłą dziewczynę, uprawia warzywa i hoduje kurczaki. Jest

też kimś w rodzaju menedżera we właśnie powstającym hotelu. Coś w rodzaju małego dworku, jeśli Irene wie, o co mu chodzi. Jest położony na klifie, a widok zapiera dech. Obiecał, że pewnego dnia pokaże Irene i jej matce to miejsce. Zakochają się w nim.

Kenny także lubił, gdy Nasey był w pobliżu, i zawsze chętnie zajmował się babcią, kiedy zakochane gołąbki, jak ich nazywał, chciały wyjść na miasto.

A potem, tuż przed końcem roku szkolnego, po sześciu miesiącach zalotów, Nasey się oświadczył. Planowali skromny ślub. Gdy powiedziała o tym Kenny'emu, zaproponował, że poprowadzi ją do ołtarza. Jednak Irene chciała porozmawiać o czymś innym. Poczekała, aż Peggy pójdzie spać.

– Kenny, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła.

– Zawsze wiedziałem – odparł spokojnie. – Wiem, że jesteś moją matką, odkąd skończyłem dziewięć lat.

– Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś? – zapytała zdumiona.

– To nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, że zawsze mogłem na ciebie liczyć.

– Masz do mnie jakieś pytania? – wydusiła z trudem i rozpląkała się.

– Jak się wtedy czułaś? Byłaś bardzo samotna i przerażona? – zapytał.

Usiadł obok i ją przytulił.

– Trochę, ale twój ojciec był zony. Rozbicie małżeństwa nie wchodziło w grę. Wtedy zmarła Maureen, która mieszkała w Anglii, więc udaliśmy, że jesteś jej dzieckiem. Z uwagi na mamę. Ona miała wnuka, ja syna, i wszystko dobrze się ułożyło. – Irene uśmiechała się przez łzy.

– Nasey wie?

– Tak, od początku. Był pewien, że się domyślasz. I jak widać, miał rację.

– Czy Nasey z nami zamieszka?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Świetnie dogaduje się z babcią.

– Przecież wiem. Uwielbiam patrzeć, z jaką pasją gracie w brydża. W Las Vegas nie bawiłbym się lepiej.

Zapewnił, że bardzo się cieszy, że Nasey się wprowadzi, bo sam chciałby trochę pojeździć po świecie. Ma szansę pojechać do Ameryki. Teraz spokojnie może się tym zająć.

Irene bała się tego momentu przez osiemnaście lat, a poszło tak łatwo. Życie jest pełne niespodzianek.

Pani Howe nie skomentowała pierścionka zaręczynowego, który pojawił się na palcu asystentki. Ona też o tym nie wspomniała. Nauczyciele, rzecz jasna, zauważyli; Irene zaczęła opowiadać, że jej matka będzie druhną, i że Rigger, siostrzeniec Naseya, przyjeżdża ze Stoneybridge, i że Dingo będzie drużbą oraz że w ostatnią sobotę sierpnia urządzają w pubie skromne przyjęcie z kanapkami i ciastem. Będzie jej miło,

jeśli wszyscy się zjawią. Wpadli w szal planowania prezentu ślubnego.

To nie będzie trudne: Irene ucieszy się ze wszystkiego. Z weekendu w Hiszpanii, altany ogrodowej, zdjęcia parku Connemara, weekendu w zamku, zestawu bagażowego na kółkach, zestawu do krokieta, dużego, ozdobnego lustra z aniołkami. Irene doceni wszystko, wychwalając prezent pod niebiosa.

Wciąż jednak nie wiedzieli, co kupić pani Howe.

Na Irene wywierano presję, żeby podjęła decyzję; jej zaś było to obojętne, ale nie chciała zawieść nauczycieli i uczniów. Jak cudownie jest móc wieczorem o wszystkim opowiedzieć Naseyowi.

Nasey obiecał, że się nad tym zastanowi. On sam też miał nowiny. Dzwonił Rigger.

– W Kamiennym Domu zaczynają panikować. Nie mają wystarczającego obłożenia na otwarcie. Obawiają się, że po tylu przygotowaniach to będzie całkowita klapa.

– Cóż – odparła – poprośmy Riggera o foldery. Rozdam je w szkole. Oferta powinna zainteresować kilku nauczycieli.

– Dlaczego nie wyślecie tam pani Howe? – zapytał Nasey.

– Może nie powinniśmy jej na nich nasyłać, skoro jest taka straszna?

– Może prywatnie nie jest taka straszna. To znaczy, może trochę pospaceruje i nie będzie wszystkich drażnić. – Był zbyt wielkim optymistą, żeby skreślać ludzi.

– Zaproponuję im. To chyba idealne rozwiązanie.

– Trzymajmy kciuki, żeby Chicky przetrwała pierwszą noc. – Nasey uśmiechnął się szeroko.

Wrócili do planowania ślubu.

Nauczyciele zauważyli, że Jej Największy Wróg była jeszcze bardziej milcząca niż zwykle i jeszcze bardziej nie tolerowała najmniejszych oznak dobrego humoru z powodu zbliżającego się zakończenia roku szkolnego. Była bardziej zaniepokojona wynikami egzaminów niż przyszłością dzieci, i jeśli to możliwe, jeszcze bardziej oschła.

Zauważyli, że jej samochód stoi przed szkołą coraz dłużej. Spędzała poza szkołą siedem, może osiem godzin na dobę.

To nie było normalne.

W końcu zagadnęła Irene na temat ślubu.

– Irene, dowiedziałam się od jednego z rodziców, że myślisz o wyjściu za mąż – powiedziała z lekkim uśmiechem. – To prawda?

– Tak, to prawda, pod koniec sierpnia.

– I nie miałaś zamiaru mi o tym powiedzieć? – W jej głosie dało się słyszeć dezaprobatę i rozżalenie.

– Cóż, nie. Jak pani sama zauważyła, nie jestem pani przyjaciółką ani nawet

koleżanką z pracy. Tylko podwładną. A skoro ślub odbędzie się w wakacje, nie widziałam sensu.

Choć odpowiedź sama w sobie nie była niegrzeczna, w głosie Irene pobrzmiwało coś obcesowego. Pani Howe spojrzała na nią przenikliwie. Teraz powinna powiedzieć, że bardzo się cieszy i życzy szczęścia. A może nawet, że naprawdę uważa ją za przyjaciółkę i koleżankę z pracy.

Ale nie; w końcu była jej największym wrogiem przez lata. Zaśmiała się ponownie.

– Cóż, przypuszczam, że nie zamierzasz zakładać rodziny w tak późnym wieku – powiedziała rozbawiona na samą myśl o tym.

Irene spojrzała na nią z powagą.

– To prawda. Zostałam pobłogosławiona synem, który ma teraz osiemnaście lat. Nasey i ja nie liczymy na kolejne.

– Nasey! – Pani Howe z trudem się opanowała. – Tak ma na imię? A to dobre!

– Tak, tak ma na imię i rzeczywiście jest bardzo dobry. Dla mnie, mojego syna, Kenny’ego, i mojej matki. Jest rzeźnikiem, na wypadek gdyby i to uznała pani za śmieszne.

– Irene, uspokój się, proszę. Wpadasz w histerię. Właśnie dowiedziałam się o tobie dwóch niezwykłych rzeczy. Gdy pokazywałaś mi zdjęcia Kenny’ego, zawsze mówiłaś, że to twój siostrzeniec.

– Uznałam, że tak będzie lepiej, skoro nie jestem mężatką.

– Teraz ten cały Nasey robi z ciebie przyzwoitą kobietę. O to chodzi?

Irene zastanawiała się, jak mogła pracować dla tej kobiety przez dwadzieścia lat i jeszcze ją usprawiedliwiać. Pani Howe była zimna i bez serca.

– Zawsze uważałam się za przyzwoitego człowieka. Każdy, kto mnie zna, podziela tę opinię. Natomiast pani nie zna mnie w ogóle, nigdy nie znała.

– Zakładam, że będziesz chciała zostać w pracy po moim odejściu i po... hm... ślubie? – Pani Howe kipiała ze złości.

– Oczywiście. Kocham szkołę, nauczycieli i uczniów.

– Więc uważaj, co mówisz, Irene, jeśli chcesz, żebym dała ci dobre referencje. Moja następczyni może nie chce pracować z kimś, kto jest skryty i źle nastawiony.

– Niech pani pisze, co chce.

– Stałaś się bardzo krótkowzroczna.

– Dziękuję. A teraz wracam do pracy, póki jeszcze ją mam.

I Irene wyszła, nie oglądając się za siebie.

Trzęsąc się, usiadła za biurkiem. Z trudem odebrała telefon.

Dzwoniła mama. Miała wspaniałe wieści. Nasey wpadł w porze lunchu i pokazał jej, jak szukać w sieci stroju dla matki panny młodej. Wybrała granatowo-białą sukienkę i żakiet. Może być?

Stopniowo dobry nastrój i podniecenie wyparły toksyczną, zimną samotność pani Howe, zamkniętą w biurze niczym w więzieniu.

W końcu wybrano nową dyrektorkę. Została nią pani Williams, która prowadziła dużą szkołę dla dziewcząt w Anglii. Owdowiała i doszła do wniosku, że już najwyższy czas, aby wrócić w rodzinne strony. Jedyne, co zamierzała zmienić w nowym miejscu pracy, to wystrój gabinetu. Irene poinformowała ją, że pomoże jej się urządzić w lipcu i początkach sierpnia, potem wyjeżdża na trzy tygodnie, ale wróci na rozpoczęcie roku szkolnego.

Pracownicy zorganizowali pożegnanie. Pani Howe stanęła na podwyższeniu w holu, jak to zwykła była robić każdego poranka. Jak zwykle nosiła tożę, miała zaczesane do tyłu włosy i całkowicie obojętny wyraz twarzy.

Kilku nauczycieli zabrało głos, przypominając jej osiągnięcia; prefekta wygłosiła przemówienie, przewodniczący komitetu rodzicielskiego wyraził wdzięczność w imieniu dziewcząt, które dzięki dyrektorce tak dobrze radziły sobie w Wood Park. Nie wspomniano o zasłużonym odpoczynku, nie było zapewnień, że prawdziwe życie dopiero przed nią. Wreszcie, jako wyraz uznania, wręczono prezent. Był to tygodniowy pobyt w Kamiennym Domu, nowym hotelu na zachodzie kraju. Pani Howe nawet nie podziękowała, a na jej twarzy nie pojawiły się żadne emocje. Nikt nie oczekiwał innej reakcji.

Pani Williams również została zaproszona, jednak odmówiła. Nie chciała wprowadzać zamieszania. To przecież dzień pani Howe.

Tak naprawdę wszyscy byliby zadowoleni z jej obecności. Mogłaby im pomóc przetrwać tę męczącą ceremonię i następujące po niej dłużące się przyjęcie. Obecni błagalnie patrzyli na zegarki, czekając, aż będą mogli wyjść. Czas nigdy nie płynął wolniej. Przemówienie nie mogło być mniej radosne. Pani Howe ubolewała nad obecnymi trendami w edukacji, podkreślała potrzebę dyscypliny w szkole i wkuwania wiedzy na pamięć, przekonywała, że tak zwana kreatywność nigdy nie zastąpi dobrych, starodawnych podstaw.

Publika składająca się z nauczycieli, którzy robili wszystko, żeby program nauczania był równocześnie ciekawy i wymagający; rodziców, którzy mieli spokojne sumienie, bo ich dzieci dostały się na studia; uczniów, którzy nie mogli się doczekać wakacji... Wszyscy modlili się o zakończenie.

Irene wróciła do biura po rzeczy. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, żeby opowiedzieć Naseyowi, jaki prezent ślubny dostali od nauczycieli – kupili im wspaniały gazowy grill, a ponadto zamówili firmę, która zbuduje małe patio i murek. Kiedy nastanie ciepłe lato, będą mogli jadać posiłki w ogrodzie!

Ku swojemu zaskoczeniu usłyszała odgłosy dobiegające z gabinetu. Zapukała do drzwi. Pani Howe stała za pustym biurkiem, na którym leżały tylko kluczyki do samochodu. Okno za jej plecami, oprawne w ciężkie, ciemnobrązowe zasłony,

wychodziło na puste boisko.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy to nie żaden intruz. – Irene próbowała wyjść.

– Irene, zostań na chwilę. Chciałam ci dać prezent ślubny.

Tego nie przewidziała.

– To bardzo miłe z pani strony. Bardzo miłe.

Podowała jej elegancką, błyszczącą torbę. Irene zupełnie się tego nie spodziewała. Zabrakło jej słów.

Pierwszą reakcją było poczucie winy. Nie dołożyła się nawet jednym euro do prezentu pani Howe, nie podpisała karty i nie złożyła życzeń. Było jej wstyd.

– Ależ skąd. To tylko drobnostka, która będzie ci o mnie przypominać.

– Nie zapomnę pracy dla pani.

– Mam też nadzieję, że pani Williams znajdzie dla ciebie miejsce.

– Tak. Dziękuję za prezent. Mam otworzyć teraz?

– Och, proszę, nie. – Pani Howe cofnęła się z niesmakiem, jakby otwarcie prezentu mogło skalać biuro.

Książki zostały zabrane. Puste, tandetne półki znikną za kilka dni, ale o tym pani Howe nie wiedziała. Gabinet wyglądał, jakby od dawna stał pusty.

– Cóż, otworzę wieczorem, ale z góry dziękuję za trud. Naprawdę to doceniam. – Irene promieniała szczerą radością.

Panią Howe przeszył dreszcz z powodu tej nagłej poufałości.

– Cóż, mam nadzieję, że będzie odpowiedni. Nigdy nie wiadomo, co podarować. Szczególnie małżeństwu w późnym wieku.

– Słucham?

– Chodzi mi o to, że w odróżnieniu od młodych ludzi, którzy dopiero się urządzają, wy pewnie wszystko już macie.

Irene postanowiła, że nie pozwoli popsuć sobie dobrego nastroju.

– Oczywiście. Mimo wszystko to nowe i ekscytujące doświadczenie. Dla nas obojga to pierwszy ślub.

– Wystarczy. – Pani Howe ściągnęła usta w grymasie.

– W każdym razie życzę wszystkiego najlepszego. Z pewnością ma pani mnóstwo planów na najbliższe lata...

Pani Howe mogła podziękować za miłe słowo. Mogła ogólnikowo przyznać, że rzeczywiście jest dużo możliwości. Ale Nell Howe nie była delikatna i uprzejma. Zamiast tego odparła:

– W jakim ty bajkowym świecie banałów żyjesz. To musi być bardzo uspokajające tak nie zastanawiać się za dużo.

Potem wzięła kluczyki i wyszła.

Irene patrzyła przez okno, jak wsiada do małego samochodu i odjeżdża, zostawiając za sobą całe swoje życie. Stała tak jeszcze po tym, gdy samochód

przejechał przez bramę Wood Park. Co pani Howe będzie robić dziś wieczorem, a także przez resztę nadchodzących dni i nocy? Czy zawsze będzie jadać samotnie w zimnym pokoju? Czy jest ktokolwiek w jej życiu?

Nie zaprosiła na przyjęcie przyjaciół i rodziny. Kto idzie przez życie całkiem sam?

Irene była zbyt wspaniałomyślna, żeby potępiać kobietę, która ją obraziła, i nawet teraz, przy pożegnaniu, próbowała z niej drwić. Mimo wszystko kupiła jej prezent ślubny. A co ważniejsze, gdyby Irene nie poszła jej odwiedzić, nigdy nie poznałaby Dingo.

Westchnęła i złapała autobus do domu, ściskając lśniąca torbę z prezentem ślubnym.

Otworzyli go w czasie kolacji. To była serwetka w różyczki obszyta koronką. Irene patrzyła na nią w zamyśleniu. Nie mogła uwierzyć, że dyrektorka poszła do sklepu i sama to wybrała. Zupełnie niepraktyczne, raczej staromodne, ale jakże miłe.

Potem zauważyła, że na dnie torby leży koperta. Otworzyła i przeczytała: *Dla Pani Howe. Dziękujemy bardzo, że zachęciła Pani naszą córkę do nauki i tym samym odmieniła jej życie.* Podpisane przez rodziców uczennicy, której ostatnio przyznano wysokie stypendium na uniwersytecie. Pani Howe nawet nie zadała sobie trudu, żeby przeczytać słowa podziękowania.

Irene szybko zmięła kartkę.

– Co napisała? – Peggy O'Connor musiała znać każdy szczegół.

– Zwykle życzenia – odparła Irene.

Zdecydowała, że nigdy już nie pomyśli o pani Howe. Po prostu wyrzuci ją z głowy i z życia. Ta kobieta to gnida. Nie jest warta ani jednej myśli.

Ale tydzień później Irene zmuszona była jeszcze raz o niej pomyśleć. Pani Williams objęła kierownictwo i zmieniła gabinet nie do poznania.

Wielki, nieporęczny komputer został zastąpiony przez mały laptop. Na ręcznie rzeźbionym biurku leżały atrakcyjne maty z rafii, kolorowe teczki i zdjęcia zmarłego męża. Regały były pełne, ale znalazło się też miejsce dla ozdób i małych kwiatów doniczkowych. Była nawet podręczna konewka.

Twarde krzesła zamieniono na wygodniejsze. Nowa dyrektorka ustaliła normalniejsze i mniej restrykcyjne zasady. Wydawała się zachwycona asystentką i ciągle jej dziękowała za wydajność i pomoc. To najbardziej podobało się Irene, przywykłej, w najlepszym razie, do ponurego milczenia.

Omawiały plan dnia, gdy pani Williams nagle zapytała:

– Tak przy okazji, dlaczego nie powiedziałaś, że wychodzisz za męża?

– Nie chciałam pani zanudzać. Nigdy nie wiem, kiedy skończyć – odparła, uśmiechając się przepraszająco.

– Cóż, jeśli nie możemy rozgadywać się o ślubie, to o czym? – Wydawała się

szczerze zainteresowana. – Opowiadaj.

Więc Irene opowiedziała o Naseyu, jego pracy w sklepie rzeźnickim i o tym, że narzeczony chce sprzedać swoje mieszkanie i zamieszkać z nią i jej mamą. Zamierzają zrobić dodatkową łazienkę... Była bardzo podekscytowana. Miała nadzieję, że sam dzień ślubu będzie cudowny.

Pani Williams spojrzała na fotografię na biurku. Powiedziała, że pamięta własny ślub, jakby to było wczoraj. Wszystko poszło zgodnie z planem.

– Świeciło słońce? – zapytała Irene.

Pani Williams nie pamiętała, jaka była pogoda. To było mało istotne. Najważniejsze, że wszyscy byli tacy szczęśliwi.

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku. Irene była nieco skonsternowana. Nigdy nie słyszała, żeby ktoś dzwonił na bezpośrednią linię! Na skinienie pani Williams odebrała telefon.

Jakiś mężczyzna chciał rozmawiać z panią Howe.

– Pani Howe już tu nie pracuje, przeszła na emeryturę. Chce pan rozmawiać z obecną dyrektorką? Jeśli tak, może mógłby mi pan powiedzieć, w jakiej sprawie dzwoni?

– Proszę mi powiedzieć, gdzie mieszka?

– Niestety nie ujawniamy adresów pracowników.

– Przed chwilą powiedziała pani, że już u was nie pracuje.

– Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Nie jesteśmy w kontakcie z panią Howe, więc nie mogę przekazać jej wiadomości – odparła Irene i mężczyzna się rozłączył.

Irene i pani Williams spojrzały na siebie zdezorientowane.

Tydzień przed ślubem Irene zauważyła panią Howe po drugiej stronie ulicy. Nie mogła się powstrzymać. Podbiegła do niej.

– Jak dobrze panią widzieć.

Nell Howe spojrzała na nią nieobecny wzrokiem, a potem, jakby z wielkim wysiłkiem, powiedziała bezbarwnym głosem:

– Irene.

– Tak, pani Howe. Jak się pani miewa? Miałam zamiar się z panią skontaktować.

– Naprawdę? Dlaczego więc tego nie zrobiłaś?

– Możemy gdzieś napić się kawy? Co pani na to?

– W jakim celu?

Pani Howe była zaskoczona tą poufałą propozycją.

– Muszę pani coś powiedzieć.

– Cóż, w okolicy nie ma nic przyzwoitego. – Rozejrzała się.

– W tej kafejce podają dobrą kawę. Proszę, pani Howe...

Zgodziła się, jakby poddając się nieuniknionemu. Nad kubkami włoskiej kawy z pianką Irene opowiedziała jej o planach weselnych i podróży poślubnej. Zapytała,

czy odlicza dni do zimowego wypadu na zachód.

– Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć pojechać w tak odległe miejsce o jakiegokolwiek porze roku?

Irene zmieniała temat. Powiedziała o mężczyźnie, który telefonował, i jego dziwnym zachowaniu.

– Domyśla się pani, kto to mógł być? – zapytała. – Nie zostawił wiadomości ani numeru.

– Najpewniej mój brat.

– Brat?

– Tak, mój brat Martin. Nie widziałam go od lat.

– Ale dlaczego? – Irene poczuła przyśpieszone bicie serca.

Zaniepokoił ją beznamiętny głos pani Howe.

– Dlaczego? Och, to sięga wiele, wiele lat wstecz. – Twarz pani Howe pozostała niewzruszona. – Ale to nie twoja sprawa. O to chodziło? To wszystko?

Skinęła głową i wyszła.

To był wspaniały dzień. Kenny poprowadził pannę młodą do ołtarza, a Peggy tak rozpierała dumą, że w każdej chwili mogła wybuchnąć. Wystrojony w nowy garnitur Dingo wygłosił przemówienie. Był bardzo dumny, że to on połączył szczęśliwą parę.

Carmel i Rigger znaleźli czas, żeby przyjechać. Nuala, mama Riggera i zarazem siostra Naseya, też była obecna. Słońce świeciło od samego rana do późnego wieczoru. Pani Williams dołączyła do nich w pubie, do nauczycieli, pracowników sklepu pana Malone'a, wszystkich przyjaciół i sąsiadów. Pani Howe nawet za milion lat nie byłaby zdolna tak się wmieszać w tłum.

Potem był miesiąc miodowy w Hiszpanii, a po nim powrót do pracy, która zapowiadała się znacznie łatwiej i przyjemniej niż za poprzedniej dyrekcji.

Rigger i Carmel cały czas byli w kontakcie z Kamiennym Domem. Kupon, który przygotowali specjalnie dla pani Howe, podsunął im pewien pomysł. Tygodniowy pobyt w Kamiennym Domu miał stać się jedną z nagród w konkursie w czasopiśmie. Lista gości ładnie się wypełniła: wyglądało na to, że Chicky Starr będzie miała pełne obłożenie na rozpoczęcie działalności. Wszyscy byli bardzo podekscytowani. Rigger powiedział, że matka już wkrótce go odwiedzi. To będzie jej pierwsza wizyta w Stoneybridge od czasu, gdy była młodą dziewczyną.

Nie chciała zostać w wielkim domu, ale Rigger i Chicky nalegali. To będzie wielki powrót.

Irene próbowała ich ostrzec, że panią Howe trudno zadowolić.

– Damy sobie radę – zapewnił Rigger wesoło. – To będzie świetna praktyka. Poradziliśmy sobie z Howardem i Barbarą. Twoja pani Howe nie będzie problemem. Zobaczysz.

Pani Howe przyjechała wieczornym pociągami, więc wyjechał po nią Rigger.

Zobaczył wysoką kobietę o surowym wyglądzie, niecierpliwie rozglądającą się po stacji. Miała jedną małą walizkę w dłoni. To musiała być ona. Przedstawił się i zabrał walizkę.

– Powiedziano mi, że odbierze mnie pani Starr.

– Została w domu, żeby przywitać pozostałych gości. Jestem Rigger, menedżer. Mieszkam na terenie hotelu.

– Tak, już pan się przedstawił.

Z tonu głosu wynikało, że jest bardzo niezadowolona.

– Mam nadzieję, że pobyt będzie udany. Dom jest bardzo wygodny.

– Nie spodziewam się niczego innego.

Rigger miał nadzieję, że zdąży ostrzec Chicky, żeby zapięła pasy bezpieczeństwa.

Chicky nie potrzebowała ostrzeżenia. Język ciała wystarczył, żeby zrozumieć, że pani Howe nie zamierza się dobrze bawić. Stała sztywno i nieustępliwie pośród wesołej grupy osób zebranych w kuchni. Nie chciała sherry ani wina, poprosiła zamiast tego o szklanekę toniku z lodem i cytryną. Przedstawiana gościom kiwała milcząco głową.

Powiedziała, że nie chce zobaczyć pokoju ani się odświeżyć. Skoro przyjechała jako jedna z ostatnich, nie będzie opóźniać kolacji. Miała talent do kończenia rozmów jednym zdaniem.

Nie wykazywała zainteresowania trasami i atrakcjami, które przedstawiała Chicky. Goście poddawali się jeden po drugim.

Gdy Amerykanin zapytał, czym się zajmuje, odparła, że w Irlandii nie ocenia się ludzi na podstawie zawodu, który wykonują lub wykonywali.

Chłopak ze Szwecji powiedział, że to jego druga wizyta w Irlandii. Jeszcze nie skończył zdania, gdy dała mu do zrozumienia, że ją zanudza.

Na pytanie Winnie, czy była już w zachodniej Irlandii, wzruszyła ramionami, mówiąc, że sobie nie przypomina. Sympatyczni lekarze z Anglii powiedzieli, że są mile zaskoczeni wspaniałymi krajobrazami. Na to pani Howe odparła, że gdy przyjechała, było ciemno, i do tej pory nie widziała nic niezwykłego.

Kiedy Orla, która podawała do stołu, zapytała, czy smakowało jej jedzenie, odpowiedziała, że gdyby tak nie było, na pewno by o tym wspomniała. Nie mówiła, co myśli, i nie robiła od tego żadnych odstępstw.

Gdy Chicky Starr po kolacji zaprowadziła ją do pokoju, liczyła na jakąś reakcję na widok pięknych mebli, nowej pościeli, tacy z porcelanową zastawą do herbaty – wszyscy inni potrafili to docenić.

Pani Howe tylko skinęła głową.

– Z pewnością jest pani zmęczona po podróży – powiedziała Chicky, starając się ukryć rozczarowanie.

– Nie bardzo. Całą drogę z Dublina siedziałam.

Pani Howe była bezlitosna.

W kolejnych dniach jako jedyna nie znalazła nic wartego pochwały, żadnego zachwytu nad dziką przyrodą, uznania dla kuchni Chicky i Orli.

Chicky siadała obok tej dziwnej, niekomunikatywnej kobiety, żeby oszczędzić gościom męki. Nawet dla niej, przywykłej do towarzystwa mężczyzn otępiałych pracą na budowie, rozmowa z nią była trudną przeprawą.

Pani Howe nie zadawała pytań ani nie robiła żadnych spostrzeżeń. W jej życiu naprawdę musiało zajść coś bardzo, bardzo złego.

Jednak kiedy czwartego dnia nadal nie wykazywała żadnego zainteresowania zwiedzaniem wybrzeża, Chicky poprosiła Riggera, żeby zabrał ją ze sobą do sklepu w centrum.

– O Boże, Chicky, muszę? Przy niej nawet mleko kwaśnieje.

– Proszę cię, Rigger, inaczej będzie siedzieć i przyglądać mi się cały dzień, a ja muszę się zająć gotowaniem.

Zgodził się. Wszystko układało się świetnie. Wszyscy goście, oczywiście oprócz pani Howe, będą wychwalać hotel pod niebiosa. Kamienny Dom osiągnął wymarzony sukces. Jeden dzień z tą jedzą go nie zabije.

Wszelkie pytania na temat wrażeń z pobytu natrafiały na mur, więc opowiadał wesoło o swoim życiu. Powiedział jej o dzieciach, bliźniakach Rosie i Mackenie, wskazując głową ich zdjęcia na desce rozdzielczej.

– Cała mama – oznajmił z dumą. – Mam nadzieję, że rozum też będą miały po niej! Od strony taty niewielu było bystrzaków.

– Twoi rodzice są głupi? – zapytała chłodno, ale przynajmniej pierwszy raz wykazała jakieś zainteresowanie rozmową.

– Moja matka nie. Ojca nie poznałem – odparł.

Większość osób powiedziałyby, że przykro im z tego powodu, ale nie pani Howe.

– A pani rodzice są mądrzy?

Milczała. Jakby zastanawiała się, czy odpowiedzieć. W końcu odparła:

– Nie, ani trochę. Moja matka zupełnie nie nadawała się do opieki nad dziećmi. Odeszła z domu, gdy miałam jedenaście lat, a mój ojciec nie poradził sobie sam. Stracił pracę i zmarł z przepicia.

– O Boże, kiepski start. Ma pani jakieś rodzeństwo czy musiała sobie pani radzić sama?

– Młodsze brata, ale nie wie mu się najlepiej, niestety. Zmarnował życie.

– Nie było nikogo, kto by się nim zaopiekował?

Znowu cisza.

– Nie, tak się złożyło, że nie.

– To smutne. Pani była przecież za młoda, żeby się nim zająć. Ja miałem szczęście. Trochę się pogubiłem, ale moja mama zawsze nade mną czuwała. Gdy

trafiłem do poprawczaka, pisała do mnie co tydzień. Zrobiła, co mogła, żebym wyszedł na prostą. Nawet jeśli oznaczało to wysłanie mnie tutaj. Skończyłem na czytaniu i pisaniu. Trochę mi zajęło, żeby nadgonić. Nie zdawałem żadnych egzaminów, ale poukładało mi się w głowie i w ogóle.

– Dlaczego nie zmusiła cię, żebyś zdał egzaminy?

– Ach, wiedziała, że profesorem nie zostanę. Pracowała całymi dniami, żebyśmy mieli co jeść. Mimo to nie było mi łatwo patrzeć, że inni mają pieniądze, a ja nie.

– Wpadłeś znów w kłopoty?

Pani Howe zacisnęła usta, czekając na potwierdzenie.

– Spotkałem się z kumplami, z którymi wcześniej się zadawałem. Wszystkim dobrze się wiodło, ale nie dzięki legalnej pracy, jeśli wie pani, co mam na myśli. Mówili, że to banalnie proste. Nie ma szans, żeby cię złapali. Ale mój wujek Nasey okropnie mnie przestraszył. Uważał, że powinienem wyjechać na wieś i zacząć od początku. Nie było mi to na rękę. Bałem się krów i owiec, no i zapowiadały się straszne nudy. Ale moja mama, która stąd pochodzi, powiedziała, że kocha to miejsce.

– Dlaczego więc wyjechała?

Pani Howe nienawidziła niedomówień.

– Miała kłopot, a mężczyzna nie chciał się żenić.

– Przywiozła cię tu kiedyś?

– Nie, sama tu nigdy nie wróciła, ale się wybiera. Już niedługo mnie odwiedzi.

Na rynku były tłumy. Pani Howe patrzyła, jak Rigger sprzedaje jajka, warzywa i kozi ser. Potem kupił sporą ilość mięsa i dwie kaczuszki, które raczej zostaną ulubieńcami dzieciaków, niż trafią na stół Chicky.

Znał wszystkich. Ludzie pytali o Chicky Starr, dzieci Riggera, Orle. Potem musiał jeszcze podrzucić teściom jajka i ser. Pani Howe powiedziała, że poczeka w samochodzie.

– Pewnie poczęstują mnie herbatą i tartą jabłkową – oznajmił.

– Więc zjedz i wypij. Rigger, zostaw mnie samą z moimi myślami.

Spojrzała na ludzi wyglądających z okna domu, ale nie miała zamiaru pchać się do małej, dusznej kuchni i wdawać w pogawędkę z obcymi.

Wyjazd był wprawdzie niezbyt udany, ale Chicky była wdzięczna Riggerowi.

– Dowiedziałeś się o niej czegoś? – zapytała.

– Trochę, ale to było jak konfesjonał w furgonetce. Pewnie żałuje, że mi w ogóle coś powiedziała.

– Zmieńmy temat.

Następnego dnia pani Howe poszła odwiedzić Carmel w domu na końcu ogrodu. Carmel, znając sytuację, przywitała ją nad wyraz serdecznie. Przedstawiła ją dzieciom, które wesoło gaworzyły; poszli razem zobaczyć króliki, zółwie i kaczki, które dostały imiona Princess i Spud.

Pani Howe popijała herbatę, nie dając się wciągnąć w żadne pochwały na temat Kamiennego Domu i w ogóle wakacji. Carmel jednak się nie poddawała, nawet gdy zrobiła jej wykład na temat sensu uczenia się wierszy na pamięć bez zrozumienia.

Nagle zapytała, czy może przejrzeć ich biblioteczkę.

– Nie należymy do ludzi, którzy mają coś takiego w domu.

– W takim razie dacie kiepski przykład swoim dzieciom – skomentowała.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

– Nie, jeśli nie będziecie mieć słowników, atlasów, poezji. Jak rozumieją wagę nauki, jeśli w domu nie będzie po niej śladu?

– Będą chodzić do szkoły – broniła się Carmel.

– Właśnie. I sprawa załatwiona! Zrzucić wszystko na szkołę, a potem obwiniać ją, jeśli coś pójdzie nie tak – powiedziała pani Howe napastliwie, jakby mówiła do nieposłusznego dziecka w szkole, a nie do życzliwej osoby, która starała się uprzyjemnić jej urlop.

– Nie winilibyśmy szkoły. To nie w naszym stylu.

– Ale co możecie im zaoferować? Co jest ważniejsze od odpowiedniego wychowania i edukacji? Przecież nie chcesz, żeby skończyły jak twój mąż. W poprawczaku i bez szkoły.

Tego już było za dużo.

– Przykro mi, pani Howe, ale nie pozwolę obrażać mojego męża. Jeśli opowiedział pani o swojej przeszłości, a musiał zrobić to sam, bo Chicky nie pisnęłaby słowa, powiedział to w zaufaniu, a nie po to, żeby pani wykorzystywała to przeciwko nam.

Carmel była świadoma ostrości swojego tonu, ale nie mogła się powstrzymać.

Co z tą kobietą jest nie tak?

– Przykro mi, ale muszę panią prosić o opuszczenie mojego domu. Natychmiast. Jestem bardzo zdenerwowana i mogę powiedzieć coś, czego potem będę żałować. Nie wiem nic ani o pani, ani o pani życiu, ani o tym, dlaczego jest pani dla wszystkich taka wredna, ale już dawno, dawno temu ktoś powinien powiedzieć: dość.

Twarz pani Howe wykrzywiła się nagle, bez ostrzeżenia. Położyła głowę na stole i wybuchnęła takim spazmatycznym płaczem, że aż cała się trzęsła.

Carmel stała jak wryta. Przez chwilę nie wiedziała, co robić, a potem położyła dłoń na jej ramieniu.

Pani Howe sztywno ją odepchnęła. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

Carmel zaparzyła dzbanek świeżej herbaty, a potem usiadła w milczeniu naprzeciwko niechcianego gościa.

Powoli, z wahaniem, pani Howe zaczęła mówić.

– To było w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Miałam jedenaście lat, Martin osiem. Byliśmy tylko we dwójkę. Prezydent Kennedy przyjechał wtedy do

Irlandii i wszyscy zebraliśmy się przy drodze, żeby go zobaczyć, gdy będzie przejeżdżał.

W głowie się nie mieściło, pani Howe mówiła o swoim życiu sprzed pięćdziesięciu lat.

– Przypomniałam sobie, że nie zamknęłam okna na parterze. To był mój obowiązek. Rodzice bardzo surowo do tego podchodzili. W domu nikogo nie było. Tata był w pracy, a mama wybierała się do siostry. Choć nie miałam na to ochoty, pobiegłam z powrotem. W domu usłyszałam krzyki, jakby kogoś krzywdzono, więc pobiegłam na górę i zobaczyłam mamę z jakimś mężczyzną nago w łóżku. Myślałam, że chce ją zabić, więc próbowałam go odciągnąć... A potem moja mama uklękła przede mną, błagając, żebym nie mówiła tacie. Powiedziała, że do końca życia będzie dla mnie dobra, jeśli obiecuję, że to będzie nasz mały sekret. Mężczyzna się ubierał, a ona powtarzała: „Larry, poczekaj, Nell rozumie. Jest dużą, dojrzałą jedenastolatką. Wie, co robić”. A ja wybiegłam z domu i zadzwoniłam do taty, żeby natychmiast przyjechał, bo jakiś Larry krzywdzi mamę, a ona chce, żebym zachowała to w tajemnicy. Więc przyjechał i...

– Była pani dzieckiem – powiedziała Carmel łagodnie.

– Nie, ja wiedziałam. Wiedziałam, że to, co ona robi, jest złe, i że musi ponieść karę. Nie zamierzałam być częścią jakiejś tajemnicy. Chciałam, żeby została ukarana. Nie wiedziałam, że Larry był przyjacielem taty. Ale nawet gdybym wiedziała, i tak bym to zrobiła. To było złe.

– I co zrobił pani tata?

– Nie wiem. Kiedy wróciliśmy, mamy już nie było i nigdy nie wróciła.

– Co się z nią stało?

Carmel starała się ukryć przerażenie.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Tata się nami opiekował, ale nie najlepiej sobie radził, a potem zaczął pić. Nie przestawał mi dziękować, że wydałam tę kurwę, a Martina bił bez żadnego powodu. Martin zaczął obracać się w złym towarzystwie i zupełnie przestał się uczyć. Ja za to zatykałam uszy i uczyłam się całymi dniami. Zawsze dostawałam stypendia, a gdy mój ojciec zmarł z przepicia, mogłam stanąć na własnych nogach. Martin powiedział, że zrujnowałam mu życie dwukrotnie. Gdy przeze mnie mama musiała wyjechać i gdy zmarł ojciec.

– Nigdy pani nie wybaczył?

– Nie. Zmarnował życie. Nie widziałam go od lat. Niedawno dzwonił do szkoły, nie wiem po co. Nie chcę go więcej widzieć.

– Więc nie był obecny w pani życiu? – zapytała Carmel ze smutkiem.

Chciała zakończyć tę rozmowę, zanim usłyszy coś więcej; wiedziała, że pani Howe nigdy sobie nie wybaczy utraty kontroli nad sobą, nie wybaczy też jej. Carmel miała to wypisane na twarzy, bo pani Howe to zauważyła.

– Dobrze, więc chcesz, żebym już poszła. Pójdę, jest mi to obojętne!

– Żegnam panią i życzę wszystkiego dobrego. – Carmel wyciągnęła rękę.

– Pożegnania nadszedł czas – zadrwiła. – Jakich klisz nauczysz te nieszczęsne dzieci? Żal mi ich.

– Proszę bardzo. Zawsze będziemy je kochać i troszczyć się o nie. Będą miały wspaniałe życie – zapewniła Carmel ze smutkiem.

– Przypuszczam, że razem z mężem rozpowiecie to po całej okolicy jeszcze przed wieczorem – odparła gorzko.

– Nie, pani Howe, nie tak się zachowujemy. Cenimy godność i przyzwoitość, a nie plotki i oskarżenia. To pani sprawa. Nic nie wyjdzie poza te ściany.

Gdy wyszła, roztrzęsiona Carmel siadła przy kuchennym stole. Rigger będzie wściekły; Chicky zdenerwowana. Dlaczego musiała wybuchnąć? Pani Howe nigdy jej nie wybaczy swojej chwili słabości.

– Nie chcę tu więcej widzieć pani Howe – powiedziała, gdy Rigger wrócił do domu. – Nazwała nas ignorantami i współczuła naszym dzieciom.

– Cóż, jako jedyna. Wszyscy inni są nimi zachwyceni. A kogo obchodzi, co ona myśli?

Carmel uśmiechnęła się do niego. Miał rację. Uczesze się i pójdą na spacer po plaży. Będą chodzić po wilgotnym piasku i zbierać muszelki, a słona bryza będzie smagać im twarze. Dla córki i syna zrobią wszystko, co w ich mocy.

Jeszcze tego samego dnia Rigger szeptem ostrzegł Chicky, że między Carmel a panią Howe doszło do wymiany zdań.

– Nie przejmuj się – odparła. – I tak nie przysłałaby nam żadnych klientów. Właśnie mi powiedziała, że jeszcze dziś wieczorem wraca do Dublina. Za chwilę zniknie z naszego życia. Powiedz Carmel, żeby się nie przejmowała.

– Chicky, jesteś niesamowita.

– Nie, jestem szczęściarą. Tak jak ty. Pani Howe nie.

– Wszyscy trochę pomogliśmy własnemu szczęściu.

– Możliwe. Jednak przede wszystkim słuchaliśmy ludzi, którzy chcieli nam pomóc.

Przed kolacją Chicky zaniósła bagaż do samochodu.

– Mam nadzieję, że jednak coś się pani podobało. Może gdy pogoda będzie lepsza, wróci pani do nas? – Chicky była profesjonalistką w każdym calu.

– Nie sądzę – odparła. – To nie dla mnie. Zbyt wiele czasu spędziłam na rozmowach z ludźmi. To zbyt stresujące.

– Cóż, na pewno się pani cieszy, że wraca do ciszy i spokoju własnego domu.

– Tak, w pewnym sensie.

Kobieta była brutalnie szczera. To był jej błąd.

– Zrozumiała pani coś? Ludzie często mówią, że to miejsce temu sprzyja.

– Zrozumiałam, że życie jest bardzo niesprawiedliwe i że nic nie można na to poradzić. Zgadza się pani ze mną?

– Nie do końca, ale wiem, co pani ma na myśli.

Pani Howe skinęła zadowolona. Nie byłaby sobą, gdyby nie odeszła z goryczą na ustach. W pociągu do Dublina będzie siedzieć sama, a potem pojedzie autobusem do pustego domu. Gdy Rigger odwoził ją na dworzec, patrzyła wprost przed siebie.

Freda

Gdy Freda O'Donovan miała dziesięć lat, pani Scully, przyjaciółka jej matki, na podwieczorku wróżyła wszystkim z rąk. Każdemu przepowiadała szczęście, mnóstwo dzieci i długie, udane małżeństwo. Widziała zagraniczne podróże i niewielkie, niespodziewane spadki. Wszyscy byli nią zachwyceni, a spotkanie uznano za bardzo udane.

– Mnie też pani powróży? – zapytała Freda.

Pani Scully uważnie studiowała małą rączkę. Zobaczyła wysokiego, przystojnego mężczyznę, małżeństwo i trójkę słodkich dzieci. I zagraniczne wakacje. Czy Freda myśli, że mogłaby polubić jazdę na nartach?

– Będiesz żyć długo i szczęśliwie – zakończyła z uśmiechem.

Zapadła długa cisza. W końcu Freda westchnęła. Mimo że matka wydawała się zadowolona, dziewczynka była dezorientowana. Wiedziała, że to same kłamstwa.

– Chcę wiedzieć, co będzie – upierała się z płaczem.

– Co się stało? Przecież czeka cię świetlana przyszłość – wtrąciła się matka, prosząc córkę, żeby nie robiła scen z powodu głupiej wróżby.

Ale Freda zaczęła płakać jeszcze głośniejsze. To nieprawda. Nic takiego się nie wydarzy. Ona wiedziała. Czasami wiedziała, co się stanie, choć już zdążyła się nauczyć, że lepiej trzymać to w tajemnicy.

Nie będzie męża i trójki dzieci. A już na pewno nie będzie długiego i szczęśliwego życia. Płakała coraz donośniej.

Mama nie mogła zrozumieć, dlaczego córka tak się zdenerwowała. Bardzo żałowała, że namówiła panią Scully na wróżby. Więcej tego błędu nie popełni.

Po tym wydarzeniu nie proszono już pani Scully o wróżenie z rąk. Freda zaś nie dzieliła się z nikim swoją wiedzą.

Freda i jej dwie starsze siostry wiodły spokojne, skromne życie. Ojciec zmarł młodo. Mama pracowała w pralni chemicznej. Nie było pieniędzy na taki luksus jak centralne ogrzewanie lub zagraniczne podróże. Freda nie miała problemów w szkole, była bystra, dużo się uczyła i dostawała stypendia. Marzyła, żeby zostać bibliotekarką. Lane, jej najlepsza przyjaciółka, chciała pracować w teatrze. Były nierozłączne.

Freda nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy zrozumiała, że ma niezwykły dar. Trudno było go opisać. Słowo „wyobrażenie” nie było w pełni trafne. To było bardziej namacalne. Nie pamiętała też, kiedy zdała sobie sprawę, że nie każdy ma taki sam dar, ale z czasem nauczyła się, żeby nikomu o tym nie mówić. To zawsze

denerwowało ludzi, nie rozmawiała o tym nawet z Lane.

Nie interesowała się chłopakami. Kiedy była studentką, chodziła do klubów i pubów, w których spotykała ich wielu, ale przy żadnym z nich serce nie biło jej szybciej. Mama z ciekawością wypytywała o sprawy sercowe i była zawiedziona, że córka nie wykazywała nimi żadnego zainteresowania.

Freda kochała książki, a gdy została dyplomowaną bibliotekarką i znalazła pracę jako asystentka w lokalnej bibliotece, czuła, że jej marzenia się spełniły. Jednak siostry wypominały jej, że wciąż jest sama.

– Cóż, to zrozumiałe, że jesteś sama. Jak masz kogoś znaleźć, jeśli potrafisz rozmawiać tylko o książkach? – stwierdziła Martha.

– Byłabyś lepszym człowiekiem – prychnęła Laura.

Zrobiło im się głupio, gdy zobaczyły, że sprawiły jej przykrość.

– Przecież to nie koniec świata – dodała Martha zachęcająco.

Była w burzliwym związku z młodzieńcem Wayne i nie miała najlepszego zdania o mężczyznach.

– Znalazłaś pracę w bibliotece, znajdziesz każdą inną – przyznała niechętnie Laura.

Spotykała się z Philipem, napuszonym bankierem, dla którego liczyły się tylko styl i reputacja.

To nie były zwyczajne rady.

Podczas bożonarodzeniowych przygotowań Freda znów miała „wyobrażenie”. Właśnie jadły obiad w rodzinnym gronie, żeby obgadać przygotowania do świąt. Freda na pewno przyjedzie na jeden dzień, ale Laura wybiera się na przyjęcie wigilijne do rodziny Philipa. Martha była wściekła, bo Wayne nie miał żadnych planów. Kto nie robi planów na święta?

Mama zakończyła temat, wracając do świątecznego indyka. Obiad będzie o trzeciej. Niech przyjdzie ten, kto chce. I już.

Laura niespokojnie kręciła się na krześle; chciała coś powiedzieć. Nie była pewna, ale wydawało się jej, że w wigilię Philip poprosi ją o rękę. Był bardzo tajemniczy. Zwykle przykładał dużą wagę do tego typu wydarzeń i sporo o nich mówił. Nie, szykuje się coś znacznie większego. Laura była bardzo podekscytowana.

Zupełnie nieoczekiwanie Freda poczuła, że wie. Nie podejrzewała, ale wiedziała, że Philip jeszcze przed świętami zerwie z Laurą; powie jej, że będzie miał dziecko. Była tego tak pewna, jakby zobaczyła nagłówek w gazecie. Pobladła.

– No, powiedzcie coś! – Laura była zirytowana, że jej wielka nowina nie spotkała się z żadną reakcją.

– To cudownie – odezwała się mama.

– Szczęściara – dodała Martha.

– Jesteś pewna? – wypaliła Freda.

– Oczywiście, że nie. Żałuję, że wam powiedziałam. Pytasz tylko dlatego, że ośmieliłam się powiedzieć, iż nie potrafisz znaleźć sobie faceta. To zwykła złośliwość.

– Rozmawialiście o ślubie? – dopytywała się Freda.

– Nie, ale rozmawialiśmy o miłości. Odpuść sobie. Co ty tam wiesz?

– Możesz się mylić.

– Och, nie bądź takim ponurakiem.

– Zamierzasz z nim porozmawiać przed przyjęciem?

– Tak. Będę się z nim widzieć dziś wieczorem. Umówiliśmy się u mnie o siódmej.

Freda milczała. Wieczorem on jej powie. Cały dzień czuła ciężar na sercu jak męczącą niestrawność. O dziewiątej zadzwoniła do siostry.

Nie poznała jej po głosie.

– Wiedziałaś, prawda? Wiedziałaś i śmiałaś się ze mnie. Jesteś zadowolona?

– Naprawdę nie wiedziałam.

– Nienawidzę cię za to. Nigdy ci nie wybaczę!

Laura płakała, gdy w wigilię Philip ogłosił swoje zaręczyny: ślub z jakąś Lucy miał się odbyć w styczniu. W kolejnych miesiącach Laura odnosiła się do Fredy bardzo chłodno.

Martha powiedziała, że nawet na łożu śmierci nie uwierzy, iż Freda nie wiedziała o Lucy. Jak inaczej można to wytłumaczyć?

– Miałam przecucie, to wszystko – przyznała.

– Ładne mi przecucie! – prychnęła. – Jeśli kiedykolwiek będziesz mieć przecucie na temat mój i Wayne’a, daj mi znać, dobrze?

– Chyba już nigdy o tym nie wspomnę – zapewniła żarliwie.

Pierwsze spotkanie Przyjaciół Biblioteki Finn Road odbędzie się 12 września o 18.30. Serdecznie zapraszamy. Liczymy na pomysły i sugestie, czego oczekujecie od Waszej Biblioteki.

Gdy tylko zaczęła drukować ulotki, wiedziała, że to nie był dobry pomysł. Nie trzeba było być jasnowidzem: twarz pani Duffy wyrażała dezaprobatę, gdy spoglądała przez ramię swojej asystentki. Jej wzrok mówił, że biblioteka nie potrzebuje Przyjaciół. To nie agencja towarzyska, tylko miejsce, gdzie wypożycza się książki, a co ważniejsze, później je zwraca. Na takie rzeczy nie ma miejsca w bibliotece. To było, żeby użyć największej obelgi, bardzo nie na miejscu.

Freda uśmiechała się pewnie. Zanim wyszła z domu, związała swoje długie, ciemne, kręcone włosy wstążką, żeby wyglądać poważniej. Wszystko z myślą o tym spotkaniu. Nadszedł czas, żeby wyglądać profesjonalnie. Z całą pewnością nie był to odpowiedni moment, żeby stawać do poważnej walki. Jeśli przegra tę bitwę, poczeka i spróbuje ponownie.

Nie chciała, żeby szefowa domyśliła się, jak bardzo zależy jej na tym, żeby

otworzyć bibliotekę na ludzi. Liczyła na to, że uda jej się przyciągnąć tych, którzy nigdy nie przekroczyli jej progu, a obecnych czytelników związać z nią mocniej. Pani Duffy pochodziła z innej epoki. Z czasów, w których ludzie powinni być wdzięczni, że mają w pobliżu bibliotekę, i nie oczekiwać niczego więcej.

– Na rozmowie kwalifikacyjnej mówiła pani, że do moich obowiązków będzie również należało zdobywanie nowych czytelników.

– Tak, czytelników, a nie Przyjaciół. – Pani Duffy nawet takiemu słowu potrafiła nadać pejoratywne znaczenie.

Czy ona zawsze taka była? A może był czas, gdy miała nadzieję i marzenia związane z tym stęchłym, starym budynkiem?

– Jeśli będą się uważać za naszych Przyjaciół, to będą nam pomagać – odparła z nadzieją. – Mogą zbierać fundusze, namawiać pisarzy do oddawania nam książek... Wiele rzeczy.

– Cóż, chyba nie zaszkodzi spróbować. A gdzie ich wszystkich posadzimy?

– Lane ma w teatrze mnóstwo rozkładanych krzeseł. Nie będzie ich wtedy potrzebować.

– Ach tak, teatr. – Przełożona nie wykazywała zainteresowania małym, eksperymentalnym teatrem.

Freda czekała. Nie mogła umieścić ogłoszenia na tablicy bez zgody pani Duffy, ale czuła, że się uda.

– Z chęcią poprowadzę to spotkanie. To znaczy, zapowiem panią, a gdy pani skończy przemawiać, otworzę nasze podwoje przed... wie pani, Przyjaciółmi. – Wstrzymała oddech.

Pani Duffy odchrząknęła.

– Cóż, skoro tak ci na tym zależy, to wywieśmy ogłoszenie i zobaczymy, co się stanie.

Freda odetchnęła. Umieściła zaproszenie na tablicy ogłoszeń. Starła się zachować spokój i nie okazywać radości z wygranej. Gdy była pewna, że pani Duffy usiadła za biurkiem, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Lane.

– Lane, to ja, muszę mówić bardzo cicho.

– I dobrze. W końcu pracujesz w bibliotece – odparła poważnie przyjaciółka.

– Udało mi się przepchnąć pomysł z Przyjaciółmi. Wszystko załatwione.

Nieco dalej przy tej samej ulicy Lane przerwała pisanie listu z prośbą o finansowe wsparcie dla teatru.

– Fantastycznie! Dobra robota. Zabójcza bibliotekarka.

– Nawet nie żartuj. To może okazać się kompletną katastrofą. A jeśli nikt nie przyjdzie?!

Była zachwycona, że udało jej się dotrzeć tak daleko, ale bała się, że pomysł może okazać się totalną klapą.

– Jakoś ich zwerbujemy. Zbiorę cały zespół, wywiesimy ogłoszenie o spotkaniu w teatrze i wciągniemy w to też naszą publiczność. Słuchaj, może pójdziemy na lunch, żeby to uczcić? – Lane chciała wykorzystać okazję.

– Nie mogę, nie mam czasu. Muszę popracować nad budżetem. – A ludziom się wydaje, że w bibliotece tylko podaje się książki! – Ale widzimy się wieczorem u cici Evy, jak było ustalone, tak?

Eva O'Donovan cieszyła się, że Lane i Freda wpadną na kolację. To znaczyło, że powinna się zabrać do roboty. Przede wszystkim musi skończyć *Pióro*, cotygodniowy felieton w gazecie na temat obserwacji ptaków. Eva odkryła, że kiedy rzetelnie podchodzi do pracy, pisze tekst ze sporym wyprzedzeniem, a potem starannie przepisuje go na laptopie, uchodzą jej na sucho nawet skandaliczne opinie.

Następnie musi poszukać w zamrażarce czegoś do jedzenia. Dziewczyny nigdy nie jadały porządnych obiadów i zawsze były głodne. Poza tym nie chciała, żeby zataczały się po kilku koktajlach Alabama Slammer. W skupieniu studiowała zawartość zamrażarki.

Znalazła rybę i pieczone pomidory. Gdy przyjdą, wstawi je do pieca razem ze świeżymi pomidorami i z bazylią. Rozmroziła francuską bagietkę. Łatwizna! Ludzie robią tyle zamieszania wokół gotowania, a wystarczy tylko wcześniej trochę pomyśleć.

Gdy wysłała artykuł o wielkim stadzie jemiołuszek, które przybyły z północy Europy, wybrała kolorowy szal i kapelusz i rozłożyła na stoliku koktajlowym składniki do drinków. Najlepsza część dnia.

Nikt oprócz Evy nie chciałby mieszkać w Chestnut Grove. Dom wymagał generalnego remontu, miała problemy z instalacją hydrauliczną i elektryczną. Naprawdę nie było jej stać na utrzymanie. Sprzedaż wydawała się rozsądnym wyjściem, ale czy Eva kiedykolwiek zachowała się rozsądnie? Poza tym dziki i bezładny ogród był pełen ptaków, które regularnie budowały w nim gniazda i stanowiły wspaniały materiał do felietonów.

Ściany gabinetu były obwieszane zdjęciami ptaków, a także raportami z różnych ochronek i grup obserwacyjnych z całego kraju. Półki zapełnione magazynami i publikacjami. Laptop Evy zakopany w papierach. W gabinecie, jak w każdym pokoju, był tapczan, w każdej chwili gotowy do użytku. I rzeczywiście goście często zostawali na noc.

Ubrania wisiały w każdym pokoju; niemal na każdej ścianie znajdowały się wieszaki z kolorowymi, niedrogimi sukienkami, często z szalem lub kapeluszem do pary. Wszystkie kupione na targach, wyprzedazach z bagażnika lub przy likwidacjach sklepów. Nigdy nie kupiła normalnej sukienki w normalnym sklepie. Uważała, że ceny ubrań znanych marek są tak niedorzeczne, że nawet nie miała siły o tym myśleć.

Co sprawiało, że kobiety dawały się wciągać w świat metek, trendów i sztucznych

potrzeb? Nie była w stanie tego pojąć. Miała tylko dwie zasady dotyczące stylu – łatwe w utrzymaniu i kolorowe – i zawsze była dobrze ubrana.

Eva wyjęła longi do drinków, likier Southern Comfort, amaretto i dżin z tarniny. Miała dobrze wyposażony barek, choć sama piła niewiele. Najważniejsze było samo przygotowanie i podanie koktajli. Odnajdywała w tym teatralność i lekki powiew dekadencji.

Freda i Lane weszły tylną bramą i przeszły przez rozległy ogród. Nie było klombów, trawników, ogródków warzywnych ani tarasów; była za to masa krzaków i jeżyn, o które w ciemności łatwo można się było potknąć. Gdzieś rosy późno kwitnące róże. Miejsce wyglądało tak, jakby miało zostać poddane metamorfozie w jakimś programie telewizyjnym.

– Zupełnie inaczej niż w ogrodzie moich rodziców – odezwała się Lane, próbując unikać nisko rosnących gałęzi pełnych cierni. – Ich zawsze wygląda jak przygotowany do konkursu.

– Przynajmniej jest zadbany. Nie trzeba ryzykować życia tak jak tu – odparła Freda.

– Tak, ale tacie nie wolno sadzić warzyw, gdzie chce. Co by powiedzieli sąsiedzi, gdyby zobaczyli ziemniaki i bób?

Gdy dotarły do domu, Eva wybiegła im na spotkanie. Miała na sobie ciemnopomarańczowy wschodni kaftan. Włosy związała szalem z tego samego materiału. Przypominała niezwykle egzotycznego ptaka z zoo. W sam raz na marokański ślub, bal przebierańców lub otwarcie galerii sztuki.

– Ogród wygląda cudownie, prawda?! – krzyknęła.

Ani Lane, ani Freda nie użyłyby tego słowa, żeby określić dziką przestrzeń, przez którą właśnie udało im się przedrzeć, ale entuzjazm Evy był zaraźliwy.

– Kolory są niesamowite – odparła Lane.

– Uwielbiam widok gałęzi na tle nieba. – Eva zaprowadziła je do pokoju i zabrała się do robienia drinków. – Za bibliotekę – wzniosła toast – moja droga Fredo, i za wielu, wielu Przyjaciół, którzy czekają, żeby do was się przyłączyć.

Eva była tak szczerze zachwycona, że Freda aż się zakrztusiła. Tylko Lane i ciocia Eva mogły się cieszyć razem z nią, bo tylko one rozumiały, jak wielki był to dla niej krok. Jakie to szczęście mieć przyjaciół. Większość ludzi nie ma nikogo, z kim mogłaby świętować.

Freda ledwie umoczyła usta i ostrożnie odstawiła drinka. Gospodyni oczekiwała, że doceni się bogactwo smaku. Pomyślała, że drink musi zawierać przynajmniej pięć składników, oprócz soku pomarańczowego same alkohole. Podeszła do niego z wielkim szacunkiem.

Eva chciała usłyszeć szczegółową relację z intrygi w bibliotece. Czy pani Duffy była bardzo niechętna? Wrogo nastawiona? Zgodziła się z wielką łaską? Czego Freda

oczekuje od Przyjaciół, kiedy już ich zbierze?

Jej entuzjazm był tak ogromny, że Lane i Freda poczuły się przy niej bezbarwne i apatyczne. Gdyby to ona prowadziła bibliotekę, na zewnątrz pewnie pojawiłyby się kolorowe lampki, a w środku rozbrzmiewałaby muzyka. W holu mogłaby urządzić barek. Jej życie wyglądało tak jak jej dom: kolorowa fantazja, gdzie wszystko może się zdarzyć.

Pani Duffy musiała udzielać informacji wszystkim, którzy chcieli zostać Przyjaciółmi biblioteki, jednak nie wychodziło jej to najlepiej. Wręczała im ulotki przygotowane przez Fredę, mówiąc, że wszyscy są mile widziani, ale pytana o szczegóły, udzielała niejasnych odpowiedzi.

Niektórzy z wyrazem niepokoju na twarzy pytali, czy będzie jakieś wpisowe lub opłaty za członkostwo. „Nie, nic z tych rzeczy”, odparła pani Duffy. Ale zaraz się zastanowiła. Czy Freda nie wspominała o pozyskiwaniu funduszy?

Jakiś mężczyzna zapytał, czy będą udzielane porady, jakie książki czytać. Nie wiedziała. Dwie dziewczyny zapytały, czy będzie trzeba przejść jakiś test kwalifikacyjny, czy każdy może dołączyć? Pani Duffy odparła, że żadnego testu nie będzie, ale przy słowie „każdy” zmarszczyła brwi.

Zdenerwowany młodzieniec oznajmił, że w czasach szkolnych napisał wiele wierszy nagrodzonych w przeróżnych konkursach. Zastanawia się, czy będzie mógł je przeczytać. Był nieśmiały i niezdarny. Wyglądał, jakby tylko czekał, kiedy pani Duffy go wyprosi za takie pytania.

Pani Duffy zaczęła podejrzewać, że to nie był dobry pomysł.

– Och, nareszcie, panno O’Donovan! – zawołała, mimo że Freda pojawiła się pół godziny przed czasem.

Freda z niepokojem spojrzała na zegarek.

– Było tyle pytań na temat inicjatywy Przyjaciół, że nie dało się pracować.

Twarz asystentki pojaśniała.

– Przepraszam, ale czy to nie wspaniała wiadomość? To znaczy, że ludzie naprawdę są zainteresowani.

Freda powiesiła płaszcz i od razu wzięła się do pracy.

Pani Duffy złagodniała. Trudno być niezadowolonym z takiego nastawienia. Pomimo niekończących się pytań, rosnącego zamieszania i związanych z tym problemów, ta głupiutka dziewczyna wyglądała na szczęśliwą. I brała to wszystko na siebie.

– Miała pani udany weekend, panno O’Donovan? – zapytała, żeby pokazać, że się nie gniewa.

Freda spojrzała na nią zdziwiona. Odparła, że bardzo przyjemny, ale cieszy się, że znów jest w pracy. Dobra odpowiedź.

Pani Duffy nie chciała znać szczegółów, po prostu wypadało zapytać.

Freda przejrzała listę pytań. Zadzwoiła do mężczyzny, który pytał o pomoc w wyborze książek, mówiąc, że jeśli będzie taka potrzeba, to jak najbardziej. Dziewczynom pytającym o test kwalifikacyjny powiedziała, że wręcz przeciwnie, to będzie dobra zabawa. Powinny przyprowadzić wszystkich znajomych. Młodego poetę, który miał na imię Lionel, zaprosiła na spotkanie.

Zignorowała dokuczliwe przeczucie, że stanie się coś naprawdę ważnego.

Kolejne spotkanie Przyjaciół Biblioteki Finn Road będzie poświęcone historii okolicy. Wstęp wolny. Prosimy o przyniesienie zdjęć i przygotowanie anegdot. Serdecznie wszystkich zapraszamy!

Długo będą wspominać ten wieczór. Mimo ulewy okazał się ogromnym sukcesem. Z wielu powodów. Nawet pani Duffy była pełna entuzjazmu.

Pojawili się wszyscy: młody poeta Lionel przeczytał kilka pięknych wierszy o niemych łabędziach. Był zachwycony odbiorem, jeszcze bardziej zaś poznaniem cioci Evy, autorki *Pióra* we własnej osobie!

Pani Duffy podejrzliwie patrzyła na pół tuzina młodych dziewcząt, ale okazało się, że mają mnóstwo pomysłów na klub czytelnika.

– Muszę powiedzieć, że byłam zaskoczona, jak wielkim szacunkiem nas darzą – powiedziała następnego dnia.

Lane i Freda posprzątały i odniosły krzesła do teatru. Pani Duffy nie miała na co narzekać, więc była zadowolona, a nawet usatysfakcjonowana.

Freda zdecydowała dawno temu, że nie przypisze sobie żadnej zasługi za ewentualny sukces, natomiast jeśli pomysł okaże się kłapą, to weźmie na siebie całą winę.

– Zasłużyła pani na to. – Jakby pani Duffy była pomysłodawczynią. – Od lat dba pani o bibliotekę. Zasługuje pani na szacunek i wdzięczność czytelników.

Pani Duffy miłościwie przyjęła słowa uznania.

Było dobrze: Freda miała czas, żeby zająć się pracą. Tyle rzeczy jest do zrobienia w zwykły dzień roboczy. Trzeba było sprawdzić listę wypożyczonych książek, wysłać wezwania do zwrotu przetrzymywanych, potem należało przejrzeć zamówienia i sprawdzić ich status. Dziś dodatkowo miało się odbyć spotkanie, na którym trzeba wybrać tytuły do zamówienia. Potem należało sprawdzić książki przysłane z wydawnictw. I przejrzeć czasopisma o książkach. Niewiele było czasu na myślenie o spotkaniu Przyjaciół, tym bardziej o organizacji kolejnego. Nie wiadomo dlaczego, czuła się wypompowana. Była pewna, że coś się wydarzy.

Pani Duffy była zaskoczona, gdy dostarczono wspaniałą bukiet bardzo drogich kwiatów wraz z kartką: *Już jestem Przyjacielem Biblioteki... Teraz chciałbym zostać przyjacielem Bibliotekarki*. Wieczór rzeczywiście okazał się sukcesem, ale takie podziękowanie? Od kogo? Pani Duffy dostawała kwiaty tylko od swojej siostry i to raczej fiołki w doniczce. Więc kto wysłał bukiet? Jeszcze raz spojrzała na niego

z podziwem. Panna O'Donovan mogłaby je ładnie ułożyć, jeśli znajdzie się odpowiednio duży wazon.

Freda poszła do magazynu i przyniosła wielki słoje. Kwiaty musiały kosztować fortunę. Kto, na Boga, mógł je przysłać?

Pani Duffy powiedziała tajemniczo, że to od przyjaciela. Spojrzała na swoje odbicie w szklanych drzwiach i zamyślona poprawiła włosy.

Freda się poddała.

Kiedy oddzielała długie róże od zielonych paproci, znalazła liściki.

Teraz chciałbym zostać przyjacielem Bibliotekarki. Były dla niej! Doznała niemal fizycznego wstrząsu. Ale od kogo? I po co? I dlaczego nie zaadresował ich do Fredy, zamiast wprowadzać w błąd panią Duffy? Miała wrażenie, że wszystko wokół niej zwalnia i staje się nierzeczywiste. Było zbyt wiele pytań. Dlaczego czuje się tak nieswojo i drży? Potrzebowała chwili samotności, żeby to przemyśleć.

Lane zadzwoniła do Ewy, żeby zapytać, jakiego koloru nogi ma maskonur.

– Pomarańczowe – odparła Ewa bez wahania. – Dlaczego pytasz?

– A dziób? Przygotowujemy scenografię. Wiem, jaki jest kształt i wszystko inne, ale jaki kolor?

– Niebieski, żółty i pomarańczowy. W odpowiedniej kolejności.

– Nie chodzi mi o egzotyczną odmianę, jak w zoo, tylko o zwykłego, irlandzkiego maskonura.

– O nim mówię. Wpadnij do biblioteki, pokażę ci w atlasie. Właśnie tam się wybieram.

– Tak będzie najlepiej. Ptaki z trójkolorowymi dziobami! Chyba trzeba być na jakichś prochach, żeby zobaczyć coś takiego w Irlandii.

Spotkały się na schodach.

– Malujemy wielkie dekoracje do następnego przedstawienia – wytłumaczyła. – Muszę mieć pewność co do dzioba i nóg. Naprawdę są we wszystkich kolorach tęczy czy tylko mnie nabierasz?

– Dzioby są trójkolorowe, nogi pomarańczowe, głównie w okresie lęgowym. Zimą znacznie ciemniejsze.

– Miłosierny Boże, takie ptaki w Irlandii!

– Cóż, jeśli kiedyś zabierzesz się z nami na wybrzeże, zobaczysz je na własne oczy. Całe kolonie – powiedziała z wyrzutem. – Jest takie miejsce, Stoneybridge. Powinnaś tam pojechać.

Gdy weszły do środka, Freda stała za ladą zajęta rozmową. Patrzyła na folder, śmiejąc się i potrząsając głową. Miała jasne spojrzenie, wyglądała tak młodo, była pełna życia. W tym starym, szarym budynku jeszcze bardziej rzucało się to w oczy. Pani Duffy miała na sobie swój codzienny granatowy kardigan z białym koronkowym kołnierzem; wyglądała skromnie i poważnie. Freda wprost przeciwnie –

„w czerwonej koszuli, czarnych spodniach i z czarnymi, kręconymi włosami związanymi dużą, czerwoną wstążką wygląda jak kolorowy kwiat”, pomyślała Lane. Nic dziwnego, że utworzyła się do niej kolejka.

Następny w kolejce stał mężczyzna w szalu z kaszmiru i w bardzo dobrze skrojonym płaszczu. Uważnie przyglądał się Fredzie.

Lane nagle stanęła. Nie wiedziała dlaczego, ale poczuła się trochę nieswojo.

– O co chodzi? – zapytała Eva.

– Ten człowiek, który czeka, żeby porozmawiać z Fredą – szepnęła.

– Nie widzę.

– Chodź tutaj. Zobacysz go i nie będziesz przeszkadzać.

Widziały, jak Freda patrzy na mężczyznę. Stały za daleko, żeby słyszeć, co mówi, ale jej twarz zmieniła się nie do poznania.

To musiał być ktoś ważny. Lane od razu się nie spodobał.

– Podobały ci się kwiaty?

– Te dla pani Duffy, bibliotekarki? Piękne. Mam ją zawołać?

Powąchał jedną z róż.

– Były dla ciebie.

Miał serdeczny uśmiech i był bardzo przystojny.

Odwzajemniła uśmiech, choć jeśli kiedykolwiek umiała flirtować, dawno zapomniała, jak to się robi.

– Nie byłeś na spotkaniu Przyjaciół. Na pewno bym zapamiętała.

– Ależ byłem. Nie wiedziałem o spotkaniu. Wszedłem, gdy zaczęło padać. Stałem z tyłu. O tam. – Wskazał filar przy tylnych drzwiach.

– Nie usiadłeś?

– Nie, chciałem tylko przeczekać najgorszą ulewę. Uznałem, że rozmowa w bibliotece na pewno będzie nudna.

– I była? – Próbowała wybadać.

– Nie, to był wspaniały wieczór. Pełen serdeczności, entuzjazmu i nadziei. Dlatego zostałem.

Czuła to samo. Miała wrażenie, że tamten wieczór był dla ludzi kołem ratunkowym. Bardzo potrzebowali czegoś nowego, w co mogliby się zaangażować; wszyscy chcieli się na coś przydać. Patrzyła na niego w milczeniu.

– Przyszedłem zaprosić cię na kolację. – Zauważyła, że lekko zaczerwieniła mu się szyja. Nagle stracił pewność siebie. – To znaczy, to nie musi być kolacja. Możemy pójść na spacer lub kawę, do kina, gdziekolwiek chcesz. Poczekaj, źle zacząłem, jestem Mark. Mark Malone. Umówisz się ze mną?

– Chętnie zjem z tobą kolację...

– Dobrze. Mogę zrobić rezerwację na wieczór?

Bała się odpowiedzieć.

– Cóż, tak, może być – powiedziała w końcu.

– Gdzie chciałabyś pójść?

– Nie wiem... Gdziekolwiek. Lubię restaurację U Ennia na nabrzeżu. Czasami chodzę tam z przyjaciółmi przy specjalnych okazjach.

– Cóż, nie chcę się wpychać. To wasze miejsce. Może Quentins? Chyba też jest dobra? Może być o ósmej?

– W takim razie o ósmej.

Uśmiechnął się i ostentacyjnie pocałował ją w rękę.

Gdy wyszedł, Freda zbliżyła dłoń do policzka. Nie miała pojęcia, że obserwuje ją ciotka Eva, Lane, pani Duffy, Lionel i młoda dziewczyna szukająca pracy jako sprzątaczką.

Wszyscy widzieli twarz Fredy, gdy powoli przesunęła dłoń do ust. Dłoń, którą pocałował ten mężczyzna. Byli świadkami czegoś doniosłego.

Dzień jakoś minął.

– Masz mi coś do powiedzenia? – zapytała Lane.

– O maskonurach?

– Nie, o mężczyźnie, który pocałował cię w rękę.

Freda obiecała, że powie jutro.

Gdy dotarła do Quentins, on już czekał. Miał na sobie ciemnoszary garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Był bardzo przystojny. Gdy Brenda, elegancka właścicielka i menedżerka, prowadziła Fredę do stolika, uśmiechnął się i wstał.

– Pomyślałem, że może będziesz chciała napić się szampana, ale ostatecznie nie zamówiłem dla ciebie – zaczął.

– Strzał w dziesiątkę, a właściwie dwa – powiedziała z uśmiechem. – Chętnie się napiję, ale dziękuję, że za mnie nie zdecydowałeś.

– Nie zrobiłbym tego. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Wyglądasz wspaniale.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Jesteś piękna, ale nie dlatego zaprosiłem cię na kolację.

– Dlaczego więc? – Naprawdę była ciekawa.

– Bo nie mogę przestać o tobie myśleć. Bardzo podobało mi się to, co mówiłaś o wierszach tego poety, o wytwornym smutku. Ktoś inny musiałby użyć znacznie więcej słów, aby to wyrazić. A potem byłaś tak bardzo podekscytowana tymi uczennicami i klubem czytelnika; zaraziłaś je tym, masz tyle energii, promieniuje z ciebie życie. Zauważyłem to, gdy tylko cię zobaczyłem. Teraz też to widzę. Chcę być tego częścią. To wszystko.

– Nie wiem, co powiedzieć. Miałam szczęście. Bardzo lubię swoją pracę, życie i w ogóle...

– Cieszysz się, że tu jesteś?

– Bardzo.

Dobrze im się rozmawiało.

Chciał wiedzieć o niej wszystko. O szkole, uczelni, domu, rodzicach i siostrach. Jak dostała pracę w bibliotece. O małym mieszkaniu, które zajmowała na poddaszu dużego wiktoriańskiego domu. O ekscentrycznej ciotce, która od dawna pisze felietony i czasem zabiera Fredę, kiedy jedzie obserwować ptaki.

– Czyż to nie wspaniale? – zapytał uroczyście.

– Nie pobiję tego – parsknęła. – Nie jestem orłem.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Interesował go każdy szczegół jej życia. Rozmowa zeszła na temat wakacji: czy warto się trudzić, żeby na tydzień pojechać do ciepłych krajów albo czy trzeba być sportowcem, żeby pojechać na narty. Był na tej samej greckiej wyspie co ona. Czyż to nie jest niesamowite? Świat jest taki mały. Lubili te same filmy, piosenki. Czytał nawet niektóre z ulubionych książek Fredy.

Freda również chciała się czegoś o nim dowiedzieć. Ostatecznie, to była prawie randka w ciemno – zupełnie obcy sobie ludzie, a jednak jedli razem kolację w jednej z najlepszych restauracji w Dublinie.

Wychowywał się w Anglii, w rodzinie irlandzkich emigrantów. Rodzice i brat wciąż tam mieszkają. Przyznał ze smutkiem, że nie widuje ich za często. Wzruszył ramionami, ale Freda zauważyła, że jest mu przykro.

Studiował w Anglii marketing i zarządzanie, ale dużo ważniejsze od studiów okazało się doświadczenie zdobyte w branży turystycznej. Pracował w wypożyczalni samochodów, jachtów, w firmie cateringowej, i cały czas uczył się tajników biznesu. Pracował w Londynie, Nowym Jorku, a teraz w Dublinie; całkiem nowe miasto, choć jako dziecko spędzał tu wakacje. Obecnie pracuje dla firmy, która zamierza zainwestować w hotel U Holly; chcą go przekształcić w poważny kompleks wypoczynkowo-rekreacyjny.

– Pewnie uważasz, że to bardzo nudne, ale to naprawdę ekscytująca praca, i nie chodzi tylko o pieniądze – powiedział z zapałem. – Bardzo chciałbym dowiedzieć się czegoś o historii regionu, a ty możesz mi w tym pomóc.

Jeszcze nie znalazł mieszkania. Zatrzymał się w hotelu. Dzięki temu może przyjrzeć mu się z bliska. To rodzaj schronienia, miejsce, które staje się osobistym odkryciem. Pracownicy pamiętają twoje imię, naprawdę im zależy, żebyś dobrze się u nich czuł. Nic dziwnego, że odnieśli sukces.

Podczas tamtej burzy był umówiony na spotkanie z deweloperami, które się przeciągnęło, dlatego w czasie najgorszego oberwania chmury biegł wzdłuż Finn Road. To był szczęśliwy zbieg okoliczności. Zobaczył, że biblioteka jest otwarta, i postanowił przeczekać w niej ulewę. Wtedy właśnie ją zauważył. A gdyby pobiegł dalej? A gdyby spotkanie skończyło się o czasie i gdyby zdążył przed deszczem?

– Moglibyśmy się nigdy nie spotkać. – Zaśmiał się i teatralnie wstrząsnął na samą

myśl o tym.

Fredzie opadły ręce. Uwielbia ten hotel; to cudowne miejsce. Pomysł, żeby go przekształcić w „kompleks rekreacyjny”, jest straszny. Najważniejsze jednak, że poznała tego ekscytującego mężczyznę, który z jakichś niezrozumiałych powodów był nią oczarowany. Mniej ważne, co go przywiodło do Dublina. Westchnęła z czystej przyjemności.

Uśmiechnął się do niej i stopił jej serce.

Miała nadzieję, że nie będzie chciał pójść do niej. Ma straszny bałagan, wszędzie desperackie ślady przygotowań do pierwszej randki. Potrzebuje tygodnia, żeby doprowadzić mieszkanie do porządku. A jeśli zaproponuje, żeby poszli do hotelu?

Chyba tego nie zrobi. Ma klasę.

A może wcale mu na tym nie zależy?

Opuścili restaurację jako ostatni. Zamówiono dla nich taksówkę. Mark powiedział, że odwiezie ją do domu. Gdy samochód się zatrzymał, wysiadł, żeby odprowadzić ją do drzwi.

– Piękne miejsce, tak jak przypuszczałem.

Pocałował ją w oba policzki i wszedł do taksówki.

Freda weszła po schodach. Mieszkanie wyglądało, jakby zostało splądrowane przez włamywaczy. Nie wprosił się. Usiadła na brzegu łóżka, nie wiedząc, czy powinna czuć ulgę, czy rozczarowanie.

Kiedy opowiadała mu o bibliotece, słuchał, jakby była jedyną osobą na świecie. Może to jego sposób bycia? Czy naprawdę ją lubi? Oczywiście, że nie. Jest zwykłą bibliotekarką, a on jest taki mądry i był już w tylu miejscach.

Nagle poczuła się samotna. Gdyby wzięła kota, miałyby do kogo się odezwać.

Eva jej odradzała. Powiedziała, że koty są naturalnymi wrogami ptaków. „Poza tym, jeśli zostaniesz właścicielką kota, przestaniesz podróżować”, dodała. Przynajmniej ktoś by do niej mrucał, wypełniając pustkę mieszkania na poddaszu wielkiego domu.

Spała niespokojnie. Śniło się jej, że chce się dostać na prom, który jednak ciągle odbijał od brzegu, zanim zdążyła wejść na pokład.

– No dalej, Freda, przecież nie mamy przed sobą tajemnic – powiedziała Lane nazajutrz przy kawie w maleńkim teatrze.

– Opowiadałam ci dokładnie, co jedliśmy, włącznie z czekoladą w kształcie litery Q na końcu – odparła oburzona.

– Ale co z nim? Podoba ci się? Dobrze wam się rozmawiało?

– Jest w porządku, dobrze wychowany i czarujący. Pracuje w branży turystycznej. Lane prychnęła szyderczo.

– Przyjechał, żeby omówić inwestycję w Holly. Chcą go znacznie powiększyć.

– Holly nie potrzebuje powiększenia. Jest w sam raz. Czy wy...?

– Nie.

– A chciał...?

– Nie. Czy to ułatwia temat seksu?

Lena była urażona.

– Zapytałam, bo zawsze sobie mówimy takie rzeczy.

– I powiedziałam. *Nic, nada, zilch.*

– Już dobrze. A powiesz, jeśli będzie o czym?

– Tego nigdy się nie dowiemy, prawda? – oznajmiła beztrąsko, choć wcale się tak nie czuła.

– A gdybym chciała cię przed nim ostrzec. – Lane spoważniała. Nie wiedziała dokładnie co, ale było w nim coś niepokojącego. – Gdybym powiedziała, że mu nie ufam, że nic o nim nie wiesz, że cię okłamuje? Gdybym to powiedziała, straciłabym cię?

– Przed czym tu ostrzegać? Bukiet kwiatów, który trafił w ręce pani Duffy, i kolacja... Trudno to nazwać romanssem.

– To dopiero początek – zauważyła Lane ponuro. – Wróci. Bez wątplenia.

Joe Duggan, którego Freda ostatni raz widziała w college'u pięć lat wcześniej, zadzwonił, żeby ją zaprosić na imprezę. Nie miała najmniejszego zamiaru iść na spotkanie z grupą zupełnie obcych ludzi w towarzystwie kolegi, którego ledwie pamiętała, ale jak zwykle uprzejma zapytała, czym się ostatnio zajmuje.

– Wykłady z technologii, głównie dla kretynów. Wiesz, ludzie, którzy boją się gadżetów, ale nie chcą zostać w tyle. Właściwie jestem w tym całkiem niezły. Mówię im, że maszyny są głupie. To ich uspokaja.

– Joe, może będę miała dla ciebie fuchę. Mógłbyś wpaść do biblioteki w piątek? – zapytała. – Może będzie z tego kolejne spotkanie Przyjaciół.

Doskonale.

Zobaczyła przed sobą przerażającą twarz pani Duffy.

– Panno O'Donovan, czy mogę prosić, żeby zajęła się pani karami za przetrzymanie książek, gdy już skończy pani łaskawie zajmować się swoim życiem prywatnym? Czeka na panią również kilka osób przy ladzie.

Pierwszy w kolejce był Mark Malone. Patrzył na nią w milczeniu.

– Nie powinienes być teraz w pracy?

Chciała, żeby przestał się jej przypatrywać i żeby rozmowa była lekka.

– Pracuję bardzo ciężko, często do późnej nocy, ale znalazłem trochę czasu, żeby cię zobaczyć.

– Dziękuję za kolację. Miałam zamiar napisać liścik, żeby powiedzieć, jak bardzo było miło.

– Co byś napisała?

– Że to był bardzo miły i wspólny wieczór, za który dziękuję – mówiła, jakby

uważała sprawę za zamkniętą.

Jednorazowe spotkanie, za które jest wdzięczna i niczego nie żałuje.

– Mówiłaś, że jutro masz wolne.

Zwykle w dzień wolny Freda zajmowała się tym, co razem z Lane nazywały prozą życia: zanosila pościel i ręczniki do pralni, chodziła na zakupy, czasem namawiała Lane na długi lunch. Niekiedy chadzała na wystawy do galerii albo oglądała wystawy sklepowe. Mogłaby też zająć się skrzynkami na kwiaty, a wieczorem wyjść z przyjaciółmi do winiarni.

Ale nie jutro. Jutro będzie zupełnie inaczej.

Mark zastanawiał się, czy mogłaby pojechać z nim do hrabstwa Wicklow. Ma tam spotkanie z panną Holly, ale potem zjedliby razem obiad. Freda stała pod prysznicem i planowała dzień. Po południu mogliby pójść na spacer, potem wrócić do domu, gdzie ona poda mu kolację. A może zostaną w hotelu? W każdym razie na pewno jej powie, że pięknie wygląda. Weźmie ją w ramiona i szepnie: „Nie musimy już dłużej czekać” albo „Bez ciebie nie przeżyję tej nocy”. Cokolwiek.

Zastanawiała się, jak będzie. Miała nadzieję, że wyda mu się wystarczająco atrakcyjna i że go zadowoli. Nie miała zbyt dużego doświadczenia. A już na pewno żadnego nie zdobyła w ostatnim czasie.

Ostatni raz był jakieś dwa lata temu, gdy wdała się w wakacyjny romans. Uroczy mężczyzna o imieniu Andy, ze Szkocji, który obiecywał, że będą w kontakcie, i że przyjedzie odwiedzić ją w Irlandii. Jednak ani nie utrzymywał kontaktu, ani jej nie odwiedził. Nie zmartwiło jej to. Andy miał już zaplanowane życie: bankowość, grę w golfa i mieszkanie w pobliżu rodziców i żonatych braci.

Nie miała pojęcia, dlaczego właśnie teraz pomyślała o Andym. Z obawy, że nie jest dość dobra w tych sprawach? Czy to właśnie dlatego więcej się nie odezwał? Może była marną kochanką? Ona była całkiem zadowolona z tego magicznego lata. Myślała, że Andy również, ale nigdy nic nie wiadomo.

Byłoby cudownie usłyszeć jakieś słowa otuchy. Wyobraziła sobie, że dzwoni do Andy'ego do banku wiele lat po romansie i prosi o ciepłe słowo. Na samą myśl o tym skrzywiła się.

No, ale przecież Mark nie szuka seksmaszyny, prawda? Pewnie kobiety rzucały się na niego od czasu, gdy był nastolatkiem. Żałowała, że tak mało wie o nim i jego potrzebach.

I właśnie wtedy, gdy najmniej się tego spodziewała, pojawiło się wyobrażenie. Freda zobaczyła wyraźnie, niczym na zdjęciu w folderze agencji nieruchomości, mieszkanie pełne książek, z pokojem gościnnym i kuchnią, dwiema dużymi sypialniami i gabinetem z biurkiem zawalonym papierami. Z okna roztaczał się widok na morze. W drzwiach stała niska blondynka o krótkich włosach i słabym, smutnym uśmiechu. Na jej szyi wisiały okulary. Witaa gościa, kimkolwiek był, słowami:

„Jesteś, kochanie. Jak dobrze, że jesteś!”. Kim jest ta kobieta? I do kogo mówi? Fredzie zaparło dech w piersi, zawiroowało w głowie, ugięły się pod nią nogi. Czy to Mark?

Niemożliwe. Musiała się pomylić. Zresztą nie widziała, kto podchodził do drzwi. To nie może być Mark. Nie może...

Drżąc, włożyła na siebie ubranie. Trzęsącymi się rękami pomalowała rzęsy i usta, spięła włosy, znalazła odpowiednie buty. Była gotowa. Wciąż drżała. Cieszyła się, że nikomu nie powiedziała o tym spotkaniu.

Usłyszała przeszywający dzwonek domofonu. Mark był pod domem.

– Już schodzę – powiedziała do słuchawki.

Patrzył na nią z podziwem, gdy schodziła do holu.

– Wyglądasz nieziemsko.

Freda nadal nie doszła do siebie. Chciała zazartować, żeby rozładować napięcie. Nie była przyzwyczajona do kwitowania takich pochwał podziękowaniem. Wypowiedziała pierwszą myśl, która przyszła jej do głowy.

– A ty jesteś bardzo przystojny, naprawdę wspaniały.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Jesteś taka miła. A teraz przestańmy sobie kadzić i wskakujmy do samochodu. Strasznie zimno. – Przytrzymał drzwi ciemnozielonego mercedesa.

Drogę do Wicklow pamiętała jak przez mgłę. Nie bardzo wiedziała, jak tam dotarli, o czym rozmawiali. Widziała tylko skupioną na jeździe twarz Marka i uśmiech, który od czasu do czasu jej posyłał.

Gdy Mark poszedł na spotkanie z panną Holly i kadrą kierowniczą, Freda siedziała w holu przy kominku w wielkim fotelu obitym perkalem. Na kolanach leżało nieprzeczytane czasopismo, na stoliku stała nietknięta kawa. Patrząc w płomienie, zastanawiała się, co jest grane. Obrazy znów zaczęły się formować w jej głowie. Próbowwała z nimi walczyć. Zamknęła i otworzyła oczy. Nie pomogło. Mark był w pokoju z jakimiś krzyczącymi ludźmi. Pani Holly płakała w kącie. Mark był opanowany i lekceważący. Mówił jej coś bardzo nieprzyjemnego i przerażającego. Cokolwiek to było, było złe. Bardzo złe.

Drżąc, odsunęła wizję na bok. To nic nieznaczące bzdury. Po prostu zdrzemnęła się i przyśnił jej się nedorzeczny sen. Odetchnęła głęboko, próbując pozbyć się tych obrazów. Ale czuła się jeszcze bardziej oszołomiona i dezorientowana.

Mark szybko wrócił.

– Jak poszło?

– Nie pytaj. Wynośmy się stąd, potem ci powiem. Chodźmy. Jesteśmy wolni jak ptaki, nikt na nas nie czeka. Możemy być tam, gdzie chcemy.

– Ja muszę wracać. Jutro otwieram bibliotekę. Muszę być przed ósmą.

Uśmiechnął się.

– Dobrze. Pójdziemy na obiad i nie będziemy rozmawiać o pracy. Zgoda?

– Zgoda.

Jechali w milczeniu. Freda przyglądała mu się; wyglądał na odprężonego i szczęśliwego. Uznała, że to był tylko szalony sen. Gdy pomagał jej wysiąść z samochodu, pocałował ją, a ona przez cały obiad nie mogła myśleć o niczym innym.

Tej nocy kochali się po raz pierwszy.

Następnego wieczoru poszli do kina. Freda nawet nie pamiętała, na czym byli. Myślała tylko o tym, że ich ramiona się stykają. Później wrócili do jej mieszkania.

W piątek zaprosił ją na koncert. Zawahała się. Była na ten termin umówiona z Joem Dugganem, ekspertem komputerowym. Mark spochmurniał; był strasznie zawiedziony. Nie mogła tego tak zostawić.

Zadzwoiła do Lane.

– Zrobię dla ciebie wszystko. Wszystko. Wyszoruję podłogi w teatrze...

– Kogo mam zabić?

– Nic z tych rzeczy. Chodzi o Joego Duggana. Ma mieć wykład w przyszłym tygodniu. Nie mogę się z nim dziś spotkać. Możesz mnie zastąpić i wszystko mu wyjaśnić?

– Nie.

– Błagam cię.

– Nie mogę. Prowadzę teatr. To ty jesteś bibliotekarką.

– To zwykła rozmowa. Wiesz, taka gadka szmatka.

Zapadła cisza.

– Lane?

– To do ciebie niepodobne. I to nie jest zwykła gadka szmatka. Umówiłaś to spotkanie. Wiele osób na ciebie liczy.

– Jeden jedyny raz. Powiem Joemu, że skontaktuję się z nim w poniedziałek rano.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Nie wiem, co zrobię...

– To najbardziej wyświechtany tekst, jaki słyszałam.

– Ale zrobisz to?

– Tak.

– Dzięki, Lane, z całego serca...

– Do widzenia.

Zadzwoiła do Marka.

– No i co?

– Jestem wolna.

– Miałem nadzieję, że to powiesz.

Koncert był fantastyczny, a podczas kolacji powiedział, że jest wyjątkowa. Mówił, jak bardzo podziwia to, co ona robi. Nawet zaproponował jej kilka pomysłów na

spotkania Przyjaciół. Chciał z nią spędzać każdą wolną chwilę, żeby nadrobić stracony czas. Był taki czuły i opiekuńczy, że topniała pod jego dotykiem. Nic na to nie mogła poradzić. Była bez szans.

Mówiła sobie, że to dzieje się zbyt szybko. Jednak muszą się gdzieś poznać. Co by się zmieniło, gdyby poznali się na potańcówce, w klubie czy zatłoczonym barze? Mimo to bała się zaangażować. Ale kiedy rozmawiali przez telefon albo spotykali się na randce, zapominała o swoich obawach.

Przyjaciele Biblioteki zapraszają wszystkich, którzy zupełnie nie znają się na komputerach, ale chcieliby to zmienić. W piątek wieczorem Joe Duggan pomoże każdemu, niezależnie od wieku, stać się częścią świata nowych technologii.

Kiedy Mark zaproponował, żeby wyjechali na weekend, znów się zawahała. Gdyby był żonaty, nie mógłby przecież z nią wyjechać, ale wizje wciąż się pojawiały. Twarz blondynki nie dawała jej spokoju. Była pewna, że mężczyzną witany przez kobietę jest Mark. I widziała na jej palcu obrączkę.

Jeśli był żonaty, to co mówił żonie, gdy wyjeżdżał z Fredą w góry? Była zagubiona, ale nie miała zamiaru rezygnować z tak wielkiego szczęścia.

Gdy zadzwoniła do Lane z prośbą o kolejne zastępstwo na spotkaniu z Joem, Lane nie miała wiele do powiedzenia. Wysłuchiwała przyjaciółki i zgodziła się.

– Ze względu na Joego, nie na ciebie – dodała lodowato.

Fredzie było głupio, ale potem pomyślała o najbliższym weekendzie. Mark jej potrzebował, to nie podlegało dyskusji. Nie tylko w roli kochanki, ale też towarzyszką, przyjaciółką, wsparcia. Kochał ją; sam jej to powiedział. Jeśli był żonaty, to wchodziło w grę tylko małżeństwo z rozsądku. Nie miała żadnych wątpliwości.

Eva miała nadzieję, że romans wkrótce wejdzie w inną fazę, a Freda będzie się wreszcie mogła skoncentrować na czymś poza Markiem. Całkowicie oszalała na jego punkcie. Eva nawet to rozumiała. Był takim uwodzicielem, takim zapaleńcem. Pod wieloma względami był podobny do Fredy, pod innymi był zupełnie inny. Twardszy, zmierzał po trupach prosto do celu. Ale Freda była szczęśliwa.

Źle zaczął z Lane, lecz ten problem sam się jakoś rozwiąże. Lane miała mu wiele do zarzucenia; narzekała, że Freda przestała interesować się czymkolwiek poza nim: pracą, przyjaciółmi, całym życiem. Jakby była w jakiejś mgle. „On kontroluje każdy jej krok”, twierdziła Lane. Spotykały go bardzo często, ale Lane nadal mu nie ufała.

„Naiwna, głupiutka Ciocia Dobra Rada”, powtarzała sobie Eva. Bezużyteczne próby racjonalnego rozwiązania problemu. A problem jednak był. Lane go nie lubiła i nie ufała mu. Był pierwszym mężczyzną, który zagroził ich trwałej przyjaźni. Zwykle wzajemnie się zachęcały do chodzenia na randki, chętnie udzielały sobie rad i się wspierały.

Freda mawiała, że cała armia refleksyjnych młodzieńców jest zauroczona przyjaciółką. Lane wybuchwała śmiechem, mówiąc, że to sami bezrobotni aktorzy.

Wszystko, czego chcieli, to dwutygodniowy angaż w teatrze. Lane z kolei mówiła, że zna przynajmniej trzy osoby, które przychodzą do biblioteki tylko po to, żeby zamienić słowo z Fredą. Zawsze chcieli zaprosić ją na randkę, ale ona tego nie rozumiała i uparcie polecała im nowe książki.

Silne emocje, które wzbudzał Mark, zarówno w jednej, jak i w drugiej, były zupełnie niezrozumiałe.

W związku z sukcesem zeszłotygodniowego wykładu Joego Duggana „Nie bój się nowych technologii” Przyjaciele Biblioteki Finn Road postanowili zorganizować całą serię wykładów.

Zapraszamy dwa razy w tygodniu.

Freda wpadła do Ewy, żeby pożyczyć czarny żakiet zdobiony koralikami. Została zaproszona na imprezę w hotelu za dwa tygodnie. Mark zaprosił jakichś dziennikarzy i agentów turystycznych na, jak to nazywał, popijawę. To była część długoterminowego planu, żeby pozyskać prasę w związku z rozbudową hotelu.

Eva miała nadzieję, że Freda zostanie na obiedzie.

– Widzisz – Freda zaczęła z poczuciem winy – nie mam zbyt wiele czasu... Mam dużo rzeczy do zrobienia.

Eva spojrzała jej prosto w oczy.

– A dokładnie?

– No wiesz, sprawy w bibliotece. Pomysł z wykładem Joego Duggana naprawdę wypalił. Ciągłe im mało.

– Nie dzięki tobie.

– Co masz na myśli? – spytała zaskoczona.

– Cóż, nie miałas nawet czasu, żeby się z nim spotkać. Musiałam to zrobić razem z Lane. A potem wyjechałaś na weekend dokładnie w dzień wykładu.

– Masz rację. – Freda wbiła wzrok w podłogę.

– Więc miał do pomocy niemłodą ptasiarkę i menedżerkę teatru eksperymentalnego. Bóg raczy wiedzieć, co by osiągnął, gdyby mógł liczyć na pomoc prawdziwej bibliotekarki.

– Obie spisałyście się genialnie, za co wam podziękowałam.

– Ale cię nie było – powiedziała surowo.

– Słuchaj, przecież wiesz... wiesz, jak się sprawy mają.

– Nie, naprawdę nie wiem. Może pojedziesz ze mną poobserwować dziecięty? Mark również mógłby się zabrać.

– Dziękuję bardzo, ale naprawdę jestem zajęta. Muszę naprawić kilka rzeczy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Dobrze wiem, co masz na myśli.

Freda wiedziała, że ciocia ma rację. Jeśli chodziło o Lane, to ich przyjaźń przechodziła kryzys. Lane była dla niej uprzejma, co było bardziej niepokojące niż

złość ciotki. W ich stosunkach panował chłód i dystans.

Lane nie wybaczyła Fredzie, że nie pojawiła się na wykładzie Joego. Freda zaś uważała, że Lane jest małostkowa i niesprawiedliwa. Ostatecznie wykład Joego okazał się wielkim sukcesem. Będzie miał ich całą serię. Przez wszystkie lata pracy Freda nigdy wcześniej nie wzięła wolnego. A to nawet nie było w godzinach pracy. Wszystko zorganizowała w swoim czasie wolnym, na litość boską.

Joe nie miał o to żalu. Powiedział, że to miłe, iż udało jej się znaleźć tak sympatyczną osobę na zastępstwo. Przecież nie zostawiła go samego.

Wiele hałasu o nic.

Mark miał pojechać do Londynu na kilka dni, więc Freda mogła zaprosić Lane i Evę na obiad do restauracji U Ennia. Liczyła na to, że zrozumieją, jak się czuje. Wszystko się ułoży.

To był radosny wieczór. Wszystkie trzy, jedząc makaron, nadrabiały zaległości.

Eva wybierała się na kolejną wyprawę obserwacyjną do zachodniej Irlandii. Za dwa tygodnie otwierają w Stoneybridge nowy hotel nad urwiskiem. Idealne miejsce dla ptasiarzy. Eva już planowała wizytę.

Nagle teatralnie zamilkła, a potem wzniosła toast.

– Wy dwie nie będziecie ze sobą walczyć – oznajmiła. – Nie pozwolę na to. Zwłaszcza o coś tak głupiego jak mężczyzna.

Obie dziewczyny się roześmiały.

– Straszna z ciebie mąciwoda. Nie ma żadnej kłótni. O czym ty mówisz? – powiedziała Freda.

– Nigdy nie będę walczyć z Fredą – obiecała Lane.

– Świetnie, a więc załatwione.

Lane i Freda spojrzały na siebie bezradnie.

– Moja ciotka, histeryczka!

– Co jej w ogóle przyszło do głowy? – zapytała Lane.

– Ja mówię, że kocham Marka, ty mówisz, że to dupek. Może to jej dało do myślenia?

– Nigdy więcej tak go nie nazwę. Myślałam po prostu, że chciałaś być na tym wykładzie, ale, jak to zwykle bywa, wszystko dobrze się skończyło. Joe zaprosił mnie na randkę, więc ci wybaczam.

Freda pochyliła się i poklepała ją po ramieniu. Nagle, w środku kolacji, Freda została poproszona do telefonu. Kelner zaprowadził ją do niewielkiego biurka, na którym leżała księga rezerwacji, i podał telefon.

– Słucham?

Nie miała pojęcia, kto mógł wiedzieć, gdzie jest.

– *Ciao, bella...*

– Mark!

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że tęsknię. To całkiem zabawne, że ja jestem na jednej nudnej kolacji, ty na drugiej, a moglibyśmy być razem.

– Moja nie jest nudna. Mówiłam ci, że to spotkanie z przyjaciółmi. Zresztą wracasz już jutro, prawda?

– Niestety muszę zostać. Jeszcze kilka spotkań. Ale to nie potrwa długo. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Freda posmutniała.

– A ja właśnie załatwiłam sobie trochę wolnego!

– Cóż, na przyszłość będę pamiętał, żeby nie organizować zbyt wielu spotkań biznesowych. Może być? Czy mam je odwołać? – zapytał ze złością.

– Przepraszam. Nie miałam nic złego na myśli – odparła niepewnie.

Zapadła cisza.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Przepraszam, jestem zdenerwowany. Porozmawiamy jutro. Będę wiedział więcej.

– W takim razie do jutra.

Była wstrząśnięta. I wtedy ją olśniło.

– Mark, dlaczego nie zadzwoniłeś na komórkę? – zapytała.

– Nie mam przy sobie telefonu, a nie pamiętam numeru – powiedział bez wahania. – Pamiętałem, że mówiłaś coś o Enniu, więc poszukałem w książce.

– A więc do jutra.

– To był on? – spytała Lane, gdy Freda wróciła do stolika.

– Tak się złożyło – odparła z uśmiechem.

– Dlaczego nie zadzwonił na komórkę? Sprawdzał, czy nie kłamiesz?

Eva posłała jej ostre spojrzenie.

Lane tylko żartowała, ale Freda się zdenerwowała. Przecież zadała Markowi dokładnie to samo pytanie. Nie przyznała się do tego przyjaciółce.

– Z pewnością o to właśnie chodzi. Szaleje z zazdrości – odparła z lekkim, nieszczerym uśmieszkiem.

– Czym się martwisz? – zapytała Eva.

– Niczym. Po prostu Mark musi dłużej zostać w Londynie.

Freda po raz pierwszy w życiu nie miała ochoty iść do pracy. Zbyt wiele wizyt na jej zmianie. Lane wciąż nie rozumiała Marka; nawet Eva straciła cierpliwość. Po prostu nie rozumiały. Pani Duffy bardzo poważnie traktowała sprawę katalogów: „Książka źle skatalogowana to książka stracona”, powtarzała jak mantrę.

Na dodatek była jeszcze ta apodyktyczna kobieta, która skarżyła się, że pozycja, którą Freda niefortunnie poleciła w klubie książki w Chestnut Court, okazała się czystą pornografią. Ktoś inny wpadł w furję, gdy okazało się, że nie mają książek Zane’a Greya. Musiała też ponownie przeprosić Joego Duggana, że nie była na spotkaniach.

Ze wszystkim by sobie poradziła, gdyby nie wczorajsza rozmowa, która wytrąciła ją z równowagi. Znów przyśniła jej się blondynka i teraz była już pewna, że Mark jest żonaty. Ale to nie miało znaczenia. Kochał ją. Mówił je to tyle razy.

Wyprostowała ramiona i powoli weszła po schodach biblioteki. Zwykle wbiegała po dwa stopnie.

Kilka dni później Eva zaprosiła Lane na obiad.

– Po drugiej stronie Howth widziano wielkie stado markaczek nadzwyczajnych. Mogą się między nimi znaleźć jakieś rzadkie okazy.

– Markaczek nadzwyczajnych?

– Cóż, prawdziwa nazwa to uhła zwyczajna.

– Interesujące.

– To kaczki morskie. Samce są czarne jak smoła i mają żółte dzioby, a samice mają białe szyje i ciemnoszare dzioby. Przyleciały przezimować. Przejeźdź się ze mną. Zjemy po drodze obiad w jakimś barze – zaproponowała.

– Co mam włożyć?

– Nic jaskrawego, żeby ich nie spłoszyć. Nie wiem, jaka jest prognoza pogody, ale lepiej wziąć jakąś kurtkę przeciwdeszczową, szalik i sweter. Może jeszcze plecak lub kurtkę z licznymi kieszeniami.

Lane nie miała nic lepszego do roboty. Freda nie była sobą przy Marku, który najpierw robił wielkie plany, żeby je w ostatniej chwili odwoływać, a kiedy nie było go w pobliżu, po prostu siedziała, wpatrując się w telefon. Lane powiedziała, że z przyjemnością się przejeździe.

Gdy zjechały z głównej drogi, kierując się w stronę morza, Eva pokazywała Lane migrujące stada ptaków, które właśnie przyleciały: stada gęsi białoczelnych, a także kaczek, łabędzi i siewkowców, które przyleciały z Arktyki. Będzie wiele do zobaczenia.

Eva prowadziła skoncentrowana. Był duży ruch.

– Zjemy tam, gdzie będzie można łatwo zaparkować? – zapytała.

I tak oto znalazły się w ciemnej winiarni na nabrzeżu, gdzie zobaczyły Marka, który powinien być w Anglii na konferencji.

Siedział przy stoliku blisko okna. Naprzeciwko niego siedziała blondynka w dżinsach i wełnianym swetrze. Była z nimi mała dziewczynka, młodzieńka i bardzo wesola. Idealnie szczęśliwa rodzina. Nie widzieli świata poza sobą.

Mark i blondynka karmili się nawzajem makaronem, śmiejąc się po każdym łyku. Wtórowała im dziewczynka. Emanowała z nich taka radość i bliskość. Nie było wątpliwości, że to rodzina.

Eva i Lane patrzyły na nich osłupiałe.

Zanim były w stanie zrobić krok, Mark je zauważył. Był wściekły.

Spojrzały na siebie i równocześnie powiedziały: „Dupek!”. A potem bez słowa

wyszły, wsiadły do samochodu i ruszyły w drogę powrotną.

Kiedy odjeżdżały, Lane zapytała:

– Czy ptaki też to robią? No wiesz, oszukują się?

– To skomplikowane.

– Na pewno.

– Powinnyśmy coś powiedzieć? – Eva zastanawiała się na głos.

– Oczywiście. Pytanie brzmi, któremu z nich? Fredzie czy Markowi.

– Gdybyśmy tam nie weszły... – zaczęła Eva.

– Nie ma sensu gdybać. Weszłyśmy. Widziałyśmy go. Nie będzie jej dłużej oszukiwał.

– Ale jeśli jej powiemy, poczuje się upokorzona – zatroskała się Eva.

– Cóż, będzie bardziej upokorzona, jeśli jej nie powiemy – odparła Lane ze złością.

– W zasadzie nie wiemy...

– Oczywiście, że wiemy. To nie była koleżanka z pracy ani siostra. A dziewczynka była jego córką. Jeśli kiedyś zobaczysz mojego chłopaka z żoną i córką, daj mi znać, dobrze? Inaczej uznam cię za bardzo kiepską przyjaciółkę.

– Teraz tak mówisz...

– Cóż, cieszę się, że mamy okazję to sobie wyjaśnić, bo z całą pewnością, niezależnie od sytuacji, chciałabym wiedzieć. Miałabym przynajmniej możliwość podjęcia decyzji.

– Nie możemy jej powiedzieć. Zastanów się chwilę.

– To jest dla niego na tyle ważne, że chce mu się ją okłamywać. Udawać, że jest w Londynie i zaszyć się w winiarni, gdzie nikt go nie znajdzie.

– Tak mu się przynajmniej wydawało – rzuciła Eva. – Nie mów jej, Lane. To ją zniszczy.

– Musi się dowiedzieć. Może z nim zostać, jeśli będzie tego chciała, ale ma prawo wiedzieć.

– Nie mieszaj się do tego. Przynajmniej na razie.

Ostatecznie żadna z nich nie musiała jej tego mówić. Mark się tym zajął.

To było w dzień przyjęcia w hotelu. Nie odzywał się cały dzień, ale wiedziała, że ma dużo pracy. Miała nadzieję, że zrobi na nim wrażenie: czarny żakiet, który pożyczyła od Evy, leżał na niej świetnie. Miała zamiar włożyć purpurową, jedwabną spódnicę i eleganckie czerwono-czarne buty. Wiedziała, że Mark będzie zabawiać gości, a ona będzie musiała radzić sobie sama, ale później to nadrobią.

Przyjęcie trwało w najlepsze, gdy Freda dotarła do hotelu. Po sali krążyli kelnerzy z wytwornymi przekąskami.

Mark jej nie zauważył. Stał przy oknie z grupą roześmianych ludzi. Freda stanęła po drugiej stronie pomieszczenia, żeby móc go obserwować. Był pełen życia i mógł

przekonać każdego, do czego tylko chciał. Uśmiechał się do wszystkich po kolei, a potem gładko przechodził do następnej grupy.

Nie może tak stać jak mebel i wpatrywać się w niego. Była przecież zaproszonym gościem.

Rozpoznała kilka osób: mężczyznę prowadzącego telewizyjny talk-show, jedną felietonistkę, znanego dziennikarza telewizyjnego. Udało mu się zebrać ludzi, których potrzebował. Powinien być w dobrym nastroju.

Pogawędziła z ludźmi, trochę wypila, ale niewiele. Poznała szefa działu IT z jakiejś dużej firmy. Zgodził się z Fredą, że technologia bardzo szybko się rozwija, konieczne są cotygodniowe aktualizacje, systemy są przestarzałe po roku, góra dwóch latach. To straszne marnotrawstwo. Freda zastanawiała się, co robią ze starym sprzętem. Przekonywała, żeby rozważył przekazanie go bibliotece Finn Road. Powiedziała mu o zajęciach z obsługi komputerów. Wydawał się zainteresowany. Zauważyła, że w dalszej części pokoju Mark dziwnie jej się przygląda, więc pospiesznie zmieniła temat, wychwalając hotel. To miejsce to skarb. Każdy uważa, że tylko on je odkrył, że to jego sekret.

– Właśnie dlatego nie wolno go zmieniać – powiedział. – To szaleństwo.

– Dzięki temu przetrwa, będzie miał zapewniony stały przepływ gości – powtórzyła słowa Marka.

– Są dziesiątki hoteli z salami konferencyjnymi, SPA, rozrywkami dla tłumów. Tutaj jest inaczej. I tak powinno pozostać.

– A jeśli przegra z konkurencją tylko dlatego, że nie chciał się zmienić?

– Chyba ktoś już poddał cię indoktrynacji. Nie musisz nawet zostawać na przemówieniu.

– Nie nadążam...

– Och, te gadki szmatki udające serdeczne powitanie: cudownie was widzieć w tym staromodnym i wyjątkowym miejscu. Teraz planujemy je zmienić i zniszczyć.

– To właśnie chcą zrobić? – Fredzie zaparło dech w piersi.

– Jeszcze nie wiadomo. Niektórzy w radzie chcą, żeby wszystko zostało po staremu, reszta widzi wspaniałą, lśniącą przyszłość i franczyzę na markę Holly za granicą. Oni oczywiście zrównają go z ziemią, a ten cały cyrk jest tylko po to, żeby prasa pomogła załatwić pozwolenie na budowę. Zresztą nie chcę cię zanudzać. Powiedz lepiej, gdzie się znajduje biblioteka, na wypadek gdybyśmy mieli wam przesłać kilka komputerów.

Wymienili wizytówki. W tym momencie dołączył do nich Mark.

– Chyba nie krąży pani po pokoju w poszukiwaniu wsparcia dla biblioteki, panno O'Donovan?

– Mark, to był mój pomysł. Ta młoda dama robi coś wartościowego, a to obecnie bardzo rzadko spotykane.

Mark odciągnął ją na bok zdecydowanym ruchem.

– Kto to był? – zapytała szeptem.

– Nieważne. Co się tu dzieje, do cholery? – syknął. – Co ty wyprawiasz? Sabotujesz moją imprezę? Kto cię do tego namówił? Nie, nie mów, ty i te suki...

– Mark? – Freda była skonsternowana.

Zaniepokoił ją wyraz jego twarzy. Co się stało, na Boga?

– Co zamierzałaś zrobić? – Utkwił wzrok w jej twarzy. – Stać tu i rzucać oskarżenia? Zniweczyć moją szansę? – Głos zdradzał wściekłość, choć na twarzy wciąż widniał wymuszony uśmiech.

Mark poprowadził ją w stronę drzwi.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała, próbując wyzwolić łokieć z jego uścisku. – Nie wiem, co poszło nie tak, ale może zadzwonię do ciebie później i przełożymy spotkanie na jutro, dobrze? – zapytała, choć już wiedziała, że nie ma na to szans. – A może wpadniesz do mnie po imprezie i wytłumaczysz mi, o co chodzi?

Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to jak błaganie.

– Nie wydaje mi się. – Uśmiechnął się szyderczo. – Za późno na to. Wysłać przyjaciółki na przeszpiegi! Dlaczego nie odpuściłaś? Kretynko, ty głupia kretynko! – Z trudem wypowiadał słowa. – Jak mogłaś być taka głupia? Zniszczyłaś wszystko. Gdy pomyślę, jak bardzo cię kochałem i jak dla ciebie ryzykowałem...

Teraz naprawdę zaczęła się bać.

– Powiedz mi, o co chodzi? Co takiego zrobiłam? To musi być jakaś straszna pomyłka. Cokolwiek to było, przepraszam...

Dotarli do drzwi. Freda była zrozpaczona, natomiast twarz Marka nie zdradzała żadnych emocji. Niemal wypchnął ją za drzwi.

– Nie kontaktuj się ze mną więcej. Nie dzwoń, nie pisz SMS-ów i mejli. Trzymaj się ode mnie z daleka. I nigdy więcej nie waż się, ty ani twoje przyjaciółeczki, zbliżyć do mojej żony i córki.

Freda bez słowa patrzyła, jak odwraca się na pięcie i zamyka za sobą drzwi. Była zrozpaczona.

Bezwiednie minęła postój taksówek. Do oczu zaczęły jej napływać łzy. Gdy straciła z pola widzenia hotel, zatrzymała się i oparła o poręcz, żeby się wypłakać. Stała ubrana w piękny żakiet Evy i płakała.

Przechodnie patrzyli na nią zaniepokojeni. Niektórzy nawet pytali, czy mogą jakoś pomóc, ale ona płakała jeszcze bardziej. Wtedy poczuła na ramieniu czyjąś rękę. To człowiek, z którym rozmawiała na imprezie.

– Masz do kogo pójść? – zapytał życzliwie.

Nic jej nie jest. To sprawa osobista i na dodatek drobnostka, zaraz jej przejdzie, zapewniła go, szlochając.

Czy ma po kogoś zadzwonić?

Mimo że zawsze uważała się za osobę otoczoną przyjaciółmi, dziś wieczorem dosłownie nie miała do kogo zadzwonić.

Wsadził ją do taksówki; później zdała sobie sprawę, że zapłacił kierowcy. Przez całą drogę patrzyła przed siebie. Malutkie mieszkanie było idealnie przygotowane: świece starannie rozstawione na stołach, kominek uszykowany tak, żeby można go było rozpaścić w kilka minut; jedzenie i wino w lodówce, na parapecie duża miska pachnących lilii.

Ciepłe i przytulne miejsce. Drwina z jej zaufania i nadziei.

Wydawało się, że wali się na nią sufit. Nie mogła oddychać.

Czasami, gdy budziła się nagle w środku nocy, zastanawiała się, czy aby sobie tego wszystkiego nie wymyśliła. Może to był tylko sen? Oprócz tej nocy w hotelu. Myślała, że zna go tak dobrze. Był delikatny, zabawny i kochający. Przecież nie byłby z nią tak długo, gdyby jej nie kochał.

Ostatecznie Eva i Lane powiedziały jej prawdę. O wyjeździe, obiedzie, Marku, blondynce, dziecku. Dziecku! Próbowwała przypomnieć sobie wszystkie wizje, które wcześniej tłumiała: nie było śladu córki. Ale przecież widziała żonę, prawda? Blondynka z wizji naprawdę była jego żoną. Freda to wiedziała i nic nie zrobiła.

Postarzała się i schudła.

Eva była bardzo zmartwiona. Od współczucia przeszła do oszołomienia, a skończyła na autentycznej trosce.

– Czuję się tak strasznie bezsilna – powiedziała ze smutkiem.

– Nie mam pojęcia, co robić. – Freda płakała. – Tak bardzo go kochałam. Myślałam, że on też mnie kocha. Skąd mam wiedzieć, co robić?

– Masz poczucie winy. Choć chyba nie powinnaś. Starasz się jakoś wszystko naprawić, ale nie możesz. Musisz zacząć patrzeć w przyszłość.

Eva podjęła decyzję. Freda musi wyjechać. Tam, gdzie nic nie będzie jej o nim przypominać. Gdzie będzie mogła nabrać dystansu. Zadzwoniła w dwa miejsca. Do Kamienego Domu, żeby zmienić rezerwację, i do biblioteki. Freda nie czuje się najlepiej. Potrzebuje kilku dni, żeby dojść do siebie.

W drodze do Kamienego Domu Freda zastanawiała się, czy nie popełniła wielkiego błędu. To miejsce jej nie pomoże. Nikogo tu nie zna. Zresztą nie jest w stanie robić nic innego, tylko rozmyślać o utraconym szczęściu. Po co tu przyjechała? Nie miała żadnych problemów, przed którymi chciałyby uciec. Tylko bardzo realne wspomnienie wielkiej miłości.

Pani Starr była bardzo serdeczna. Zaprowadziła ją do ładnego pokoju na uboczu. Na wyraźną prośbę Evy wspomniała o dzikim ptactwie. Freda obojętnie gapiła się w okno. Wiatr szarpał gałęzie dębu. Znów jest w hotelu, pomyślała ze smutkiem. Poczula się upokorzona.

Wiatr wydawał się wprawiać w drżenie tylko jedną gałąź. Patrzyła jak

zahipnotyzowana, jak mały czarno-biały pyszczek wyłania się z liści i przez chwilę wpatruje się w nią pytająco, żeby zaraz zniknąć ponownie. Wstrzymała oddech, gdy kociak wdrapywał się coraz wyżej. Co chwila ukazywały się czarno-białe łaty.

– Bez obaw – odezwała się Chicky, podążając za niespokojnym spojrzeniem gościa. – To Gloria. Nic jej nie będzie. Niczego się nie boi. Gdy przestanie się uganiać za nie wiadomo czym, znajdzie drogę powrotną. Jeśli chcesz, mogę was sobie przedstawić. Przyjdź do kuchni, dam ci dla niej przysmak. Ale pamiętaj, najwyżej trzy sztuki, nie więcej.

W kuchni Chicky otworzyła drzwi i zagwizdała. Gloria pojawiła się po kilku sekundach i otarła o jej nogi. Potem nagle usiadła, żeby umyć łapy.

– Trzy kawałki – przypomniała Chicky, podając Fredzie pudełko łakoci. – Nie wierz jej, kiedy mówi, że powinna dostać więcej.

Freda usiadła przy kominku, a kotka natychmiast wskoczyła jej na kolana, mrużąc przy tym głośno. Gdy już zjadła przysługującą jej porcję suchej karmy, zwinęła się w kłębek i natychmiast zasnęła.

Gdyby tylko, pomyślała tęsknie Freda, gładząc kotkę po głowie, gdyby tylko mogła cały tydzień siedzieć przy kominku z tą małą futrzaną kulką na kolanach. Gdyby nie musiała się ruszać, poznawać nowych ludzi, wdawać się w pogawędki. Obawiała się tego.

Z lękiem zeszła na drinka przed kolacją. Wszyscy byli bardzo uprzejmi. Spoglądała na nich i wiedziała, że każdy z nich ma głęboko skrywane sekrety. Zrobiło jej się ciężko na sercu. Trzeba będzie z nimi rozmawiać. Jeśli nie będzie się odzywać, to może zostawią ją w spokoju?

Okazało się, że nie było się czego bać. Chicky ciepło przywitała wszystkich zebranych wokół trzaskających polan; atmosfera była serdeczna, a rozmowy szybko stały się poważne i znaczące. Freda bez najmniejszych trudności rozmawiała z tymi zupełnie obcymi ludźmi. Na chwilę odzyskała wigor.

Wdała się w pogawędkę z sympatycznym, młodym Szwedem, który jak się okazało, był zafascynowany muzyką irlandzką. Zanim się zastanowiła, zgodziła się pójść z nim nazajutrz do miasta na koncert. Po jej drugiej stronie siedziała emerytowana nauczycielka, z którą stoczyła ożywiony spór o stan czytelnictwa wśród współczesnej młodzieży. Powiedziała jej o Przyjaciołach Biblioteki Finn Road i klubie młodych czytelniczek. Podniosło ją to na duchu.

Leżąc w łóżku, rozmyślała nad minionym dniem. Pod wpływem impulsu wstała i cicho otworzyła drzwi. Na stoliku stała mała lampka oświetlająca pusty hol. Gwizdnęła cicho. Początkowo nie było żadnej odpowiedzi, ale po chwili dało się słyszeć tupot małych łapek.

Gloria, skulona w kłębek, spała tej nocy w jej łóżku. Rano Freda ruszyła z Andersem do miasta, dając się porwać jego pasji. Na obiedzie co chwila wybuchała

głośnym śmiechem, słuchając jego anegdot. Kiedy po południu ze sceny rozbrzmiewały smutne dźwięki, wzruszała się do łez.

Czuła się trochę lepiej. Kolacja przebiegła w jeszcze przyjemniejszej atmosferze niż poprzedniego dnia. W nocy przyśniły jej się burze. Nikomu nie powiedziała ani słowa. Ulżyło jej, gdy się okazało, że Winnie i Lillian są bezpieczne.

Czwartego dnia Chicky znalazła Fredę i Glorię skulone przy kominku w pokoju panny Sheedy. Gloria spała, posapując przez nos. Jej różowe łapki drgały. Zamyślona Freda głaskała ją.

Chicky postawiła na stoliku tacę z dzbankiem i dwiema filiżankami. Freda spojrzała na nią przestraszona, a zawstydzona Gloria zeskoczyła na podłogę, położyła się na grzbiecie i z powagą obserwowała pokój.

– Pomyślałam, że napijesz się herbaty – zaczęła Chicky. – Gloria wie, że nie wolno jej tu przebywać, ale najwyraźniej czuje z tobą silną więź.

Rzeczywiście, Freda i Gloria stały się nierozłączne. Mały czarno-biały kociak chodził za Fredą po całym domu, a także towarzyszył jej na spacerach w ogrodzie. Widziano je, jak podziwiały bliźniaki Carmel i jak zostały oficjalnie przedstawione Spudowi i Princessie. Gloria obserwowała je z bezpiecznej odległości. Potem wskoczyła na ogrodzenie i z namysłem myślała sobie pyszczek.

Chicky opowiedziała Fredzie o pannie Queenie, na której cześć został nazwany główny pokój. Rigger na początku uważał ją za dość szaloną staruszkę, ale – jak wszyscy – szybko ją pokochał. To jej Gloria zawdzięcza życie. Przyniosła ją do domu w kieszeni płaszcza.

– Nie wiem, czy to prawda, nigdy o to nie spytałam, ale zdaje się, że jakaś przyjezdna przepowiedziała wszystkim trzem nieszczęśliwe małżeństwo, więc zawsze odmawiały, gdy ktoś prosił je o rękę.

Wtedy Freda powiedziała Chicky o swoich wizjach. Na początku dzieliła się nimi z innymi, ale później zawsze tego żałowała. Więc próbowała je tłumić. Na próżno. Od tego czasu trzyma je w tajemnicy. Przecież i tak nie mogła nic zmienić, a ludzie albo zaczynali jej unikać, albo się obrażali. Nieważne, czy o tym mówiła, czy nie, zawsze źle na tym wychodziła.

Potem opowiedziała o Marku i o tym, jak ignorowała fakt, że może być żonaty.

Chicky słuchała uważnie. Nie osądzała; wydawała się całkowicie rozumieć, że Freda go kochała, więc spychała obawy na bok.

– Dlaczego boisz się powiedzieć ludziom, że wiesz więcej niż inni?

Freda była jej wdzięczna, że nawet w najmniejszym stopniu nie podała w wątpliwość jej słów; nie próbowała przekonywać, że to wyobrażenia, sny lub zbiegi okoliczności.

– Ponieważ moje słowa przynoszą tylko smutek.

– Załóżmy, że masz wizję dotyczącą mnie. Powiedziałałabyś mi o tym?

– Nie, nie sędę.
– Pozwoliłabyś mi popełnić błąd? Nawet gdybym mogła go uniknąć?
– Ja po prostu nie akceptuję swoich wizji. Jeśli nikt o nich nie wie, nie muszę się z nimi mierzyć. Najbardziej wytrąca mnie z równowagi to, że nigdy nie wiem, kiedy się pojawią.

Chicky wysłuchała jej i pokręciła głową. Chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie Rigger przyniósł warzywa na kolację i musiała się nimi zająć.

Poklepała Fredę po ramieniu i zostawiła ją z Glorią, która właśnie uznała, że dywanowi należy się kara.

Nazajutrz przy kolacji Henry i Nicola ogłosili, że zostają w Stoneybridge. Decyzja wywołała ogromny aplauz. „Jak to dobrze być częścią takiej wesołej grupy”, pomyślała Freda. Położyła się spać odprężona i zadowolona.

Wcześniej lekkie zamieszanie wywołała nagła decyzja pani Howe o opuszczeniu pensjonatu. Wyjechała bez słowa pożegnania. Wezwano Riggera, żeby odwiózł ją na dworzec. Gdy wsiadała do samochodu, wyglądała na pokonaną. Było w tym coś bardzo smutnego. Freda poczuła się lekko zaniepokojona.

Przyjazd okazał się dobrą decyzją. Każdy dzień przynosił coś nowego: spacery po dzikich terenach, wycieczkę z Andersem do miasta, wyśmienite kolacje i towarzystwo. Przynajmniej osiem godzin snu. Freda z każdym dniem odzyskiwała siły.

W dzień wyjazdu, tuż przed kolacją, Chicky skinęła na Fredę.

– Chciałam z tobą porozmawiać. Wydaje mi się, że wiem, co powinnaś zrobić, no wiesz, ze swoim problemem.

– Naprawdę?

– Moim zdaniem powinnaś zmienić taktykę – powiedziała, nakrywając do stołu. – Mówiłaś, że boisz się, iż ludzie dowiedzą się o twoich wyjątkowych zdolnościach, więc trzymasz je w tajemnicy.

– Boję się przyznać nawet przed sobą, że to, co mówię, może okazać się prawdą.

– To jest właśnie problem. Myślę, że powinnaś mówić wszystkim spotkanym ludziom, że jesteś medium. Powinnaś nawet sama proponować, że poczytasz im z rąk, liści herbaty lub kart.

– I to pomoże?

– To zdejmie z tego całą magię, tajemnicę, moc. Najwyżej ludzie pomyślą, że jesteś wariatką, ale dzięki temu oswoisz swój dar. Tego właśnie chcesz, tak?

– Tak, w pewnym sensie.

– Więc to jest właśnie sposób. Musisz to wyśmiać. Wtedy nikt nie będzie brał tego na poważnie.

– Miałabym mówić ludziom, że mam wizje?

– Nazwij to, jak chcesz. Wystarczy im, że usłyszą jakieś ogólne zapewnienia, że

wszystko będzie dobrze, mgliste nadzieje na przyszłość. Potrzebują pokrzepienia. Czy nie dlatego właśnie czytają horoskopy? Moim zdaniem czujesz się winna z powodu tych wizji. Potraktuj je jak coś nieistotnego. To tylko myśli. Każdy jakieś ma. To wszystko.

Freda stała w kuchni w Kamiennym Domu z niejasnym wrażeniem, że coś się zmieniło. Odczuła wielką ulgę, ale i stratę. Zawsze myślała, że Mark ją kocha. Tylko dlaczego w to wierzyła? Przecież nie było absolutnie żadnych dowodów, że była czymś więcej niż tylko przyjemnym skokiem w bok. Przykra, ale wyzwalająca świadomość.

– Powiem im przy kolacji. Powiem im o wszystkim.

– To jest to, Freda. Zwal ich z nóg.

Gdy goście Chicky Starr usiedli do swojej ostatniej wspólnej kolacji, Freda powiedziała tej grupie nieznanym, że jest medium. Wszyscy byli zainteresowani, choć w różnym stopniu.

John powiedział, że wielu jego przyjaciół w Stanach regularnie konsultuje się z jasnowidzami. Para lekarzy podeszła do tego z mniejszym entuzjazmem, ale równym zaciekawieniem. Winnie wesoło przyznała, że chętnie przyszłaby do niej na wizytę. Lillian stwierdziła, że to wielka szkoda, iż wielu tak zwanych wróżów, oczywiście nie ma na myśli Fredey, to zwykli szarlatani. Anders dodał, że w firmie rachunkowej ojca jest jeden klient, który bez konsultacji z astrologiem nie dokonuje nawet najmniejszej inwestycji. Okazało się, że to całkiem dobry temat do rozmów. Znacznie lepszy niż praca w bibliotece. Strach zaczął znikać.

Wszyscy się bardzo ożywili. Wciąż pozostawało jeszcze wiele do zrobienia w sprawie konkursu na najlepszy festiwal irlandzki. Nagle ktoś zapytał Fredę, czy mogłaby przepowiedzieć im przyszłość. Rozejrzała się w popłochu. Tego nie było w planach.

Chicky przyszła jej z pomocą.

– Freda pewnie przyjechała na urlop, żeby odpocząć od pracy. Nie powinniśmy jej do tego zmuszać.

Byli rozczarowani; ale ona przypomniała sobie słowa Chicky, że wszystko, czego ludzie chcą od medium, to dobre wieści i nadzieja na przyszłość. Spojrzała na nich. W tej grupie to będzie łatwe i nieszkodliwe.

Czytała im z rąk, widząc same dobre rzeczy: sukcesy i wyzwania, spokój i udane, trwałe związki.

Winnie już niedługo wyjdzie za mąż i będzie bardzo szczęśliwa. Lillian pozna kogoś na weselu, może będzie z tego miłość, a na pewno przyjaźń. Lillian była cała w skowronkach.

Na razie wszystko dobrze się układało.

Przed Henrym nowy początek. Szczęście.

Przed Nicolą dziecko. Naprawdę? Dziecko? „Na sto procent”, odparła Freda z przekonaniem. I nagle usłyszała swój głos: „Już jesteś w ciąży. To dziewczynka. Widzę ją. Jest śliczna!”. Zobaczyła małą dziewczynkę obejmującą Nicolę za szyję, a potem znikające napięcie z twarzy przyszłej mamy i jej szeroki uśmiech. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że może dawać ludziom prawdziwą radość.

Johnowi czy Corry’emu przepowiedziała, że nadchodzą wielkie zmiany. Nowa praca, przeprowadzka, znacznie prostsze życie. I wnuczka, która będzie jego częścią. Zobaczyła łzy w jego oczach. Była poruszona.

Anders poznał już swoją wielką miłość; musi jak najszybciej wracać do domu i poprosić ją o rękę. Tylko wtedy odniesie sukces.

Wallom przepowiedziała rejs. Popłyną w jakieś ciepłe rejony. Widziała słońce odbijające się w wodzie.

Została jeszcze Chicky. Freda wzięła jej dłoń i skoncentrowała się. Nic. Przez chwilę milczała, a potem niepewnie powiedziała, że Kamienny Dom odniesie wielki sukces. Zjawi się mężczyzna. Może to ktoś, kogo zna?

I nagle dowiedziała się wszystkiego. Nie było żadnego wypadku, ślubu, ale to nie miało znaczenia. Chicky sobie poradzi. Uśmiechnęła się. Wszystko będzie dobrze.

Byli nią zachwyceni. To było dobre zakończenie tygodnia.

Wymienili się numerami telefonów i adresami mejlowymi. Wypili toast za Chicky, Riggera z rodziną, Orłę i Kamienny Dom.

W księżde gości wszyscy wpisali kilka ciepłych słów. Ustalono, że Chicky i Rigger zapewnią transport na dworzec wszystkim, którzy wracają pociągiem. Na pożegnanie Carmel przyniosła dla każdego dzbanuszek dżemu.

W nocy Freda stała przy oknie i głaszcząc pomrukującą Glorię, obserwowała w świetle księżycy zmieniające się kształty chmur. Kiedy tylko wróci do domu, zadzwoni do Lane i Evy. Czas na kolację w restauracji U Ennia. Mają sporo do nadrobienia.

Rano zrobiło się wielkie zamieszanie, ale każdy zdążył na pociąg. W końcu Chicky Starr pomachała wszystkim gościom, ale Fredę uścisnęła szczególnie mocno. Dziewczyna wyjeżdżała znacznie szczęśliwsza.

Nadszedł czas, żeby przygotować się na przyjazd kolejnych gości, którzy zjawią się tu za kilka godzin. Carmel przysłała pomoc posprzątać pokoje, zmienić pościel i przygotować dom. Chicky robi potrawkę. Będzie się wolno zapiekać w każdej chwili gotowa do zjedzenia. Do tego świeżo upieczony chleb, a na deser czekoladowy mus.

Będzie tęsknić za swoimi pierwszymi gośćmi, dzięki którym otwarcie okazało się tak wielkim sukcesem, ale nie mogła się już doczekać kolejnych. Przyjadą z nowymi wyzwaniem i wymaganiami. Głęboko odetchnęła morskim powietrzem. Była gotowa.

Gloria ocierała się o nogi swojej pani. Chicky wzięła ją na ręce i podrapała za uchem. A potem weszły do domu.

Przekład: Jolanta Kielbas

Redakcja: Krystyna Borowiecka-Strug

Korekta: Anita Rejch, Beata Wójcik

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Evelina Kremsdorf/Arcangel Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

e-mail: biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1714-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow